

Cien Albionu

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

ANDRE NORTON

Cien Albionu

ROSEMARY EDGHILL

PRZEKLAD: ROBERT PRYLINSKI

TYTUL ORYGINALU: THE SHADOW OF ALBION

Do mnie, ohydne cienieSzatan sie chichoty, do mnie!

Macbeth

PRZEDMOWA AUTORKI

PANOWANIE, DO KTOREGO NIGDY NIE DOSZLO

Rozne teorie "co by bylo, gdyby..." pojawiaja sie w nauce historii, bo czesto zachodza w niej wyrazne i gwałtowne zmiany kursu, które zaleza od pojedynczego wydarzenia lub czynow konkretnej osoby. W takim własnie momencie tworza się dwa swiaty alternatywne, które moglyby się rozwijac zupełnie inaczej, w zaleznosci od tego, czy dany fakt wydarzył się, czy też nie. W tej historii takim prazrodlem podziału jest osoba diuka Monmouth, żyjącego za panowania Karola II. Większość poddanych tego krola sprzeciwiała się zaciekle idei ponownego objęcia władzy przez katolickiego władcę. Niestety Karol II nie zdołał splodzić z portugalską żoną żywego potomka, chociaż miał kilkoro dzieci z nieprawego łoża z licznymi kochankami. Wiele z nich obdarzył zresztą tytułami książecymi, znacznymi nadaniami i honorami.

Brat Karola i jego legalny następca - Jakub - był gorliwym katolikiem, zdeterminowanym, by przywrócić w państwie poprzednią wiarę. Był też okrutnym i aroganckim władcą, w odróżnieniu od Karola, który miał wiele uroku, jak wszyscy Stuartowie.

Niemal od chwili urodzenia diuka Monmouth, najstarszego ze znanych nieslubnych potomków Karola, pojawiały się pogłoski, iż tak naprawdę jest on legalnym synem. Karol na wygnaniu poślubił jakoby matkę księcia - pannę Waters. Monmouth był zresztą równie sympatycznym człowiekiem jak jego ojciec i do tego zdecydowanym protestantem.

W prawdziwym świecie, po śmierci Karola, Monmouth stanął na czele powstania, które wybuchło przeciwko jego wujowi Jakubowi II, a po przegranej został stracony.

W świecie alternatywnym Karol II podczas przedłużającej się agonii zrozumiał wreszcie, że wstąpienie na tron Jakuba będzie oznaczało kłopoty dla wszystkich. Oświadczył swoim najbardziej zaufanym i najpotężniejszym lordom, że plotki głosiły prawdę i że faktycznie (a w czasach tych nie istniało jeszcze Prawo o Malżeństwie Królewskim) poślubił pannę Waters, a tym samym diuk Monmouth jest jego prawnym następcą. Po śmierci Karola II diuk zostaje koronowany jako Karol III.

Nowy król ma potem spore kłopoty z grupą opornych i potężnych lordów katolickich, a także ze swoim wujem Jakubem, który uważa, że tron prawnie należy się jemu...

Zmiana władców będzie miała oczywiście wpływ na wydarzenia późniejszych lat, a nawet wieków - ale najbliższy okres wygląda dokładnie tak jak w rzeczywistym świecie. Silnie wigowska, protestancka Anglia walczy przeciwko Francji. Na scenie dziejowej wkracza dowódca księcia Marlborough, którego serdecznym przyjacielem jest diuk Clarence - drugi nieslubny syn zmarłego króla i przyrodni brat panującego Karola III.

Stuarci nie zaprzestają zresztą plodzenia wielu bekartów i przyznawania im znaczących tytułów, więc najwyższe stopnie angielskiej drabiny feudalnej ulegają znacznemu rozmnożeniu. Po okresie panowania jeszcze trzech kolejnych Stuartów (Karola IV, Jakuba II i Karola V) wkraczamy w rok 1800 i oto znajdujemy się w świecie podobnym, jednak bardzo różnym od naszego. W angielskim rządzie nadal dominują wigowie i król opiera się na tym właśnie stronnictwie. Skoro na tronie nie zasiada nieudolna i niepopularna dynastia hanowerska, relacje polityczne z koloniami amerykańskimi są zupełnie poprawne - w 1805 roku Ameryka jest po prostu najdalszą zachodnią kolonią angielską, a jej mieszkańcy są obywatelami Anglii z pełną reprezentacją w Parlamencie. Kolonia jest zarządzana (podobnie jak Irlandia) przez Lorda Protektora, a w 1805 roku Lordem Protektorem Ameryki jest Thomas Jefferson.

Podobnie jak tytuły irlandzkie, tytuły amerykańskie są wprawdzie uważane za godności drugiej kategorii, a jednak stoją wysoko w hierarchii społecznej ludzie przyjmują zarówno tytuły angielskie, jak i amerykańskie. Ameryka jest też często miejscem osiedlania się pozbawionych ziemi młodszych synów szlacheckich. Oczywiście z upływem czasu związki

pomiędzy krajem ojczystym a wielką kolonią słabną i teoretycy polityki przewidują, że pewnego dnia Ameryka będzie rządzić się sama, niemal bez nadzoru metropolii...

Kolejną wielką zmianą w stosunku do historii, którą znamy, jest oczywiście fakt, że w naszym świecie alternatywnym nie dochodzi do zakupu Luizjany w 1805 roku, a ekspansja trzynastu kolonii w kierunku zachodnim zatrzymuje się na pustkowiu Kentucky (w naszym świecie alternatywnym nazywanym Transylwania).

Rewolucja Francuska, która wybuchła w 1789 roku w obu światach, jest szokiem zarówno dla Anglii, jak i jej kolonii w Nowym Świecie. Jednak chociaż dąży do tego wielu polityków, Anglia - również w obu światach - nie interweniuje.

W roku 1795 Napoleon Bonaparte zaczyna wspinaczkę na szczyt, a Francja nabiera imperialnych apetytów. Tym razem Anglia wyrusza na wojnę. Mimo poważnych społecznych i religijnych niepokojów wewnętrznych Brytania cementuje koalicję Trzech Mocarstw z Prusami i Rosją, która daje Napoleonowi zatrudnienie na kontynencie. Trąca się w kraju niepokoje mogą jednak w każdej chwili zmienić się w otwartą wojnę domową, zwłaszcza gdyby zmarł stary król...

Podobnie jak w świecie rzeczywistym, wiele państw rozważa zawarcie z Napoleonem umów dwustronnych. Językiem u wagi staje się Dania, która, będąc członkiem Ligi Bałtyckiej, waha się pomiędzy neutralnością a zajęciem miejsca po stronie Francji. Taki sojusz duńsko-francuski spowodowałby wycofanie się Rosji z antynapoleońskiej koalicji.

W świecie rzeczywistym Anglia dwukrotnie, w latach 1801 i 1806, posyłała do Danii swoją flotę, by spacyfikować zwolenników profrancuskiej koncepcji politycznych. W naszym świecie alternatywnym owdowiały właśnie król Anglii Henryk IX zamierza dokonać tego samego poprzez ślub swojego jedyńskiego syna - Jakuba Karola Henryka Dawida Roberta Stuarta, księcia Walii i księcia Gloucester - z księżniczką Stefanią Julianną, wnuczką starego i podstępного króla Christiana VII, w którego imieniu władzę regencyjną sprawuje obecnie najstarszy syn, książę Frederick. To małżeństwo, łączące jedne z nielicznych europejskich protestanckich domów panujących, powinno trwale powiązać Danię z interesami koalicji.

I tu zaczyna się nasza historia...

1. MAGIA PRZYWIEDZONA...

WILTSHIRE, KWIECIEŃ 1805

Ten dom od zawsze nazywał się Mooncoign, chociaż był własnością wielu rodzin, zanim wreszcie król Karol III podarował go pierwszej markizie Roxbury. Stało się to ponad wiek temu. Teraz jednak Roxbury'owie władali Mooncoign dłużej niż sięgają pamięć współczesnych, mogło się więc zdawać, że było tak od początku świata. Ale nawet nikt z dawnych pokoleń nie wiedział, skąd wzięła się nazwa domu* - a jeżeli nawet był ktoś taki, w tamtym klimacie niepewności politycznej i religijnej pewnie wolął zostawić tę wiedzę dla siebie. O ile bowiem wesół monarcha Karol II zwykł mawiać, że angielskie czarownice zdrowiej jest zostawić w spokoju, o tyle poglądy jego syna - byłego księcia Monmouth - były w tym względzie znacznie bardziej protestanckie.

Teraz jednak zarówno panowanie wesółego ojca, jak ambitnego syna dawno należało już do przeszłości. Był jeden z pierwszych dni kwietnia - poranek bez żadnego specjalnego znaczenia w kalendarzach alchemików i filozofów, nie różniący się od wielu innych poranków na wzgórzach Wiltshire w oczach wszystkich mieszkańców wielkiego domu... oprócz jednego.

Pokój był umeblowany bogato i konserwatywnie. Ciężkie orzechowe komody mogły pamiętać czasy, kiedy to Karol Stuart ukrywał się w tym domu przed przesładowcami w czasach wojny domowej, jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Debową boazeria pokryta woskiem i terpentyną błyszczała złośliwie nawet w słabym blasku porannego słońca, a ściany nad nią pokrywała sztukateria przypominająca białą delikatną koronkę, odcinająca się wyraźnie na ciemniejszym kremowym tle.

W pokoju było gorąco jak w piecu. Ogrzewały go nie tylko płonące jasnym ogniem węgle w kominku, ale także, zgodnie z zaleceniami lekarza, dwa wysokie brazowe kociolki. Teraz medyk przyglądał się z wyraźną dezaprobatą luksusowemu otoczeniu, chociaż to nie sama komnata wzbudzała w nim ten nastrój. Niechętnie odwrócił się do oczekującej służącej i powiedział to, co niestety powiedzieć musiał.

-Powinnas była wezwać mnie wcześniej. Stan pani jest bardzo poważny, właściwie... - zamilkł próbując dobrać najodpowiedniejsze słowa, by przekazać najgorsze.

-Proszę mówić głośniej, doktorze Falconer, słabo pana słyszę. - Głos był zachrypnięty, a wypowiedź zakończył suchy kaszel i ciężkie dyszenie, ale ton brzmiał rozkazująco i silnie.

Doktor Falconer odwrócił się od zaniepokojonej służącej i powrócił do loża dostojnej pacjentki. Wypielegnowana ręka odsunął zasłone przy łóżku i spojrzał na kobietę spoczywającą w pościeli. Ona popatrzyła mu prosto w oczy bystrym i

zadziwiająco przytomnym wzrokiem.

Sara markiza Roxbury nigdy nie była pięknoscia. Oczy - najładniejsza część twarzy - miała szare, włosy proste, rzadkie i w dodatku mysiego koloru, a nie złote czy kruczoczarne, jakie opisywano w romansach. Była wysoka i chuda, i pełna arogancji, jak przystało na nieodrodną córkę rodu Conynghamów. Błada cera w połączeniu z dumnymi rysami i niezwykłą witalnością nadawała jej niegdyś swoistą aureę dostojności, ale teraz należało to do przeszłości. Markiza Roxbury była już tylko umierająca kobieta.

-Czy jest aż tak źle? - spytała szeptem. - Proszę to powiedzieć raczej mnie. Knoyle cudownie układa fryzurę, ale przy poważniejszych kłopotach potrafi tylko płakać.

Matka Sary - druga markiza Roxbury i nieslubna córka Jakuba II, dziadka obecnego króla - zmarła dwa lata temu przy porodzie wraz z dzieckiem, które gdyby przeżyło, byłoby teraz młodszym bratem Sary i dziedzicem marchii. Matka i syn spoczywali w małym grobowcu rodzinnym niedaleko Mooncoign, a z chwila ich śmierci Sara Maria Eloisa Arkadia Dowsabelle Conyngham stała się pełnoprawną markizą Roxbury.

Każdego roku, od momentu gdy przedstawiono ją na dworze w wieku lat szesnastu, młoda markiza Roxbury zaczynała sezon wiosenny wielkim przyjęciem wydawanym w Mooncoign. Bal zawsze był wystawny i pompatyczny; tego roku - tysiąc osiemset piętego - dziesięć dni temu załedwie, zainscenizowano nawet na stawie przy domu bitwę na Nilu. Tak się złożyło, że statek markizy poszedł na dno, chociaż miał reprezentować okręt flagowy admirała Nelsona. Uratował ją natychmiast wicehrabia Saint-Lazarre; cała załoga niechętnie zdezerterowała, by doprowadzić do porządku mokra garderoba, ale markiza pozostała na placu boju, aby bronić honoru angielskiego oręza. Ignorowała coraz silniejszy kaszel przez cały następny tydzień, bo aż tyle trwało przyjęcie. Dopiero teraz dowiedziała się, ile będzie ją kosztować ta mokra przygoda.

Za oknem w górza kapaly się w słabych jeszcze i mdłych promieniach kwietniowego słońca. Doktor Falconer przyjrzał się w milczeniu twarzy markizy, nim wreszcie przemówił.

-Choroba postępuje w gwałtownym tempie, pani. Nie przeżyjesz miesiąca...

Usta lady Roxbury zacisnęły się, a ogień w oczach zgasł. A przecież spodziewała się tego. Tylko głupiec miałby jeszcze nadzieję plując krwią.

Rozległ się zduszony szloch Knoyle.

-Przestan jeczec! - skarciła ją ostro markiza. - Jeszcze ktoś pomyśli, że nie dostaniesz stosownej odprawy. Przecież to było tylko przeziębienie... - zwróciła się do lekarza. Nienawidziła tej błagalnej nuty w swoim głosie.

-Przeniosło się na płuca - wyjaśnił miękko medyk. Jednak pacjentka słyszała w jego głosie wyraźny i bezlitosny wyrok śmierci.

Falconer nie był pierwszym lepszym wiejskim konowalem, ale osobistym lekarzem króla Henryka. Jego wiedzy nikt nie kwestionował. Nie dla każdego chorego opuszczyłby miasto, tak jak to uczynił dla niej.

-Rozumiem... - powiedziała Sara.

Każdy oddech przychodził jej z trudem. Z trudem też starała się zdusić suchy, spazmatyczny kaszel.

-Dziękuję za przybycie, doktorze - zdołała wreszcie powiedzieć. Wyciągnęła ku niemu smukłą, ozdobioną klejnotami dłoń, nad którą Falconer pochylał się z szacunkiem. - Proszę uważać się za mojego gościa tak długo, jak uzna pan to za stosowne. Proszę też zapewnić moich pozostałych gości, że wkrótce do nich dołączy.

Falconer zawahał się przez moment, zanim odpowiedział.

-Oczywiście, pani. Przekaze im twoje pozdrowienia. - Zawahał się wyraźnie chwile, jakby chciał coś dodać, rozmyślił się jednak i skierował ku drzwiom.

Lady Roxbury zwróciła się ku pokojowce.

-Knoyle - zdołała tylko wykrztusić, bo dusząca obciążająca jej piersi przesunęła się ku krtani.

Sięgnęła na ślepo ręką i chwyciła ciepłą, szeroką dłoń pokojowki. Zacisnęła na niej palce z zadziwiająco mocą.

-Nikommu... nie mów nikomu! - jęknęła.

Zdradziecka siła tkwiąca w jej piersi obudziła się do życia i spazm za spazmem zaczęła wstrząsać wychudłym ciałem. Wreszcie markiza legła bezwładnie, drżąc pod przykryciem poplamionym czerwienią jej krwi.

To niesprawiedliwe, myślała kilka godzin później. Jedyne głośniejsze dźwięki w jej obecnym życiu to trzaskanie płonących węgli i miarowe tykanie wysokiego zegara na ścianie. Nie miała wątpliwości, że w Mooncoign wszystko funkcjonuje tak, jakby sama wydawała odpowiednie polecenia, ale pojawiła się nieproszona myśl, że wkrótce już nie będzie miała dość siły, by się tym interesować.

A wtedy Mooncoign i marchia, które miały przejść na jej męskich lub żeńskich potomków, powrócą do Korony. W przyszłości ktoś innej krwi będzie wędrował tymi wiekowymi korytarzami.

To niesprawiedliwe!

Zasłony u wezglowia były zaciągnięte, ale z rozkazu lady Roxbury pozostawiono odsłoniętą całą resztę. Mogła więc przyglądać się portretowi wiszącemu nad kominkiem. W pozłacanych lśniących ramach widniała twarz jej babki Panthei, pierwszej markizy; patrzyła złośliwie na wnuczkę, niewzruszona, dostojna i władczą w jedwabiach i koronkach. Ozdobione klejnotami dłonie bawiły się kluczem, sztyletem i różą - drobna aluzja do broni, jaka chętnie posługiwali się Roxbury'owie i do ich motto: "Otworzę każde drzwi"... Tak jakby istniały jakieś drzwi, przez które Sara mogłaby uciec od słabości ciała i świadomości niewypełnionych obowiązków.

-Pani, gość do ciebie... - oznajmiła Knoyle drżącym ze strachu głosem. Złamała właśnie wyraźny rozkaz markizy, by nie wpuszczać nikogo.

Lady Roxbury z wysiłkiem spróbowała usiąść i oprzeć się o wezglowie. Na jej rozgorączkowanej twarzy pojawiły się rumieńce gniewu.

-Kto... - zaczęła, ale przeszkodził jej gwałtowny kaszel. Przycisnęła koronki mankietu do ust. Po chwili poczuła silne, chłodne dłonie, podtrzymujące ją i pomagające usiąść. Z ich dotknięciem ból w piersiach znacznie zelżał. - Kto śmie... - dokoczyła wreszcie, kiedy minal bolesny paroksyzm.

-Ja - odpowiedział spokojny głos. - Wiesz dobrze, pani, że niewiele jest rzeczy, na które bym się nie odważyła.

Oczy lady Roxbury rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy rozpoznała wreszcie gościa.

Dame Alecto Kennet, w młodości wyjątkowo urodziwa, nadal była kobietą o niezwyklej dostojności i charyzmie. Była już w swym życiu aktorką, tajną agentką, kochanką dwóch królów i jeden Bóg wie, czym jeszcze. W jesieni życia wybrała drugoplanową rolę powiernicy Dowager, księżny Wessex, która sama raczej unikała rozgłosu. A jednak nawet teraz nikt nie wazyłby się lekceważyć dame Alecto.

-Sądziłam, że jesteś w Bath z księżną Wessex - zdołała wykrztusić lady Roxbury. Siedziała oparta bezwładnie o koronkową poduszkę. Choć wstrząsały nią dreszcze, starała się za wszelką cenę nie zdradzić zakłopotania swoim obecnym stanem i niespodziewana wizyta.

-Byłabym tam nadal, gdyby nie to, że ty potrzebujesz mnie bardziej - odparła dame Alecto.

Zdjęła ozdobiony piórami szkarłatny kapelusz i położyła go na ławie w nogach łóżka, obok pogiętego pudła na kapelusze, przewiązanego sznurem. Kolor jej włosów - ognistoczerwony w młodości - z wiekiem zbladł, ale wciąż miała starannie ułożoną fryzurę pod ozdobioną perłkami siateczką. Zdejmując welnianą podróżną pelerynę, uważnie przyglądała się markizie oczami, które z wiekiem z błękitnych stały się jasnoszare.

Sara zdołała się słabo uśmiechnąć.

-Niedługo już nie będę niczego potrzebować - odparła z grymasem niezadowolenia. - Tak powiedział lekarz. Ciekawa jestem, komu przypadnie Mooncoign po mojej śmierci.

-Lepiej się zastanów, kto ci wyreczy w tym, co miałas zrobić - sapnęła nerwowo dame Alecto. - Kto zajmie twoje miejsce, lady Roxbury?

Sara nie mogła ścierpieć, gdy ktoś zwracał się do niej tak bezceremonialnie. Nie zamierzała znosić tego i teraz. Z wysiłkiem zmusiła się do przybrania pogardliwego i obojętnego tonu.

-Uważam, że Wessex znajdzie kogoś odpowiedniego. Nie przyszłaś tu chyba, żeby mi donieść, że moja śmierć zwalnia wnuka twojej pani z danego słowa?

Lady Roxbury skojarzyła sobie, że Bath leży o dzień drogi stąd, a ona dowiedziała się od doktora Falconera o czekającym ją losie dopiero kilka godzin temu. Nawet gdyby lekarz zdradził komus tajemnice, księżna Dowager nie mogłaby w tak krótkim czasie przysłać tu swojej powiernicy. Sara wyprostowała się i sięgnęła do ozdobnego sznura dzwonka, by przywołać Knoyle.

-Twoje zareczyny są mało ważne w porównaniu z Wielką Pracą, którą zostawisz nie wykonaną. Może zapomniasz, komu naprawdę zawdzięczasz tę ziemię, lady Roxbury? - Spojrzenie dame Alecto było zimne jak lód, jednak Sara nie odwróciła wzroku.

-Zawdzięczam jej królowi. Jestem markiza Roxbury - odparła.

Wypuściła z dłoni sznur od dzwonka. Zdecydowała, że cokolwiek miało się stać, zmierzy się z tym sama, nie narażając się na plotki służby.

-Nie składałaś żadnej przysięgi? - zapytała ostro dame Alecto.

Stała u stopa loży, jakby przyzywała lady Roxbury do siebie. Sara miała wielką ochotę zakończyć to meczone przesłuchanie, ale przed jej oczyma pojawiły się nie wiadomo skąd obrazy z przeszłości. Letnie przesilenie cztery lata temu. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat. Stary zarządca Mooncoign wezwał ją z miasta i mimo jej protestów zaprowadził do kamiennego kregu na granicy jej posiadłości. Pokazał ją Najstarszemu Ludowi, a ona złożyła przysięgę, że Roxbury'owie i Mooncoign będą zawsze robili to, co właściwe dla Ludu i dla ich ziemi.

Otrząsnęła się z tej wizji i zobaczyła wpatrzony w siebie oczy dame Alecto. Przysięgała w blasku księżyca, a kto będzie dbał o tę ziemię i jej mieszkańców, gdy jej zabraknie? Po raz pierwszy lady Roxbury zaczęła myśleć, że jej śmierć to strata nie tylko dla niej samej. Domysliła się, skąd dame Alecto wiedziała o jej stanie i dlaczego tak szybko się tu zjawiała. Najstarszy Lud miał swoje sposoby przekazywania informacji - ale nawet oni nie potrafili odmienić przeznaczonego komus losu.

-Jeśli powiesz mi, w jaki sposób mogę wypełnić swoją przysięgę - szepnęła - będę ci bardzo wdzięczna.

-Musisz przyzwać tę, która zajmie twoje miejsce - odparła dame Alecto.

Podeszła do loży, odsunęła ciężką pierzynę i podniosła markizę Roxbury z jej posłania. Sara zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymujące ją silne ramiona. Pokój zawirował, a młoda markiza zadrżała, jakby wystawiono ją na podmuchy arktycznego wiatru. Na krawędzi jej pola widzenia świat zafalował i ściemniał jak brzegi obrazu ciśnietego w płomienie. Ledwie do niej docierało, że dame Alecto na wpol ją ciągnie, na wpol niesie do krzesła stojącego przed kominkiem, sadza ją tam i owija ciężkim pledem, który pachniał cedrem i lawendą.

-Mooncoign nie należy do mnie - zaprotestowała słabo.

Dame Alecto nalala do kubka mikstury, którą przepisał lekarz. Chora uniosła kubek do ust i poczuła silną won brandy i laudanum. Wypiła kilka łyków i poczuła, że ból w jej piersiach zelzał nieco.

-Mimo to możesz wyznaczyć swoją następczynię, jeśli tylko się odważysz. Spójrz w ogień - rozkazała dame Alecto - i powiedz mi, co widzisz.

Cygańskie brednie, pomyślała pogardliwie lady Roxbury, ale pod wpływem zniewalającej mocy głosu starszej kobiety nie odważyła się zaprotestować głośno. Spojrzała posłusznie w wijące się w kominku ogniste węże. Było jej coraz cieplej... goraco... płonęła, stała się ogniem...

-Zywiele ognia, rzucam to zaklecie...

W pokoju pojawiły się inne istoty, otaczały je kregiem i śpiewały, a ich głosy zlewały się w jedno z cichą muzyką płomieni...

-Powiedz, co widzisz! - powtórzyła dame Alecto. Ogień migotał przed oczyma lady Roxbury. W jej trawionym gorączką umyśle płomienie zaczęły zmieniać się w ogniste fantomy...

Dwukolowy powóz podskakiwał i trząsał się na nierównym bruku paryskiej ulicy. Wokół jadącego powoli pojazdu klebił się złorzeczacy tłum. Wszyscy oni przyszli tu tylko po to, by nareszcie zobaczyć upadek markizy de Rochberre. Sara patrzyła na nich zimnym wzrokiem, jakby wciąż miała na sobie jedwab i klejnoty zamiast podartej perkalowej koszuli, jakby jej ułożone starannie włosy, teraz brudne i potargane, wciąż przyozdabiałały perły...

-Dla tej nic nie możemy zrobić. Jest wyniosła bardziej nawet niż ty... Spójrz jeszcze raz - rozkazała dame Alecto.

Tanczacy Bialy Ptak - kobieta-wojownik Kriksow - patrzyła na wioske bladych twarzy, z ktorej niegdys, gdy byla malym dzieckiem, ukradl ja jej ojciec. Wokol lezal tuzin jej braci wojownikow - ukrytych i czekajacych na sygnal do ataku...

-To jest duch, ktory by sie nam przydal... ale nie mozemy jej dosiegnac. Zreszta tez chyba nie moglaby nam pomoc. Jeszcze raz.

Poklad statku. Pokryte sola relingi, szorstkie w dotyku. Za kilka chwil statek niosacy Sare Cunningham z Marylandu zawinie do portu Bristol. Nikt tam na nianie czekal, znikad nie mogla oczekiwac pomocy...

-Ta - powiedziala zdecydowanym glosem dame Alecto.

Ognisty wizerunek rozplynal sie w powietrzu. W glowie oszolomionej lady Roxbury tanczyly obrazy jeszcze wielu, wielu innych Sar, zamieszkujacych wszystkie zakatki alternatywnych swiatow.

-Co ty ze mna zrobilas? - wykrztusila wreszcie. - Rzucilas na mnie urok! Obrazy w ogniu... Nie mam czasu na takie kuglarskie sztuczki.

Zycie tej drugiej Sary wciaz tkwilo w jej umysle jak odlegly cien. Niewyobrazalne dzieciństwo w niepodleglej Ameryce, ktora nie byla Protektoratem Korony... i umysl tej kobiety - tak podobny, ale jednak tak rozny.

-To taka sama kuglarska sztuczka jak twoja przysiega pomiedzy glazami - stwierdzila niewzruszona dame Alecto. - Musisz przyzwac tu te druga Sare, lady Roxbury. Ona plynie po smierc, wiec musimy szybko interweniowac. Mozemy ja sciagnac bez lamania Wielkiej Reguly. Ty, dziecko, przyjmiesz jej smierc, a ona...

-... przyjmie moje zycie? Ona? Ta purytanska koscielna mysz? - zaprotestowala obrazona lady Roxbury.

Z trudem lowila powietrze walczac z dusznoscia gniotaca pluca, ale musiala ulec nastepnemu atakowi spazmatycznego kaszlu. Zdawalo jej sie, ze czuje uchodzace z niej zycie; wraz z zyciem oddalaly sie wszystkie te rzeczy, ktore mogla zrobic, powinna byla zrobic, rzeczy, ktore musialy byc zrobione...

-To dziecko? Ona nigdy nie zdziala tyle, ile moglam zrobic ja! - dodala szeptem.

-Zrobi wszystko, co mialas zrobic... i jeszcze wiecej. Ona ocali Anglie... jesli tylko bedziesz miala dosc odwagi, by ja tu sprowadzic - odparla dame Alecto.

Lady Roxbury oparla sie bezsilnie o rzezbione oparcie krzesla. Miala zamkniete oczy, ale widziala wirujacy wokol niej pokoj i spoczywajace na sobie badawcze spojrzenie prababki Panthei. Czula jak podstepna slabosc wkrada sie do jej ciala, widziala wieczny ocean gwiazd... wieczny spokoj, wieczny odpoczynek... ale nie teraz, jeszcze nie teraz...

Uniosla dumnie glowe.

-Mozesz mowic co chcesz o moim zyciu, ale nigdy nie powiesz, ze brakowalo mi odwagi!

Szalenstwem bylo sluchac tej szalonej kobiety, ale los nie pozostawil jej wyboru. Byla z rodu Roxburych - nikt nie zarzuci jej zlamania przysiegi.

Dame Alecto wygladala na zadowolona.

-Musisz wyruszyć natychmiast i sama. Wez najlepszy powoz i gnaj jak wiatr do miejsca, gdzie skladalas przysiege. Musisz tam dotrzec przed zachodem slonca. Odnajdziesz to miejsce?

Lady Roxbury doskonale powozila i potrafilo pedzic ryzykujac zycie. Jej ogiery pelnej krwi byly chyba najlepszymi konmi w Europie, ale jednak taki wyscig ze sloncem, jaki proponowala dame Alecto... Sara zawahala sie. Od kamiennego kregu dzielilo ja wiele mil. Miedzy wzgorzami prowadzila waska droga, a ranek dawno juz minal...

-Moze zdolalabym to zrobic... gdybym miala dosc sily, by utrzymac lejce. - Przyznanie sie do wlasnej slabosci bylo niezwykle gorzkie. - Jesli tego ode mnie potrzebujesz, to obawiam sie, ze przybylas zbyt pozno.

-A posluchalabys mnie, gdybym przybyla wczesniej? - spytala dame Alecto.

Lady Roxbury nie odpowiedziala, ale w duchu musiala jej przyznac racje. Az do dzisiejszej porannej wizyty doktora Falconera wierzyła w glebi serca, ze moze jakies niezwykle lekarstwo pozwoli jej uniknac smierci. Patrzyła bez slowa, jak dame Alecto otwiera pudlo na kapelusze, ktore przyniosla ze soba. Ze srodka wydobyla mala srebrna buteleczke,

migocząca w promieniach słońca.

-Ten lek przywróci ci siły na czas niezbędny dla wykonania tej misji. Ale ma to swoją cenę, jak każde naruszenie reguł. Napój wyczerpie całą energię życiową, jaka jeszcze ci pozostała, bo skumuluje ją w tych krótkich chwilach. Kiedy jego działanie się skończy, nie pozostanie już nic. Rozumiesz?

-Daj mi to. - Głos lady Roxbury brzmiał zdecydowanie. Zaciśnięła dłoń na buteleczce i wydala jej się, że bijąca ze środka moc rozgrzewa jej rękę. Zamknęła oczy, walcząc z podstępna słabością.

-Zostawie cię teraz. Mam nadzieję, że wasza dostojność spędzi miłe popołudnie. - Głos damy Alecto był pozbawiony emocji.

Sara nie odpowiedziała. Wciąż miała zamknięte oczy, ale słyszała wyraźnie szelest materiału, gdy dama Alecto wkładała pelerynę i kapelusz. Potem rozległ się dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, gdy gość opuszczał pokój. Cokolwiek miało nastąpić potem, rola damy Alecto zakończyła się.

Mój los jest jej zupełnie obojętny... to nieoczekiwane odkrycie na moment zmroziło Sarę. Markiza Roxbury nie zwykła dotąd zastanawiać się nad uczuciami innych ludzi; nie czyniła tego nigdy w ciągu dwudziestu pięciu lat swojego życia. Ale już wkrótce nie będzie markizą Roxbury. Pora pożegnać się z tytułem, który nawet nie przejdzie na jej dziecko ani nie wróci do Korony. Przejmie go obca kobieta, ściągnięta ze Świata-Ktory-Mogłby-Być, jak to określała dama Alecto.

A ja byłem na tyle głupia, że jej uwierzyłam. Uwierzyłam - a może uchwyciłam się po prostu szansy ucieczki...

Lady Roxbury ze stojącej na nocnym stoliku karafki brandy wylała kilka łyków ciemnobursztynowego płynu do szklanki. Zanim zdążyła się rozmyślić, odkorkowała tajemniczą buteleczkę i dołala do trunku jej zawartość. Płyn był ciemny i gęsty jak syrop; powoli mieszał się z brandy, aż cały napój przybrał ciemnoczerwona barwę. Markiza zawahała się przez moment, uniosła szklankę do ust i opróżniła ją kilkoma szybkimi łykami.

Zupełnie jakby wypila płynny ogień, który dotarł wprost do serca i przepłynął przez żyły, przeganiając dreszcze i słabość choroby. Westchnęła mimo woli, zdumiona; wzięła głęboki oddech po raz pierwszy od dwóch tygodni. Jej płuca były czyste.

"Napój wyczerpie całą energię życiową, jaka jeszcze ci pozostała, bo skumuluje ją w tych krótkich chwilach. Kiedy jego działanie się skończy, nie pozostanie już nic".

Lady Roxbury zerwała się na równe nogi, podświadomie oczekując zawrotu głowy. Nic takiego nie nastąpiło. A więc pod tym względem dama Alecto miała rację. Ciekawe, czy reszta też się sprawdzi. Spojrzała przez okno, by ocenić wysokość słońca.

Uśmiechnęła się przelotnie. Aby sprowadzić do Mooncoign tę drugą Sarę, musi dotrzeć do Świętych Głazów przed zachodem słońca. A więc niech tak będzie, jeśli takie jest jej przeznaczenie. Niech dama Alecto nacieszy się jej następstwami.

-Knogle! - krzyknęła szarpiąc z wigorem za sznur od dzwonka. Pokojowka pojawiła się natychmiast... i wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

-Chcę wyjść - rzuciła markiza. - Przynies stój podróżny, a Risolm niech zaprzęga najszybsze konie do powozu. Co się tak gapiasz? - dodała widząc, że Knogle wciąż stoi bez ruchu i patrzy na nią wstrząsnięta.

Pokojowka ocknęła się wreszcie i odbiegła sploszona. Lady Roxbury zrzuciła pled, odwróciła się w stronę kominka i wydala jej się, że w płomieniach dostrzega twarz tej drugiej Sary - blada, młoda i świeża...

-Prawdziwie niewinna paniątka - zachichotała lady Roxbury ruszając ku wyjściu.

2. POMIĘDZY SŁONIA WODA A MORZEM PIASKU

FREGATA "LADY BRIGHT",

KANAL BRISTOLSKI, KWIECIEŃ 1805

Sara Cunningham, urodzona w Baltimore, w Maryland, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, stała przy relingu na pokładzie statku "Lady Bright" i patrzyła z rozpaczą na morskie fale. Poranna bryza wiejąca od oceanu kasala przenikliwym chłodem 10 mało nie zerwała jej z głowy skromnego, ciemnoszarego kapelusza o wąskim rondzie, który przytrzymywały tylko tasiemki zawiązane pod brodą. Jutro albo pojutrze, w zależności od szczęśliwych wiatrów i pływów, statek zawinie do portu

Bristol. Pani Kennet mowila jej, ze Bristol to wielkie miasto, ustepujace tylko Londynowi, i ze z tego portu Sara na pewno znajdzie polaczenie do metropolii.

Jakie przyjecie czekalo ja w Londynie? Sara nie miala pojecia. Nie wiedziala, czy zdola uzyskac posluchanie u diuka Wessex. Dlaczego tak wysoko postawiony czlowiek mialby wysluchiwac pierwszej lepszej Amerykanki i jej niewiarygodnej historii, w dodatku nie popartej prawie zadnymi dowodami? Gdyby tylko pani Kennet...

Lzy wyschly na jej policzku, ledwie wyplynely z oczu. Miela nerwowo ozdobna batystowa chusteczke, az zamienila jaw pognieciona kulke. Rozejrzala sie wokol majac nadzieje, ze dostrzeze cos, co pozwoli jej uciec od niewesolych mysli.

Z tylu po lewej stronie zostala zielona Irlandia, z przodu zas, niewyraźny w promieniach porannego slonca, majacy szary cien ladu. Byl to, zgodnie z zapewnieniami kapitana Challonera, walijski przyladek St. Davids - pierwszy zwiastun domu.

Coz, byl on moze domem dla kapitana Challonera, ale na pewno nie dla Sary Cunningham. W ciagu ostatnich szesciu miesiecy jej zycie tyle razy zmienilo sie gwałtownie, ze teraz potrafilaby zachowac spokoj w obliczu kazdej tragedii. Jednak ostatnia strata byla bardziej nawet dotkliwa niz smierc rodzicow kilka miesiecy wczesniej. Teraz Sara Cunningham byla zupełnie sama na bezlitosnym swiecie.

W pewnym ponurym sensie smierc rodzicow byla blogoslawienstwem, bo uodpornila ja na nastepne ciosy, jakie mogly ja spotkac od losu. Sprzedaz domu i mebli ledwie wystarczyla na zaplacenie rachunkow za leczenie i pogrzeb. Sara musiala zamieszkać w domu jednego z dalekich kuzynow matki. Wkrotce zdala sobie sprawe, ze jest w tym domu tylko darmowa sila robocza. Ale jak mogla miec nadzieje na lepsza przyszlosc?

Sara Cunningham urodzila sie dwadziescia piec lat temu, niemal rownoczesnie z Nowa Republika, w domu rodziny, ktora z pewnością nie miala powodow, by zyczyć sobie na swoich ziemiach panowania obcych krolow. Wyrosła rozdarta pomiedzy dwoma swiatami: tetniacym zyciem, patrzacym w przyszlosc republikanskim Baltimore i drwiacymi sobie z uplywu czasu, cichymi i niezmiernymi puszcami Maryland. Tam nauczyla sie polowac i lowic ryby, strzelac i tropic rownie dobrze jak kazdy z jej indyjskich towarzyszy dzieciństwa. Wlasciwie zawsze wiedziala, ze pewnego dnia ta wolnosc zostanie jej odebrana, ale kiedy urosła, zaczela tez rozumiec wiele innych rzeczy, ktorych nie dostrzegaly oczy dziecka - dwie wojny zrujnowaly zdrowie ojca i teraz to ona musiala pracowac, by zapewnic przezycie rodzinie.

Tak wiec w czasie, gdy inne dziewczyny ukladaly nowe fryzury, przymierzaly dlugie suknie i w nowy sposob zaczynaly patrzec na chlopiecy towarzyszy dzieciennych zabaw, Sara Cunningham wciaz nosila ubrania z kiepsko wyprawionej skory i strzelbe ojca zamiast wachlarza. Futra i mieso, jakie przynosila do domu, wystarczaly na zaspokojenie podstawowych potrzeb, a jesli nawet ktokolwiek wiedzial, ze to nie Alasdair Cunningham, tylko jego corka zdobywa futra i skory, ktore potem sprzedawal w miescie, zachowywal te wiedze dla siebie.

Coz, dla wszystkich byloby lepiej, gdyby wyszła za maz, ale na taki usmiech losu raczej nie mogla liczyc. Nie uwazano jej za ladna. Miala zbyt blada cere i piekne szare oczy, stanowiace ozdobe twarzy, ale uczniowie matki uwazali, ze najladniejsze sa oczy orzechowobrazowe. Wlosy Sary byly proste, rzadkie i mialy mysy kolor, zamiast zloty lub kruczoczarny, jak u romantycznych bohaterok. Zapewne posag zrekompensowalby te braki w urodzie, ale posagu tez nie miala. Na tych dziewiczych ziemiach moze nawet wystarczylby urok i umiejetnosc nawiazywania kontaktu z ludzmi... coz, kiedy Sara byla niesmiala. Bardziej przywykla do strzelby i oprawiania zwierzat niz do tanca i salonowych manier. Trudno wiec bylo liczyc na taka oferte malzenstwa, ktora moglaby zaakceptowac i ona, i ojciec.

I tak mijaly lata. Szesnascie, dwadziescia jeden, dwadziescia piec...

Potem nadeszlo nieszczescie: zaraza i smierc. A teraz, kiedy myslala, ze jej los odmienil sie na lepsze - znowu czyha smierc.

Wiatr smagnal ja gwałtownym, lodowatym podmuchem. Nagle wrocila do rzeczywistosci. Bol przeszlosci i groza terazniejszosci zlaly sie w jedno dojmujace uczucie. Sara schowala bezradnie twarz w pomietej chusteczce.

-Panno Cunningham? - Glos dochodzacy zza plecow byl cichy, jakby niechetnie zaklocal jej prywatnosc. - Kapitan przekazuje wyrazy wspolczucia i mowi, ze jest gotow zmowic modlitwe pozegnalna.

-Niech Pan ma w opiece swoja sluge Alecto Kennet z Londynu. Niech spi snem wiecznym oczekujac Dnia Wskreszenia... - gleboki glos kapitana zaintonowal slowa modlitwy, niosace spokoj i ukojenie.

Sara Cunningham stala na czele niewielkiej grupki zalobnikow zebranych wokol podluznego tobolka owiniętego plotnem zaglowym, ktory mial wkrotce wyruszyć w swa ostatnia podroz. Starala sie nie dopuszczac do siebie przerazenia na mysl o przyszlosci.

Krotka modlitwa skonczyla sie i obciazony lancuchem pakunek znikl za kilwaterem "Lady Bright".

To z pomoca pani Kennet Sara dotarla tak daleko, by stracic ja na skutek goraczki na kilka dni zaledwie przed osiagnieciem celu podrozy. To naprawde ciezki cios. Teraz byla znow sama, tysiace mil od jedynego domu, jaki kiedykolwiek miala.

-Panno Cunningham? Dobrze sie pani czuje? - glos kapitana Challonera przywolal ja do rzeczywistosci.

Usmiechnela sie ze smutkiem, majac nadzieje, ze jej twarz nie zdradza niczego. Wsrod Kriksow nie uchodzilo okazywac uczuc i zmuszac w ten sposob kazdego, by je z toba dzielil. Radosc i smutek sa przeciez prywatna sprawa. Ale Kriksowie i wolnosc zostaly daleko w tyle. Sara musiala patrzec w przyszosc.

-Strata pani towarzyszki gleboko nas zasmucila - powiedzial ze wspolczuciem kapitan. - Pani Kennet byla bardzo mila osoba. To okropne, ze musiala umrzec.

-Bardzo pan uprzejmy, kapitanie - odparla Sara zastanawiajac sie, do czego on zmierza.

-Nie chcialbym przypomnac pani o tej stracie, ale... prosze mi wybaczyc, panno Cunningham... kto zadba o pani bezpieczenstwo, gdy doplyniemy do portu?

-Bezpieczenstwo? - powtorzyla bezwiednie Sara. Uswiadomila sobie nagle, ze przeciez plynie do Anglii, do Starego Swiata, gdzie nawet taka ograniczona swoboda, jaka cieszyła sie podczas ostatnich miesiecy w Baltimore, bylaby nie do pomyslenia. W Anglii dobrze urodzona mloda dziewczyna nigdzie nie mogla pojsc sama, bez towarzystwa sluzacej, lokaja albo czlonka rodziny. Pilnie strzezono kazdego jej kroku az do momentu, gdy wyszla za maz. Potem, juz jako zona, mogla sie cieszyć odrobine wieksza wolnoscia.

-Podrozowala pani z pania Kennet, prawda? Kto teraz bedzie pani towarzyszył? - nalegal kapitan, a w jego glosie wyczuwala prawdziwa troske.

-Ktos... ktos sie ze mna spotka. Przepraszam - odpowiedziala szybko Sara. Zanim kapitan zdolal ja powstrzymac, owinela sie plaszczem i umknela w zacisze swojej kabiny.

W malej kajucie, ktora dotad dzielila ze zmarla towarzyszka, skarcila sie w duchu za swoja glupote. Kapitan Challoner szczerze sie o nia troszczyl, po co wiec zostawila go i uciekla, jakby cos jej zagrazalo?

Co prawda grozilo jej, ze kapitan zechce ja otoczyc przyzwoitkami. A gdyby do tego doszlo, predzej czy pozniej musialaby mu opowiedziec swoja historie. Nie miala ochoty przyznawac sie do idiotycznej naiwnosci, jaka wykazala ruszajac w te podroz.

Kiedy sie nieco uspokoila, usiadla na twardej, waskiej koi i przyciagnela podrozny kuferek. Uniosla wieko i wyjela sztywne kartki, by przeczytac je ponownie. Z papieru uniosl sie nikly, kojarzacy sie ze sloncem zapach pomaranczy. Sara cofnela sie w myslach o kilka tygodni, przypominajac sobie, kiedy po raz pierwszy poczula ten zapach.

Slonce grzalo plecy Sary przez cienki muslin sukni, gdy ostroznie przeciskala sie zatloczonymi ulicami Baltimore, starajac sie nikogo nie potracic. W wielkim wiklinowym koszu niosla tylko dluga liste zakupow nabazgrana niewyraźnym charakterem pisma kuzyna Mashama. Nudne to bylo zajecie, ale Sara byla zadowolona z tej odmiany w codziennej monotonii domowej harowki, ktora stala sie jej udzialem, odkad - co czesto jej wypominano - zostala przygarnieta dzieki dobremu sercu kuzyna Mashama. Szybko sie przekonala, ze kuzyn nie przywiazuje wagi do pokrewienstwa i traktuje ja po prostu jak jeszcze jedna sluzaca, ktorej szcieszliwie nie musi placic. Sara nie miala najmniejszego talentu do szycia i cerowania, musiala wiec spedzac nie konczace sie dni przy praniu i w kuchni. Niewielkie miala szanse na jakakolwiek odmiane - mogla co najwyzej wynajac sie jako prawdziwa sluzaca. Malzenstwo bylo jeszcze mniej prawdopodobne niz przedtem; po sprzedazy domu rodzicow jej jedynym dobytkiem byla teraz mala walizka z ubraniami i kilka dolarow, ktore zdolala zaoszczedzic. No i pierscien.

Pierscien nalezal do ojca; z pewnoscia, kiedy trafil do niego, nie byl juz nowy. Zatrzymujac sie przed drzwiami zamknietego jeszcze sklepu Sara siegnela pod gorset i wyciagnela zawieszony na blekitnej wstazce swoj najwiekszy skarb. Byl ze szczerego zlota, ozdobiony kwadratowym, gladkim czarnym kamieniem. I zawieral tajemnice. Wycwiczyonym ruchem Sara przesunela kamien kciukiem. Czarny kwadrat uniosl sie na miniaturowym ramieniu, ktore jeszcze przed chwila zdawalo sie ornamentem i pod palcami Sary obrocil sie, by ukazac niespodzianke. Na spodzie kamienia widnial wygrawerowany z niezwykla precyzja wizerunek debu, blyszczacy zlota na tle srebrnego pola. U stop debu spal z glową na ziemi jednorozec, a nad konarami drzewa blyszczala krolewska korona. Boscobel - Krolewski Dab. Sara nie rozumiala, jakie znaczenie mial ten pierscien dla ojca, ale wiedziala, ze byl jego najcenniejsza pamiatka. Teraz i dla niej byl to najdrozszy skarb.

Turkot nadjeżdżającego powozu wyrwał ją z zamyslenia. Błyskawicznie wrzuciła klejnot z powrotem w bezpieczne ukrycie i przeszła przez ulice, żeby zobaczyć, kto zajechał.

Dotarła przed budynek poczty akurat w porę, by zobaczyć wysiadającą z powozu kobietę, ubraną w elegancką, najmodniejszą londyńską suknię. Kobieta była mniej więcej w wieku kuzyna Mashama, ale wydawała się o wiele bardziej energiczna. Spięte starannie, lekko posrebrzone rudoczerwone włosy, szykowna podróżna peleryna, ciemnozielony kapelusz przyozdobiony czaplimi piórami - naprawdę różniła się od bladego, zaszuszonego kuzyna Sary jak dzień od nocy.

Dama wysiadła z powozu pomagając sobie hebanową laseczką. Rozejrzała się wokół, nie zauważając skierowanych na siebie ironicznych spojrzeń. Za jej plecami woznica zabrał się za wyladowywanie bagaży, a zarządca poczty wyszedł na ulicę powitać przyjeźdźcą.

-Jestem madame Alecto Kennet z Londynu - powiedziała głośno kobieta, jakby się spodziewała, że to nazwisko ma jakieś znaczenie dla nielicznych gapiów.

-Witam. Otrzymałamy pani list - oznajmił poczciarz.

Sara dostrzegła lekki grymas niechęci na ustach kobiety. Chyba nie podobała jej się forma powitania, choć przecież jak na tutejsze zwyczaje był to bardzo oficjalny sposób. Oczywiście Sary rozszerzyły się ze zdumienia na widok ilości kufrow, które wypakowywano z powozu; mimo to kobiecie nie towarzyszyła żadna służąca ani lokaj.

-Więc może byłby pan tak uprzejmy i udzielił mi informacji, gdzie mogę znaleźć pannę Charlotte Masham, mieszkankę tego miasta. Możliwe też, że wyszła za mąż i nosi teraz inne nazwisko - przemogła niechęć pani Kennet.

Zapytany już zaczerpnął oddechu, sposobiąc się do długich wyjaśnień, kiedy Sara, ku własnemu zaskoczeniu, postąpiła zdecydowanie kilka kroków naprzód.

-Obawiam się, że przybyła pani zbyt późno, by porozmawiać z moją matką, madame. Ale ja jestem córką Charlotty. Nazywam się Sara Cunningham.

Pani Kennet zwróciła na nią ostre spojrzenie jasnoszarych oczu; Sara odczuła je niczym uklucie. Wytrzymała jednak ten wzrok bez mrugnięcia.

-Rzeczywiście masz w sobie coś z Mashamów, dziecko. Jeśli naprawdę jesteś córką Charlotty Masham, mam dla ciebie list.

Wkrótce potem Sara siedziała na werandzie najlepszej i jedynej kawiarni "Pod Dzwonem i Świecą", oczekując na panią Kennet, która poszła do siebie odświeżyć się po podróży. Sara nie miała wątpliwości, że każde słowo wypowiedziane na dziedzińcu przed pocztą dawno już dotarło do uszu jej kuzyna; z tego wynikało, że po przyjeździe do domu zostanie poproszona o dokładne wyjaśnienia.

Żeby mieć cokolwiek do powiedzenia, musiała się najpierw czegoś dowiedzieć. Zmarszczyła brwi w zamysleniu. Nie mogła sobie przypomnieć, aby wśród rzadkiej korespondencji, jaką otrzymywała jej matka, były jakieś listy z Anglii. Charlotta Masham była trzecim pokoleniem urodzonym w Ameryce, trudno więc uwierzyć, by miała jakiegokolwiek związku rodzinnego ze Starym Światem. Sara wypila łyk gorącej kawy i dorzuciła do niej kostkę cukru z talerzyka stojącego obok. Właściciel gospody obsługiwał ją szybko jak nigdy. Kimkolwiek była madame Alecto Kennet, potrafiła odpowiednio wpływać na ludzi, by wokół niej skakali.

Jakby przyciągnięta jej myślami, pani Kennet właśnie się pojawiła. Kapelusz z piórami zamieniła na elegancką cieniutką siateczkę przyozdobioną drobnymi perelkami, która wcale nie skrywała jej cytrynowosrebrzystych włosów. Nieco większe perły tkwiły w kolczykach damy, na jej szyi zaś, na czarnej aksamitnej wstążce, lśniła kamea wysadzana drobnymi kamyczkami. Znikła też podróżna zielona peleryna, a pani Kennet wystąpiła w ciemnoniebieskiej sukni o długich, wąskich rękawach, obrebionych u mankietów białą koronką. Podobna koronka wykończony był kwadratowy dekolt sukni, a na jej dole naszyto dwa pasy z czarnego aksamitu. Suknie uzupełniał przewieszony niedbale przez ramię kaszmirowy szal, mieniący się barwami teczki, i lekkie błękitne skórzane pantofelki z Turcji, które nie przetrwałyby nawet godzinnego spaceru po ulicznym bruku. Wszystko to razem dawało wrażenie zapierającej dech elegancji.

Pani Kennet wyjęła z kieszonki monokl i z uwagą przyjrzała się Sarze, która nagle zdała sobie sprawę, jak żalostny widok musi przedstawiać. Niezgrabny czepek kryjący włosy, niebieska, zapięta wysoko pod szyją wełniana suknia, która miała już dawno za sobą najlepsze dni, do tego biały bawelniany fartuszek i czerwony szal - jednym słowem uosobienie kolonialnego braku gustu. Odruchowo ukryła pod krzesłem stopy, chociaż wiedziała, że i tak nie ujdą uwagi damy jej ciekawie, niemodne buciorzy.

Ale pani Kennet najwyraźniej nie dostrzegła niczego niestosownego w jej wyglądzie. Usiadła ostrożnie na krześle naprzeciwko Sary. Przez jej niewzruszoną twarz przemknął ledwie zauważalny grymas bólu.

-Czy coś się stało? - zaniepokoiła się Sara.

-Lekka niestrawność, jak sądzę. Nie mam nic przeciwko podróżowaniu, ale jedzenie w podróży pozostawia nieco do życzenia. Jednak pewnie bardziej ci interesuje, jaka to sprawa może mieć do ciebie - zauważyła pani Kennet.

Sara przybrała wyraz uprzejmego zainteresowania. Pani Kennet się uśmiechnęła.

-Takie opanowanie to rzadkość w tym wieku - stwierdziła. Wyciągnęła z torebki pismo zapieczętowane czerwonym woskiem i podała Sarze.

Dziewczyna zerknęła najpierw na symbol na pieczęci - salamandra w koronie otoczona płomieniami i jakimś łacińskim zdaniem, zbyt zamazanym, aby je przeczytać.

-Pieczęć diuków Wessex. To ważna rodzina w Anglii - zauważyła dama.

-Ale to nie może być do mnie - stwierdziła zdumiona Sara.

-Na pewno do ciebie, jeśli jesteś prawnuczką Cordelii Herriard. Ona poślubiła Richarda Mashama, prawda?

-Jej syn był dziadkiem mojej matki, więc sądzę, że chodzi o mnie, ale...

-Przeczytaj najpierw list, a potem, jeśli możesz, powiedz mi, co zawiera. Jej Miłość nie wprowadziła mnie w szczegóły.

Sara złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem starannie wykaligrafowany tekst. Jej zmieszanie jeszcze się pogłębiło. List mówił o krzywdzie wyrządzonej dawno temu Cordelii przez jej rodzinę, o zdradzie i bezprawnym procesie, o pozwaniu przed Najwyższy Sad Kanclerski, gdzie sprawa toczyła się ponad sto lat, podczas panowania pół tuzina królów...

-Ależ to nie ma sensu - nie wytrzymała Sara, podając swojej towarzyszce do połowy tylko przeczytane pismo. - Co to może mieć wspólnego ze mną?

Pani Kennet przejrzała szybko pismo, zanim udzieliła odpowiedzi.

-Powinnaś wiedzieć, że moja patronka jest Dowager księżna Wessex. Znam dość dobrze ten rod, bo moja rodzina była u nich na służbie wcześniej nawet niż twoja nieszczęsna prababka powędrowała na wygnanie. Jeśli St. Ivesowie i Dyerowie sądzą, że należy ci się jakaś rekompensata za krzywdy, bądź pewna, że wyrównają rachunki do ostatniego pensa.

-Ale co oni mogą być mi winni? - zapytała znowu Sara. Pani Kennet uśmiechnęła się.

-Jaka to różnica, dziecko? Wystarczy, że oni tak uważają. Z tego listu wynika, że Dowager chce cię ujrzeć w Anglii. Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałabyś mi towarzyszyć, kiedy wsiądę na statek w przyszłym tygodniu?

Sara wahała się tylko moment. Przyszłość, która czekała ją tutaj, nie znaczyła nic wobec przyszłości, jaką mogła mieć przed sobą w Anglii. Podróż wabiła obietnicą zmiany.

-Nie ma żadnego powodu, pani Kennet. Z chęcią będę pani towarzyszyć - oznajmiła pewnym głosem.

Teraz, w małej kabinie "Lady Bright", jeszcze raz przeczytała list Dowager księżnej Wessex.

W ciągu tygodnia po rozmowie z lady Kennet chyba z tysiąc razy zmieniała zdanie, bo też kuzyn Masham nie hamował specjalnie języka, by wybić ten pomysł z głowy zarówno Sarze, jak i "angielskiej włoczedze", która ją ciągnęła ze sobą. Pani Kennet była jednak zaprawiona w słownych potyczkach; trzymała się pierwszej obietnicy Sary, konsekwentnie ignorując wszelkie późniejsze zmiany nastrojów. Skoro Sara przyrzekła, że odbedzie z nią podróż z Baltimore do Anglii na pokładzie "Lady Bright", cokolwiek mówiła potem, Angielka puszczała mimo uszu. W końcu, pod naciskiem żelaznej woli pani Kennet, Sara podjęła ostateczną decyzję. Na koniec kuzyn Masham poczęstował ją taką tyradą, że jeszcze przez tydzień miała czerwone ze wstydu uszy, ale mała walizka z całym jej dobytkiem została w końcu zapakowana do powozu pani Kennet i wraz z nim potoczyła się razno w kierunku portu.

Niestety przypadek, uważana za lekką niestrawność, w kilka tygodni później skończyła się śmiercią jej opiekunki. Teraz Sara była bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu. I nie miała już tej pewności co w Baltimore, że list od księżnej Wessex, który przywiozła jej pani Kennet, stanowił wystarczającą podstawę do występowania z jakimiś roszczeniami. Nie

była nawet pewna, czy wobec śmierci pani Kennet zyska cokolwiek na tej podróży.

"To jest wyłącznie twoja wina. Ty podjęłaś decyzję i ty musisz z tego wybrać" - powiedziała sobie zdecydowanie. Zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób rozwiązać problem transportu z Bristolu do Londynu i jak dokonać tego, czego życzyłaby sobie pani Kennet.

3. DZIESIEĆ MIL ZA KONCEM ŚWIATA

KWIECIEŃ 1805

Cudownie było znowu przebywać na dworze, nawet jeśli życie miało trwać jeszcze tylko kilka chwil. Od ostrego kwietniowego powietrza na policzkach markizy znowu wykwitły rumieńce. Lady Roxbury nie dbała już jednak o chłód.

Jej szarobrazowe włosy przykrywał gronostajowy toczek przywiązany prostymi tasiemkami, pasujący do podbitej gronostajami podróżnej peleryny. Oprócz niej markiza miała na sobie kilka warstw ciepłych ubrań, nie czuła więc w ogóle przenikliwego wieczornego chłodu. Przesuwał się przed nią uroczy krajobraz Wiltshire.

Powozik o wysokim koźle chwiał się pod nią i dygotał, ale niestrudzenie ponaglala cztery zaprzężone w niego ogiery do coraz większego pospiechu. Podazała wprost w zachodzące słońce.

Lady Roxbury trzasnęła biczem nad głowami koni, ale niewiele to dało. A przecież musi dotrzeć do skał na czas, inaczej wszystko będzie na próżno.

W dali między wzgórzami pojawiły się poszarpane zarysy tej zabawki gigantów. Lady Roxbury uswiadomiła sobie, jak głośno bije jej serce. Zachodzące słońce zalsniło ostrym blaskiem, jak klejnot na głowie salamandry - istoty zrodzonej z ognia.

A potem wszystko uległo zmianie. Słońce, do którego zdążyła, wschodziło zamiast zachodzić. Poranne powietrze było wilgotne i chłodne, a ziemię spowijała błękitnawa mgła. Stojące w oddali Święte Glazy rysowały się coraz wyraźniej na niebie, które zaczęło przybierać lazurowy kolor.

I zaraz świat zmienił się znowu - niebo eksplodowało ognistym szkarłatem i wszystko wokół stało się złote jak wielkie słońce wiszące nad głową.

Tylko wielka determinacja lady Roxbury pchała ją naprzód; noc zmieniała się w dzień, a zachodzące na siebie światy pulsowały zgodnie z rytmem jej serca. Ogień, lód, ogień...

Poczuła, jak jej ciało ogarnia ocieplenie. Nie chłód ani za ale właśnie ocieplenie - jakby ciężar ziemi przesunął się ku jej sercu.

Lady Roxbury bez litości smagnęła biczem konie, choć spocone od wysiłku - biegły ostatkiem sił. Nawet nie zauważyła, że minęła Królewski Kamień. Świat był znowu szary i mglisty. Markiza dopiero teraz usłyszała dudniące głośno o ziemi kopyta osmiu koni ciągnących powóz.

Zaraz potem zobaczyła pojazd stojący w poprzek drogi; w ostatnim odruchu spróbowała sięgnąć wodze, by uratować swoje konie, ale lejce wysunęły się z pozbawionych czucia rak. Powóz potoczył się naprzód dzikim i niekontrolowanym pędem... a potem nie czuła już nic.

Tylko przyzwyczajenie do chodzenia własnymi ścieżkami i umiejętność niezauważalnego poruszania się, która jako dziecko opanowała w puszczy, pozwoliły Sarze dotrzeć w końcu bezpiecznie do celu.

Podsluchana na pokładzie "Lady Bright" rozmowa pozwoliła jej zorientować się, że dylizans z pocztą i pasażerami opuszcza portowe miasto co dzień w południe i dociera do Londynu następnego dnia o poranku. Uznała, że ma już wszystkie potrzebne informacje, więc zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy w skromne pudło na kapelusze, owinęła się w szary płaszcz z kapturem i opuściła statek w tłumie innych pasażerów, zanim kapitan Challoner albo jakiś inny życzliwy opiekun zdolał ją zatrzymać.

Nieznane odgłosy i zapachy otoczyły ją zewsząd. Spodziewała się podświadomie, że zaraz usłyszy za plecami głos kapitana. Nie czuła się dobrze ze świadomością, że go oszukuje, była jednak pewna, że gdyby zdradziła mu plan samotnej podróży do Londynu powozem pocztowym, nigdy by się na to nie zgodził.

Na szczęście, dzięki pani Kennet, Sara miała przy sobie list kredytowy, który honorował każdy bank w Anglii, a także garść angielskich monet, których wystarczyło aż nadto na jedenastoszylingowy bilet do Londynu.

Sara zostawiła za sobą portowe doki i wkroczyła między wielkie ceglane magazyny. Przy tych potężnych budowlach zabudowania portu Baltimore wydawały jej się teraz zupełnie małe. Potem znalazła się na miejskich ulicach, zatłoczonych różnymi pojazdami i ludźmi wszelkiej profesji i stanu. Sara poczuła się zupełnie zagubiona. Pani Kennet mówiła wprawdzie, że Bristol to wielkie miasto, ale urodzona w koloniach dziewczyna nie wyobrażała sobie czegoś tak olbrzymiego, hałaśliwego i brudnego. A Londyn miał być jeszcze większy.

Opuszczała ją pewność siebie. Marzyła już tylko o tym, żeby znów znaleźć się na znajomym pokładzie "Lady Bright" i pozwolić kapitanowi Challonerowi, by się nią zaopiekował. Jednak uparte dążenie do niezależności, które było najbardziej wyrazistą cechą jej charakteru, powstrzymało ją przed powrotem na statek. Teraz tylko rozsądne postępowanie może ją uratować. Z tą myślą zebrała się na odwagę i podeszła do jakiegoś przechodnia, by zapytać go o drogę.

-Bardzo pana przepraszam, jak mogę dojść do Goat-and-Compasses?

Mezyczyna, którego zagadnęła, wydał jej się wybitnym człowiekiem, ale z bliska stracił wiele ze swojego dostojenstwa. Był ubrany w gładki brązowy surdut; jego szyję owijała purpurowa chusta, a guziki zdobiące rękawy przypominały dwa rzędy dużych brązowych suzerenów.

-A czego to piękna przyjezdna paniątka może szukać w Goat? Znam inne miejsce tu niedaleko, które spełni wszystkie oczekiwania paniątki. Trudno znaleźć miłszy kaciak albo nie nazywam się wielobny Richard Blaine! - Mezyczyna uśmiechnął się zachęcająco i przysunął, zamierzając objąć Sarę ramieniem.

-No chyba, lajzo! - zabrzmiał za plecami Sary basowy głos, Obejrzała się przestraszona i zobaczyła wyjątkowo wysokiego człowieka o czarnej od węgla twarzy. Miał z pewnością dobrze ponad sześć stop wzrostu i zdawał się równie szeroki w barach. Nie miał na sobie wierzchniego okrycia, tylko koszula opinała jego masywne ciało. Na ramieniu niosł okuta żelazem drewniana beczulka, w jakich zazwyczaj trzyma się alkohol.

-Jestes tak samo wielobny jak ja, Dickie Blaine. Nie potrzeba cię tu - huknął groźnie wielkolud.

Jesli Sara miała jeszcze jakies watpliwosci, na pewno rozwiala je szybkość, z jaką "wielobny" się oddalił.

-Zdaje się, że powinnam panu podziękować - zwróciła się do swojego wybawcy.

Ten przerzucił beczulkę na drugie ramię i uśmiechnął się do niej. Jego zęby błysnęły białą na tle umorusanej twarzy.

-Doki to nie miejsce dla ciebie, paniątka. Zwiewaj do swojej opiekunki, zanim spotka cię coś gorszego - powiedział uprzejmie.

-Ale ja muszę znaleźć Goat-and-Compasses! Mówili mi na... slyszalam, że stamtąd odjeżdża dylizans do Londynu, a ja nie wiem, gdzie to jest - wyrzuciła z siebie Sara.

-Dylizans, he? Zwiałas od zakonnic, znudzila ci sie nauka, co? - Uśmiech znikł z jego twarzy; przyglądał się jej krytycznie.

Sara nie rozumiała, o co chodzi temu człowiekowi, ale widziała w jego wzroku potępienie. Zebrała całą odwagę, na jaką było ją stać i odparła z godnością:

-Nie rozumiem, o czym pan mówi. Przyjechałam z Baltimore i jestem umowiona w Londynie.

Spojrzał na nią jeszcze raz z uwagą i znów się uśmiechnął.

-Amerykanka, co? Chodź lepiej ze mną. Wiem, gdzie jest Goat. Trzymaj się mnie, paniątka, a dojdiesz tam raz dwa. Do dylizansu też cię zapakuje.

Z pomocą olbrzyma Sara dotarła na miejsce bez żadnych dalszych incydentów. Tam jej towarzysz zostawił beczulkę, a ona kupiła bilet. Za jego radą kupiła też filiżankę kawy; dawało jej to prawo do siedzenia na werandzie, gdzie mogła bezpiecznie zaczekać na przyjazd powozu. Stamtąd ostatni raz widziała swojego wybawcę, gdy jego gorująca nad tłumem głowa oddalała się w stronę portowych doków.

Po następnych kilku godzinach miała wspominać ten moment jako ostatni, kiedy zżywała jakichś takich wygod. Gdy tylko pojawił się dylizans, musiała zostawić wygodny stolik i wpakować się do ciasnego, twardego, źle resorowanego pojazdu, wraz z dziesięcioma innymi szczęśliwcami, którzy dopłacili jednego szylinga za przyjemność jazdy w środku.

Potem słyszała już tylko tetent konskich kopyt, świst bicia i gardłowe okrzyki woznicy. Ten ostatni nie zmieniał się zresztą przez całą drogę, mimo zdarzających się od czasu do czasu zmian koni. Sara była jeszcze na tyle przytomna, że

zastanawiała się, w jaki sposób jeden woznica wytrzyma całą drogę aż do Londynu, gdzie mieli się zjawić dopiero następnego dnia rano.

Pojazdem tak trzesło, że niezliczone pakunki, tobołki i inne bagaże albo pospadały na dół, albo utknęły w katach. Nie dotyczyło to niestety ludzi, którzy w dalszym ciągu objęli się niebezpiecznie przy każdym z podskoków dyliżansu.

Krotkie przerwy na zabranie poczty i wysadzenie niektórych Pasażerów stanowiły jedyne momenty wytchnienia od tej szalonej jazdy, ale nie trwały dłużej niż kilka minut, nawet jeżeli zmieniano konie. Dzień ustąpił miejsca nocy, ale Sara nie mogła zasnąć, chociaż jej zdrewniałe ciało uodporniło się już na wszelkie wstrząsy.

W końcu dostrzegła białe światło sączące się przez zasłony powozu. Odsunęła jedną z nich, by zobaczyć gdzie są.

Za oknem rozciągał się pejzaż, jakiego nigdy dotąd nie widziała - bezdrzewny płaski teren, pozbawiony barw w szarości porannych mgieł. Po lewej stronie dostrzegła coś, co początkowo wzięła za odległe drzewa, ale kiedy powóz podjechał bliżej, zauważyła, że są to olbrzymie, grubo ociosane kamienne słupy, nie wiadomo dlaczego i przez kogo ustawione na tej rozległej równinie.

Nagle przecucie niebezpieczeństwa jak chłodny dreszcz przebiegło ciało Sary. Nie pierwszy raz doznawała takiego uczucia; rozejrzała się gorączkowo próbując ustalić jego źródło. Rytm kopyt bijących dotąd równo w ziemię zmienił się nagle. Usłyszała krzyk woznicy, uderzenia bicia i poczuła nierówne szarpnięcia powozu. Inni pasażerowie, rozbudzeni, zaczęli unosić się z miejsc. Powóz zahamował gwałtownie.

Sara do połowy wychyliła się przez okno i dostrzegła przyczynę katastrofy - kobietę stojącą na wysokim kozle dziwnego czterokonnego powozu. Trzymanym w ręku biczem dziko smagała konie. Twarz kobiety była biała i zdeterminowana...

Sara nagle zdała sobie sprawę, że widzi swoją własną twarz - równie wyraźnie jakby patrzyła w lustro. W tym momencie w dyliżans uderzyło coś mocno - jakby ciężka niewidzialna pięść. Sara poczuła, że spada, ale w pamięci wciąż miała obraz własnej twarzy widziany przed sobą.

Otworzyła oczy w pokoju, którego nigdy dotąd nie widziała. Przez wysokie okno po prawej stronie wpadało popołudniowe słońce. Kiedy Sara odwróciła głowę w tamtym kierunku, zobaczyła jasnoniebieskie niebo i odległą linię lasu. Jednocześnie poczuła tępy ból pod czaszką. Podobnie zareagowały wszystkie części jej ciała. Teraz sobie przypominała - powóz miał wypadek, było zderzenie. Ale w jaki sposób się tutaj znalazła?

Otworzyła usta, by wezwać pomoc, ale silny zawrót głowy o mało nie spowodował utraty przytomności. Zagryzła wargi, by przezwycieczyc ogarniająca ją ciemność. Spróbowała skoncentrować wzrok na otaczających ją przedmiotach. Leżała na wspaniałym łożu. Na rzeźbionych w wymyślne wzory pionowych słupkach opierał się zakończony frezami baldachim. Zasłony wokół łoża, niebieskie, rozszywane białym jedwabiem i haftowane srebrną nicią, były teraz rozsunięte, a w zasięgu ręki Sary wisiała ozdobna linka zakończona frezami. W kominku na przeciwległej ścianie weselo trząskali ognie. Urządzanie pokoju, nawet oglądane z poziomej pozycji, z pewnością przewyższało elegancją wszystkie obrazki, jakie Sara oglądała w książkach kuzyna Mashama. Musiał to być jakiś prywatny dom stojący niedaleko miejsca wypadku... tylko dlaczego się w nim znalazła?

Sara chwyciła zwisającą koło głowy linę i z jej pomocą dźwignęła się do pozycji siedzącej. Dopiero teraz zauważyła, że nie ma na sobie podróżnego stroju, tylko koszulę nocną. W nagłym odruchu przerażenia sięgnęła po pierścien ojca i westchnęła z ulgą, gdy trafiła dłoń na znajomy kształt, spoczywający bezpiecznie pod ubraniem. Oparła się z wysiłkiem o zagłówek, osłabiona gwałtownymi ruchami.

-Och!

Okrzyk zdziwienia zmusił ją do gwałtownego odwrócenia głowy. W drzwiach stała pokojowka patrząc z troską na Sarę.

-Wyszłam tylko na chwilę i zaraz usłyszałam dzwonek. Moja pani nie przypuszczała, że przebudzenie nastąpi przed zachodem słońca.

Sara uśmiechnęła się uspokajająco, chociaż te uprzejmości okupiła bólem.

-Nic takiego się nie stało. Powiedz mi, gdzie ja właściwie jestem?

Pokojowka dygnęła nerwowo.

-W Bulford Hall, wasza dostojność. Pani Bulford powiedziała, żebym przy pani siedziała, dopóki pani nie odzyska przytomności. Czy mam...

-Proszę, pomóż mi wstać - przerwała jej Sara. Nie chciała być niegrzeczna, ale nie mogła już dłużej znieść bezsilności.

Pokojowka podeszła i pomogła jej odgarnąć ciężką pierzynę.

-Jak masz na imię? - spytała łagodnie Sara, by uspokoić dziewczynę.

-Rose, wasza dostojność.

Już po raz trzeci dziewczyna zwróciła się do niej w ten dziwny sposób. Zanim Sara zdążyła ją poprawić, Rose odwróciła się, wzięła ze stołu welnianą pelerynkę i narzuciła na ramiona Sary.

-Pani bardzo żałowała, że nie mamy tutaj odpowiednich ubrań, ale proszę się nie martwić. James już pognął do Mooncoign i będzie tu migiem, bo wziął najszybszego konia...

Sara oparła się na ramieniu Rose. Nogi drżały jej mocniej niż zdawało się to możliwe po wypadku. Pokojowka wciąż była zdenerwowana, a i Sara czuła się nieswojo. Koszula nocna, która zastąpiła jej proste podróżne ubranie, była z najlepszego indyjskiego batystu, bogato ozdobiona wstążeczkami i rüszkami - zdecydowanie za wytworna dla bezimiennej ofiary wypadku. Chyba nie honorują w ten sposób wszystkich rannych pasażerów dylizansu?

Rose posadziła Sare na krzesle naprzeciw kominka i pobiegła pedem po pled, którym starannie owinęła jej nogi.

-Czy coś jeszcze potrzeba, wasza dostojność?

-Zdaje się, że zaszła jakaś pomyłka - zaczęła słabym głosem Sara. Nie bardzo wiedziała, jak w najprzystępniejszy sposób wytłumaczyć Rose, że nie jest wysoko urodzona dama, za jaką ją bierze.

-Tu jesteś, Rose. Musze... - Kobieta, która pojawiła się w progu, ujrawszy na sobie wzrok Sary pokłoniła się głęboko. Musiała to być właścicielka.

-Jasnie pani! Co za paskudny wypadek! Ale jemu zawdzięczam, że pojawiła się pani w moim skromnym domu. Czuje się zaszczycona - przemówiła uniesiona pani Bulford.

-Gdzie jest dylizans i pozostali pasażerowie? - zapytała Sara, ale gospodyni najwyraźniej nie rozumiała, o co jej chodzi, bo odpowiedziała:

-James już wrócił z Mooncoign, pani. Doktor Falconer przyjechał powozem, żeby zabrać panią do domu, gdy tylko pozwoli na to stan zdrowia.

-Co to jest Mooncoign? Jestem Sara Cunningham. Zdaje się, że zaszła tu jakaś pomyłka...

Ku najwyższemu zdumieniu Sary gospodyni i jej służąca wymieniły przerażone spojrzenia. Pani Bulford zwilżyła zaschnięte wargi, zanim odważyła się odpowiedzieć:

-Jasnie pani musiała doznać wstrząsu. Czy mogę zaproponować herbatę?

Na gest swojej pani Rose dygnęła i znikła bez słowa. Pani Bulford najwyraźniej nie była pewna, jak powinna się teraz zachowywać. Usiadła na niskiej ławie naprzeciw Sary i przyglądała się jej nabożnie, jakby była jakimś niezwyklej zjawiskiem. Sara nie zwracała na to uwagi; głowa wciąż przypominała jej o sobie tępym lupaniem, a każde zadrapanie piekło bolesnie. Mimo wszystko instynkt, który zawsze ostrzegał ją o niebezpieczeństwie w puszczy, teraz też odzywał się natęrczywie. To było coś więcej niż zwykła pomyłka... znalazła się tu sama, bez przyjaciół, na obcej ziemi - tym ostrożniej musi się poruszać.

-Herbata naprawdę dobrze mi robi - powiedziała powoli i zauważyła wyraźne oznaki ulgi na twarzy gospodyni.

-Więc to jest Bulford Hall? - zaryzykowała następne pytanie, zdając sobie sprawę z absurdalności całej sytuacji. Ona, zawsze taka niesmiała, nawet w rozmowach ze znanymi sobie ludźmi, musiała teraz wieść swobodną pogawedkę z tą dziwną Angielką, która w dodatku patrzyła na nią jak na wariatkę.

-Tak, wasza dostojność.

-A pani, jak sądzi pani Bulford? - badała ostrożnie. Uśmiechnęła się przy tym, licząc, że to pytanie zostanie potraktowane jako żart.

-Tak, wasza dostojność - odparła jej rozmówczyni z westchnieniem ulgi. - Wasza dostojność nie pamięta? Kiedy Bulford i

ja bralismsy slub, wasza dostojnosc przyslala nam w prezencie najpiekniejsza pare srebrnych pucharkow, jakie kiedykolwiek widzialam. Powiedziala wtedy wasza dostojnosc, ze Bulfordowie moga zawsze w razie klopotow liczyc na pomoc lady Roxbury.

Roxbury. Coraz gorzej. Sarze przebiegla przez glowe przerazajaca mysl, ze moze rzeczywiscie jest ta osoba, za ktora bierze ja ta kobieta; ze moze po prostu ma amnezje. Jednak przypomniala sobie twarz tej drugiej kobiety, ktora mignela jej przed oczami na ulamek sekundy przed katastrofa. Jej serce zaczelo bic szybciej, gdy zapytala:

-A wiec wie pani zapewne, kim ja jestem?

Pytanie okazalo sie na tyle zaskakujace, ze w oczach pani Bulford znow pojawilo sie przerazenie.

-Oczy... oczywiscie. Wasza dostojnosc jest lady Roxbury... markiza Roxbury.

4. RYCERZ UPIOROW I CIENI

PARYZ, GERMINAL 1805

Mlody mezczyzna o niebezpiecznym spojrzeniu byl pewien, ze dzisiejszej nocy ktos musi zginac. Rupert St. Ives Dyer, diuk Wessex, chlodnym spojrzeniem objal salon z bezpiecznego punktu obserwacyjnego w holu. Kiedy trzy dni temu omowil z Podziemiem spotkanie z Averym de Morrisey, do ktorego mialo dojsc tutaj, miedzy Nowymi Ludzmi i odszczepiencami Ancien Regime'u, Wessex raczej nie przypuszczal, zeby mialo to zagrazac jego wolnosc albo zyciu.

Teraz nie mial juz tej pewnosc.

Przeszmuglowana do rezydencji Wessexa w hotelu "Des Spheres" tajna notatka ostrzegla go, ze Czerwona Zakieria - tajna policja Talleyranda - bardzo pragnie spotkac sie z kawalerem de Reynard; pod jego wlasnie nazwiskiem ukrywal sie Wessex. Nie wiedzial, czy powodem zainteresowania Talleyranda byl naprawde glupi lojalista Reynard, czy tez raczej Rupert diuk Wessex - agent polityczny krola Henryka. Co zreszta nie mialo teraz znaczenia, bo Jacks* byli doslownie kilka minut za nim. Wessex opuscil swoj apartament w hotelu "Des Spheres" przez dach, ale tylko kwestia czasu bylo podjecie przez Jacks dalszego tropu, skoro zaproszenie na to wlasnie wieczorne przyjecie zostalo w hotelu na stoliku.

Bardzo glupio zrobil przychodzac tu, ale bez niego de Morrisey nie mial zadnej szansy na dotarcie do Anglii. De Morrisey byl Anglikiem, oficerem floty. Zatrzymano go w Verdun, gdzie dowiedzial sie czegos niezwykle waznego. Uwazajac te informacje za warta ryzykowania zycia, zdolal uciec z otoczonego murami miasta i skontaktowac sie z Lojalistycznym Podziemiem, ktore zdolalo zatrzec za nim slady przynajmniej do Paryza. Ale prawie nie mowil po francusku, wiec gdyby lojalistom nie udalo sie go skontaktowac z Reynardem, de Morrisey bedzie wkrótce martwy. Jacks i tak postaraja sie duzo zrobic w tym kierunku.

Reynard/Wessex uniosl monokl do oka i rozejrzal sie po sali w zamysleniu. Le beau Paris nie byl juz tym, czym niegdys, kiedy Wessex byl chlopcem. Chociaz powstal jak feniks z popiolow po krwawych wydarzeniach "zwycieskiego 1793 roku", ale tak moglby powiedziec tylko ktos, kto nie znal jego poprzedniego splendoru miasta. Teraz Wessex widzial gesty troche zbyt teatralne, rozmowy nieco zbyt glosne, a stroje i maniere oscylowaly pomiedzy Republika a Imperium.

Wessex pozwolil monoklowi opasc swobodnie i strzepnal niewidzialny pylek z wylogow szkockiego, mocno wciatego w talii jedwabnego surduta. Byl ubrany bardziej elegancko niz inni goscie; chociaz taki ubior mogl razic na kims innym, to na pewno nie razil na grzbiecie diuka. Przy jego wzroscie, przepastnych czarnych oczach i chlodnym, opanowanym wdzieku uchodzil niemal kazdy stroj, i niemal w kazdym uwiodlby wiekszosc kobiet... moze z wyjatkiem samej Madame la Guillotine.

Wessex zrobil kilka krokow po czarno-bialej posadzce salonu ksiezniczki Eugonii. Tajna policja byla tuz tuz, a de Morrisey mial byc w malej altance w ogrodzie palacu ksiezniczki. Wessex mial zamiar wykorzystac te drobna przewaga czasowa, by go stamtad wyprowadzic i uciec wczesniej przygotowana trasa. Byc moze mialo to szanse powodzenia... Poczul na ramieniu ciezka dlon. - Drogi kawalerze, jak szcieszliwie sie sklada, ze cie tutaj spotykam.

Wessex odwrocil sie i uniosl monokl do oka, by przyrzec sie niewysokiemu mezczyznie, ktory go zagadnal.

A wiec teraz juz wiem, kto podal ogarom Talleyranda moj trop, pomyslal.

Monsieur Grillot mial przysadzista figure, czerwona twarz i byl bardzo ambitnym czlowiekiem. Byl tez czestym goscem w swiecie, w ktorym Wessex spedzal zycie. Teraz chyba udalo mu sie upolowac grubsza rybe.

-Szcieszliwie, moj drogi Grillot? Mowia, ze szcieszcie sprzyja odwaznym - odpowiedzial lodowato Wessex... a wlasciwie kawaler de Reynard.

-Musze przyznac, kawalerze, ze aktem niezwyklej odwagi bylo pojawienie sie miedzy nami. - Grillot nie mogli powstrzymac; usmiechu, zachwycony, ze udala mu sie tak subtelna gra slow.

Wessex/Reynard uklonil sie z uszanowaniem i juz siegal po monokl, ale sie powstrzymal.

-Alez nie, monsieur Grillot - odezwal sie uprzejmie do zdrajcy - to ty wykazales nie lada odwage odwiedzajac przyjecie, ktore moze zabic nuda. Twoja odwaga oznacza jednak szczescie dla mnie. Wypijmy za nasze spotkanie.

Wessex mowil po francusku bez cienia akcentu, ale w koncu j tym jezykiem musial wladac kazdy kulturalny czlowiek... przynajmniej swiecie poprzedzajacym Rewolucje, zanim samozwanczy Imperator utopil we krwi polowe swiata.

-Z najwieksza przyjemnoscia, drogi kawalerze. - Grillot nie mial nic przeciwko temu, zeby dalej sie napawac swoim triumfem. - Ten dom slynie z dobrych piwnic, tak samo jak z nudnych gosci.

Ujal Wessexa pod ramie i przeszli w glab apartamentu. Nikt nie oczekiwal od kawalera Reynarda, ze przyjdzie sie przywitac z gospodynia, ktorej tytul ksiazecy byl rownie czestym tematem plotek jak odwiedzajacy ja goscie.

Wessex usmiechnal sie do siebie. Madame la Princesse powinna byc mu wdzieczna - po dzisiejszej nocy nikt nie bedzie smial mowic, ze jej przyjecia sa nudne.

Grillot i Wessex mineli po drodze grupki ludzi dyskutujacych podniesionymi glosami. Tylko kilku z nich w ogole zauwazylo ich przejście. To byla jedyna atrakcja salonow Eugenii, oprócz oczywiscie doskonalej kuchni: na jej przyjecia mogli wejsc kazdy i rozmawiac praktycznie o wszystkim. Totez bywali tu zarowno incroyables ze sloma w butach i ich niedbale ubrane kochanki, jak i elegancko wyfraczeni haute bourgeoisie. Wszyscy oni z oczami blyszczacyimi ogniem Ideei dyskutowali zaciekle o moralnym obowiazku Francji zniewolenia polowy swiata.

Grillot z kawalerem dotarli do bufetu. Wessex znow otrzepal surduty i nalal im obu wina. Grillot przygladal sie z nieukrywana odraza jego dandysowskiemu strojowi.

-Drogi przyjacielu - zaprotestowal lagodnie Wessex dostrzegajac jego spojrzenie - wiem doskonale, ze naturalna profesja mezczyzny jest wojna, ale przeciez niektorzy z nas nie maja talentu do prymitywnej walki zbrojnej. Powinni wiec toczyc bitwy na takim polu, na jakim radza sobie najlepiej - dodal, zerkajac w strone najblizszych pan.

Grillot pociagnal z dezaprobata nosem i wychylil szklanke do dna. Wessex napelnil ja ponownie. Nad ich glowami plonely niezliczone biale swiece osadzone w ozdobnych kandelabrach, pomnozone przez lustra wiszace na scianach.

-Ach tak, pola bitwy... - z jakiegos powodu slowa uzyte przez Wessexa rozbawily Grillota. - Sa rozne pola bitwy, prawda, drogi kawalerze?

Grillot nie byl specjalnie subtelnym czlowiekiem. Nawet ktos, kto nic nie wiedzial o jego zdradzie, teraz poczulby sie zaniepokojony szczegolnym tonem jego glosu.

-Jest tak jak mowisz. - Wessex w dalszym ciagu gral naiwnego Reynarda.

-Ale ty chyba watpisz w moje slowa, drogi Reynardzie. - Na twarzy Grillota pojawil sie zlowrozbny usmiech. - Moze przekona cie spacer po ogrodach?

Jesli Grillot sadzil, ze Wessex wylamie sie ze swojej roli, przykro sie rozczarowal.

-Oczywiscie, Grillot... jesli tylko takie jest twoje zyczenie - odparl pogodnie Wessex.

Jednak zacisnal w kieszeni reke na kolbie malego pistoleciku.

Ogrod ksieznej Eugenii byl zaprojektowany do ogladania noca. Waskie sciezki miedzy klombami ozdobnych roslin byly wylozone bialymi kamyczkami i muszelkami, co znakomicie ulatwialo orientacje w mroku. Wysoki mur ukrywal ogrod przed wscibskimi spojzeniami z ulicy i z sasiednich posesji.

Grillot zatrzymal sie obok malej ozdobnej altanki.

-Nie dziwi cie, kawalerze, dlaczego ogrod Madame la Princesse jest taki cichy?

-A jest cichy? - zdziwil sie uprzejmie Wessex i obejrzal za siebie. Nie bylo ich widac z domu. To dobrze.

-Ten Anglik, z ktorym sie tu umowiles, oczekuje teraz w kuchni na przybycie Zakierii - syknal Gillot - ale nie bedzie czekal

dlugo. Za to pocalunek Madame la Guillotine zapamieta na cala wiecznosc. Tak skoncza wszyscy wrogowie Francji!

Z domu dobiegły jakies krzyki. Grillot wyciagnal z kieszeni pistolet, na pewno nabity i gotowy do uzycia. Wessex obserwowal go spokojnie. Nie mial zamiaru szarpac sie z nim o bron - nie teraz, kiedy chcial uniknac halasu, jakiego wystrzal z pistoletu na pewno by narobil.

-Moj drogi Grillot, teraz, kiedy juz odkryles wszystko, chcialbym ci zadac jeszcze jedno pytanie - powiedzial Wessex po angielsku i zupełnie innym glosem niz zwykl mowic obywatel Reynard.

A mowil tylko po to, by odwrocic uwage od cichutkiego trzasku, jaki rozlegl sie, gdy nacisnal ukryty przycisk w monoklu, ktorym bawil sie od dluzszego czasu. Teraz tylko nieznaczny ruch reka i soczewka wypadla ze zlotej oprawki, kolyszac sie na cieniutkiej, niemal niewidzialnej jedwabnej lince. Zamierzal go uzyc niezupełnie do tego, do czego byl przeznaczony, ale potrzeba jest matka wynalazkow.

-Wkrotce to ty bedziesz odpowiadal na pytania zamiast je zadawac, angielski cochon - prychnal teatralnie Grillot.

Z domku doszedl ich halas i Francuz odwrocil sie w tamtym kierunku, zapominajac na ulamek sekundy, kogo ma przed soba. A wtedy Wessex blyskawicznym ruchem zarzucil mu na szyje niewidzialna linke i zacisnal mocno. Pociagnal ku sobie nizszego mezczyzne i zdusil jego rozpaczliwe proby walki swoimi dlugimi rekami.

-Pozwolisz, ze cie o cos zapytam? - szepnal cicho w ucho Grillota, choc Francuz byl juz martwy. - Czy naprawde sadziles, ze mozesz bezkarnie wydac na smierc Anglika? To sie nie uda, moj drogi, musisz wierzyc mi na slowo.

Wessex powiedzial te slowa po to, aby zagluszyc targajacy nim wstyd. Uczciwa smierc w uczciwej walce jest normalna dla kazdego mezczyzny, ale te szpiegowskie sztuczki... zadawanie smierci z ukrycia, i to nawet nie przy uzyciu uczciwej stali...

Grillot osunal sie bezwladnie, a Wessex polozyl jego cialo na ziemi. Schowal na miejsce monokl i zaciagnal trupa na jeden z ozdobnych klombow ksiezniczki. Przy okazji pozbyl sie tez wytwornego surduta kawalera de Reynarda - po prostu odwrocil go na lewa strone, odslanjajac w miejsce ozdobnego jedwabiu stonowana satyne.

Teraz ogrod nie byl juz taki cichy - slyszal dzwieki tluczonego szkla i krzyk kobiety. Jacks stosowali rownie okrutne metody co ich poprzednicy w czasach Wielkiego Terroru, a ich motto znal chyba caly swiat: przemoc w sluzbie wolnosci nie jest przestepstwem. Wessex zyczyl ich "wolnym" krajanom duzo szczescia i radosci...

Nasluchujac pozbyl sie gorsetu, ktory bardzo zmienial mu figure, i wyrzucil go w krzaki. Wlozyl na siebie surdut satynowa strona na wierzch i od razu przestal wygladac jak wystrojony dandys. Po piec zlonych napoleonow ukrytych w podeszwie kazdego z butow powinno wystarczyc, by dostac sie szybko do gospody przy drodze na Calais. Tam mial juz przygotowane nowe ubranie, papiery i szybkiego konia... jezeli Jacks nie wykryli takze i tej skrytki.

Tylko jeszcze de Morrisey...

Jesli wierzyc zgaslemu tak nagle Grillotowi, powinien byc wieziony w tym wlasnie budynku. Moze zdola go jeszcze wyciagnac teraz, kiedy Jacks masakruja filizanki na werandzie.

Nie namyslajac sie ani chwili dluzej, Wessex puscil sie truchtem w kierunku zabudowan. Unikajac jasnych plam swiatla kolo uchylonych drzwi i okien, dotarl do rogu budynku, a po chwili dopadl bocznych drzwi prowadzacych do pokojow sluzby. Jeden porzadny kopniak otworzyl je na osciez, choc przy okazji Wessex przypominal sobie bolesnie, ze nie ma na sobie podroznich butow, tylko pantofle do tanca.

Spodziewal sie, ze podczas takiego przyjecia pomieszczenia gospodarcze beda roily sie od sluzby, ale kuchnia, do ktorej wbiegl najpierw, okazala sie zupełnie pusta. Tylko poprzewracane butelki, ktorych zawartosc rozlewala sie po podlodze szkarlatnym strumieniem, wskazywaly na gwałtowna ewakuacje. A to znaczylo, ze zart uslyszany od lojalistow zawieral ziarnko prawdy - Czerwona Zakieria miala szpiegow w kazdej kuchni we Francji, ale tez w kazdej kuchni we Francji wiedziano zawczasu o ruchach Zakierii.

Na schodach nad soba uslyszal tupot ciezkich butow. Szyb kim spojrzaniem zbadal potencjalne drogi uciezki i uznal, zel najwieksze nadzieje budza ciezkie debowe drzwi obite zielonym materialem, ktore najwyrazniej oddzielaly swiat sluzby od salonow Madame la Princesse. Wpadl do pierwszego pomieszczenia. Jedynym ciezkim meblem, na ktory padl jego wzrok, byl debowy kredens. Nie namyslajac sie wiele Wessex podbiegl i pchnal go, naprezajac wszystkie miesnie. Rozlegl sie brzek tluczonego szkla; kredens drgnal nieznacznie i zaczal powoli sunac wzdluz sciany. W tym samym momencie zaczely sie uchylac drzwi...

Wessex wlozyl cala sile w ostatnie desperackie pchniecie; mebel zatrzeszczal, zadygotal i przesunal sie gladko, blokujac drzwi przy akompaniamencie odglosow tlukacej sie zastawy. Jednocześnie dobiegl gniewny ryk z korytarza. Wessex nie namyslajac sie dlugo odpowiedzial donosnym okrzykiem tryumfu.

Usmiechnal sie zadowolony, slyszac gniewne lomotanie do zabarykadowanych drzwi. Mial tylko nadzieje, ze nieodzalowanej pamieci Grillot nie klamal mowiac, ze de Morrisey uwiezony jest w kuchni, bo wlasnie ja odcial od glownej czesci domu.

Pod tym wzgledem Grillot okazal sie wiarygodny. Kapitan Jego Krolewskiej Mosci Avery Richard Harriman de Morrisey lezal twarza do podlogi w wejsciu do spizarni, zwiazany i opakowany jak prezent gwiazdkowy. Stan jego ubrania swiadczył, ze nie obeszło sie przy tym bez walki, a kiedy Wessex go odwrócił, oczy blysnely mu nieskrywana nienawiscia.

-Blagam cie, dobry czlowieku - przemowil Wessex z najbardziej wytwornym akcentem z Pall Mall - kiedy cie uwolnie, zachowaj cala energie i jakze slusna chec zemsty do momentu przybycia naszych wspolnych wrogow. Jestem Wessex. To ze mna miales sie dzisiaj spotkac, w nieco innych co prawda okolicznosciach.

-Trzeba ostrzec krola! - wykrztusil de Morrisey, gdy tylko Wessex usunal knebel z jego ust. - Odkrylem spisek.

-Zawsze jest jakis spisek - mruknal Wessex do siebie. Zajal sie rozsuplywaniem wiezow krepujacych rece i nogi de Morriseya. Byly tak zacisniete, ze bal sie uzyc noza, a suply nie nalezaly do latwych.

A z pewnoscia nie potrwa dlugo, zanim Jacks zorientuja sie, ze z kuchni sa dwa wyjscia.

-Saint-Lazarre ma byc zabity! - dodal de Morrisey. - W Anglii. Zabojca jest juz w drodze.

-Kim jest? - zapytal ostro Wessex.

Victor Saint-Lazarre, uchodzca z Francji, dawny dworzanin, byl chyba jedynym czlowiekiem, ktory potrafil zapanowac nad sporami wszystkich skloconych francuskich rojalistow. Bez niego plan krola Henryka, zakladajacy zjednoczenie tych wszystkich grup i wywołanie z angielska pomocą kontrrewolucji w celu przywroczenia na tron Francji Burbonow, mial male szanse powodzenia. Zabojstwo tego czlowieka byloby wielkim osiagnieciem Republikanow; pokazaliby w ten sposob Anglikom, ze Korsykanska Bestia potrafi dosiegnac swoich wrogow nawet tam.

-Nie wiem. Kurier, ktorego przechwycilismy, wiedzial tylko, ze Saint-Lazarre ma zostac zamordowany szesnastego gernala.

-Gazette twierdzi, ze Saint-Lazarre do nastepnej sesji Parlamentu ma przebywac w goscinie u markizy Roxbury. Tam uderzy zabojca. Jesli zostaniemy rozdzieleni, musi pan dotrzec jak najszybciej do Anglii z ta wiadomoscia - mowil szybko Wessex.

Szesnasty gernal w rewolucyjnym kalendarzu, to dwudziesty kwietnia w bardziej cywilizowanej rachubie czasu. Osiem dni. Zeby dotrzec w tym czasie do Anglii i ostrzec kogo trzeba, musi miec nadludzkie szczescie i nieludzkie tempo.

Ostatni wezel ustapil pod wprawnymi palcami Wessexa dokladnie w momencie, kiedy zablokowane drzwi prowadzace do kuchni od strony ogrodu otworzily sie z trzaskiem. De Morrisey wytoczyl sie ze spizarni i wstal, blyskawicznie rozprostowujac scierpniete konczyny. Tryskal energia, a jego zeby lsnily w wilczym usmiechu.

-Moze pan na mnie liczyc, sir.

Potem nie bylo juz zbyt wiele czasu na pogawedke.

Pierwszy Czerwony Jack, ktory pojawil sie w drzwiach, zarobil w gardlo kule z malego pistoletu Wessexa i upadl tryskajac fontanna krwi. De Morrisey chwycil jego policyjna palke i wyrznil w szczeke nastepnego, zdobywajac dla Wessexa palke, ale takze naladowany i gotowy do strzalu pistolet.

-Kto chce umrzec nastepny? - zapytal z uprzejma ciekawoscia Wessex, gdy zobaczyl trzech kolejnych napastnikow. Zaden nie udzielil odpowiedzi. Katem oka Wessex obserwowal, jak de Morrisey wymyka sie przez drugie drzwi. Wszystko by bylo w porzadku, gdyby nie to, ze w tych lachmanach, bez dokumentow, zostanie prawie natychmiast pochwycony przez ktorys z komitetow obywatelskich, wlozacych sie ulicami miasta. W dodatku de Morrisey nie mowil po francusku... Czerwone czapki Jacksow przybraly kolor krwi w blasku ognia plonacego w palenisku. Ponaglajacymi gestami zdobytej broni Wessex kazal im przesunac sie w strone pieca; staneli zbici w zdezorientowane stadko. Niepewnie probowali rozszyfrowac ciemna postac na drugim koncu pistoletu. W kazdej chwili mogli sie zorientowac, ze maja przewage liczebna...

-No, dalej! - ponaglił go gorączkowy szept de Morriseya dochodzący od drzwi.

Wessex unosił bron i strzelił.

Pocisk nie trafił żadnego z Francuzów, bo też zaden z nich nie był jego celem. Wessex mierzył nad ich głowami w przedmiot stojący na polce nad piecem. Olej z rozbitego jednym strzałem słoja popłynął wprost na rozpaloną blachę pieca. Zadymił... i wybuchnął płomieniem.

Blacha momentalnie stanęła w ogniu. Francuzi odskoczyli z przeraźliwym krzykiem; na jednym z nich ubranie płonęło jak pochodnia, drugiego dosięgnął jeszcze w zamieszaniu cios palki Wessexa.

On nie czekał jednak na koniec przedstawienia. Jednym susem znalazł się przy drzwiach, szarpnął za ramię de Morriseya i wypadł na zewnątrz jak lis scigany przez sfory psów. Obaj mężczyźni przebiegli przez skapany w blasku księżycy ogród i wyskoczyli na ulicę tej dotąd tak spokojnej dzielnicy Paryża.

Wessex dobrze znał miasto; było to niezbędne w jego zawodzie. Wkrótce w plataninie małych uliczek zgubili pościg... przynajmniej chwilowo.

-Co teraz? - sapnął de Morrisey.

-Szybki kon i do Calais - odparł Wessex. - Jestem przecież zareczony z markiza Roxbury, więc wypada, bym złożył wizytę narzeczonej.

5. LA BELLE DAME SANS MERCI

20 KWIEŃCIA 1805

Od katastrofy dylizansu w drodze do Londynu minęły cztery dni. Leżąc na masywnym łożu dziewczyna rzucała się nerwowo, jakby chciała się uwolnić spod ciężkiej, obszywanej falbankami pierzyny, która miała chronić ją przed kwietniowymi chłodami. Za każdym razem, gdy jej się to udało, siedząca na krześle obok milcząca stara kobieta wstawiała i ponownie okrywała nieswiadoma chora. Nazywała się Gardner i od wielu lat była piastunką młodej markizy Roxbury, a przedtem jej matki i matki jej matki. Staruszka miała twarz pomarszczoną i biała jak porcelana, ale trzymała się prosto, a dziwne oczy - jedno niebieskie, drugie brązowe - błyszczały zarem i inteligencją.

-Jak się czuje?

Dame Alecto weszła do pokoju cicho jak jeden z indyjskich przyjaciół Sary Cunningham. Zaufana emisariuszka Dowager księżnej Wessex spojrzała na łoże, gdzie leżała - jak sędzieli wszyscy - cudownie przywrócona do zdrowia markiza Roxbury, pograżona w głębokim śnie po zazyciu laudanum. Dame Alecto trzymała w dłoniach małą szkatułkę ze srebrnymi, poczerniałymi okuciami.

-Jak każdy, którego dusza wędruje pomiędzy Światami - odparła Gardner z wyraźnym szkockim akcentem, którego nie zdolała się pozbyć od czasu dzieciństwa. - Modlę się, aby los był po naszej stronie. Wtedy może uda się ją sciągnąć znowu do nas.

-Trzeba czegoś więcej niż uśmiechu losu - mruknęła do siebie dame Alecto.

Silna magia otworzyła wrota pomiędzy Światami i pozwoliła Sarze wyjść, a tej drugiej przybyć. Kobieta, która urodziła się w tym domu i w tym łożku, przebywała teraz martwa w świecie, który znowu się przed nimi zamknął. Jej sobowtór z tamtego świata był teraz tutaj z nimi.

Dame Alecto przyjrzała się leżacej. Dostrzegła znacznie więcej niż ktokolwiek ze służby fałszywej markizy. Kiedy znalazła się prawdę, wyraźnie było widać, że nie jest to ta sama osoba. Szorstka skóra, twarde od pracy dłonie, małe blizny od ran, których Sara Conyngham, markiza Roxbury, nigdy nie odniosła. Różnice były bardzo drobne, ale oczywiste. Doktor Falconer, wezwany do chorej po raz drugi tego dnia, nie zauważył wprawdzie nic, ale też działał w niezwykłym pośpiechu... i w furii, kiedy stwierdził, że pacjentka oddycha głęboko, a infekcja płuc znikła. Falconer nie wpadł wprawdzie na metodę zastosowaną przez dame Alecto, ale miał swoje podejrzenia.

-Mogłem się tego spodziewać - wrzasnął wściekły do przerażonej i zagubionej Sary. - Czy wasza dostojność nie wie, że takie umowy zawsze kończą się fatalnie?

Dame Alecto uśmiechnęła się przypominając sobie chwilę, kiedy obserwowała to zdarzenie w szklanej kuli. Niech młody Falconer sobie myśli, że markiza zawarła jakiś zakazany układ z Najstarszym Ludem - lepsze takie podejrzenia niż gdyby

poznał prawdę. A już ona zadba, aby doktor nie ujrzał swojej pacjentki aż do momentu, gdy niczym nie będzie się różniła od kobiety, która znalazła od kolyski. Ślady ciężkiej pracy ustapia z czasem, zwłaszcza gdy będzie się używać odpowiednich kremów. Blizny i zadrapania pokryje makijaż, przepaski i długie satynowe spodnice.

Było jednak coś, czego kremy nie mogły wymazać: ślad w umyśle. Nowa Sara nie wiedziała nic o swoim podwójnym życiu i ciążących na niej obowiązkach, a trudno było zakładać, że weźmie je na siebie dobrowolnie. W przegniecie dziewczyny do ich planów będzie wymagało wielu sztuczek, podstępnych i okrutnych. Jednak dame Alecto już się zdecydowała.

-Poczytaj teraz trochę jej dostojności, Gardner, a ja przygotuję lekarstwo.

Gardner wzięła grubą zeszyt i zaczęła. - Czternasty kwietnia 1798 roku. Dzisiaj był pogrzeb mamy. Odbił się nadzwyczaj uroczysto. Karawan ciągnęło sześć czarnych koni ozdobionych piorami, a najgorętsze kondolencje przysłał sam król Henryk. Na pogrzeb przybyła chyba cała marchia. Sama nie wiem, ilu mogło być ludzi. Teraz Mooncoign należy do mnie. Jestem markiza! Jakże to wszystko wydaje się dziwne. Powiedziano mi, że muszę zostać przedstawiona w towarzystwie jeszcze tego roku, ale wciąż jestem w żałobie po mamie, więc wszystko ma się odbyć bardzo skromnie. I oczywiście prezentacja na Dworze... muszę sprawić sobie nową garderobę najlepszej jakości. Wszystko ma być czarne... jakież to nudne. Ale może zapoczątkuje nową modę? Mimo wszystko jestem teraz Roxbury...

Cichy głos Gardner brzmiał jednostajnie, gdy czytała dziennik lady Roxbury. Dame Alecto położyła swoją szkatułkę na stoliku obok łóżka. Otworzyła ją i wyjęła małą kryształową fiolkę zawierającą Kordial Lety. Płyn mienił się błękitną barwą w słabym blasku świec.

Wypicie całej buteleczki tej mikstury - przepisu samego Montespana, który przekazywano przez wiele stuleci - zniszczyłoby pamięć, czyniąc umysł ofiary podobny umysłowi nowo narodzonego dziecka. Ale nie tego przecież chcieli od nowej Sary. Ta z trudem zdobyta zastępczyni miała zająć pozycję lady Roxbury w towarzystwie. Musiała w imieniu Mooncoign wykonać zadanie w walce z korsykańskim tyranem, który podbił kontynent, i we wszystkim innym zastąpić kobietę, której życie zostało ucięte tak gwałtownie przez głupotę i lekkomyślność.

Dame Alecto ostrożnie wlała kilka kropli gęstego płynu na srebrną łyżeczkę. Przelala odmierzona porcję do szklaneczki i zalała niewielką ilością wina. Wymieszała dokładnie oba płyny.

-Wasza dostojność - powiedziała do sennej dziewczyny - czas zająć lekarstwo.

Przez ostatni tydzień Wessex i de Morrisey byli w drodze. Ostrzeżenie, które wzięli, było zbyt ważne, by powierzyć je świetlnemu telegrafowi, którym komunikowano się przez kanał z pomocą patrolujących go angielskich okrętów. Trzy meczące dni zajęło im dotarcie do Calais. Jeszcze jeden dłuższy dzień musieli czekać, aż łódź będzie mogła bezpiecznie przybić; do brzegu, by ich zabrać. Kiedy osiągnęli Dover, ich drogi się rozdzieliły. Wessex pognął do Londynu konno, pozostawiając de Morriseya, aby sam zatroszczył się o jakiś środek transportu. Przez cały niebezpieczny dzień, kiedy przekraczali Kanał, Wessex umierał z niepokoju, czy zdąży dostarczyć na czas wiadomość otrzymana od de Morriseya i ocalić Saint-Lazare'a.

Czy Saint-Lazare był rzeczywiście w Mooncoign? - zastanawiał się gorączkowo Wessex. Musiał przyznać, że nie znał zbyt dobrze lady Roxbury, chociaż jego babka była jej matką chrzestną, a on sam został formalnie zareczony z markizą, gdy ona miała szesnaste lat, a on dwadzieścia cztery. Jednak pracując dla króla i kraju niewiele miał okazji, by widywać dziewczynę w ciągu tych lat - dochodziły go tylko słuchy o jej wystawnych przyjęciach, aroganckim sposobie bycia, dziwnych przyjaźniach. Te skandale były nieustannie tematem plotek, odkąd markiza została przedstawiona w towarzystwie. O dziwo, ich zareczyn nie komentowano zbyt energicznie. Inna sprawa, że ktoś tak jak on grający w Gre Cienia mało czasu poświęcał klaustrofobicznemu światu Najdostojniejszych Dziesięciu Tysięcy. A poza tym, niezależnie od tego, jak gorsze było zachowanie lady Roxbury, jego z pewnością nie było lepsze.

Rupert St. Ives Dyer, diuk Wessex, był trzecim z tej dostojnej linii. Jego dziadek, zanim został obdarzony tym tytułem, był prawym dziedzicem tytułu Earla Scatnach, który był stary już w czasach, gdy łódzie Wilhelma Zdobywcy* po raz pierwszy dotknęły saksońskich wybrzeży. Godność diuka Wessex, jak reszta wiele angielskich tytułów, została wymyślona przez Stuartów, a w tym konkretnym przypadku przez Karola IV z okazji urodzin dziadka Wessexu. Nie zdarzyło się to bez powodu; nawet dziś pewne rysy pokrewieństwa ze Stuartami były widoczne w twarzy Ruperta. Złotopłowe włosy, spięte zgodnie z kontynentalną modą, stanowiły dziedzictwo po Plantagenetach, za to czarne jak węgle oczy pochodziły na pewno od Stuartów, podobnie jak upor w dążeniu do celu, niechęć do zginania karku, lojalność wobec przyjaciół i zaciętość w obliczu wroga - typowe cechy potomków tej linii królewskiej.

Chociaż dla świata Wessex był przede wszystkim kapitanem jedenastego regimentu huzarów - formacji, która w Europie pod komendą generała Wellesleya usilnie przeszkadzała Napoleonowi we władaniu kontynentem - jego tytuł znakomicie mu

ulatal w pewnych kregach. Bowiem Wessex toczył wojnę nie na polach bitew, ale w cieniu korytarzy i komnat obcych dworów, daleko za liniami wroga.

Organizacja, dla której pracował, nie miała charakteru związku militarnego. Po części był to ekskluzywny klub, po części pozostałość po rycerskim zakonie z zamierzchłych czasów - Zakonie Białej Wieży, nazwanym tak od imienia najstarszej twierdzy angielskich królów. Założony przez Karola III, odziedziczył sieć szpiegów stworzoną przez Lorda Walsingham'a w czasach Glorjany. Godłem zakonu była srebrzysta wieża na czerwonym polu; broszka z tym symbolem spoczywała w jakiejś zapomnianej szufladzie w domu Wessexa. Odkopywał ją przy tych rzadkich okazjach, kiedy musiał zjawić się na Dworze w oficjalnym stroju.

Biała Wieża była oficjalną organizacją wywiadowczą Korony, a jej członkostwo było zaszczytem nadawanym przez samego króla - po cichu i bez publicznych ceremonii. Organizacja działała w ścisłej tajemnicy; jej sekrety były znane tylko królowi Henrykowi i najbardziej zaufanym z jego ministrów. Od czasu jego utworzenia zakon działał w obronie interesów Korony Brytyjskiej w każdym zakątku ziemi, gdzie były one zagrożone. Zbierał też informacje, które umożliwiały Anglii rozplatywanie zawiłości polityki kontynentalnej. Od kilku lat oczy Zakonu skierowane były na Francję i na jej imperialne ambicje.

Wessex został formalnym członkiem Zakonu Białej Wieży w wieku dwudziestu jeden lat, zaraz po tym, jak opuścił Oxford. Członkowie Zakonu raz do roku spotykali się na obiedzie w historycznej Białej Wieży; dla nie wtajemniczonych był to jedyny przejaw działalności "klubu". Prawdy nikt nie mógł się dowiedzieć. W czasach, w których czczono Milesa Gloriosusa, a szpiegów kryjących się w cieniu uważano za tchorzy, informacja, że król zatrudnia takie kreatury, mogłaby spowodować wybuch drugiej wojny domowej, a już na pewno upadek rządu. Wessex, odkąd zaczął tę służbę, drżał na myśl, co by było, gdyby rodzinę odkryła, w jaki sposób służy Koronie. Wiadomość, że jej ukochany wnuk jest zdradzieckim agentem, mogłaby zabić jego babkę, a upowszechnienie takiej hanby kosztowałoby ją całkowicie, wykluczenie z towarzystwa, co było gorsze od śmierci. Główni z tego powodu Wessex niechętnie bywał w towarzystwie, chociaż czasem żałował, że nie bawia go rozrywki własnej klasy; społecznej.

Czy to tylko kwestia przypadku, że Saint-Lazarre pojechał do Mooncoign na otwarcie sezonu i że właśnie tam zmierzał teraz francuski zabojecki? Czy lady Roxbury mogła prowadzić podwójną grę tak samo jak on?

Wstrząsnęty tą myślą Wessex zamknął ze znudzeniem oczy. Angielka czy nie, narzeczona czy nie, jeśli Roxbury służy wrogowi, nie będzie miał dla niej litości. Zmierza na łowy, a polowanie musi zakończyć się sukcesem.

Nie minęła nawet godzina, od kiedy okret dotarł do Dover, a Wessex galopował już na grzbiecie konia drogią wiodącą do Londynu. Jego Hirondeł położył uszy po sobie i gnał z wiatrem w zawody.

Szesciokonny wóz potrzebował prawie całego dnia, by dojechać z Dover do Londynu. Specjalny powóz wyciągowy, z parą dobrych ogierów przy dyszlu, dałby radę w sześć godzin. Wessex i Hirondeł zrobili to w cztery godziny. Kiedy opuszczał Dover, było jeszcze ciemno. Kiedy pokazały się odległe wieże, Londynu, był już biały dzień - poranek dziesiątego kwietnia - a Hirondeł pokrywał płaty piany. Wessex zwolnił nieco tempo, by oszczędzić zmęczonemu wierzchowca, ale nie miał czasu, by odstawić konia do swojej stajni i oddać go pod opiekę; doświadczonej służby. Wiadomość, którą wiozł, była zbyt ważna, by ryzykować choć chwilę opóźnienia.

Jednak ten czarnooki mężczyzna, jadąc ulicami miasta, a potem wreczając wodze wierzchowca jednonogiemu staremu żołnierzowi przed sklepem, w którym szyci ubrania, nie wyglądał na kogoś, komu się spieszy. Zachowywał się, jakby nie miał do załatwienia w mieście niczego ważniejszego niż zakup materiału na nowy płaszcz. Nic też w jego wyglądzie nie zdradziło, że nie widział porządnego łożka od kilku dni. Wprawdzie buty miał zablocone, a płaszcz pokryty kurzem i rosa po nocnej jeździe, ale przecież młodzi arystokraci często spędzali czas na podejrzanych rozrywkach.

-Przespaceruj się z nim trochę - polecił Wessex staremu żołnierzowi. - Będzie niedługo wracał.

Przeszedł chodnik, pchnął drzwi sklepu i wszedł do środka.

-Lordzie Wessex...

Mężczyzna w sklepie nazywał się Flowers, chociaż Wessex nie miał pojęcia, czy to jego prawdziwe nazwisko ani czy naprawdę trudni się szyciem ubrań, które od czasu do czasu dla niepoznaki tu zamawiał. Krawiec podszedł z ukłonem przywitać dostojnego klienta, a zachowywał się jak przystało na dobrego rzemieślnika, pracującego dla najwyższych sfer.

-Słyszałem, że wasza miłość przebywał ostatnio kilka tygodni na prowincji?

Wessex uśmiechnął się do siebie. Równie dobrze mógłby zapytać, czy Wessex przebywał we Francji.

-Flowers, przybyłem z reklamacją. To ubranie we francuskim stylu wymaga pewnych poprawek.

-Jeśli wasza miłość pozwoli, przejdziemy do przymierzalni - odparł Flowers bez zmruczenia oka.

Poprowadził Wessexa przez pracownię, zastawioną manekinami w niegotowych ubraniach, do małego pomieszczenia na tyłach sklepu. Zostawił go tam i wyszedł, zasłaniając wejście zieloną, lekko zakurzona kotarą.

Wessex nacisnął fragment tylnej ściany przymierzalni i odczekał chwilę, aż usłyszał cichy trzask zaskakującego mechanizmu. Pchnął, a ściana ustąpiła i odsłoniła salę, jakiej nie powstydziliby się nawet rąsusz.

Wessexa powitał ubrany w liberie lokaj o nazwisku Charteris. Z każdej strony wejścia stał mężczyzna trzymający staroswiecką drewnianą łaskę. Wessex doskonale wiedział, że te łaski potrafiły być w ich rekach groźną bronią.

-Muszę rozmawiać z Misbourne'em - powiedział krótko.

Tym razem nie musiał ukrywać zniechęcenia w głosie.

-Sprawdź, czy lord jest w domu i przyjmuje gości - odparł Charteris oficjalnie, jakby ten konspiracyjny lokal był naprawdę dworem.

Wessex nie po raz pierwszy powstrzymał nagły impuls, by posłać go do wszystkich diabłów.

-Czy wasza miłość zechciałby zaczekać w błękitnym pokoju?

Na parterze ukrytego lokalu były cztery małe pokoje. Od kiedy był członkiem Białej Wieży, Wessexowi zdarzyło się już oczekiwać na audiencje w każdym z nich. Z wyjątkiem kolorów, które przesadzały o ich nazwach, a zarazem dominowały w wystroju - czerwony, żółty, fioletowy i niebieski - pokoiki były identyczne. Wessexowi nigdy nie udało się zauważyć jakiegos systemu w wysyłaniu oczekującego do tego akurat, a nie innego pokoju. Zresztą mniejsza o kolor - we wszystkich pomieszczeniach można było znaleźć duży wybór najprzedniejszych napitków.

Wessex nie spał przez kilka ostatnich dni, więc zrezygnował z czerwonego wina. Napelniał sobie kryształową szklanke przeszmuglowaną francuską brandy. Alkohol przywrócił mu część energii, znalazł więc siłę, aby trochę poprawić sfatygowany wygląd, zanim ponownie pojawił się Charteris.

-Zechce wasza miłość pojsć za mną - powiedział beznamiętnie.

Wessex podążył po schodach na pierwsze piętro. Drzwi w końcu korytarza były obite czerwoną skórą. Charteris otworzył je bez pukania i wpuścił Wessexa do środka.

Diuk zatrzymał się zaraz za progiem, aby przyzwyczaić oczy do panującego wewnątrz półmroku. Pokój oświetlało kilka świec, których blask odbijał się w butelkach z alkoholem i wypełniał pomieszczenie łagodną ciepłą poświatą. W pokoju nie było okien; zaciągnięte kotary po lewej stronie kryły tylko ceglane ściany. Reszta ścian zastawiała półki pełne książek.

Lord Misbourne siedział za biurkiem. Wstał, kiedy w drzwiach pojawił się Wessex. Jak błądy, cierpliwy pajak czekał na informacje, które zaraz wpadną do jego sieci.

Jonathan Milon Arioch de la Forthe, trzeci baron Misbourne, wstąpił do Świata Cienia z powodu trzech poważnych ułomności: był katolikiem, albinosem i genialnym matematykiem. Ten trzeci defekt był najgorszy. Zajmując się od wczesnej młodości wyłącznie liczbami, baron nie uczynił nic, aby zająć się swoją podejrzaną, obcą religią i dziwnym wyglądem. Ogólny ostracyzm wepchnął go głębiej w matematyczne studia i wkrótce przesłoniły mu one cały świat.

Złe to się skończyło. Matematyka, królowa nauk, jest kapryśną panią - wczesnie uwodzi swoich kochanków, ale też porzuca ich, gdy wciąż jeszcze są młodzi. Pewnego dnia, w wieku trzydziestu lat, baron obudził się i odkrył, że jest wprawdzie właścicielem starożytnego tytułu i zniszczonego majątku, ale poza tym nie ma właściwie niczego.

Ale jednak nie był zupełnie bezużyteczny dla świata. Produktem ubocznym jego matematycznych fascynacji było zainteresowanie szyframi i umiejętność rozwiązywania skomplikowanych zagadek, od dawna budząca podziw małego kregu jego znajomych. Odsunięty od świata przez albinizm - nawet delikatne zimowe słońce Anglii mogło porazić jego bezbarwne oczy i spowodować ślepotę - a od wszelkich funkcji publicznych przez swoją religię, poszukiwał ujścia dla energii, która dotąd kanalizowała się w namiętym poszukiwaniu czystej wiedzy. Kiedy odsunął się od matematyki, rozwinał w zamiar zainteresowanie jej praktycznym zastosowaniem. Za radą nielicznych przyjaciół, których poznał w młodości, Misbourne zaczął testować teorie na ludziach zamiast na liczbach i rozgrywać gambity na szachownicy, która stanowiła całą Europę. To właśnie Misbourne'owi Wessex składał raporty i od Misbourne'a otrzymywał polecenia. Wessexowi nigdy

nie udało się odgadnąć, nawet w przybliżeniu, ile lat ma ten człowiek. Misbourne wyglądał dokładnie tak samo, odkąd Wessex go znalazł - wychudłe straszidło, niedbale ubrane. Jego bezbarwne oczy odbijały światło świec, plonąc w ciemnościach jak dwa węgle.

-Wessex? - Misbourne jak zwykle nie zwracał uwagi na tytuły. - Obawialiśmy się, że zginąłeś. Nasi agenci w Paryżu donosili o pulapce zastawionej na naszego emisariusza.

Wskazał fotel po drugiej stronie swego biurka. Wessex potrząsnął głową.

-Od zbyt wielu godzin jestem w drodze - wyjaśnił. Nie miał zamiaru zasnąć w obecności zwierzchnika.

Misbourne usiadł i spojrzał na niego wyczekująco.

-A co do pulapki... Kawaler de Reynard chyba zszedł z tego świata - powiedział z lekkim smutkiem Wessex, bo załmu by tego użytecznego wcielenia - a Monsieur Grillot zszedł z całą pewnością. Ale przynęta była tego warta. Informacje de Morriseya brzmią bardzo prawdopodobnie. Nie możemy zaryzykować ich zlekceważenia.

Pominał informacje, które Misbourne znalazł równie dobrze jak on - o rozbiciu francuskich rojalistów na kłocące się zacieki frakcji - i wyjaśnił, że Victor Saint-Lazarre - ten, który odrzucił swoje arystokratyczne tytuły po egzekucji Ludwika XVI w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim roku i głosił, że zacznie ich używać dopiero w dniu koronacji następnego Burbona - uczestniczył w tej chwili w otwarciu sezonu w domu markizy Roxbury, gdzie za dwa dni ma go zlikwidować nasłany zbrojca.

-Czy kapitan de Morrisey wyjaśnił, jak wszedł w posiadanie tych informacji? - zapytał Misbourne z zawodowym sceptycyzmem.

-Zbrojca chętnie się swoim zleceniem na przyjęciu, w którym uczestniczył de Morrisey już po internowaniu. Maja tam w końcu życie towarzyskie? - Wessex westchnął raczej z rozdrażnienia niż z zniechęcenia. To było zupełnie możliwe. Kto w końcu mógł przypuszczać, że więzien internowany w samym sercu republikanckiej Francji ma jakiegokolwiek szansę przekazania wiadomości wrogowi na zewnątrz? Wessex pod wieloma różnymi nazwiskami sam przemykał się czasami do miasta za murami, gdzie Francuzi trzymali internowanych obcokrajowców i wiedział trochę o tym miejscu z własnego doświadczenia.

-A przynajmniej - poprawił się po chwili - namiastkę życia towarzyskiego.

-Rozumiem. Czy kapitan de Morrisey był w stanie powiedzieć coś bliższego o domniemanym zbrojcy? - zapytał Misbourne z zawodowym sceptycyzmem.

Usta Wessexa drgnęły z hamowanego rozbawienia.

-Powiedział, że ten człowiek był niski i miał brązowe włosy albo peruki. Jednym słowem nic nadzwyczajnego.

-Opisałeś właśnie połowę Francuzów i większość Anglików - westchnął Misbourne. - Dlaczego nie pójść najprościej drogą i po prostu nie usunąć Saint-Lazarre'a w bezpieczne miejsce?

Przyjrzał się badawczo gościowi. Temperament Wessexa nie dał się dłużej trzymać na wodzy.

-I stracić szansę przesłuchania jednego z tajnych agentów Talleyranda? - wybuchnął. - Nie dowiedzieć się nigdy, kto jeszcze może być zamieszany w spisek?

Charles Maurice de Talleyrand-Perigord - rzeźnik o twarzy anioła i charakterze szatana - stał na czele tajnej policji Napoleona. Nawet generał Savary składał mu raporty. Talleyrand urodził się we francuskiej rodzinie szlacheckiej pół wieku temu, ale byłby może szczęśliwszy, gdyby przyszedł na świat w ubogiej chłopskiej chacie. Okulawiony przez nieuwważną połowę, wydziedziczony przez nieczulych rodziców na rzecz młodszego brata i zmuszony do wstąpienia do zakonu, stał się zgorzkniały i twardy.

Odetchnął podczas rewolucji, która uwolniła go z tych więzów. Wysoko zasiadł w krwawych rewolucyjnych komitetach i zdolał przekonać Pierwszego Konsula, by dał mu jeszcze większą władzę. Teraz Talleyrand był zatrutym kolcem w łapie angielskiego lwa... miał bowiem długie ręce i niezaspokojone ambicje.

-Spokojnie, moji drogi - Misbourne unosił delikatne dłonie w geście kapitulacji. - Masz rację, zbrojca musi zostać ujęty żywy, jeśli tylko będzie taka sposobność. Pozostaje pytanie, kogo tam posłać? Kto potrafi się znaleźć w towarzystwie? Nie chcąc bez potrzeby obrażać lady Roxbury. Ona ma z tobą coś wspólnego, prawda?

-Markiza jest chrzesznica mojej babki, a moja narzeczona. Pewnie kiedyś ja poślubię, jeśli oboje dożyjemy - wyjaśnił krótko Wessex i wzruszył ramionami. Nie wierzył, żeby Misbourne nie pamiętał tych szczegółów. Ten człowiek magazynował w głowie absolutnie wszystko; często przesadzało to o jego zwycięstwach w Grze Cienia. - Pozwól mi tam jechać. Miałbym lepszy pretekst do takiej wizyty niż ktokolwiek inny.

-Musisz być tam przed jutrzejszym wieczorem, a jeszcze lepiej dzisiaj - przypomniał Misbourne.

Mooncoign leżało w hrabstwie Wiltshire, co najmniej o dzień drogi powozem od Londynu.

Jednak Wessex, świadom, że sprawa dotyczy w pewnym i się jego rodziny, niechętnie zgodziłby się, by w tym polowa zastąpił go ktoś inny.

-Daj mi powóz i stangretę, a będę tam przed zachodem słońca - powiedział. - Znalazłbym się tam wcześniej wierzchem, ale zajeżdżiłem Hirondeła w drodze z Dover. Niewiele mu zostało sił, biedakowi.

-Pewnego dnia zabijesz siebie i konia - przepowiedział Misbourne. - W porządku. Jedź do Wiltshire i złap tego Francuza. Potem zobaczymy, co da się z nim zrobić.

W podróży Wessex od początku przesładował pech. Najpierw okulał mu konia kilka mil za Londynem, a w końcu pekała osł w powozie. W Mooncoign pojawił się więc dopiero za dnia, a nie poprzedniej nocy, jak planował. Przyjechał na wynajętym koniu, a jego bagaż miał dopiero dojechać. Zatrzymał się przed Mooncoign w wiosce Green Maiden, aby zapytać o drogę, choć wcale nie było mu to potrzebne, ale chciał przy okazji wysłuchać okolicznych plotek, co mogło się przydać. Dowiedział się, że wiosenne przyjęcie u markizy odbyło się jak zawsze i jak zwykle towarzyszyły mu sztuczne ognie, nie licząc innych rozrywek. Po przyjęciu lady Roxbury rozchorowała się ciężko, a w dodatku nie dalej jak tydzień temu jadąc powozem zderzyła się z dyliżansem z Bristolu. W wypadku zginęły jej słynne cztery ogiery, ale podobno teraz już czuła się zupełnie dobrze. Tej właśnie nocy zamierzała nawet wyprawić bal maskowy. Ta ostatnia wiadomość wcale nie poprawiała samopoczucia diuka. Każdy właściwie mógł się pojawić i anonimowo na balu maskowym, zwłaszcza że zaproszono polmarchii i jeszcze wielu gości z miasta. Obcy przybysz mógł pozostać niezauważony. Nawet jeśli będzie to francuski zaboja.

Czy taki właśnie był plan lady Roxbury?

Ta myśl rozżłościła Wessex, raczej ze względu na hanbę, która miała splamic honor jego klasy społecznej niż z powodu takiego głupstwa jak zareczyny. Równie mocno jak pochwycić mordercę, pragnął raz na zawsze rozstrzygnąć kwestię winy lub niewinności markizy. Gryząc się tą sprawą, podał długą aleję wiodącą do Mooncoign.

W blasku popołudniowego słońca pomocna fasada dworu z białego kamienia lśniła jak brylant. Dach Mooncoign ozdabiał kamienne skrzydlate figury, które wyglądały, jakby w każdej chwili były gotowe odlecieć. Trzy pokolenia Roxburych tak rozbudowały swoją siedzibę, że mogła śmiało konkurować z pałacem Blenheim. Diuka jednak niezbyt ucieszyła wiadomość, jaka mu zakomunikowano po przybyciu na miejsce - dowiedział się, że lady Roxbury nie przyjmuje gości.

Sara drgnęła nerwowo w polsni. Czowała w ustach gorzki smak. Przez jej uspijony umysł przebiegały niewyraźne obrazy - widziała wspaniałe ogiery przyozdobione piorami, czarny powóz gnający wprost na nią... była... jest...

Jest Sara. Ale temu imieniu towarzyszyły tak różne obrazy - cicha dziewczyna w skorzanej bluzie... wymalowana dama w jedwabkach i klejnotach...

Która Sara była?

Jeknęła i otworzyła oczy. Nad głową zobaczyła obcy wzór jedwabnego baldachimu przyozdobionego fredzelkami. Wspomnienia niedawnej przeszłości krążyły w jej umyśle i zderzały się ze sobą powodując zawrót głowy. Jeknęła głośno. Pamiętała zderzenie, o tak! Dokładnie widziała jego przebieg, słyszała rzenie koni i jęki rannych ludzi, czuła ogarniające ją fale bólu. To, co przed wypadkiem, było dziwnie zamazane i mgliste. Potem znów jasny fragment - pani Bulfród, w której domu się obudziła, człowiek nazwiskiem Falconer, który zarzucał jej niezrozumiałymi pretensjami, wypowiedzianymi gniewnym głosem, w którym czuła rozczarowanie... i jazda powozem. Dokąd? Do jej domu?

To nie jest mój dom, pomyślała z nagłym chłodem. Nie należy do tego miejsca. A może jednak należy? Przecież każdy to mówi... tak jej się przynajmniej zdaje.

Sara usiadła i przeciągnęła się. Dawno nie używane mięśnie, zaprotestowały bólem. Przetarła oczy. Zauważyła wymyślne koronkowe mankiety, więc przyjrzała się uważnie temu, co miała na sobie. Zrobiona z najdelikatniejszego materiału, który zwano welonem mniszki, nocna koszula cała była pokryta falbankami i koronkami. Musiało na nią pojsć tyle tkaniny, że wolała nawet nie zastanawiać się nad jej kosztem. Sara wpatrywała się w wykwinną szatkę, zamysłona. Coś tu nie

pasowalo. Cos sie wydawalo nie na miejscu - jak zaba w smietanie...

Wciaz zadumana, przelozyla nogi przez krawedz loza... i o malo nie upadla, tak zakrecilo jej sie w glowie. Na szczescie przytrzymala sie ciezkiej kotary przy lozu. Odetchnela gleboko i rozejrzala sie uwaznie po pokoju.

Jej wzrok natychmiast przyciagnal portret wieszacy nad kominkiem. Kobieta w kapiacej od klejnotow szacie, z twarza pomalowana na ksztalt maski, patrzyla na nia ostrym spojrzeniem. Taki wzrok widywala tylko w lustrze... Czyzby byly spokrewnione? Ozdobione pierscieniami dlonie kobiety dzierzyla klucz, sztylet i roze - przedmioty te Sarze absolutnie z niczym sie nie kojarzyly.

Wiedziona nieodparta sila, siegnela do piersi i nagle sobie sprawe, ze nie czuje tam znajomego ciezararu.

Pierscien!

Odrzucajac na bok wszelkie inne mysli, Sara rzucila sie do przeszukiwania pokoju. Nie zaprzestala, dopoki nie znalazla pierscienia w jednej z szuflad nocnej szafki. Szybko odwrocila czarny kamien i zobaczyla wyryte w srebrze znane sobie wzory. Po czula niewyslowiona ulge. Chociaz nie wszystko mogla przypomniec, to jedyne wspomnienie bylo przynajmniej realne i prawdziwe. Znikla jednak niebieska wstazka. Sara przymierzyla pierscien na kazdy palec, az wreszcie zostawila go na srodkowym lewej reki. Przynajmniej ten skarb nadal nalezal do niej. Ale skad te mysli? Przeciez wszystko to nalezalo do niej. To bylo Mooncoign - jej dom.

Uniosla dlon do pulsujacych bolem skroni. Obcy luksus otaczal ja ze wszystkich stron. Jej spojrzenie przyciagnelo okno a za nim parkowa gestwina otaczajaca Mooncoign, lsniaca zielen w promieniach wiosennego slonca.

To nie jest prawdziwy las. To klamstwo, jak wszystko wokol, pomyslala z naglym przestraszaniem.

Tak wlasnie bylo! Wszystko tu bylo nieprawdziwe. Teatralna sztuka, w ktorej realnosc nie wierzy zaden z aktorow. Ci ludzie zachowujacy sie tak dziwnie, tytulujacy ja cudza godnoscia... to byla gra.

Ale kto gral w te gre i dlaczego? Sara nie znalazla za oknem odpowiedzi na dreczace ja pytania. Jej chwilowa pewnosc siebie zwiedla i rozsypala sie w podarte na strzepy wspomnienia...

Powoli doszlo do jej swiadomosci, ze od kilku chwil slyszy narastajacy gwar ludzkich glosow, dochodzacy zza zamknietych debowych drzwi, ktore prowadzily na zewnetrzny swiat.

-Nie obchodzi mnie jej bol glowy! Musze ja widziec! - wrzasnal nieznany meski glos, gdy drzwi otworzily sie z rozmachem.

Sara spojrzala w tamtym kierunku.

Obcy mial oczy czarne jak otchlan piekla. Jego jasne wlosy, przewiazane ciemna wstega nad karkiem, opadaly swobodnie na plecy. Mial na sobie niebieska koszule z najprzedniejszej tkaniny, biale skorzane spodnie i ozdobiona fredzlami kurtke do konnej jazdy. Trzymal pare rekawic i szpicrute ze srebrnym zakonczeniem, a kiedy sie poruszyl, Sara dostrzegla blysk drogiego kamienia w spince krawata. Patrzyla na niego z nieswiadomym zachwytem.

Przybysz nieoczekiwanie zaczerwienil sie i zmieszal, kiedy zauwazyl muslinowa koszule nocna Sary.

-Ja... bardzo przepraszam... lady Roxbury. Nie sadzilem... powinienem byl zaczekac... prosze o wybaczenie... - powiedzial odwracajac oczy.

Zanim Sara zdazyla ochlonac, diuk Wessex wycofal sie do salonu i zamknal za soba cicho drzwi.

Stal teraz w salonie lady Roxbury usilujac dojsc do siebie po tym nieoczekiwanym zdarzeniu. Wciaz jeszcze byl zarumieniony ze wstydu. Maniery arystokracji byly wprawdzie dosc swobodne, ale do pewnych granic. Wessex doskonale wiedzial, ze wlasnie przekroczyl jedna z nich: wtargnal do prywatnego pokoju niezameznej kobiety, a w dodatku zastal ja w bieliznie. Nie mial innego wyjscia; musial, upokorzony, pokornie wycofac sie za drzwi.

Nie udawane zdumienie lady Roxbury tylko zwiekszylo jego poczucie winy. Kiedy wpadl jak wicher do komnaty, markiza stala przytrzymujac sie zaslony, a cienka muslinowa koszula zsunela sie ze szczuplego ramienia. Miala rozpuszczone wlosy i blada twarz bez makijazu; wygladala na znacznie mniejsza i bardziej bezbronna niz kobieta, jaka zapamietal.

Czekal cierpliwie, az markiza do niego wyjdzie. Nic innego mu nie pozostalo.

Usłyszał, że otwierają się drzwi, ale nie te prowadzące Sypialni markizy. Pojawiła się w nich wiekowa kobieta, której władcza postawa świadczyła o znaczeniu na dworze.

-Co pana sprowadza do tego domu? - zapytała ostro. Skojarzyło się to Wessexowi z gdakaniem kury, która chroni swoje jedyne piskle. Przez nie domknięte drzwi za jej plecami dostrzegł kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy najwyraźniej czekali na instrukcje.

-Przyjechałem złożyć wyrazy szacunku twojej pani - wyjaśnił Wessex. - Proszę zapytać, czy zechce mnie przyjąć - poprosił uprzejmie, jakby to nie on wtargnął przed chwilą do sypialni lady Roxbury. - Proszę przekazać, że przybył jej narzeczony.

Wolałby wprawdzie nie wykorzystywać tego ostatniego argumentu, zwłaszcza że nie był pewien trwałości tych zaręczyn, ale musiał porozmawiać z markizą. Obawiał się, że po takim wyburzeniu dumnej lady Roxbury nie zechce go widzieć.

-Zapytam jej dostojność - odpowiedziała z wahaniem staruszka i znikła w sypialni markizy.

Zamknęła za sobą drzwi nader energicznie - widocznie nie była tak stara ani tak słaba, na jaką chciała wyglądać.

Wessex bez namysłu zamknął drugie drzwi przed nosem stojących na korytarzu służących, zbliżył się do drzwi sypialni i bezszelestnie przyłożył do nich ucho. Niestety nie docierał do niego nawet szmer.

Gardner była równie zdumiona jak Sara przed chwilą, widząc swoją panią na nogach, lekko tylko przytrzymującą się kotary.

-Pani - powiedziała sztywno i służebnie - czy mam wezwać damę Alecto?

Nie! - rozległ się wewnętrzny dzwonek alarmowy w umyśle Sary. Jednocześnie poczuła gwałtowny przypływ energii.

-Po co? - zapytała chłodno. - Czuje się już zupełnie dobrze. Powiedz mi, proszę, kim był ten mężczyzna?

-Natychmiast go odesła - obiecała Gardner. - Pani, daleko ci jeszcze do pełnego zdrowia. Osłabienie po wypadku...

-To było wiele dni temu - przerwała Sara. Wciąż miała chaos w umyśle, ale czuła też chęć... nie, nie ucieczki, ale przejęcia kontroli nad swoim postępowaniem. - Moi... - zahała się, ale odpowiednie słowa przyszły same - moi goście z pewnością będą chcieli mnie zobaczyć. Przynies mi ubranie.

-Ależ, pani... - zaprotestowała Gardner.

Sara nie odezwała się ani słowem. Wreszcie stara piastunka musiała skapitulować.

-Dobrze, lady Roxbury. Prześle tu Knoyle, aby pomogła ci się ubrać.

A więc zwycięstwo. Ale to jeszcze nie koniec...

-Powiedz temu mężczyźnie, że go przyjme, gdy tylko się ubierze - dodała władczym głosem. Przeczynała, że ten człowiek może mieć klucz do rozwikłania otaczającej ją tajemnicy.

6. MASKARADA POŚROD CIENI

Kiedy uzyskał zapewnienie Gardner, że markiza przyjmie go, jak tylko się ubierze, Wessex bez protestu udał się za lokajem do drugiego skrzydła dworu. Służący wziął jego kurtkę i buty do wyczyszczenia, a Wessex spróbował poprawić stan reszty stroju na tyle, na ile było to możliwe. Kiedy się z tym uporał, uznał z zadowoleniem, że patrząc na niego z lustra postać bardziej przypomina diuka Wessex niż szalonego kawalera de Reynard albo kogoś z jego duchowych braci. Na szczęście miał przy sobie rodowy sygnet, którym mógł udowodnić swoją tożsamość. Wessex zerknął jeszcze raz uważnie w lustro i stwierdził, że w roli narzeczonego prezentuje się zupełnie niezłe, jak zresztą w każdej, która musiał odgrywać w różnych okolicznościach. Dotknął kamienia w pierścieniu, który nosił na lewej dłoni i uśmiechnął się, bo przyszło mu do myśli, że lady Roxbury nie doceniłaby prawdziwego znaczenia tego klejnotu.

Nacisnął jedną z palek korony herbowej salamandry. Kamień unosił się na miniaturowym ramieniu, które jeszcze przed chwilą zdawało się ornamentem zdobiacym krawędź. Pod palcem Wessexa obrócił się, by ukazać niespodziankę. Na spodzie mienia widniał precyzyjnie wygrawerowany obraz, który tylko dwunastu mężczyzn i jedna kobieta spośród żyjących mogli oglądać. Był to wizerunek debu, błyszczący złotem na tle srebrnej pola. U stop debu spał z głową na ziemi jednorożec, a nad konarami drzewa błyszczała królewska korona. Boscobel - Królewski Dab. A dla Wessexa także symbol

podwójnej lojalności, która rozdzierała na dwie części jego duszę...

Założyciel sekretnej Ligi był świadkiem ścięcia swojego ojca, króla Karola I, przez jego własnych poddanych. On sam spędził długie lata gorzkiego wygnania na wszystkich dworach Europy, podczas gdy jego dziedziczne prawa deptył twardy, ale Cromwella. Kiedy Karol Stuart ponownie powrócił na tron, z łaski Lordów i Gmin, ci zdecydowali, że od tej pory to Anglia i król będą tańczyć, jak Parlament zagra, Parlament zaś może lekceważyć zadania króla.

Od tej pory Karol Stuart - Karol II, król Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii - tańczył, uśmiechał się i kłaniał, a potajemnie wykuwał miecz, który miał bronić Anglii przed nią samą, gdy nadejdzie taka potrzeba. Liga Boscobel - dwunastu mężczyzn i jedna kobieta, nigdy więcej i nigdy mniej. Każde było wybierane przez swojego poprzednika za aprobatą króla, nieważne, z jakiej warstwy społecznej. Musieli tylko być lojalni wobec króla lub królowej, bardziej niż wobec ojczyzny.

Założyciel postanowił, że Liga nigdy nie obejmie większej liczby członków, że będzie finansowana wyłącznie z prywatnej szkatuły i że każdy władca po wstąpieniu na tron raz - ale tylko raz - będzie miał szansę rozwiązania tej sekretnej broni. Pięciu kolejnych władców ją zachowało, ale też nigdy do tej pory miecz nie został użyty.

Do tej pory...

To, co Wessex robił we Francji, odbywało się na rozkaz jego zwierzchników z Białej Wieży. Jednak najpierw przysięgał Lidze i to się liczyło najbardziej. Jeśli taki byłby rozkaz, zdradziłby Anglię dla króla Anglii.

Czy na pewno?

Do tej pory los oszczędzał mu szarpaniny między dwiema przysięgami. Służba dla narodu była służbą dla króla i Wessex miał nadzieję, że nigdy nie będzie inaczej. Prosił o to podczas rzadkich chwil modlitwy.

A przecież taka możliwość istniała. Wessex, zawieszony między Wieżą a Debem - dwiema świętymi przysięgami - żył z myślą o tym, że pewnego dnia będzie musiał się sprzeniewierzyć jednej z nich. Jeśli miał inne problemy, uspokajała go świadomość, że naprawdę trudny problem jeszcze jest przed nim.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi.

-Markiza przyjmie pana teraz, wasza miłość.

Gdy pokojowka Sary, pod nadzorem Gardner, pomagała jej się ubierać, dama Aleto była nieobecna, ale pojawił się doktor Falconer i zmusił ją, żeby poddała się badaniu. Z uwagą osłuchiwał jej piersi i plecy, a Sara przyglądała mu się z rozbudzoną na nowo podejrzliwością. Ten człowiek podobno jest jej osobistym lekarzem, dlaczego więc wydaje się jej całkowicie obcy? W ogóle go nie pamięta!

Zdołała jednak zachować obojętną minę. Była markiza Roxbury, a to Mooncoign - jej dom. Jak opowieści zasłyszane od innych, powoli wracały do pamięci obrazy z jej życia - osierocenie w dzieciństwie, wyniosłe maniere, odkąd nauczyła się jeździć na swoim pierwszym kucyku, przejęcie pełnej kontroli nad własnym życiem w wieku szesnastu lat...

-Nie znajduje niczego groźnego, wasza dostojność - powiedział wreszcie Falconer ku jej wielkiej uldze. - Wyszła pani cała z tej katastrofy. Zdarzały się gorsze upadki podczas polowań... chociaż nie mogę powiedzieć, by podobał mi się ten czterodniowy sen. - Patrzył jej uważnie w oczy. Wydawało się Sarze, że mają wspólną tajemnicę. Ale jaka? - Ostrzegam, może pani jeszcze załować tego układu... a nielato będzie go zerwać.

Już po raz drugi wspomniał o układzie, a ona w dalszym ciągu nie miała najmniejszego pojęcia, o co mu chodzi. Wzruszyła ramionami.

-Zadnego układu nie można łatwo zerwać, doktorze.

-Spada to na pani sumienie - zawyrokował Falconer, jakby był sędzią, a nie lekarzem.

Zebrал swoje narzędzia i szybkim krokiem opuścił pokój.

Jestem pewna, że go obraziłam, pomyślała Sara. W dodatku absolutnie nie wiem dlaczego. Może byłoby lepiej, gdyby to sędzią, że obraził mnie...

Do jej głowy napływały dziwne, obce myśli. Odrzuciła je i dopiero teraz uswiadomiła sobie obecność Knoyle. Pokojowka biegła podniecona po pokoju i prezentowała różne części nieznanej Sarze garderoby, aby wybrała sobie stosowny strój. Knoyle ją знаła. Knoyle była jej osobistą pokojówką. Dlaczego więc ona nie zna Knoyle?

-... można powiedzieć, że diuk jest przystojny, a to jego spojrzenie...

-Nieco mnie zaskoczył - powiedziała ostrożnie Sara.

-Bo też wtargnął do pokoju waszej dostojności jak dzikus - dodała z dezaprobatą Knoyle. - Co by jego babka, która jest także matką chrzestną waszej dostojności, powiedziała na zachowanie?

Pytanie najwyraźniej nie wymagało odpowiedzi. Knoyle ciągnęła krytycznie nosem i kontynuowała swój monolog.

-Od kiedy ojciec waszej dostojności zareczył was oboje szesnastych urodzinach...

-Mam poślubić tego diuka? - przerwała poruszona i przerażona Sara.

-Wasza dostojność musi kogoś poślubić - włączyła się z naciskiem Gardner. - A ziemie diuka graniczą z ziemiami paniąki, więc co może być stosowniejszego?

W sercu Sary zawrzał bunt. Knoyle, wciąż trąkając, zawiązywała tasiemki, a Sara zastanawiała się głęboko. Choć wszystkie wspomnienia zdawały jej się bardzo mgliste, jednego by pewna - nigdy nie godziła się na poślubienie tego diuka Wessex.

Knoyle wspominała coś o zareczynach w dzieciństwie. Ta umowa można chyba łatwo zerwać i wymigać się od tego małżeństwa.

Knoyle wyszła na moment. Sara słyszała dochodzącą zza drzwi jej cichą rozmowę ze służącą, której zadaniem było dbanie o garderobę lady Roxbury. Odwróciła się do starej piastunki, która właśnie zbliżała się z ciepłym pledem, by zarzucić go na ramiona stojącej w samej bieliznie Sary, chociaż w pokoju, ogrzewanym ogniem w kominku, było bardzo ciepło.

-Nie przesadzaj z tą troskliwością, Gardner. Jestem już dorosła - zaprotestowała Sara.

-Dla mnie i tak zawsze będziesz dzieckiem - powiedziała z przekonaniem Gardner. - W końcu odebrałam cię podczas porodu. Twoja droga mama nie miała nikogo oprócz mnie do pomocy, chociaż niektórzy mówili wtedy, że jestem już na to za stara - dodała jeszcze.

Sara poczuła się zupełnie zagubiona, widząc prawdziwą troskę malującą się na twarzy Gardner. Jak to możliwe, że wszyscy wokół wiedzą o niej wszystko, a ona w ogóle tych ludzi nie pamięta!

-Proszę bardzo, wasza dostojność, oto najnowsza suknia. Jest taka piękna, że na policzki waszej dostojności na pewno powrócą rumieńce.

Sara zerknęła na zółta jak pierwiosnek, wzorzysta muslinowa suknie, którą Knoyle niosła z dumą przewieszoną przez rękę. Kołnierzyk i bufiaste rekawy tej kreacji były ozdobione zielonymi wstawkami i małymi jedwabnymi rozyczkami na koronkowym tle.

-Jaka słiczna! - zawołała Sara.

Tak, suknia była piękna jak kwiat - ciesząca oko, ale zupełnie niepraktyczna.

Sara bez oporu pozwoliła Knoyle ubrać się w nią, a potem ułożyć włosy. Gardner narzuciła jej jeszcze kaszmirowy szal na ramiona. Kiedy skończyły, na Sare patrzyła z lustrą obca osoba o wysoko upiętej fryzurze i tak nieprzyzwoicie obnażona... osoba, której nie знаła.

-A teraz przyniosę szkatułkę z klejnotami - powiedziała zadowolona z siebie Knoyle.

-Nie trzeba - zniecierpliwiała się Sara, obracając nerwowo swój piersień na palcu.

Teraz, kiedy znowu odzyskiwała siły, coraz bardziej pragnęła zobaczyć świat poza ścianami tego pokoju. I dowiedzieć się, czego od niej chce diuk Wessex... a może także zorientować się, jak uniknąć ich przyszłego małżeństwa.

-Więc gdzie jest diuk?

Dom był dla niej zupełnie obcy, ale towarzyszyła jej Knoyle, jakby spodziewała się, że Sara będzie potrzebowała pomocy dłoni, aby dała radę utrzymać się na nogach. Wiodła Sare przez nieznaną korytarze, aż dotarły do biblioteki. Knoyle stanęła nieruchomo przy drzwiach, niczym ktoś z zbroi, jakie mijaly po drodze, Sara zaś rozglądała się z zainteresowaniem po pokoju. Po głowie przemykały jej historie, które ktoś - kto? - jej opowiadał.

Legendy rodzinne glosily, ze w czasach krola Karola I, nim jeszcze Roxbury'owie przemierzali te korytarze, pokoj nie byl biblioteka, ale kaplica sluzaca katolickim mieszkano dworu. Purytanska burza i Restauracja zniszczily wprawdzie i wody tego, jesli jakies w ogole istnialy - ale pozostaly wspaniale witraze na pomocnej scianie, a ulozone z kolorowych szybek wzory nie pasowaly do biblioteki. Sara patrzyla przez witraze na swiat, ktory raz byl czerwony, potem zielony, niebieski, az wreszcie przybral dziwna bursztynowa barwe.

W bibliotece nie bylo teraz nic poza ksiazkami i dziełami sztuki.

"Tamte antyki ojciec przywiozl z Grecji, a ten obraz Canaletta to podarunek krola Karola dla dziadka"... - przypomina sobie Sara nie wiadomo jakim sposobem.

Podeszła do polek i wzięła pierwsza z brzegu ksiazke. Było ich tu więcej niż przeczytała w całym swoim życiu... dlaczego ja to dziwilo?

-Lady Roxbury?

Sara odwróciła się automatycznie, odkładając ksiazke. Nerwowo przekreciła pierscien na palcu. Do biblioteki drugimi drzwiami wszedł diuk Wessex.

-Wasza miłość... - właściwy tytuł jakos sam się pojawił w pamięci. - Co wasza miłość tu robi?

Wessex zerknął na stojącą przy drzwiach Knoyle i podszedł do Sary.

-Odeslij pokojowke.

-Słu... słucham? - Sara nie była pewna, czy dobrze go uslyszala.

-To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu, lady Roxbury. Nie chce, by powtarzano to w kazdej angielskiej kuchni.

Sara spojrzala na Knoyle, ale nie uzyskala zadnej pomocy. Twarz pokojowki byla pozbawiona wyrazu; nic nie sugerowalo, czy zyczenie Wessexa jest rozsadne, czy tez nie do przyjecia. Sara spojrzala na goscia, starajac sie go ocenic.

Ostre rysy, ciemne kregi pod oczami sugerujace zmeczenie. Usta zdradzaly temperament, ale i chlodna kalkulacje... cos jednak podpowiedzialo Sarze, ze powinna zgodzic sie na jego prosbe.

-Zostaw nas, Knoyle.

Twarz pokojowki skrzywila sie w niemym protescie, ale Sara przymknela oczy nakazujac jej posluch. Po chwili Knoyle uklonila sie bez slowa i opuscila pokoj.

Kiedy tylko wyszła, Wessex okrazil kocim krokiem biblioteke, jakby mimochodem zerkajac za zaslony i za fotel przy kominku. Wyraznie chcial sie upewnic, czy nikt nie ukrywa sie w pokoju. Zanim Sara zdazyla go zapytac o powod tego dziwnego zachowania, zwrocil sie do niej.

-Victor Saint-Lazarre jest jednym z twoich gosci - powiedzial bez zadnego wstepu.

"Victor Saint-Lazarre, rojalista" - podpowiedzial Sarze jakis ukryty glos.

-Zgadza sie - odparla.

-Dlaczego go zaprosilas? - zapytal natarczywie.

Nie miala najmniejszego pojecia. Zdenerwowala sie jeszcze bardziej. Kiedy poruszyła nerwowo reka, za duzy pierscien zsunal sie jej z palca, upadł i potoczyl sie po tureckim dywanie pod blyszczace buty Wessexa. Gosc nachylil sie i podniosl klejnot. Sara dostrzegla przerazona, ze wstrzas uruchomil sekretny mechanizm i kamien obrocil sie ukazujac ukryta druga strone. Kiedy diuk Wessex zauwazyl jednorozca u stop debu, zamarl w bezruchu.

"Ona jest jedna z nas!" To nieoczekiwane odkrycie spowodowalo, ze ciezki kamien spadl z serca diuka. Nie musial wiec obawiac sie zdrady ze strony lady Roxbury - jesli byla członkiem Ligi Boscobel, zarowno jej honor, jak i lojalnosc byly poza wszelkim podejrzeniem.

Członkowie Ligi nie znali sie nawzajem - zarowno oni, jak i kandydaci uczestniczyli w spotkaniach zamaskowani, nie bylo tez zadnej listy uczestnikow. Wessex sam nie mial pojecia, kim sa pozostali. Ale nie istnial formalny zakaz, by jeden z

członki Ligi ujawnił się drugiemu, gdyby zaszła taka konieczność. Wessex błogosławił inteligencję lady Roxbury, że właśnie coś takiego uczyniła. Jej czyn był zresztą zupełnie bezpieczny; ten symbol nie miał absolutnie żadnego znaczenia dla ludzi spoza Ligi... za to dla członków Ligi oznaczał wszystko.

Podniósł wzrok i zobaczył wpatrzony w siebie szare oczy markizy. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Coż, nie mogła wiedzieć, że on też jest członkiem Ligi Boscobel. Na pewno oczekuje teraz wskazówki, czy to posunięcie było udane, czy chybotane. Ale nie zdradzała zainteresowania, nieprzenikniona jak pokerzysta. Wessex poczuł się podniesiony na duchu. Jeśli Roxbury będzie po jego stronie w tej grze, z łatwością uratuje Saint-Lazarre'a i złapie niedoszłego zbrojnego.

- Twój pierścionek, lady Roxbury. Bardzo piękny klejnot - dodał, wprawnym ruchem przesuwając kamień i obracając go na właściwą stronę. - Widziałem już kiedyś taki.

- Ach tak? - odparła chłodno markiza, jakby nie interesowało jej to w najmniejszym stopniu. - Czy wasza miłość może łaskawie zdradzić te tajemnice, których nie mogła usłyszeć moja pokojówka.

Teraz, kiedy był absolutnie pewien jej lojalności, powie po prostu:

- Victor Saint-Lazarre ma być zamordowany. Tutaj, dzisiaj w twoim domu... przez agenta mistrza szpiegów Talleyranda, który zrobi wszystko, by zniszczyć spisek rojalistów.

- Zamordowany? W moim domu? - głos jej dostojności zachował chłodne brzmienie, ale tym razem nie zdołała ukryć poruszenia.

- Tak, jeżeli w tym nie przeszkodzimy. Nie wiem, kto ma być zbrojnym, ale jeśli mamy dostać go żywcem, nie możemy go spłoszyć. Dlatego tu jestem... bo akurat moje odwiedziny można łatwo wytłumaczyć.

- Naszymi zareczynami, prawda? - Usłyszał w jej głosie jawną niechęć. Wzdrygnął się lekko. Czy kobiety nie mają wyczuć czasu?

- Tak - powiedział krótko. - Na razie nie ma co się nad tym rozwódzić. To było dziewięć lat temu. Jeśli o mnie chodzi, możemy pozostać narzeczonymi jeszcze następne szesćdziesiąt. Ważniejsze jest, że dziś w nocy, o czym wie cała monarchia, wydajesz bal maskowy. Sądzę, że wtedy właśnie uderzy zbrojny.

- Trzeba go powstrzymać - odparła automatycznie Sara i zmarszczyła brwi w zamysleniu. - Ale jak?

- Pozostaw to mnie - powiedział Wessex. - Chcę tylko zostać zaproszony na ten bal. O resztę już zadbam.

Sara stała chwilę w milczeniu, zastanawiając się, co powinna zrobić. Coś w głębi jej umysłu krzyczało, że to wszystko jest dziwne i obce - ale ten wewnętrzny głos był odległy, stłumiony przez zapewnienia doktora i służby, przez samo istnienie Mooncoign. Jestem Roxbury, pomyślała, powtarzając to, co usłyszała, gdy po raz pierwszy obudziła się w tym świecie. Jestem pani Mooncoign. Jestem lojalna poddana króla. Słaby krzyk protestu zamilkł wobec tych oczywistych faktów. Teraz już przekonana, Sara uniosła wzrok i spojrzała wprost w czarne oczy Wessexa.

- Co mam zrobić? - zapytała pewnym głosem.

7. NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE W BLASKU KSIEZYCA

W swojej wiejskiej posiadłości Wessex ponuro przyglądał się rozrzuconym na łozu różnym częścią garderoby. Wymyślne kostiumy na bale maskowe zamawiano na tygodnie, a nawet czasem miesiące przed balem. Wessex, który nie spodziewał się uczestniczyć w takiej imprezie, nie zadbał o ten drobiazg. No cóż, będzie musiał wystarczyć normalny strój wieczorowy.

Zanim pojechał się przebrać na maskaradę, spędził kilka godzin rozglądając się wśród gości lady Roxbury. Jej pałac niemal pękał w szwach od zjeżdżających się zewsząd ludzi, którzy wyczuwając dobrą zabawę ściągali już od trzech dni. Zresztą wszystkie okoliczne domy, a wśród nich siedziba Wessexa, też przeżywały najazd.

Wprawdzie w rezydencji nie było żadnego członka Rodziny, ale Wessex był pewien, że przed wyjazdem do Francji przekazał komuś zaproszenie - wtedy nie przywiązywał do tego specjalnej wagi. Przy takich okazjach zawsze gościł trochę arystokratycznej młodzieży, która przed balem wolała zatrzymać się w jego dworze niż w przepelnionym Mooncoign.

Na razie jednak przyglądał się z niechęcią balaganowi w sypialni. Dzisiejszy bal maskowy z punktu widzenia zbrojnego był prawdziwym darem niebios, a on naprawdę nie miał nic odpowiedniego na tę okazję. Zwykły strój będzie go niepotrzebnie wyróżniał, a w dodatku jest niepraktyczny.

Przynajmniej mogli liczyć na pomoc markizy, chociaż ona zapewne nie wiedziała, że dzieli z nią członkostwo w Lidze. Powinien się jej zwierzyć, ale powstrzymała go dziwna ostrożność. Przynajmniej przez całe życie nawyk chowania się w cieniu był zbyt silnie zakorzeniony. Nie przestawało go dziwić, że lady Roxbury tak się przed nim odkryła. Jak mało wiemy o ludziach których podobno znamy!

Nagle szelest w krzakach pod otwartym oknem zelektryzował Wessexa. Wsunął błyskawicznie dłoń do kieszeni i chwycił zegarek kieszonkowy, który oprócz wskazywania czasu pełnił jeszcze inną funkcję - był jednorazowym pistoletem dla tych, którzy znali jego sekret. Skradając się kocim krokiem Wessex przywarł do ściany obok okna, trzymając w prawym ręku sekretną broń.

-Wasza miłość, może byś tak pomógł przyjacielowi wdrapać się na górę? - usłyszał znajomy głos.

Wessex uśmiechnął się szeroko. Rozluźniony wychylił się przez okno, pomagając przybyszowi wejść do środka.

-A co ty tu, u diabła, robisz? - zapytał całkiem rozsądnie.

-Przynoszę ci kostium - odparł z uśmiechem Illia Kosciuszko.

Mówił po angielsku płynnie, choć z lekkim akcentem. Za to bezbłędnie władał niemieckim, francuskim i oczywiście ojczystym polskim.

Był w galowym mundurze, co Wessex zauważył, kiedy przyjaciel z trudem forsował okno. Wysokie czako z niedzwiedziego futra i sterczące nad głową skrzydła z orlich piór przyłączone z tyłu do ciemnozielonej, podbitej futrem szuby, za nic nie chciały się zmieścić w futrynie. Wreszcie jakos wszedł, choć Wessex tylko dzięki szybkiemu refleksowi zdolał w porę złapać jego spadające czako.

-Widzę, że podróżujesz incognito - zauważył.

-A, o to chodzi? Mój mundur może być doskonałym strojem na dzisiejszy bal, a gdybym się nie załapał, zawsze mogę iść straszyć dzieci - odparł Illia. Jego oczy błyszczały rozbawieniem.

Przesunął dłoń po płowych włosach, które zgodnie z modą były krótko przycięte z przodu; dłuższe loki z tyłu uczesał w warkoczki przewiązane jedwabnymi tasiemkami, jak często nosili huzarzy z polskich regimentów.

W ojczystej Polsce Illia Kosciuszko był arystokratą i jak wielu najstarszych synów z arystokratycznych rodzin związał swoje losy z armią. Wstąpił do elitarnego regimentu lekkiej jazdy, której uniformę właśnie miał na sobie*. Chociaż jego kraj właściwie już nie istniał, podzielony jak tort pomiędzy Rosję, Prusy i Austrię podczas trzech rozbiorów, Illia Kosciuszko był wielkim patriotą, który marzył o wskrzeszeniu niepodległej Polski, choć nie za wszelką cenę.

W odróżnieniu od wielu swoich rodaków, którzy po ostatecznym unicestwieniu ojczyzny w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym roku uciekli na dwór francuski w poszukiwaniu wsparcia, on wierzył raczej, że ratunek dla kraju przyjdzie ze strony Europy uwolnionej od korsykańskiego tyrańca. Nie podążył więc do Francji wraz ze swoim regimentem, ale wybrał drogę intrygi i cienia. Na tej drodze zwrócił najpierw na siebie uwagę Wessexa, a potem i Białej Wieży. Już od pięciu lat był towarzyszem i najbliższym przyjacielem diuka.

Te pare różniło prawie wszystko. Polska była ofiarą trzech potęg - sojuszników Brytanii, a wroga Brytanii - Francji - wielu uważało za ratunek dla Polski. Mimo kaprysów losu, które pozbawiły go tytułów i majątku, Kosciuszko pozostał wesółym i otwartym człowiekiem, tak goracokrwistym, jak Wessex chłodnym, tak autentycznym, jak Wessex sztucznym i zmanierowanym...

Ale podobnie jak przyjaciel miał jedną jedyną namietność: Gre Cienia i walkę z tyranem, który przesunął granice na mapie Europy znacznie brutalniej niż kiedykolwiek czynił to rosyjski car.

-Mówiłeś coś o kostiumie - przypomniał Wessex. - Skąd u licha...

-Mamy swoje sposoby - parsknął śmiechem Kosciuszko! Uznałem, że lepiej ci pójdzie z tą małą Roxbury i z tym typkiem Talleyranda, jeśli to włożysz.

Ostrożnie - znając dobrze poczucie humoru przyjaciela - Wessex odwinał pakunek.

Zawierał pozłacany kartonowy hełm z biegnącym przez środek grzebieniem szkarłatnych czapliwych piór, sięgający ziemi, równie szkarłatny jedwabny płaszcz, napiersnik i pare innych, równie starannie wykonanych z drewna i kartonu, pozłacanych elementów zbroi.

-Stroj ma sporo niezłych skrytek, zwłaszcza polecam nakolanniki - wskazał Kosciuszko.

-Wiem mam być dostojnym Rzymianinem? - zapytał rozbawiony Wessex.

-Ave Caesar- mruknął Kosciuszko z głębokim ukłonem!

Wessex zdolał w ostatniej chwili uskoczyć z zasięgu skrzydeł, które przecięły powietrze jak dwie pierzaste gilotyny. Wystawały co najmniej o jard nad głowę Kosciuszki. Wessex wiedział, że podczas galopu regimentu uderzający w niego ped powietrza wywoływał przeraźliwy szum, który fatalnie oddziaływał na morale przeciwnika.

-Musisz mi kiedyś pokazać, jak sobie radzisz z tym czymś na plecach - Wessex wskazał wzrokiem orle piora.

Kosciuszko spojrzał na niego łagodnie jasnobrazowymi oczami.

-Radzę sobie całkiem niezle - powiedział tajemniczo. - Zobaczysz, będę się dziś ukrywał w ogrodach lady Roxbury bez obawy, że dostrzeże mnie któryś z jej ogrodników.

-Miejmy nadzieję, że kto inny nie będzie miał tyle szczęścia - odparł na to Wessex.

Nikt nie zostanie zamordowany w Mooncoign. To postanowienie dodawało Sarze odwagi podczas tych kilku godzin między rozmową z Wessexem a wieczornym balem. Uroczysty obiad przelożono o godzinie, aby dać wszystkim gościom czas na przygotowanie się do wieczornej maskarady, a w głównej sali zaczęto już nakrywać na czterdzieści pięć osób.

Dame Alecto wróciła po tajemniczej popołudniowej nieobecności i zapewniła Sarę, że dziś wieczorem wszystko pojdzie dobrze. I rzeczywiście na to się zanosilo.

Jakby wzmocniona oczekiwaniami gości, lady Roxbury z łatwością przeprowadziła uroczystemu obiadowi; bez trudu wpadła w rolę władczą i pewnej siebie markizy. Rozmowa toczyła się przede wszystkim wokół ostatnich zaręczyn Jakuba księcia Walii z księżniczką dąską Stefanią Julianną - a był to krok, który w zamierzeniach ojca Jakuba miał skończyć z neutralnością Danii i pozbawić Bestie potencjalnej bazy na północy do inwazji na Anglię i Szkocję. - Żadnemu narodowi, nieważne jak bardzo ceni się pojęcie suwerenności, nie można pozwolić na dokonywanie masowych rzezi wśród własnych obywateli, a tym bardziej na ścięcie własnego króla. Tym bardziej nie można pozwolić, aby jeden naród zamieniał całą Europę w swoje imperium. Właśnie na równowadze i wzajemnym szachowaniu się narodów i królestw polega pokój i wolność - mówił Victor Saint-Lazarre.

Po rewelacjach Wessexu Sara postarała się, aby Saint-Lazarre siedział przy stole po jej prawej ręce. Teraz uważnie mu się przyglądała. Jasnowłosy, szczupły mężczyzna o niebieskich oczach mówił z pasją o pokoju w Europie, która właśnie tonęła w morzu krwi.

-W rzeczy samej, sir... ale czy to prawda, co mówią, że korsykański tyran jest ateista? - zapytała dama siedząca po prawej stronie Saint-Lazarre'a.

-Jest czymś jeszcze gorszym - odparł zapytany. - On wierzy, że jest obdarzony szczególnymi łaskami Boga, że jest wybranym, tym, któremu nikt nie może się sprzeciwić. W krajach, którymi rządzi, przegnał czarownice z ich kregów, a Magiczny Lud z jego wzgórz. Zakazał w ogóle praktykowania Magii.

Rozległy się szepty zszokowanych współbiedniaków. Jedna z kobiet przesunęła palcami po srebrnej gwiazdzie zawieszanej na szyi, jakby chcąc się upewnić, czy wciąż znajduje się na swoim miejscu. Potem jednak rozmowa potoczyła się w innym kierunku. Tak naprawdę wielka polityka nie była w centrum zainteresowania towarzystwa, z wyjątkiem może jednego Saint-Lazarre'a.

Sarze trudno było się powstrzymać przed ostrzeżeniem Saint-Lazarre'a, tak samo jak przed studiowaniem twarzy swoich gości w poszukiwaniu zbrojcy. Musiała zaufać Wessexowi, inaczej przyszedłoby jej samej zegłować przez przerażające morze niepewności. A na to chyba nawet ona nie miała dość hartu ducha. Wessex zresztą był całkowicie przekonany, że jego plan się powiedzie, że zdolają we dwoje poczekać między gośćmi właściwy moment, aż niedoszły morderca Saint-Lazarre'a sam wpadnie im w ręce.

W oczekiwaniu na moment działania rozplynęły się przerażające obszary pustki w pamięci Sary, a przynajmniej ukryły się na razie wśród śmiechu i rozmów. Sara była naprawdę w doskonałym nastroju, gdy razem z pozostałymi kobietami opuściła wreszcie jadalnię. Udały się do zamienionych w garderoby pokojów, aby przygotować wymyślne stroje na wieczorny bal.

Sara Cunningham spojrzała krytycznie na swoje odbicie w lustrze w garderobie. Jasnobrazowe włosy były bardzo

starannie udekorowane piorami i wplecionymi w warkocze perelkami. Oczy miała podmalowane, policzki pokryte rozem, a na włożenie czekała maska pomalowana w wesole wzory, imitujące rysunki, jakie dzicy umieszczają na noszonych przez siebie skorach zwierząt.

Ubrała się w cieniutką skórzaną bluzę i spodnice, udekorowaną frezami. Bluza miała długie, wąskie rękawy, a na plecach imitację peleryny. Pod spodem nosiła suknię z czerwonego jedwabiu z błyszczącymi ozdobami. Małe skórzane trzewiki były udekorowane kolorowymi paciorkami. Strój uzupełniał szal pomalowany w barbarzyńskie wzory, wykonany futrem wiewiórki.

Londyńska modystka, która właśnie kończyła ubierać swoją klientkę, zapewniała lady Roxbury, że wygląda dokładnie tak jak wyglądają w naturze dzicy Indianie.

-Naprawdę? - zapytała niedowierzająco Sara patrzeć na przedstawiony jej katalog strojów, który przedstawiał ze szczegółami ubiory dzikich tubylców odległej amerykańskiej kolonii. Na kolorowym rysunku stał indyjski sachem wraz z towarzyszącą mu kobietą, a oboje wyglądali, jakby właśnie zazywali przechadzki w Green Park. Indianka miała na sobie identyczny strój jak ten, któremu tak krytycznie przyglądała się w lustrze Sara.

W głębi ducha czuła, że w tym kostiumie jest coś nieprawdziwego... ale z drugiej strony nie mogła zaprzeczyć, że madame Francine wiernie odtworzyła rysunek. Musiała też przyznać, że kostium robił mocne wrażenie. Pozbyła się więc resztek wątpliwości. Zamierzała już zejść do gości, gdy usłyszała lekkie pukanie do drzwi garderoby.

-Zobacz, kto to - poleciła pokojowce.

Wydawanie rozkazów przychodziło jej coraz naturalniej. W końcu zaczynała czuć się kobieta, której twarz oglądała w lustrze.

W chwili później weszła Alecto Kennet.

-Dame Alecto? - przywitała ją zaskoczona Sara.

-Zajmie tylko chwilę, lady Roxbury - odpowiedziała z delikatnym kocim uśmiechem czającym się w kącikach ust.

-Zawsze jesteś mile widziana - powiedziała powoli Sara. - Nie przebierasz się na bal? Oczywiście kostium maskaradowy nie jest konieczny...

-Myślę, że nie pasowałabym do takiej zabawy - stwierdziła szczerze dame Alecto. - Ale dziękuję za pamięć. Przyszedłem podziękować za cierpliwe znoszenie mojej obecności przez te kilka dni. Jednak wzywają mnie inne obowiązki; dawno już nie byłam w Bath. Jeśli pozwolisz, wyjadę dziś wieczorem i oszczędzę służbie kłopotu z szukaniem dla mnie pokoju na dzisiejszą noc.

-Jestem pewna, że gdybyś zechciała pozostać, nie byłoby żadnych problemów z zakwaterowaniem - odparła Sara. Dość dziwny był ten wyjazd gościa w samym środku przyjęcia, ale pamiętała z rozmów podsłuchanych między służbą, że dame Alecto jest bardzo ekscentryczna. Prawda też było, że księżna Dowager spędzała teraz samotnie czas w Bath i mogła potrzebować swojej powiernicy. Ale czy naprawdę nie mogła poczekać z wyjazdem do jutrzejszego ranka?

-To bardzo uprzejme z twojej strony, moje dziecko, ale twoja matka chrzestna nie ucieszyłaby się, że namawiasz mnie do pozostania, podczas gdy ona mnie tam potrzebuje. Nie chciałam jednak wyjechać bez pożegnania i bez życzeń powodzenia na dzisiejszy wieczór.

Czy Sara się przesłyszała, czy w tonie dame Alecto rzeczywiście było jakieś ukryte znaczenie?

-Przyznaję, że siedziałam tu tak długo, by nabrać pewności, że w pełni doszłaś do siebie po szoku spowodowanym wypadkiem. Przyznam zresztą nieskromnie, że stało się to w dużej mierze dzięki mojej opiece - ciągnęła dame Alecto. - Tak czy inaczej zostawiłam pokojowce buteleczkę z moją miksturą i proszę, abys dalej ją zazywała. Nie mam wątpliwości, że do pełni sezonu będziesz kwitła zdrowiem.

-Też mam taką nadzieję - zapewniła Sara. Zdążyła już się bowiem nauczyć, że sposób spędzania sezonu przez lady Roxbury wymagał konsekwentnego zdrowia.

-Zobaczymy się niedługo - powiedziała na koniec dame Alecto, wysłuchała automatycznej odpowiedzi Sary i opuścił pokój.

Jakie to dziwne, pomyślała Sara, ale już się nad tym nie zastanawiała, bo trzeba było włożyć maskę, wybrać wachlarz i znaleźć odpowiednie miejsce na karnecik balowy, co nie było proste przy tak dziwnym kostiumie. Kiedy wkroczyła do

sali balowej, nie myślała już zupełnie o dame Alecto.

Dzisiejszego wieczoru w każdym oknie wielkiego domu paliły się światła. Wszystkie pokoje parteru szeroko otwarto dla gości markizy, a rzędy płonących pochodni oświetlały też ogrody. Sara rozglądała się po głównej sali balowej, która zajmowała większość parteru zachodniego skrzydła dworu. Krwistoczerwone zasłony zostały na tę noc odsunięte, ukazując szyby podobne do mozaiki z czarnego lodu. Migotały w nich niezliczone gwiazdy płonących w ogrodzie pochodni. Woskowe świece, perfumowane i malowane, rozświetlały wewnątrz sali, płonąc między papierowymi dekoracjami, które pokrywały wszystkie ściany. Posadzka była z czarnego i białego marmuru, ułożonego na środku we wzór koła, które zdawało się wirować. Miało ono pomieścić dzisiaj wiele tanczących par. Sale wypełniały dźwięki muzyki dochodzące z pokrytego dywanem podium, gdzie zasiadała orkiestra markizy. Muzycy wyglądali nieco staroswiecko w perukach i zielono-srebrnych strojach, ale za to od pierwszego ukłonu na powitanie gości grali niestrudzenie.

Dla tych, którzy nie gustowali w tańcu, przygotowano mniejsze pokoje, gdzie czekały karty, poncz i inne mniej meczące rozrywki.

Czy się pojawi? - Sara zadawała sobie gorączkowo to pytanie, wypatrując złośliwie równie niecierpliwie jak kobieta czekająca na kochanka. Stała poza tłumem gości, obok siostry Saint-Lazarre'a - Izabeli, przebranej za francuską pasterkę. Mimo dość frywolnego kostiumu mademoiselle Saint-Lazarre była cicha i skromna osobą; podróżowała z bratem z konieczności raczej niż z politycznego zapалу. I nie przerywała zamyslenia Sary niepotrzebnym trajkotaniem.

Tymczasem przybywali następni goście. Dyrygent orkiestry spojrzął na nią znacząco i wtedy zdała sobie sprawę, że to przecież ona musi poprowadzić pierwszy taniec wieczoru. Na tę myśl poczuła lekki zawrót głowy; nagle zapragnęła lyknać mikstury, która zostawiła jej damę Alecto. Aby się uspokoić, zerknęła jeszcze na sale, udając, że podziwia kostiumy, które dzisiaj włożyli jej goście.

Oto rozbojnik - chusta, futrzana kurtka, pistolety. To kapitan Stephen Price z Regimentu Inżynierów, który był jej gościem już na obiedzie. Obok dworzanin Króla Słońce Ludwika XIV - Saint-Lazarre. Sara już wcześniej upewniła się, jaki on będzie miał kostium... Dalej faraonowie, księżniczki, karciane figury, Grecy w laurowych wienkach i dostojni legionisci rzymscy - wszyscy oni wypełnili kolorową cizbę balowej sale markizy. Dzisiaj w nocy gościła u siebie słońce, księżyc i gwiazdy.

Tance miały się zacząć o wpół do dziesiątej, a więc za chwilę. Już wkrótce Sara będzie musiała wybrać partnera, z którym w parze otworzy ten bal, ale na razie wciąż jeszcze wpatrywała się w schody wiodące do sali balowej.

Każdy, kto tu wchodził, musiał najpierw wspinać się po schodach, na poziom wyższy niż sala, by stanąć pod zwieńczoną lukami bramą, widzianą przez pozostałych gości wyraźnie jak na scenie. Dopiero stamtąd schodził do nich po sześciu stopniach. Dzięki takiemu rozwiązaniu każdy gość co najmniej raz w ciągu wieczoru znajdzie się w centrum uwagi zebranych. W tym właśnie momencie do sali schodził rzymski generał, niosąc pod pachą ozdobiony pierzastym grzebieniem hełm. Jego długa purpurowa peleryna zamiatła za nim schody.

-Wessex? - Sara rozpoznała go dopiero, gdy znalazł się tuż przy niej.

Powinien wyglądać śmiesznie w tym dziwnym stroju, ale jego poważna mina nie wzbudzała rozbawienia.

Gdy usłyszał swoje imię, przykleknął na jedno kolano i oddał jej głęboki ukłon.

-We własnej osobie, pani. Czy mogę marzyć, że to mnie spotka honor poprowadzenia pierwszego tanca?

Przejęta dotąd myślą o złośliwym się między jej gośćmi, Sara odmówiła już kilku elegantom błagającym ją o możliwość wpisania swojego imienia w jej karneciku. Zmanierowany ton Wessexa obudził jej irytację. Ten człowiek był stanowczo zbyt pewny siebie. Nie pamiętała wprawdzie, czy kiedykolwiek miała ochotę go poślubić, ale sposób, w jaki niedawno rozprawił się z ich zaręczynami, zupełnie się Sarze nie podobał. Nie odpowiadała jej też beztraska Wessexa, jeśli chodzi o czyhającego w tłumie złośliwca.

-Zobaczymy - mruknęła i otworzyła kolorowy wachlarz. Chciała zapytać Wessexa o mordercę, ale jak to zrobić, gdy wokół tylu ludzi?

-Będzie czekał z nadzieją - zapewnił Wessex. - Czy pomoże, jeżeli wyrażę swój zachwyt nad tym oryginalnym kostiumem?

Powiedział to bardzo uprzejmym tonem, ale Sara dostrzegła drwiące skrzywienie jego warg i ironiczny błysk w czarnym oku.

-Wybrałam go bardzo starannie - odpowiedziała chłodno. Prawde mówiąc nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała ten kostium przed dzisiejszym wieczorem. W dodatku odniosła dziwne wrażenie, że mimo zapewnienia modystki ten strój

niewiele ma wspólnego z prawdziwymi ubraniami amerykańskich Indian. - I jestem z niego nadzwyczaj zadowolona.

-Mój podziw znacznie przewyższa ograniczone umiejętności wyrażenia tego uczucia - dodał Wessex. - Goście niecierpliwie czekają na początek tanców. Gdybym to ja miał być tym szczęśliwcem...

W rezultacie Sara, nie bardzo wiedząc jak do tego doszło, zaczęła ten bal taniec z diukiem Wessex.

Na czarno-białej posadzce wirował w tancu Saint-Lazarre. Miał za partnerkę chuda jak patyk, lecz niezwykle hałaśliwa lady Elizabeth Perivale...

Jedyną dobrą rzeczą w tancu, pomyślała Sara, jest to, że daje sposobność do porozmawiania na osobności. Choć może łatwiej będzie zamienić kilka słów podczas walca. Na razie zgodnie z tradycją zaczęli angielskim tancem dworskim, którego wymyślne figury nie zmieniły się od czasów panowania Karola II.

-Przybędzie tutaj? - zdołała jednak szepnąć Sara.

-Mozesz być pewna, pani - odparł Wessex. - Żaden zbrojca nie oprze się balowi maskowemu...

Godziny pęły powoli ku północy. Sara zaczęła już marzyć o tym, aby tajemniczy zbrojca wreszcie się pojawił. Nie bardzo rozumiała, co wszyscy ci ludzie widzą interesującego w zabawie takiej jak ta. Ona nudziła się potwornie. Może dlatego, że lady Roxbury od czasu prezentacji na dworze uczestniczyła już w tylu balach...

Niestety nie mogła nawet cichcem wycofać się do biblioteki, by poczytać jakąś dobrą książkę. Po dwóch godzinach tanców czuła się już tak zmęczona, że postanowiła poszukać mniej wyczerpującego zajęcia. Wessex oczywiście ulotnił się od razu po pierwszym tancu. Kiedy więc Saint-Lazarre, także najwyraźniej poszukując chwili odpoczynku, skierował się ku jednemu z pobocznych pokojów, Sara skwapliwie podążyła za nim, w sama porę, by uchwycić ostatnie słowa.

-Choć Anglia jest krajem chrześcijańskim, król Henryk przytyka oczy na praktyki białej magii w swoim królestwie, podobnie jak to robił jego wielki dziadek. Czarownice wiele zrobiły, by osadzić Karola II na tronie, który mu się prawnie należał, a jego potomkowie o tym nie zapomnieli - mówił jakiś męski głos.

-Prawda jest też, że wasze plony i stada mają się o wiele lepiej, odkąd zaprzestaliście zacieklego prześladowania Najstarszego Ludu. Jednak dlaczego cieszyć się pomysłnością, przytykacie oczy na nieszczęścia innych? - To był głos Saint-Lazarre'a.

Ten pokój został przeznaczony na palarnię; w powietrzu wisiała niebieskawa chmura dymu, chociaż wszystkie okna do ogrodu były otwarte. Było tam może z pół tuzina mężczyzn, w tym kapitan Price i Saint-Lazarre, a ich dziwaczne stroje dodawały jeszcze bardziej niesamowitego nastroju tej rozmowie. Sara zatrzymała się za drzwiami, wsłuchując się w dalszy ciąg konwersacji.

-Chodzi ci o to, że nie otwieramy naszych granic przed każdym, kto chce przekroczyć mając za jedyny paszport opowieści o własnych krzywdach? - zapytał mężczyzna przebrany za Saracena. - Saint-Lazarre, nikt bardziej niż ja nie martwi się tym, co dzieje się na kontynencie, ale Anglia przede wszystkim musi dbać o siebie. Pamiętaj, że tylko za nasze złoto Prusy i Austria wciąż jeszcze mogą prowadzić wojnę.

Odpowiedź Saint-Lazarre'a umknęła uwadze Sary, bo właśnie w tym momencie dostrzegła nieznaczny ruch za wielkim oknem w ogrodzie. Choć jej ogrody były tej nocy dostępne dla wszystkich, było w tym ruchu coś, co obudziło jej uspione instynkty myśliwego. Błyskawicznie umknęła się z domu, przez nikogo nie zauważona.

Ogrod był kolejnym miejscem, którego w ogóle nie pamiętała. Na szczęście na jednej ze ścian salonu wisiał jego plan i Sara obejrzała go uważnie, czekając na obiad. Pobiegnęła szybko brzegiem trawnika po wyłożonej białymi kamyczkami alejce, starając się zlokalizować tamten podejrzany ruch.

Gdzie był Wessex? Sara miała przecucie, że gdzieś blisko czai się zbrojca, więc to diuk powinien być teraz tutaj. W alejce pojawiła się grupka rozbawionych gości - wysoki rudzielec, blondynka w więcej niż skąpym kostiumie, i czarnowłosa mężczyzna przebrany za wschodniego korsarza. Sara odruchowo cofnęła się w krzaki, zadowolona, że jej kostium ma stonowane barwy i brakuje mu jaskrawych ozdób. Może i wyglądał głupio, ale dobrze się nadawał do chowania w ciemnościach. Gdy tylko rozbawiona grupa znikła za rogiem - dama miała ochotę przyrzec się z bliska sadzawce, a panowie, jak przystało na dżentelmenów, towarzyszyli jej w tym - Sara pobiegła dalej. Była naprzeciwko jednego z okien palarni, gdy usłyszała za sobą cichy dźwięk, poznała, że to szczerkie odciąganie kurka.

Wessex po kilku godzinach rozglądania po pokojach miał prawie pewność, że niebezpieczeństwo przyjdzie raczej spoza domu. Na Saint-Lazarre'a polowano już od wielu lat, a za jego głowę wyznaczono niewiarygodną cenę dziesięciu tysięcy

złoty napoleonów, więc sam zdawał sobie sprawę, jak kuszący stanowi cel i dbał o to, by zawsze znajdować się w większej grupie ludzi. Dzięki temu Wessex mógł skoncentrować się na poszukiwaniu zbrojcy.

Zbliżała się północ. Księżyc w pełni świecił wysoko, zmieniając kolor nieba z czarnego na ciemnogrnatowy i kapiąc ogrod w srebrnej, nieco upiornej poświacie. Chyba po raz tysięczny, tej nocy Wessex rozważał możliwość ewentualnej pomyłki de Morriseya. Kapitan mógł coś źle zrozumieć albo ktoś wprowadził go w błąd. Ale w jakim celu?

Talleyrand już wiedział, że w Grze Cienia ma godnych przeciwników. Czy poświęcałby tyle energii, by zneutralizować jednego z sekretnych agentów króla Henryka? Przecież nawet nie mógł wiedzieć, kogo tu przysłał. Nie, lepiej zakładać, że informacja de Morriseya jest prawdziwa.

Teraz pozostawało tylko znaleźć człowieka, który przybył tu zabić Saint-Lazarre'a.

Wessex stał na długim tarasie, biegnącym wzdłuż całego skrzydła dworu. Saint-Lazarre był w jednym z pokoi za jego plecami. Diuk zalał, że nie zdążył przygotować sobie kostiumu identycznego ze strojem planowanej ofiary. Potrząsnął niechętnie głową - nie warto się tym gryźć, tak już za późno. Lepiej skoncentrować się na tym, na co jeszcze za późno nie jest. Gdzie może być zbrojca nadsłany przez Talleyranda?

Sala balowa była tuż nad nim; przez jej otwarte okna Wessex słyszał wyraźnie grającą orkiestrę. Przy odsłoniętych oknach i płonących pochodniach ogrod zalewała taka ilość światła, że całe Mooncoign zdawało się stać w płomieniach. Dobiegł go wesół śmiech i stłumione okrzyki kobiety - ktoś był na tyle odważny, by zaryzykować drobnych rozkoszy w chłodną kwietniową noc. Wessex miał nadzieję, że to nie Kosciuszko; jego partner miał się czołgać właśnie z tamtej strony, uzbrojony w parę pistoletów, szablę i niezwykłą umiejętność łapania w razie potrzeby. Polski huzar był teraz jego jedynym wsparciem. Może i była szalenstwem próba chronienia ofiary tylko we dwóch, ale przynajmniej mieli tę przewagę, że wiedzieli o zbrojcy.

Rozglądając się po ogrodzie Wessex dostrzegł nagle ruch między krzewami. Ktoś, kto tam był, poruszał się zdecydowanie za szybko jak na jednego z rozbawionych gości. Nie namyślając się ani chwili Wessex cisnął w krzaki swój rzymski hełm i pognął w tamtym kierunku. Jego długi płaszcz falował za nim w powietrzu jak skrzydła wielkiego nietoperza, ale trwało to krótko, bo zaczął się o jakiś krzew i zerwał z cichym odgłosem prutego materiału. Pokryta rosa trawa była niebezpiecznie śliska i Wessex dziękował losowi, że jego przebranie umożliwiło mu włożenie wysokich butów do konnej jazdy. Wśród donic z ozdobnymi roślinami stracił na moment orientację i źle skrecając trafił w ślepy zaułek. Rozejrzał się wokół, nie widząc śladu scigananej postaci... ale zorientował się przynajmniej, któredy mogła pojsć.

Stąpając ostrożnie pomiędzy zascielającymi ziemię nasionami, aby ich trzask pod butem nie zdradził przedwcześnie jego obecności, Wessex skradł się do swojej ofiary, powoli wysuwając pistolet ze schowka pod napiersnikiem.

Pistolety to dość niepewne urządzenia i Wessex niespecjalnie lubił nosić pod ubraniem podsypaną i nabita brzoń. Równie dobrze mogłoby mieć tam armatnia kule. Dzisiaj jednak nie miał wyboru i musiał przygotować brzoń przed włożeniem kostiumu. Cichy trzask odciąganej kurki wydal mu się przerazliwie głośny. Jeśli zabezpieczenie zawiodło, to pistolet zaraz wypali, może mieć niezbyt przyjemne skutki.

Widział przed sobą szczupłą postać stojącą bez ruchu w blasku księżyca. Natychmiast też ją poznał - to Sara, markiza Roxbury.

Pamięć ostatnio ją zawodziła, ale ten dźwięk - odwodzonej go kurki - Sara Cunningham знаła doskonale i całe jej ciało zareagowało odruchowo. Zastygła w bezruchu.

-Jeszcze moment, mam'selle, bez ruchu, a zaraz nie niepokoić dłużej - usłyszała głos z dziwnym akcentem; chrapliwa wymowa zupełnie nie przypominała języka, jakim przemawiał kulturalny Saint-Lazarre.

Sara spojrzała w stronę domu i ku swojemu przerażeniu dostrzegła tego ostatniego stojącego w drzwiach prowadzących z palarni na taras, dokładnie oświetlonego blaskiem świec. Jasny, błękitno-biały kostium czynił go wręcz idealnym celem. Za moment wraz z towarzyszącymi mu ludźmi wyjdzie na taras... a wtedy zbrojca strzeli.

-Proszę tego nie robić - powiedziała zdesperowana Sara. Gdzie się podziewa Wessex?

-Nie martw się, mam'selle - odparł zbrojca. - To nie na twoje klejnoty ani część nastawam. Moment jeden i odejdziesz z twego życia.

-Nie możesz zabić niewinnego człowieka - jęknęła Sara. Zdawała sobie sprawę, że mówi bzdury. Oczywiście, że mógł zabić Saint-Lazarre'a. Niewinni ludzie umierali każdego dnia.

-Ale muszę - odparł po prostu zbrojca. - Zapłacone. I muszę też spytać, jak to ty wiesz tak wiele o mnie, ha?

Saint-Lazarre zawahał się. Jeszcze nie wyszedł z cienia, więc nie byłby to najczystszy strzał, ale zbrojca najwyraźniej nie dbał o to. Podeszedł do Sary i położył jej na ramieniu ciężką dłoń.

-Masz ty mi powiedzieć - zezadał.

Sara mogła teraz przyrzec mu się lepiej. Był niechlujny i nieogolony; nosił mocno zniszczone ubranie, a włosy miał brudne i rozczochrane. Najważniejsze było jednak to, że w prawej ręce trzymał polyskujący w blasku księżyca sztucer Bakera. Ta broń, marzenie wielu strzelców, była niezwykle groźna dla potencjalnych ofiar i chociaż mocno kopala przy odrzucie, miała zasięg trzykrotnie większy niż standardowe muszkiety armii. Jeśli ten człowiek wiedział, jak jej używać, nie mógł chybić.

-Ty i Gambit, ma chere belle, musza pogadac.

Wciaz usmiechniety, przytknal kolbe do ramienia patrzac w oczy Sary. Za moment strzeli. Sara juz chciala podjac desperacka probe i przeszkodzic mu w tym, ale ktos inny byl szybszy.

-Nie mam takiej wprawy jak ty, ale z pistoletu trafiam w asa pik na dziesiec metrow, a ty jestes blizej. - Slowom Wessex towarzyszył szczek broni.

Mimo to zabojca sprobował strzelic. Kolo glowy Sary huknelo cos przerazliwie glosno. Nie miał jednak czasu wymierzyc i kula poszła bokiem. Sara w tym momencie chwycila za jego sztucer i... poleciala z nim na plecy, bo szarpanwszy nie napotkala zadnego oporu. Doswiadczony strzelec moglby odpalic z tego sztucera ze trzy razy na minuta, ale zabojca i tak nie miał czasu, by go przeladowac, wiec bron byla teraz bezuzyteczna. Sara zerwala sie na nogi i w tym momencie przebiegl kolo niej Wessex - nierealna figura w szkarlacie i zlocie. Pognal za znikajacym w krzakach zabojca. Zerknela na taras, na ktorym nagle pojawilo sie mnostwo ludzi. Wszyscy wskazywali palcami na ogrod i krzyczeli.

Sara odrzucila sztucer i nie myslac wiele przylaczyla sie i poscigu.

Cala nadzieja w tym, ze Kosciuszko slyszal strzal. Wessex nie wiedzial nawet, czy Saint-Lazarre jest ranny. Zabojca - Wessex slyszal, jak sam nazwal sie Gambit - nie miał czasu, by wymierzyc, ale kule z muszkietu potrafia czasem platac brzydkie figle. Teraz jednak najwazniejsze bylo wziac go zywcem.

Blyskawicznie przebiegli przez ozdobna czesc ogrodu, oswietlona pochodniami, i wpadli w ciemnosc. Gambit wciaz uciekal, chociaz chyba musial zdawac sobie sprawe, ze zlapia go nieuchronnie. Roxbury na pewno podniesie wrzask. Lokalny sedzia pokoju byl jej gosciem, wiec teraz cala marchia konno i pieszo bedzie polowac na zabojce! Gambit nie mogl uciec... chyba ze miał w tej okolicy sojusznikow, ktorzy go ukryja.

Wessex zaczynal tracic oddech, a Gambit smigal miedzy drzewami chyzo jak sama. Na szczescie dystans miedzy nimi na razie sie nie zwikszal. Wessex wciaz miał w rekach pistolety, ale w tej chwili na pewno strzasnal juz z panewki caly proch i rownie dobrze moglby trzymac w reku palke.

Palke!

Wessex przystanal na moment. Gambit oddalal sie w szybkim tempie. Diuk chwycil pistolet za kolbe i cisnal nim przed siebie z calych sil. Pocisk trafil uciekajacego pomiedzy lopatki posylajac go na kolana.

Kiedy Gambit w chwile pozniej porwal sie na nogi siegajac po noz, zza poteznego debu obok niego wysunal sie jezdziec. Wygladal jak duch; zza glowy wystawaly mu wielkie skrzydla, ktore otarlszy sie o konary zachrzescily jak kosci szkieletu. Gambit wrzasnal

przerazony. Illia Kosciuszko zas, nie tracac ani chwili, przytknal mu do gardla ostrze szabli.

-Gdzie, u diabla, byles? - sapnal z wysilkiem Wessex. Osunal sie na kolana dyszac ciezko. Brzegi zbroi w tym przeklętym kostiumie centuriona bolesnie ocieraly mu skore.

-Szukalem jego konia - odparl Kosciuszko wskazujac wzrokiem mezczyzne lezacego obok kopyt wierzchowca. - Otoz i mamy towarzystwo! - dodal wesolo.

Wessex zerwal sie na nogi i odwrocil, ale zobaczyl tylko Sare, ktora biegla ku nim ze spodnica uniesiona ponad kolana. Dostrzeglszy jezdzca opuscila ja do bardziej stosownej wysokosci. Jej kostium takze nieco ucierpial w tej gonitwie - perly i piora z wlosow gdzies przepadly, tak samo jak wachlarz i jeden z pantofli.

-A co ty tutaj robisz? - zapytal obcesowo Wessex.

-Ja tu mieszkam! - odparla rownie nieuprzejmie Sara. - A ten czlowiek probowal zastrzelic jednego z moich gosci!

-Zostawmy go jej! - zaproponowal Kosciuszko.

Usta Wessexa drgnely lekko. Sytuacja byla dosc niezwykla, a ta absurdalna uwaga tylko go rozbawila. Zerknal na Gambita. Ten zdawal sie brac powaznie wybuch gniewu markizy.

-Kto wie? - odparl Wessex nasladujac ton Kosciuszki. - Znajdziemy tu chyba jakas line, a potem sad na pewno to uprawomocni.

-O nie, kapitan. Nie robi tego dla Gambit - powiedzial przestraszony zabojca.

Zrenice Wessexa zwezily sie. Tylko w pewnych kregach byl znany jak kapitan Dyer. Czy Gambit uzyl tego tytulu przypadkowo, czy moze jednak to on byl prawdziwym celem tej pulapki?

-A ty kim jestes? - spytala Sara, patrzac na fantazyjnie odziana postac na konskim grzbiecie.

Kosciuszko sciagnal czako i schylil sie prawie do strzemienia w pelnym uszanowania poklonie, jakby wlasnie przedstawiono ich sobie na dworze.

-Illia Kosciuszko, madame. W kazdej chwili do uslug. Usmiechnal sie przy tym szeroko. Ku cichej uldze Wessexa |

Sara rowniez odpowiedziala usmiechem.

Kosciuszko wyprostowal sie, schowal szable i zeskoczyl z konia, po to tylko, by zabrac sie za zwiazywanie rak niedoszlego zabojcy. Oczy Gambita blyszczaly gniewem, ale nie odwazyl sie zaprotestowac.

-Kosciuszko jest moim przyjacielem - dodal Wessex. - Nieszkodliwym, moze zapewnic.

Sara skrzywila sie niechetnie i spojrzala w strone domu. W oddali wciaz brzmiala cicho muzyka, ale slyszeli tez coraz wyrazniejsze glosy zblizajacych sie ludzi. Widac najodwazniejsi z gosci podjeli poszukiwania tajemniczego strzelca i teraz tylko kwestia czasu bylo, az zjawia sie tutaj.

-Musimy go stad zabrac - powiedziala.

-Jest to tez naszym najwiekszym pragnieniem - odparl Wessex.

-Jego kon stoi niedaleko w zaroslach - poinformowal Kosciuszko. - Nie jest to Hirondelel, ale powinien dac rade poniesc was obu.

-Dobrze.

Kosciuszko rzucil Wessexowi zwiniety w tobol plaszcz, ktory mial przytroczone z tylu siodla. Diuk narzucil go na siebie, zakrywajac swoj blyszczacy kostium. Dosc brutalnie pchnal przed soba Gambita, Kosciuszko zas wskoczyl z powrotem na swojego wierzchowca. W chwile pozniej trzy postacie rozplynely siej w ciemnosciach, jakby byly tylko sennym przywidzeniem.

Cudownie, pomyslala zirytowana Sara patrzac za nimi. Miala mieszane uczucia. Pochwycenie niedoszlego mordercy Saint-Lazarre'a bylo wazne, to prawda. Ale czy Wessex naprawde musial przez caly czas traktowac ja, jakby byla tylko irytujacym obciazeniem, ktorego nalezy sie pozbyc tak szybko, jak to mozliwe? Przeciez gdyby nie ona, zabojca odnioslby sukces, a Saint-Lazarre bylby martwy...

Kiedy w zamysleniu patrzyla na stary dab, nagle zdala sobie sprawe, ze nie jest sama. Ktos stal przed nia, opierajac sie plecami o pien drzewa. Poniewaz pojawil sie tak nagle, uznala, ze byl tu juz od jakiegos czasu, tylko po prostu umknal jej uwadze. Przez moment probowala przekonac sama siebie, ze nieznajomy jest jednym z jej gosci... ale musiala pogodzic sie z tym, co widzialy jej oczy.

Istota byla mala jak dziecko. Sara, sama niezbyt wysoka, przewyzszala nieznajomego o glowe. Mial na sobie cos w rodzaju tuniki z sarniej skory; ciemna skore pokrywaly cetki, Isniace zupełnie jak swiatlo ksiezycy, przebijajace spomiedzy drzew. Jasnym blaskiem swiecil naszyjnik z czystego zlota i zdobiace go bursztyny, ktore ksztaltem przypominaly zoledzie. W dlugie wlosy nieznajomy powplatal liscie, co dodatkowo pomagalo mu wtopic sie w otoczenie.

Byl bosy i jesli Sara dobrze widziala, nie mial broni. Wystarczylo jednak spojrzenie niesamowitych oczu, by obudzic w niej strach. Byly jasne jak ton wodna, w ktorej odbija sie ksiezyc. Pod tym wzrokiem Sara nie byla zdoia wykonac najmniejszego ruchu.

-Sara... - Głos obcej istoty był jak wiatr poruszający liśćmi drzew. - Nie należysz do tego miejsca. Po co tu przybyłaś?

Sara nie mogłaby odpowiedzieć na to pytanie, nawet gdyby była w stanie wydać z siebie głos. Nagle poczuła z całą wyrazistością, że nie ma nic wspólnego z Mooncoign. Ale jeśli nie przynależy tutaj, to gdzie?

Wciąż jeszcze szukała odpowiedzi, gdy nieznajomy podszedł bliżej i dotknął chłodnym palcem jej czoła. Mimo zimnego kwietniowego wietrzyku czuła wyraźnie dochodząca od niego dziwna roślinna won... gorzka i słodka zarazem.

-Przyzwana, by zająć miejsce tej, która już nie może nam pomóc - zdecydował. - Przyszłaś na jej miejsce, by pomóc tej ziemi, ale nie przyniesie ci to niczego dobrego, jeśli naprawdę nie związesz się z jej przeznaczeniem. Strzeż się, pani na Mooncoign!

Te słowa napelnily jej umysł tysiącem pytań. Gdy nabrała powietrza, by je zadać, nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby właśnie wyrwano ją ze snu. A przecież przez cały ten czas zachowała pełną świadomość...

Dziwna istota znikła.

Magiczny Lud... słyszała już o nim dzisiejszego wieczoru, ale wtedy wydało jej się to takie nieprawdopodobne. Czy to był właśnie jeden z nich? A jeśli tak, to dlaczego jej się objawił?

"Nie należysz do tego miejsca" - powiedział.

Sara ogarnęła przerażająca pewność, że miał rację.

8. FARBOWANA LISICA

KORNWALIA, KWIECIEŃ 1805

W innej części Anglii, kilka godzin wcześniej, zanim diuk Wessex złapał zbrojce, a markiza Roxbury przeżyła niezwykle spokojnie, odbywała się również ważna rozmowa. Przynajmniej ważna dla jednej ze stron biorących w niej udział. Druga strona; zdawała się nie przywiązywać do tego żadnej wagi. -Posłuchaj, dziewczyno... - Earl Ripon zorientował się, że mówi za ostro, i spróbował przybrać łagodniejszy ton.

Richard Highclere był siedemnastym w prostej linii earlem Ripon. Przejął ten zaszczytny tytuł wraz z majątkiem jakieś dwa lata temu, po śmierci na polowaniu starszego, owdowiałego brata Guilforda. Zmarła wcześniej żona Guilforda wydała na świat jedno tylko dziecko - córkę. Dzięki temu Richard mógł nagle zajść tak wysoko. Należało przypuszczać, że to dziecko, które nieswiadomie przyczyniło się do jego wyniesienia, zostanie otoczone troskliwą miłością i opieką.

Stalo sie inaczej.

Nowy earl Ripon, doszedlszy do tego miejsca, zapragnal dojsc i jeszcze wyzej. Byloby to mozliwe, gdyby udalo sie zaaranzowac odpowiednie malzenstwo.

-Meriel... - zaczal miękko.

Podobnie jak ojciec i starszy brat, Ripon byl ciemnowlosy, a jego grube rysy, przywodzily na mysl psa mastiffa. Ozenil sie zgodnie z zyczeniem rodziny dwanascie lat temu, ale nie mial dzieci. Dziewczyna, do ktorej teraz przemawial, byla w dalszym ciagu jedyna szansa na lepsza przyszosc rodziny.

Meriel Jehanne Greye Bulleyn Highclere skierowala na wuja i opiekuna lagodne spojrzenie blekitnych oczu. Miala siedemnascie lat i byla idealna kopia zmarlej matki. Chociaz jej ojciec spoczywal w grobie juz od ponad dwoch lat, Meriel wciaz nosila zalobna czern, bardziej jednak z powodu zupelnej obojetnosci wuja na jej stroje, niz z potrzeby serca.

-Dziecko, nie przejmuj sie tym tak bardzo. Polubisz Londyn... i na pewno polubisz Jakuba. Wasz zwiazek stanie sie glosny...

-A dla twojego wuja oznacza to nowe stroje, pochlebstwa i pozycje na dworze - odezwal sie za jego plecami drwiacy glos.

Rodzina Highclere byla liczna. Obecny earl mial jeszcze czterech braci - dwaj sluzyli w armii na polwyspie, najmniejszy wstapil do zakonu na polnocy Anglii. Czwarty brat, nastepny pod wzgledem wieku po earlu, stal wlasnie w drzwiach komnaty.

Chociaz mial na sobie stroj do konnej jazdy, Geoffrey Highclere wygladal, jakby wlasnie opuscil witryne najlepszego krawca na Bond Street. Wytworny czarno-bialy komplet ozywiala tylko ciemnoczerwona kamizelka. Mimo znudzonej miny i niedbalej pozy, musial byc zdenerwowany lub zniecierpliwiony; nerwowo stukal szpicruta o srebrnej rekojesci o brzeg wysokiego buta.

Geoffrey byl tak jasny, jak Ripon ciemny, a zycie spedzal glownie na hazardzie i robieniu olbrzymich dlugow u kazdego kupca, ktory byl na tyle glupi, by udzielic mu kredytu. Mimo ustawicznych napomnien starszego brata, uwazajacego, ze sluzba w armii bylaby najlepszym sposobem na zdobycie wyzszej pozycji i splate dlugow, Geoffrey nie przejawial w tym kierunku najmniejszych zainteresowan... i wciaz jednak zdobywal skads pieniadze.

Wlasnie ze wzgledu na jego finansowe talenty earl Ripon zdecydowal sie wtajemniczyc brata w swoje plany, gdy wreszcie zaczely one wychodzic ze sfery marzen. Spisek potrzebowal spiskowcow, a Geoffrey Highclere mial pewien wplyw na ksiecia Jakuba.

-Geoffrey - powital Ripon mlodszeo brata, ktory pochyлил sie w drwiacym uklonie.

-Myslałem, że dwór udał się do Londynu.

-Dwór tak. Ale młody książę pozostał w Szkocji. Z jakichś powodów nie jest zadowolony ze swoich dąskich zaręczyn. - Geoffrey wzruszył ramionami podkreślając swój brak zainteresowania problemami księcia. - Jeszcze mniej cieszy go, że małżeństwo planowane jest na jesień. A jak się ma nasza mała Madonna?

-Nie bluźnij - powiedział odruchowo Ripon i dodał w myśleniu: - Nie sądziłem, że ślub odbędzie się tak szybko.

-Nasz zwycięski król potrzebuje dąskich portów dla swojej floty i dąskich wojsk w polu. Nie wspominając już o dąskiej matce dla dziedzica tronu... chociaż jeśli chodzi o to os nie, i tak pozostało jeszcze sporo protestanckich domów...

-Heretyckich domów - poprawił Ripon i wyrecytował: Potomków pogan, odstępców i szatana.

-... chociaż król nie ma zamiaru połączyć się drugi raz w pokoleniu z domem niemieckim - zakończył Geoffrey. - Tak więc, jeśli traktat... a raczej jeśli małżeństwo ma dojść do skutku, należy się z nim spieszyć, zanim Bonaparte ponownie zmieni mapę Europy.

Wszedł do pokoju ściągając czarne rękawice. Nie pytając brata, podszedł do stojącego pod oknem stołu i nalał sobie szklanke whisky ze stojącej tam butelki. Zimny, metaliczny blask wiosennego słońca Konwalii oblał jego twarz, nadając mu iscie diabelski wygląd.

-W każdym razie skoro Jakub jest w Holyrood, mnie także tam znajdziesz. Przynajmniej dopóki nie zdecyduje się zaszczyścić swoją obecnością Buck House. Nie jesteśmy niestety na tyle zaprzyjazznieni, abym mógł kierować jego krokami. Bardziej słucha uwag tego przekletego lokaja Brumella - dodał Geoffrey.

-Będziesz musiał się mocno postarać, aby wkręcić się w jego łaski - powiedział cicho Ripon.

Mówił do Geoffreya, ale bezwiednie skierował wzrok na siostrzenicę.

Był rok tysiąc osiemset piąty, ale pamięć o wielkich i dawnych czasach pozostawała wciąż żywa...

Ci, którzy nie zmienili religii po zaprzęźństwie króla Henryka VIII, byli w mniejszości w dość tolerancyjnym królestwie, jakie stworzył po Restauracji Karol II. Tak, Anglia była tolerancyjna, ale przede wszystkim protestancka, a potęga katolickich lordów, której szczyt przypadał na czasy Krwawej Marii, należała już do przeszłości.

-Książę Jakub nie ma zbyt silnej woli - powiedział Ripon patrząc na Meriel. - Łatwo nim pokierować...

-Skoro tak twierdzisz, bracie... - wymamrotal Geoffrey do szklanki.

Ignorując obecność brata Ripon kontynuował przemowę do milczącej siostrzenicy:

-A kiedy książe poślubi już swoją małżonkę, ona na pewno się postara wyeliminować z dworu niepożądane wpływy i przywrócić Anglii starej religii Świętej Matki Kościoła.

Meriel starała się wytrzymać wzrok wuja Richarda, ale szybko opuściła oczy na splecione dłonie. Wiedziała, że wuj przygotowuje coś niezwykłego - w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zachowywał się co najmniej dziwnie. Ale nigdy, przenigdy nie przypuszczała, że stanie się przynęta w intrydze takich rozmiarów! Highclere'owie zawsze byli nietolerancyjni dla wyznawców Nowej Wiary, jak kiedyś nazywano protestantów. Meriel nauczono pogardy dla pogan i heretyków w sposób tak samo oczywisty jak łaciny, greki i katechizmu.

Ale za poprzedniego earla rozumiano tę wrogość jak sprawę prywatną i nie obnoszono się z nią w miejscach publicznych. W tamtych czasach Meriel poślubiłaby po prostu członka jednego z katolickich rodów angielskich; spędzałaby życie opiekując się dziećmi i czytając książki.

Ale kiedy jej ojciec zmarł, a wuj Richard stał się earlem Ripon i głową rodziny, okazało się, że nie potrafi - tak jak brat - pogodzić się ze zmierzchem rodu. Nagle uroda Meriel - która wcześniej nauczono ją ignorować, bo samouwielbienie było poważnym grzechem - stała się niezwykle istotnym atutem: miała posłużyć do wciągnięcia w pułapkę księcia Jakuba.

-Nie zawiedziesz mnie, dziecko, prawda? - nalegał Ripon. - Kiedy na twoim palcu znajdzie się królewski pierścionek, zakończymy tę bezsensowną wojnę z Francją. Król jest stary, a jego syn to nieodpowiedzialny smarkacz i zamiast niego do władzy lepsi. Katolicka Anglia nie będzie zagrożeniem dla imperialnej Francji, ale jej naturalnym sojusznikiem...

-Jeszcze ktoś pomyśli, że ona rozumie, o czym mówisz. Naprawdę aż tak bardzo brak ci słuchaczy, bracie? - zadrwił Geoffrey. - Równie dobrze można przemawiać do dziewczyny, jak do papugi. Ona w ogóle nie pojmuje twoich planów. Prawda, dziecko? - zapytał słodko.

-Tak, wuju Geoffrey - wyszeptała Meriel.

-Ale i tak wykonasz swoje zadanie- skwitował Ripon. - Jeśli mam cię zabrać do Londynu i postawić na drodze księcia, muszę być pewien, że przez twoje tchórzostwo nie legną w gruzach plany, nad którymi pracowałem od tylu lat.

-Och, zrobi, co jej się kaze - powiedział Geoffrey odwracając się od okna i uderzając znacząco szpicrutą o but.

Spojrzał jeszcze raz na siostrzenicę i uśmiechnął się.

-Osobiscie tego dopilnuje.

Wiosna tylko głupiec podróżowałby angielskimi drogami licząc na to, że gdziekolwiek uda mu się dotrzeć. Nawet bowiem główne trakty składały się wyłącznie z glazow, na których łatwo było złamać os, i błota, w którym tonęły konie. Przejazd czegokolwiek większego niż jeździec stanowił olbrzymi problem.

Było to jednak możliwe, jeśli miało się dość cierpliwości, dobrze zaplanowało wyprawę i dysponowało się wieloma dobrymi, ciężkimi powozami.

Jocasta Sybella Honoria Masham Dyer Dowager księżna Wessex, babka obecnego diuka, nie była specjalnie zainteresowana pięknem angielskiego krajobrazu. Kiedy jej syn Andrew jeszcze żył, znosiła życie na wsi ze względu na niego, ale odkąd zaginał we Francji trzynastu lat temu, zamknęła dwór w Wessex i zaczęła dzielić czas pomiędzy Londyn a Bath.

Wieloletnia praktyka pozwalała Dowager dokładnie określić najwcześniejszą porę wiosny, kiedy drogi mogły być już przejezdne. Gdy tylko jej powiernica wróciła z wyprawy do Wiltshire, jej miłość księżna Wessex zdecydowała się wyruszyć do Londynu.

Po tygodniu trudnej podróży znalazła się w rodzinnym, ciasnym wiekowym domu przy Knightrider Street, stojącym w cieniu katedry św. Pawła, prawie na brzegu Tamizy.

Chociaż nad głównymi drzwiami budynku spatynowana srebrna tabliczka nosiła napis "Tenebrae", prawdziwa nazwa domu było "Dyer House" - bo też należał on do rodziny Dyer znacznie wcześniej niż księstwo. W ciągu tych wszystkich lat najmodniejsze adresy miasta nieco się zmieniły - Dyer House stał teraz niemal pośrodku City, a bardzo daleko od Oxford Street i zachodnich nowych dzielnic miasta pomiędzy Tyburn a Soho, tak teraz modnych w towarzystwie. Jednak Dyer House należał do rodziny od niepamiętnych czasów, a w tym rodzie równie powoli zmieniano się adresy, jak i zwyczaje. Zaginiony diuk -ojciec Wessexa, Andrew - miał tyle szczęścia w interesach, że teraz do jego syna należała większa część Piccadilly, mimo to Dowager nie zdecydowała się na szalenstwo przenoszenia rezydencji do nowych, przestronniejszych i modniejszych dzielnic. Chociaż do maja wciąż brakowało kilku dni, ściągnięto holenderskie nakrycia z antycznych mebli, a na drzwiach powieszono wypolerowaną kolatkę - Dowager księżna Wessex oficjalnie zawitała do swej rezydencji.

-Gdzie jest chłopiec? - zapytała Dowager swoją towarzyszkę.

Dame Alecto Kennet uśmiechnęła się czule do swojej pani.

Była jej oczami i uszami od czasu, gdy jej miłość wycofała się oficjalnie ze świata. Wykonywała też dla niej wszelkie zadania, na które Dowager nie pozwalała jej wysoka pozycja. Była przyzwyczajona do zmiennych nastrojów starej damy.

-Jestem pewna, że zjawi się tu, gdy tylko uzna za stosowne - odparła miękko. - Musi przecież wpaść do swojego oddziału gwardii, a także złożyć wizytę tym dżentelmenom, o których istnieniu jego zdaniem nie masz pojęcia.

Dowager księżna Wessex rozesmiała się chrapliwie.

-Kiedy zaczniesz składać wizyty w koszarach i w Białej Wieży, to nie wiem, czy w ogóle go zobaczysz przed końcem sezonu. Mimo wszystko musimy grać w naszą grę najlepiej, jak potrafimy. Dobrze też byłoby powiadomić go o naszych planach. Alecto, spędzasz trochę czasu z tą dziewczyną. Nada się?

-Nie mogłam niestety przebywać z nią tak długo, jak bym chciała - odparła powoli dama Alecto zbierając myśli. - Kiedy przybył Wessex, wolalam, żeby mnie nie widział. Dziwiłby się zapewne, co tam robię.

-Tak, to musiałoby skończyć się jakimś dochodzeniem - zgodziła się sucho Dowager. - Mój wnuk zadaje zbyt wiele pytań. Chyba się zresztą od tego nie wymiemy, gdy wypłynie w rozmowie kwestia twoich odwiedzin...

-...albo gdy doktor Falconer da upust swoim podejrzeniom co do niezwykłego uzdrowienia lady Roxbury. Ten człowiek był tam wtedy i wiedział, że ona umiera - powiedziała dama Alecto. - A teraz Falconer podejrzewa, że Roxbury zawarła jakiś nieczysty pakt, żeby ocalić życie.

-Jak zrobiłby to każdy, gdyby miał odpowiednie kontakty - dodała Dowager. - Doktor Falconer nie może jednak nas zdradzić, bo nie dowie się prawdy: że ta Roxbury, która zmarła, umarła.

Dowager westchnęła i odsunęła list, który kończyła pisać na małym sekretarzyku w chińskim stylu, stojącym w jednym z rogów pokoju. Dowager lubiła gromadzić takie przedmioty; pokój był zatłoczony różnymi pamiątkami z jej egzotycznych podróży.

-Biedne dziecko. Była moja chrzesznica, ale muszę przyznać, że niewiele dla niej zrobiłam. Ale nie czas rozpaczyc teraz nad tym, czego i tak nie możemy zmienić - dodała szybko. - Potrzebna jest markiza Roxbury i Anglia będzie ją miała, wszystko jedno jakim sposobem.

-Sądzę, że to tylko kwestia czasu, aby dziewczyna zapomniała o swoim poprzednim życiu i świecie, z którego ją zabraliśmy - powiedziała powoli dama Alecto. - Kordial, który jej zostawiłam, będzie wypierał dawne wspomnienia. Jednocześnie codziennie będą jej wtłaczać do głowy szczegóły z życia lady Roxbury. Wkrótce pozna je tak dobrze, jakby to było jej własne życie.

-Będzie też miała Wessex, żeby kontynuować rod - dokończyła Dowager. Chociaż twarz miała spokojną, w głosie zadrgała przy tych słowach nutka niepokoju. - Nie może mi się w tym sprzeciwić. Nasze rodziny zaplanowały to małżeństwo już w dniu, kiedy dziewczyna się urodziła. Conynghamowie zawsze byli blisko związani ze Stuartami, a król Henryk będzie potrzebował poparcia Roxbury, gdy przybędzie tu księżniczka Stefania. Zechce, by Roxbury pomogła znaleźć Stefanii miejsce w towarzystwie, a markiza nie może być przecież jej opiekunką, jeśli sama nie zostanie mezatka.

-A wiec diuk Wessex musi poslubic swoja Sare, i to szybko - zakonczyla dame Alecto. -
Modlmy sie, zeby Najstarszy Lud wybaczył nam zamiane jednej markizy na inna.

-Musza - odparla Dowager ksiezna Wessex. - Nie mamy wyboru. Nie, jesli chcemy ocalic
tron.

Slonce powinno miec nieco litosci nad biednym czlowiekiem, pomyslal rozespany Wessex, i
nie wschodzic tak wczesnie.

Mimo jego blasku zdolalby zapewne ponownie zapasc w ramiona Morfeusza, gdyby nie to,
ze Atheling wybral ten wlasnie moment, by dyskretnie przypomniec o swojej obecności i
gotowosci do swiadczenia uslug.

Atheling byl najwazniejszym w hierarchii i najstarszym ze sluzacych Wessexa. Utrzymywal
wzorowy porzadek w pokojach diuka, a procz tego dbal, by jego garderoba zawsze
pasowala doskonale do kazdej okazji, od obiadu na krolewskim dworze do nocnej
eskapady po dachach Starego Miasta. Dodatkowo do jego niezwyklych umiejetnosci byla
cenna i rzadka cecha: brak ciekawosci. Wykonywal tez te swoje obowiazki, ktore nie byly
mile jego panu. Wchodzac teraz do pokoju i widzac diuka przekrecajacego sie na drugi bok
w poscieli, odkaszlnal znacząco.

Pod grubym przykryciem cos poruszylo sie niemrawo. Zachecony tym sukcesem Atheling
poddal sie dalszym zabiegom przeczyszczania gardla.

-Juz dobrze, Atheling - wymamrotal przytlumiony glos z glebi poscieli. - Obudzilem sie.

Rozleglo sie trzeszczenie loza i jego milosc ukazal sie swiatu.

To byla jednak dluga i meczaca noc. Wrocili do Londynu razem z Kosciuszka i zabojca o
pseudonimie Gambit, ktory, jak okazalo sie po odpowiednim przesluchaniu, nazywal sie
Charles Corday. Urodzil sie we francuskiej Luizjanie i mimo swojego obskurnego wygladu
byl wysoko postawionym agentem w sluzbie Talleyranda. Przyjaciele pozostawili Cordaya
w pewnych rekach Misbourne'a, a sami postanowili uczcic sukces - po ostatnich
tygodniach, spedzonych glownie w piwnicach i rowach, wiele miejskich atrakcji kusilo diuka
z nieprzeparta sila.

Wessex przesunal reka po wlosach porzadkujac je na tyle, by fryzura mozna bylo uznac za
zgodna z obecna moda. Spojrzal zamglonym wzrokiem na swoja nocna koszule, jakby
starajac sobie przypomniec, przy jakiej okazji zakladal taki stroj, a potem zwrotil
baczniejsza uwage na obecność lokaja i popatrzyl na niego pelnym wyrzutem wzrokiem.

-Wasza milosc zyczy sobie na sniadanie herbate czy czekolade? - spytal slodko Atheling.

-Moja milosc zyczy sobie uslyszec wyjasnienie, co cie upowaznilo, moj drogi Athelingu, do
urzadzenia pobudki przed druga po poludniu! - Nagle Wessexowi przyszlo do glowy dosc

niemile wyjaśnienie tego faktu. - Nie byłem chyba z nikim umówiony na dzisiaj, zwłaszcza rano?

-W rzeczy samej, wasza miłość. Tak jak wasza miłość mi polecił, mam nie pozwalać waszej miłości na prowadzenie działalności towarzyskiej przed późnym popołudniem. Przygotuj teraz gorącą wodę do golenia... a wasza miłość powinien przejrzeć przed śniadaniem poranna pocztę.

Teraz, kiedy osiągnął już swój cel, Atheling wycofał się z sypialni. Diuk zaś poczuł niezwykłą ciekawość, która spowodowała, że się zupełnie obudził.

Co takiego mogło przyjść w poczcie, co spowodowało to amatorskie przedstawienie w wykonaniu Athelinga? - zastanawiał się Wessex.

Zanim zdążył dojść do jakichkolwiek wniosków, Atheling ponownie pojawił się w pokoju. Niosł miednicę i dzban z gorącą wodą, a pod pachą trzymał pudełko z brzytwami diuka. Wessex sięgnął po przygotowany obok na krzesło szlafrok i narzucił go. W lustrze, przez otwarte drzwi przebierałni, zauważył zniekształcone odbicie wysokiego blondyna z ponurą miną.

Atheling ustawił miednicę na zniszczonej debowej komodzie, a obok umieścił dzban. Do małej miseczki wlał odrobinę wody i dorzucił kawałek mydła, a potem mieszał tak długo, aż naczynie wypełniło się pianą. Kiedy uznał, że już wystarczy, wlał resztę gorącej wody do miednicy. Uniosły się kleby pary, pokrywając także lustro.

-Jeśli wasza miłość pozwoli...

-Moja miłość nie pozwoli, Atheling, i dobrze o tym wiesz. - Wessex otworzył pudełko i wziął do ręki jedną z brzytw.

To, że diuk zawsze goli się sam, było stałą obrazą wrodzonego Athelinga poczucia smaku i przyzwoitości. Wszelkie prośby Athelinga w tej kwestii trafiały w próżnię, albo co najwyżej spotykały się z wyjaśnieniem diuka, że woli nie polegać wyłącznie na umiejętnościach Athelinga, bo w przypadku utraty służącego musiałby od tej pory pokazywać się na dworze nie ogolony. Ale Atheling nie wierzył w takie bzdury. Wierzył natomiast głęboko, że jego miłość jest dziwakiem, takim jak kiedyś jego ojciec. Z drugiej strony dzięki takim właśnie dziwactwom swojego pana Atheling mógł być dumny ze swojej pracy. Tylko bowiem najlepsi słudzy mogliby poradzić sobie z tak upartymi chlebowcami.

Kiedy wreszcie Wessex zaprezentował światu ogolone oblicze, wkroczył do garderoby, gdzie czekał już na niego słudzy gotowy do zrobienia z niego dżentelmena zgodnego z najnowszymi kanonami mody.

Porannej poczty na razie nie było widac. Wessex doskonale wiedział, że pojawi się wraz ze śniadaniem, i niech Bog ma w swojej opiece człowieka, który chciałby zmienić ten porządek

rzeczy, który Atheling uważał za jedyny właściwy. Niech więc tak będzie. Jego miłość zajął się przez ten czas szczegółami swojego stroju.

Zamierzając spędzić popołudnie na przejeździe w Green Park, Wessex zaaprobował białe skórzane spodnie i ozdobione frędzlami, wysokie wisiowe buty - luksusowy produkt zakładu Hobby'ego. Śnieżnobiała koszula, plisowana i marszczona, przykryła kremowozłota kamizelka z egipskiego lnu, ozdobiona pochodzącymi z Rosji guzikami, których szkarłat ładnie kontrastował z jasnym tłem. Przy krawacie diuk chwilę się zawahał, ale ponieważ preferował prosty styl, szybko znalazł taki, który zadowalał jego wymagania.

Atheling zerknął w stronę szafy z surdutami, ale Wessex powstrzymał go nieznacznym ruchem głowy. Najpierw należało dobrać drobiazgi. Diuk szybko wybrał odpowiedni zegarek, dewizkę, małą złotą spinke do krawata - wszystkie te ozdoby ładnie uzupełniały stroj. Na koniec wsunął na palec rodowy sygnet i zaniknął zdecydowanym ruchem szuflade. Z wyborem surduta w kolorze czerwonego wina Wessex nie zamarudził już długo, robiąc to niemal bez zastanowienia. Służba w armii sprawiła, że był mniej zasadniczy w kwestii doboru szczegółów stroju, co zaprzętało w dużym stopniu ludzi jego sfery.

Rzucił okiem na zdobiące pokój militaria i przez moment pomyślał tęsknie o tamtym świecie - mimo jego brudu, pcheł i odmrożeń...

Dyskretne chrząknięcie Athelंगा przywołało go do rzeczywistości.

-A więc śniadanie - powiedział Wessex. - I nareszcie ta poranna poczta.

Jego miłość nie był specjalnym wielbicielem obfitych śniadań, ale i tak tym razem zapewne posiłek poczekałby aż do przejrzania poczty. Tosty dopiero się opiekaly; diuk zasiadł do stołu z dużym kubkiem gorzkiej czekolady i sięgnął niecierpliwie do srebrnej tacy na listy, czując się niemal jak ogar na tropie zwierzyny.

Leżący na samej gorze list w iliowej kopercie, intensywnie pachnący fiołkami, Wessex cisnął w ogień kominka w ogóle go nie otwierając. Nie było takiej potrzeby - Ivał pisała jedynie wtedy, gdy potrzebowała pieniędzy, a Wessex uznał, że w wystarczającym stopniu finansuje wszelkie jej przyjemności. Wiadomo, że nie mógł wiązać się z kobietą należącą do własnej klasy, ale też istniały granice, do których mógł się ponizac. Panna Archer zdawała się znacznie bystrzejsza niż wskazywałoby towarzystwo, w którym ją poznał. Wessex zastanowił się chwilę i doszedł do wniosku, że pożegnalny prezent i wyjaśnienie, że nie będzie kontynuował tej znajomości, powinny tu wystarczyć.

Odłożył na razie ten temat i spojrzał na kolejne przesyłki.

Rachunki. Z Tattersall Weston, od Aspreya i Talmadge'a - a więc krawiec, sprzedawca tytoniu i szewc. Wessex odłożył je na bok, by opłacić w wymaganym terminie. Jeśli chodzi o zobowiązania finansowe, zachowywał się zgoła niearystokratycznie i regulował je starannie i szybko. Będąc uczestnikiem Gry Cienia, naraził się na ciągłe ryzyko i nie chciał obciążać

swojego obecnego spadkobiercy - mało rozgarniętego kuzyna, naukowca - własnymi długami.

Gdyby Wessex zmarł bezpotomnie, spadkobiercy z dalszej linii nie odziedziczyliby nie tylko długów, ale też tytułu diuka - ten tytuł przechodził wyłącznie w prostej linii. Natomiast tytuł earla Scathach dziedziczyły także boczne linie. Nowy earl Scathach odziedziczyłby zapewne Wessex, bo tytuł earla też był znaczny, a księstwo Scathach wielce zasobne. Siedziba rodziny Scathach było Lemondhythe, położone na przepięknych wzgórzach Cheviot. Kuzyn-naukowiec, zgodnie z wolą diuka, już tam urzędował. Miał tam zresztą pozostać nawet wtedy, gdyby diuk jakimś niewiarygodnym zrzadzeniem losu splodził jednak legalnego potomka.

Wessex potrzaskał głową niezadowolony, że jego myśli błądzą w takim kierunku. Tak to bywa, gdy wstaje się za późno - człowiek cały dzień chodzi jak bledny. I jeszcze to nieoczekiwane spotkanie z dziewczyną, z którą bądź co bądź był zaręczony... szczęściem Roxbury miała taką samą ochotę na to małżeństwo jak i on.

Co więc w stosie tych papierów tak bardzo zaintrygowało Athelinga?

Wessex nerwowo rozrzucił resztę poczty. Zaproszenia na smiertelnie nudne przyjęcia, dwa grube pakiety poczty dyplomatycznej...

Aha. O to chodzi. Z listu unosila się won pomarańczy. Tak samo zawsze pachniała jej odzież.

Nieczęsto do niego pisała ta niezwykła kobieta, która była mu od czasu śmierci matki najbliższą osobą. A kiedy zaczął się trudnić swoim obecnym zajęciem, listy przestały mieć sens. Ze względów bezpieczeństwa nie mógł przecież jej pisać, jak spędza czas, a z kolei sfery, w których ona się obracała, diukowi po dalekich wjazdach wydawały się po prostu niesamowicie nudne. Łączyła ich w dalszym ciągu szczególna więź, może dlatego, że nie rozdrabniali jej w codziennych, rutynowych kontaktach, woląc bardziej emocjonalne, choć rzadkie spotkania. Tak to już było od czasu, kiedy Hades pochłonął jego ojca i matkę.

Wessex zawahał się przez moment, zanim przeciał kopertę.

Dlaczego babka pisała do niego tutaj?

Nie był z nią w Bath podczas Bożego Narodzenia - spędzał je w zupełnie innym miejscu.

Nie mieli zwyczaju informować się nawzajem o swoich podróżach, ale chociaż list nie miał stempla poczty - co znaczyło, że nie przyszedł spoza Londynu - diuk wciąż był skłonny przypuszczać, że Dowager przebywa w Bath. Taki był zresztą jej stały i niezmienny zwyczaj podczas zimowych miesięcy. Ale w takiej sytuacji musiałaby wtedy przekazać komuś list, nie mając żadnej pewności, że dotrze on do adresata. Wessex przyjechał z Francji dopiero tydzień temu, a do swojej rezydencji zawitał wczoraj w nocy.

Interesujace. Na tyle interesujace, ze Atheling mial prawo go obudzic.

Wessex rozerwal koperte i przeczytal uwaznie list babki. Zaciekawienie zamienilo sie najpierw w absolutne zdumienie, a potem w przerazenie, kiedy raz i drugi przeczytal krotka wiadomosc.

Dowager prosila o jego obecność na herbacie w czwartek o wpol do trzeciej. Nie bylo zadnego wyjasnienia przy tym zadziwiajacym wezwaniu. Po prostu nie przewidujace sprzeciwu polecenie.

A czwartek, na ktory go zapraszala, byl wlasnie dzisiaj.

-Atheling! - zawolal. Na chwile jego milosc opanowala slepa panika. Zerwal sie na rowne nogi, porzucajac wszelka mysl o sniadaniu.

Jego wierny sluga, ktory - ubrany w fartuszek i pochylony nad tostami - wypelnial najbardziej domowy ze swoich obowiazkow, pojawil sie w mgnieniu oka.

-Pomylilem sie - powiedzial po prostu diuk. - Ten stroj nie bedzie odpowiedni. Dzisiaj nie przewiduje przejazdki.

Sara Conyngham lady Roxbury - czyli, jak napominala sie czesto - pelnoprawna markiza - rozgladala sie ze zdumieniem i rozbawieniem po garderobie w swoim londyńskim mieszkaniu. Kazdy dostepny cal pomieszczenia byl wypelniony kuframi, z ktorych czesc, jak z zadowoleniem poinformowala ja sluzba, nie widziala swiatla dziennego od czasow babki Sary. Zdaje sie, pomyslala z rezygnacja Sara, ze niezbyt dokladnie poinformowala Knoyle o celu swej podrozy. Pokojowka chyba myslala, ze pakuje swoja pania na podroz do Timbaktu. Od czasu balu maskowego w Mooncoign minely dopiero trzy dni, ale szczesciem to nie Sara musiala spakowac zawartosc calego domu, zeby przewiezc ja o piecdziesiat mil na pomoc. Coroczna podroz lady Roxbury do miasta byla na glowie jej sluzby, a ta zajmowala sie tym juz od tygodni, posylajac partiami w droge wszystkie te kufry, pudla, pudelka i paczki, odkad tylko pozwalal na to stan drog. Dlatego tez w dzien po balu mogla zarzadzic natychmiastowy wyjazd do Londynu i tak tez uczynila. Upewnila sie przedtem, ze ani Wessex, ani jego kompan Illia Kosciuszko nie odstawili swojego wieznia do magistratu czy jakiegos innego domu w okolicy. Podczas ciagnacej sie trzy dlugie dni podrozy przemyslala sprawe jeszcze raz. Nawet gdyby udalo jej sie spotkac z Wessexem, o co wlasciwie miala go zapytac? Gambit na pewno zdazyl sie juz rozplynac sie w Londynie, niezaleznie od tego, co planowal dla niego Wessex. A zreszta co wlasciwie Sare obchodzil jego los? Zastanawialo ja cos innego: dlaczego, chociaz nic nie czula do Wessexa podczas ich dotychczasowych spotkan, miala teraz tak wielka ochote, by znow go ujrzec? Nie potrafila sobie wytlumaczyc, dlaczego tak sie dzialo. Skad ta dziwna chec przebywania w jego towarzystwie? Nie czula przeciez do niego pociagu jako do mezczyzny... a zreszta markiza Roxbury na pewno nie jezdzilaby za zadnym mezczyzna, chocby nawet za diukiem Wessex!

Towarzyszace jej do tej pory poczucie zagubienia gdzieś się rozwiło, wyparte przez napięcie i strach w dniu balu, a potem przez zamieszanie związane z podróżą do miasta. Z każdym dniem czuła się pewniej i naturalniej w roli lady Roxbury i przestawały ją zadziwiać niezwykle luki w pamięci. Cokolwiek zapomniała, ktoś ze służby natychmiast jej przypominał... albo robił to któryś z gości. Każdy z nich wprost kończył za nią zaczęte zdania. A więc wszystko było w najlepszym porządku. Sara spojrzała w zamysleniu na czubek buta wystający spod podróżnego ubrania.

Prosta i solidna szaroniebieska suknia z dobrego materiału w delikatny wzorek... oczywiście odpowiednia na podróż, ale nie nadająca się zupełnie do włożenia wśród oszłamiającego przepychu londyńskiego towarzystwa i na napuszczonym dworze króla Henryka IX Stuarta.

Nie nadawała się nawet do prezentacji przed matką chrzestną. Wiadomość od tej ostatniej czekała już na Sarę, kiedy przybyła do Heriard House. Ten nowy, znacznie młodszy od wiekowego Mooncoign budynek stał w zachodniej części Piccadilly, zwrócony frontową ścianą z białego marmuru na Park Lane i Hyde Park. Z tyłu miał plac Grosvenor, a na północy, odległa zaledwie o kilka minut drogi, znajdowała się High Holborn - droga łącząca Londyn z Oxfordem. Z tego miejsca Sara miała na oku całe towarzystwo, a tym małym obszarem mogła rządzić w prawdziwie wielkopanским stylu, pamiętając oczywiście, by nie izolować się zbyt od tych, którzy byli od niej znacznie potężniejsi. A Dowager - księżna Wessex - na pewno do nich należała. Choć matka chrzestna Sary wycofała się z towarzystwa po śmierci syna, wciąż miała wielki wpływ i gdyby zdecydowała się stanąć przeciwko Sarze...

Ale skąd te myśli? - skarciła się w duchu. Dowager jest przecież twoją matką chrzestną, zawsze ci sprzyjała. Czy to nie ona wysłała damę Alecto, kiedy twój powozik zderzył się z wozem pocztowym?

A wysłała?

Jednak te dodające otuchy rozważania nie odniosły skutku. Pamięć Sary znowu okazała się frustrująco pusta. Markiza, zmęczona po podróży, bo jej powóz dopiero niedawno zajeżdżał do Londynu, wzięła do ręki sztywny kremowy bilecik, który leżał na stole, i przeczytała go ponownie.

"Dowager księżna Wessex uprasza o łaskawe przybycie na herbatę w czwartek dwudziestego piątego kwietnia".

Dzisiaj.

O umówionej godzinie Wessex wysiadł z wynajętego powozu i stanął w progu Dyer House. Jego miłość nie miał w Londynie własnego środka transportu, a przecież nie przeżyłby takiego wstydu, aby pokazać się na herbacie w domu babki w stroju do konnej jazdy.

Odzwierny, który otworzył mu drzwi, był stary i pomarszczony - postarzał się na długoletniej

sluzbie u Dyerow. Gdyby to zalezalo od diuka, na pewno ktos znacznie bardziej zwawy otwieralby drzwi rezydencji. Na razie jednak bez slowa podal Langleyowi swoja peleryne i futrzana czapke, po czym, postukujac laseczka z bursztynowa raczka, wszedl po schodach na pierwsze pietro.

W domu Dyerow bylo mroczno nawet w srodku dnia, totez dopiero po chwili diuk dojrzal, ze oprócz dame Alecto, ktos jeszcze siedzi przy Dowager. Kobieta...

Potem rozpozнал goscia babki i tylko dzięki dlugim latom pracy nad opanowywaniem odruchow zdolal zachowac nie zmieniony wyraz twarzy.

-Babciu... pani... - powiedzial Wessex klaniajac sie uprzejmiem obu damom.

Sara natomiast najwyrazniej nie starala sie ukrywac swoich uczuc, bo patrzyla na przybylego z prawdziwym przerazeniem.

-Ach - westchnela Dowager - wiec jestes nareszcie, Wessex. Zdazyles juz poznac lady Roxbury, prawda? Alez oczywiscie, co ja mowie, w koncu jestescie zareczeni... ile to juz lat? - Dowager zawiesila glos, ale ani Wessex, ani lady Roxbury nie udzieli jej odpowiedzi.

-No, siadaj wreszcie, Wessex. Zadzwo nie po Langleya, aby przyniosl nam herbate - usmiechnela sie Dowager.

Sara nie mogla sie powstrzymac przed zerkanie na dame Alecto, ktora siedziala skromnie na rogu kanapy Dowager. Ale dame Alecto potrafiła doskonale ukrywac swoje uczucia i Sara chcąc nie chcąc musiała dalej prowadzic rozmowe.

-Jestem pewna, ze czeka nas rok pelen wrazen - mowila Dowager z przekonaniem. - Zwlaszcza jesli wziac pod uwage bliski juz slub na krolewskim dworze.

-Ksiezniczka Stefania powinna przyplynac tu za jakies miesiac - zgodzil sie chlodnym tonem Wessex. - Jestem pewien, ze wyladuje w Szkocji i przyjedzie do Londynu przez York.

W ciagu pol godziny od jego przybycia Sara zdazyla zniechecic sie do Wessexa za latwosc, z jaka natychmiast podejmowal kazdy z tematow rozpoczetych przez Dowager. Ten czlowiek chyba nigdy nie zapominal jezyka w gebie.

-Kazdy bedzie sie staral dostarczyc jej rozrywki - ciagnela Dowager - chociaz ksiaze Jakub nie jest zachwycony malzenstwem. Ale krol bardzo naciska, a to zalatwia sprawe. Oczywiscie zaprosimy ja na wasze przyjecie weselne. Jej udzial, oprócz krolewskiej aprobaty, bedzie dodatkowym zaszczytem.

Spokojny rytm konwersacji nagle sie zalamal, a po chwili zapadla przenikliwa cisza. Wessex tym razem nie odpowiedzial. Sara byla niemal uspona monotonna rozmowa, w ktorej nie brala udzialu, totez znaczenie slow ksieznej dotarlo do niej z opoznieniem, ale kiedy

zrozumiała, o czym mowa, też zaniemowila.

-Przepraszam, co mowilas, babciu? - zdolal wreszcie wykrztusic Wessex.

-Daj spokoj - odpowiedziala wcale nie zaklopotana Dowager. - Dziewiec lat od zareczyn powinno chyba wystarczyc kazdemu mezczyznie. Masz trzydziesci trzy lata, najwyzszy czas, abys sie ozenil. Teraz jest dobra pora, zeby to oglosic i ozenic cie w czerwcu. W ten sposob nie bedzie to wygladalo, jakbysmy planowali wszystko zaleznie od przyjazdu ksiezniczki Stefanii.

Wessex rzucil Sarze obojetne spojrzenie, ktore ona nie wiadomo dlaczego odczytala jako prosbe o pomoc. Nie bardzo jednak wyobrazala sobie, co moze dla niego zrobic. Gardner i Knoyle mowily jej o tych zareczynach jako o fakcie powszechnie wiadomym. Czy dla towarzystwa mialo jakiegokolwiek znaczenie, ze Sara widzi przyszlego meza jako zimnego i pozbawionego uczuc pajaca?

-Nie mam zamiaru poslubic jego milosci - uslyszala wreszcie Sara swoj glos, dochodzacy jakby z oddali.

Ta deklaracja powinna go ucieszyc, skoro nie palil sie do tego slubu bardziej niz ona, ale nieoczekiwanie Wessex spojrzal na nia ostro i wstal.

-Nic z tego, babciu - powiedzial. - Kto w dzisiejszych czasach dba o zareczyny w dzieciinstwie? Kazdy przeciez wie, ze nic nie czuje do markizy...

-Zostaliscie formalnie zareczeni, kiedy dziewczyna miala szesnascie lat. Nie byla juz wtedy dzieckiem, podobnie jak ty - przerwala mu babka i dodala z ironia: - Kazdy tez wie, ze w ostatnim tygodniu spedziles sporo czasu w Mooncoign. Zajmij sie ta dziewczyna, Wessex. Wprowadz ja do kilku domow. Nie zabraknie wam zaproszen, jesli tylko bedzie wiadomo, ze ich nie odrzucisz.

Sara zdala sobie sprawe, ze rownie dobrze mogloby jej nie byc w pokoju. Wessex rozmawial wylacznie z babka, na nia nie zwracal najmniejszej uwagi.

-Ale odrzuce, babciu. Mezczyzna prowadzacy taki styl zycia jak ja ma na glowie zbyt wiele, aby dac sie zakuc w kajdany...

-Tak - wtracila Dowager - musi na przyklad pomyslec o potomku, ktory przejmie ksiestwo.

Wessex zaczerwienil sie i utkwil wzrok w scianie nad glowa Sary, ona zas poczula, ze jej serce bije gniewnym rytmem. Ci dwoje targuja sie o jej przyszlosc, jakby jej tu w ogole nie bylo!

-Nie zamierzam wychodzic za maz - powtorzyla jeszcze raz glosniej. - Ani za diuka Wessex, ani za kogokolwiek innego.

-A z jakiego to powodu, dziecko? - zapytała słodko Dowager. Teraz zwróciła na nią uwagę, bo mogło jej się to przydać.

To rzeczowe pytanie zbiło Sarę z tropu. Wytrzeszczała oczy na Dowager,

-Ponieważ byłby to bardzo dziwny ślub, na którym zabrakłoby pana młodego - wyjaśnił Wessex.

-I panny młodej - dodała gorąco Sara.

-Ależ moi drodzy, mam już gotową listę gości na weselne przyjęcie - powiedziała z niezmaconym spokojem Dowager.

Tym razem Wessex nie udzielił odpowiedzi. Zerwał się od stołu i porwał swoje rękawiczki.

-Babciu, wasza dostojność... życze paniom milego dnia - uklonił się sztywno i opuścił pokój, zanim ktokolwiek z obecnych zdążył zareagować.

-No właśnie - skwitowała najwyraźniej zadowolona z siebie Dowager. - Myślę, że poszło całkiem niezle, nie uważasz, moja droga? Mężczyźni są jak pistolety. Czasem muszą sobie wystrzelić ze dwa czy trzy razy, ale potem można ich bezpiecznie schować do kabury.

9. KROL WYDAJE ROZKAZ

St. James znajdował się pomiędzy parkiem St. James a Green Park, na południe od Westminsteru i Parlamentu. Po wschodniej stronie miał Pałac Buckingham, a po zachodniej - długie koszary Gwardii Konnej. Otaczające go parkowe alejki i stawy już od trzech stuleci były miejscem wypoczynku rodziny królewskiej - od czasu, gdy król Henryk VIII przebudował dawny budynek szpitala St. James i wznosił tam nowy pałac. Czerwone ceglane ściany pałacu były świadkiem ostatniej nocy zamordowanego Karola I, jednak także pozostali władcy linii Stuartów utrzymywali swój dwór właśnie w tym budynku. Choć później wznoszono inne, często okazałszy pałace królewskie, dla lubiących naturę Stuartów nigdy żaden z nich nie dorównał urokowi tego miejsca. Lubili przyglądać się labedziom i pawiom, dostojnym damom paradującym po alejkach, a nawet farmerom, którzy niezmiennie prowadzili swoje bydło przez pobliski plac na rynek na londyńskim West Endzie.

Nie docierało tu szalenstwo rozgrywające się na kontynencie. W tej atmosferze spokoju trudno było uwierzyć, aby lud mógł znowu dokonać rzezi prawowitych władców w imię szalonych mrzonek.

A jednak we Francji tak się stało. Reperkusje tego czynu odczuwano się nawet tutaj, pod pozornie spokojnym angielskim niebem.

W obszernym apartamencie we wschodnim skrzydle pałacu St. James następcą tronu Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii wkładał właśnie stroj stosowny na audiencje u ojca.

-Nie, nie ten, Brummell. Papa nie dba zupełnie o takie szczegoly!

Jakub Karol Henryk David Robert Stuart, ksiąze Walii i diuk Gloucester - ksiąze Jakubek dla przyjaciół, których miał wielu - miał dziewiętnaście lat, jasnobrazowe włosy i płonące temperamentem oczy, pomieszane dziedzictwo krwi Stuartów i Plantagenetów. Był najmłodszym z pięciorga królewskich dzieci, jedynym chłopcem i następcą tronu, a także nadzieją wielu narodów, nie tylko angielskiego.

Choć jego ojciec, król Henryk, był w pełni sił i zdrowia i spodziewano się jeszcze długich dekad jego rządów, ksiąze Jakub miał już ambicję zajęcia własnego miejsca na światowej scenie i odcisnięcia swojego piętna na historii rozpoczynającego się właśnie wieku. A że miał w sobie diabelski urok Stuartów...

Jednak na razie jego ojciec pozostawał głuchy na wszelkie prośby i plany swego rozmilowanego w wojsku syna.

-Starczy już, Brummell, skończone - powiedział wreszcie zniecierpliwiony Jakub do słuzącego. - Ubranie jest doskonale dobrane. O mało nie spóźniłem się na spotkanie z papą!

Sięgnął po koszulę, którą trzymał w rękach słuzący i zaczął wciągać ją przez głowę. Brummell skrzywił się, jakby ktoś go uszczypnął i natychmiast pośpieszył z pomocą swojemu panu.

-Wcale nie starczy, wasza wysokość, zwłaszcza jeśli chcecie przekonać Jego Majestąt do czegoś, czego on nie próbuje - powiedział napominającym tonem.

Nazywał się George Bryan Brummell, miał dwadzieścia sześć lat i nie wyglądał na starszego od księcia, któremu usługiwał. Miał rumianą cerę, krecone jasnobrazowe włosy i szare oczy, i w tak młodym wieku cieszył się już opinią znakomitego znawcy mody, co zapewniało mu silną pozycję w królewskiej służbie.

-Ależ on to zaaprobuje - odparł Jakub głosem przytłumionym przez koszulę. - Dlaczego miałbym być jedynym mężczyzną w królestwie, który nie może wziąć udziału w walkach na polwyspie? Każdy przecież może tam pojechać i dołożyć swój kamyczek do tej wojny!

-Cena zaciągu do regimentu huzarów wynosi ponad dwa tysiące funtów, wasza wysokość, wiem to akurat dość dobrze - powiedział surowo Brummell. Przeszłość lokaja była dość tajemnicza. Plotki głosiły, że służył w armii, ale z powodu nadużywania gier hazardowych został z niej wyrzucony i powrócił do rodzinnych interesów. - Zresztą wasza wysokość jest zbyt inteligentny, by nie widzieć, jakie są prawdziwe powody oporu Jego Majestátu.

Ale w tym akurat przypadku Jakub był głuchy na argumenty kierowane do zdrowego rozsądku. Wyrwał się gwałtownie z rąk słuzącego obciągając niedbale koszulę, podszedł do kominka i wziął do ręki oprawiony w złote ramki miniaturowy portret młodej kobiety o

jasnych włosach, ubranej w gronostaje i perły.

-To przez nią - powiedział Jakub patrząc na dworski portret księżniczki Stefanii Julianny, swojej narzeczonej. Wiedział wcześniej, że planuje się takie małżeństwo. Powiadomiono go o tym w nieobowiązującej rozmowie, więc przypuszczał, że jest to kwestia bardzo odległej przyszłości. Pozostawał w tym złudzeniu aż do momentu, gdy dwa miesiące temu ojciec poinformował go, że ślub odbędzie się we wrześniu. Miało to oznaczać koniec beztróskiego okresu młodości, ale także marzeń o heroicznych czynach na polu bitwy.

Odwrocił się do Brummella, nieswiadomie wymachując portretem księżniczki.

-Wiem, że każdy mężczyzna, a zwłaszcza książę, musi się ożenić. Ale ja nie skończyłem jeszcze dwudziestu lat i mam na to mnóstwo czasu. Dlaczego papa nalega na to akurat teraz? Dla politycznych gier pana Pitta wystarczyłyby zaręczyny, a dla mnie tym bardziej.

-A gdybyś, wasza wysokość, miał spotkanie z pociskiem na polu bitwy? - zapytał z przekasem Brummell. Doskonale wiedział, że może sobie na to pozwolić. - Jeśli korona przejdzie na ród starszej siostry...

-Och, Boże bron! - zawołał głośno Jakub na samą myśl o swojej siostrze, która poślubiła nienawidzone przez naród niemieckie księżatko. - Ale co ze mną? Nie mogę przecież być całe życie więziony na dworze. Nie mogą odmawiać mi prawa do przygod, które może mieć każdy mężczyzna właściwie urodzony.

-Właśnie - westchnął Brummell. - Każdy widzi, że z waszą wysokością to się nie uda.

Podszedł do księcia, narzucił mu na ramiona pelerynę z zielonego brokatu i spróbował ułożyć ją prosto na książęcych plecach.

-Wasza wysokość się spóźni - powiedział cicho. - Lepiej jednak wyłożyć królowi jeszcze raz tę sprawę.

Jakub wyszedł z pokoju przyjmując postawę księcia w każdym calu... ale jednak wciąż bardzo młodego księcia, a w dodatku beztróskiego jak żaden z jego żyjących w trudnych czasach przodków. Niestety były to czasy, kiedy beztróska mogła mieć bardzo poważne konsekwencje. Brummell miał tylko nadzieję, że Jakub pojmie to, zanim będzie za późno.

-Ale papo... - zaprotestował Jakub.

-Dosc! - uciął krótko król Henryk. Henryk został królem w wieku lat trzydziestu, kiedy jego ojciec Karol V - monarcha równie wesół jak Karol II, ale znacznie bardziej nieodpowiedzialny - zginął na polu bitwy w Niderlandach. Wraz z koroną Henryk odziedziczył sieć sojuszy, które porwał zmieniający się wiatr; polityczne związki z Europą, które zdawały się żywcem wyjęte z wieków średnich oraz bardzo zdolnego, niebezpiecznego i inteligentnego wroga - Napoleona Bonaparte, Wielka Bestia, widmo, które nawiedziło

Kontynent.

Zarówno w czasach, gdy był Pierwszym Konsulem, jak i teraz, gdy został cesarzem, ten szalony geniusz wygrywał wszystkie bitwy i przestawiał figury na szachownicy Europy traktując poszczególne kraje jak białe i czarne pola. Bonaparte zamierzał sięgnąć także po Anglię, a Henryk nie miał zamiaru mu jej dać, nawet gdyby musiał zebrać o pomoc i sprzedać w niewole wszystkie swoje dzieci.

Ten sojusz z Danią był zesłany przez Boga, pozbawiał bowiem Napoleona doskonałej bazy do inwazji na Szkocję - kraj historycznie bliższy Francji niż Anglii. W dodatku kraj nigdy tak do końca nie przekonany do unii z Anglią, od czasu gdy Jakub VI Szkocki został także Jakubem I Angielskim po śmierci Elżbiety I. Kto wie, czy Szkoci nie powitaliby oddziałów francuskich raczej jako sojuszników niż najeźdźców. A gdyby tak się stało, Henryk miałby Korsykańską Bestię na pomocnej granicy, a pomoc - o czym nikt nie przekonał się bolesniej niż jego rod - była jak suche drewno, gotowe wybuchnąć płomieniem przy najmniejszej iskrze.

Ale jeśli księżniczka Stefania poślubi następcę tronu, jeśli zostanie podpisany traktat dąnsko-angielski dołączający Danię do sojuszu z Rosją, Prusami i Anglią przeciwko Napoleonowi i dający angielskim okrętom wolny wstęp do dąnskich portów - wówczas ta wielka dziura w systemie obronnym wyspy zostanie zatkana, a Henryk będzie wreszcie mógł przygotowywać plany ofensywne zamiast nie kończących się planów obrony.

Ale car rosyjski Aleksander i książę Wilhelm pruski nie byli tak pewni tego sojuszu jak Henryk. Obaj władcy podejrzewali, że związek ten zostanie zerwany w ostatnim momencie i że dotąd neutralni Dunczycy użyją tej wyłącznie dla swojej korzyści, a nie dla pożytku Anglii. A jeśli upadnie Anglia i rozpadnie się sojusz, wówczas Prusy i Rosja podwójnie odczują siłę zemsty Napoleona.

-Ale papo, ja... - spróbował jeszcze raz Jakub. Henryk uciszył go niecierpliwym ruchem dłoni.

-Powiedziałem: nie. I nie chce już powracać do tej sprawy. - Ale ja nie proszę, żeby mi się zaciągnąć - powiedział z gorącością jego syn. - Wiem, że nie pozwoliś na takie wyróżnienie. Błagam tylko o pozwolenie na podróż, żeby mi się obserwować walkę. Dziadek często tak robił...

-Właśnie. I jak to się dla niego skończyło? - warknął Henryk. Młody książę spojrzał na ojca zdumiony - król rzadko odnosił się do niego tak ostro.

-Podjąłem już decyzję, Jakubie, i nie zmienię jej. Zabraniam ci opuszczać Anglię. Możesz dokonać przeglądu swoich regimentów tu w kraju, jeśli chcesz, albo znajdź sobie inną rozrywkę. Ale nie posle cię na pewną śmierć na obcym polu bitwy.

W pokoju zapanała ciężka cisza. Książę uklonił się chłodno i oficjalnie i opuścił komnatę

bez słowa.

Król westchnął ciężko. Mogł wezwąć Jakuba z powrotem i zazać przeprasiny, ale zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie teraz targają synem. Następcy tronu Rosji i Prus walczyli w polu i od dawna już domagano się od Henryka, by jego syn objął sztab generalny sojuszu. Ale chociaż to stanowisko było dość odległe od rzeczywistych walk, Henryk nie chciał odsyłać Jakuba ze względnie bezpiecznej Anglii. Francuskie statki patrolowały Kanał jak głodne rekiny, a metody, jakimi Napoleon prowadził wojnę, nie były zbyt honorowe. Najważniejsze zaś było to, że traktat z Danią wchodził w życie dopiero w dniu ślubu księcia. A bez księcia nie było ślubu...

W porównaniu z romantycznymi polami bitew, nie kończące się dyskusje z ministrami ojca nie mogły pasjonować młodego księcia. Ale przyszły król musi znać tajniki dyplomacji - to podstawa rządzenia krajem.

Niestety królowie musieli znać się też na wojnie.

Ale jeszcze nie teraz...

Na Boga, nie teraz.

Podczas ostatnich dwóch tygodni Sara nauczyła się wielu rzeczy, a między nimi także tego, że cały Londyn uważa styl życia markizy Roxbury za skandaliczny. A przecież nie pamiętała ze swojego życia niczego szczególnie szokującego. Naprawdę nie czuła się jak ktoś, kto spędził kilka ostatnich lat wywołując skandal za skandalem. A jednak fakty były niezaprzeczalne.

Porządne młode panny nie rezydują we własnych domach z minimalną liczbą służby. Porządne panny nie mają własnych powozów. Porządne panny nie jeżdżą po Green Park o nieprawdopodobnych godzinach w towarzystwie jednego tylko lokaja. Otrzymują za to zaproszenia do Almack - ekskluzywnego klubu walca przy Kings Street. Lady Roxbury ich nie otrzymywała. Nie brakowało jej oczywiście zaproszeń na przyjęcia. Od przybycia do miasta codziennie dostawała ich nadmiar. Gdyby nie wzmacniający kordial, który Knoyle skrupulatnie podawała jej każdego ranka i wieczora, Sara z pewnością nie podobałaby tym wszystkim obowiązkom towarzyskim. Ale ze swoją wyostrzoną wrażliwością lesnej istoty Sara czuła, że wszystkie te przyjęcia, mimo ich blasku, nie są przyjęciami, na które zaprasza się najbardziej szanowane damy z towarzystwa. Inna sprawa, że nie była wcale pewna, czy za nimi tęskni - zapewne im bardziej dostojne przyjęcie, tym większa nuda. Ale Dowager księżna Wessex robiła wszystko, co w jej mocy, aby podnieść pozycję towarzyską Sary wśród śmietanki towarzyskiej. Za kilka tygodni Sara miała być przedstawiona królowi Henrykowi na dworze, a tego samego wieczoru księżna miała wydać wielki bal w Herriard House, bo dom księżnej nie miał odpowiedniej sali balowej. W następstwie tych dwóch wydarzeń miało oczywiście pojawić się zaproszenie do Almack.

Sara mogła tylko podziwiać oddanie i energię księżnej... zwłaszcza że i tak nie mogła nic zrobić, aby ją powstrzymać. Zgodnie z poleceniami zamówiła już suknie na dworską audiencję oraz suknie balowa, i miała tylko nadzieję, że wydarzy się coś, co przyhamuje nieco ten porywający ją wir wydarzeń. Przynajmniej Wessex jej się nie narzucał. Choć Sara musiała uczciwie przyznać, że tak naprawdę nigdy jej się nie narzucał. I to właśnie było jeszcze bardziej oburzające - wiedziała, jakie miał wobec niej plany, a jednak wciąż nie pojawiał się z oświadczeniami, które mogłaby stanowczo odrzucić. A odrzuciła je z pewnością, postanowiła, bo nie widziała najmniejszego powodu, dla którego miałaby je przyjąć. Podobnie jak Wessex uważała, że umowa między rodzinami, zawarta gdy oni oboje byli niemal dziećmi, nie miała wielkiego znaczenia w nowoczesnym świecie tysiąc osiemset piątego roku. Jednak... skoro te formalne zareczyny odbyły się gdy miała szesnaste lat, skoro ustalono wtedy, że poślubi Wessexa... dlaczego w takim razie w ogóle tego nie pamięta? Dlaczego nie pamięta samego Wessexa?

Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie. Zresztą nieważne, pamięta czy nie pamięta - odmówi Wessexowi, obojętne jak często jego babka będzie jej go podsuwać. Potem zakończy sezon, wróci do Mooncoign i...

I co?

Nagle Sara poczuła chłodny dreszcz trwogi. Miała wrażenie, że oto zatrzymała się na samej krawędzi przepaści i jeden nieostrożny krok spowoduje niewyobrażalną katastrofę. Ale gdzie czai się niebezpieczeństwo? Do jej umysłu wdarł się obraz istoty, która spotkała w ogrodzie tej nocy, gdy odbywał się bal. Tak samo jak była pewna, że takie stworzenia nie istnieją tam, miała też niezłomne przekonanie, że istnieją tutaj.

Ale gdzie jest tamten świat? I gdzie ja jestem, jeśli nie jest to miejsce, w którym się urodziłam? - pojawiły się w jej umyśle gorączkowe pytania.

-Pani... - głos Knoyle natarczywie wtargnął w jej rozmyślenia.

Sara zdała sobie nagle sprawę, że stoi na samym środku ruchliwej londyńskiej ulicy. A przecież miał to być poranny spacer dla oczyszczenia głowy z nocnych koszmarów!

Stała przed ozdobnymi, zielono-złotymi, podwójnymi drzwiami do księgarni Hatcharda na Piccadilly...

Jedną z największych przyjemności pobytu w Londynie była możliwość spędzania całych godzin na przeglądaniu książek i katalogów w różnych księgarniach i kupowanie wszelkich tomów, jakich tylko zapagnęła jej dusza. Co srode przychodziła do Hatcharda w poszukiwaniu nowych tytułów, a godziny spędzone między zakurzonymi polkami w olbrzymiej księgarni uważała za najszczęśliwsze w dotychczasowym życiu.

Była szczęśliwa. W końcu księżna Wessex to tylko zwykła stara kobieta, która przedwcześnie straciła męża i dzieci, a teraz z dobrego serca starała się zapewnić

szczęście swojemu wnukowi... może tylko zbyt mocno się starała.

Wzruszając ramionami Sara pchnęła drzwi i weszła do księgni. Wewnątrz było tak spokojnie. Z olbrzymiego żyrandola padało łagodne światło świec wprost na okrągłą ladę i biegnące promieniste od niej rzędy polek z książkami. Na ich widok pierzchyły resztki złych myśli.

Nie zatrzymała się nawet, by zapytać, czy jest już zamówiona paczka. Natychmiast podeszła do polek i zaczęła grzebac w kolorowych, oprawnych w skórkę tomach.

Robiła to już od kilku minut, kiedy jej uwagę, niemal bez udziału świadomości, przyciągnęła obecność młodej kobiety. Sara zerknęła na nią spod rądkapelusza zastanawiając się, dlaczego właściwie tak nagle zainteresowała się nieznajomą. Młoda kobieta ubrana była z kwakerską prostotą - gładka perkalowa sukienka w kolorze lawendy wyglądała niemal jak stroj zalobny. Ale kiedy uniosła twarz w poszukiwaniu jakiejś książki, Sara stwierdziła, że wszelkie ozdoby byłyby najzupełniej zbędne - miała przed sobą zadziwiająco piękną dziewczynę, najładniejszą, jaką kiedykolwiek widziała.

Jej skóra była biała jak alabaster, a puszyste loki otaczające twarz tak absolutnie czarne, że zdawały się rzucić delikatny błękitny cień na policzki. Długie rzęsy ocieniały oczy o zadziwiającej zielonej barwie, kojarzącej się z drogimi kamieniami na jubilerskiej wystawie. Młoda dama była zjawiskiem przyciągającym wzrok; Sarze przebiegła przez głowę niechętna myśl, że ktoś tak piękny z pewnością nie może być osobą szanowaną w towarzystwie. Jednak natychmiast skarciła się za to. Wszystko bowiem - począwszy od skromnego stroju, a skończywszy na dyskretnej obecności niemłodej służącej, wskazywało na coś wręcz przeciwnego. Sara uswiadomiła sobie nagle, że ta dama wygląda na znacznie bardziej godna szacunku niż ona sama.

Coż, była to zasłużona opinia po tych wszystkich latach, jakie markiza Roxbury spędziła na niewyszukanych zabawach zamiast dbać o swoją pozycję towarzyską. Reka Sary bezwiednie powędrowała ku piersiom, gdzie pod warstwami jedwabiu, muslinu i płociennego gorsetu spoczywał bezpiecznie pierścien ojca.

Nagle coś zakłóciło tok jej myślenia, jakby ukryta część świadomości starała się o coś przypomnieć. Pierścien ojca...

I właśnie w momencie, gdy znowu opanowało ją nagle uczucie, że nie pasuje do tego świata, Sara zrobiła nieważnie krok do przodu i wpadła na obiekt swoich niedawnych obserwacji.

-Och! - krzyknęła cicho.

Rozległ się niesamowity trzask spadających książek. Zarumieniona ze wstydu Sara w ostatniej chwili zdolała pochwycić nieznajomą.

-Bardzo przepraszam - jeknela pochylając się nad rozrzuconymi tomami. - Byłam taka niezgrabna.

-Nic się nie stało - odparła młoda kobieta. - Nie zauważyła mnie pani z powodu tych wszystkich książek. To moja wina. Wuj już wiele razy mi mówił...

-Pozwoli pani, że wezmę na siebie odpowiedzialność - powiedziała zdecydowanie Sara. - Jestem markiza Roxbury. Zapewniam panią, że nie zawsze traktuję klientów księgarni.

-Jestem zaszczycona, że mogłam poznać waszą dostojność. - Głos młodej nieznajomej brzmiał zupełnie szczerze. - Jestem Meriel Bulleyn z... zresztą to nieważne. Spędzam ten sezon w Londynie... - Panna Bulleyn zdaje się chciała powiedzieć coś więcej, ale ugryzła się w język.

-Więc zostanemy przyjaciółkami - zdecydowała Sara poddając się nagłemu impulsowi. Zebrała przez ten czas rozrzucone książki i wrzuciła nowej znajomej. - Przyznam, że bardzo ucieszyłaby mnie przyjaciółka w Londynie.

-Pani? Lady Roxbury? - zapytała panna Bulleyn, najwyraźniej zdumiona taką możliwością.

-Właśnie - odpowiedziała Sara z uśmiechem. - Nikt nie ma aż tylu przyjaciół, żeby nie cieszyć się z jeszcze jednego.

Prawde mówiąc, przy ludziach, którzy ostatnio pojawiali się w Herriard House, Sara nie czuła się swobodnie. Niewątpliwie były to postacie modne i mniej lub bardziej dostojne, ale wszystkie te ceremonialne odwiedziny i rozmowy stałe w tym samym kręgu trudno nazwać otwartymi i przyjacielskimi, a Sara tęskniła za kims, z kim naprawdę dobrze by się czuła.

-Będzie zachwycona, jeśli zostaniesz moją przyjaciółką - dodała spontanicznie.

Przez moment zdało jej się, że panna Bulleyn przygląda jej się zimno zielonymi kocimi oczami, ale musiało to być tylko złudzenie, bo po chwili dziewczyna uśmiechnęła się ciepło.

-Bardzo chętnie zostanie panią przyjaciółką, lady Roxbury.

-O, nie! - zawołała Sara impulsywnie. - Jeśli mamy być przyjaciółkami, musisz zwracać się do mnie po imieniu - Sara, - a ja będę mówić do ciebie Meriel. Ładne imię i takie niezwykle.

-To jest kornwalijskie imię - odparła panna Bulleyn z lekkim wahaniem, ale zaraz się uśmiechnęła. - Ale może lepiej stąd wyjdźmy, jeśli skończyłaś zakupy, bo jeśli zostaniemy tu dłużej, wyniosę pol księgarni.

-Chętnie wybrałabym się na przejazd po parku - powiedziała Sara. Odkryty powóz jechał za nią wolno podczas spaceru do księgarni i oczekiwał teraz na rogu. - Niestety jestem umówiona z madame Francine na przymiarke sukni. Za dwa tygodnie mam być

przedstawiona na dworze, a podobno odpowiedni dobor stroju na te uroczystosc jest sprawa najwyzszej wagi.

Sara podala ramie Meriel. Dziewczeta szly wolnym krokiem, a za nimi w pewnej odleglosci podazaly obciazone pakunkami sluzace.

Kiedy Meriel uslyszala ostatnie slowa Sary, przez jej twarz przemknal lekki grymas zazdrosci.

-To musi byc wspaniale miec taka suknie! Ja tez mialam zostac przedstawiona na dworze, ale kiedy umarl tata, moj wuj i reszta rodziny nie zgodzili sie na taki niepotrzebny wydatek - powiedziala panna Bulleyn, z wyraznym wysilkiem utrzymujac normalny ton.

-To okropne - wzdrygnela sie Sara. - Kazdy przeciez wie, ze prezentacja na dworze to conge do najlepszego towarzystwa. A to przeciez najwazniejsza rzecz dla mlodej damy. Moze twój wuj jeszcze zmieni zdanie?

-Na pewno nie - odparla panna Bulleyn ze smutna pewnoscia. - Wuj Richard ma wobec mnie inne plany. Ale bardzo chcialabym chociaz zobaczyc taka suknie... - westchnela.

-Mozesz przynajmniej obejrzec moja, jesli tylko chcesz -zadecydowala Sara. - Nie widze powodu, dla ktorego nie mialabys ze mna wstapic do madame Francine. Twój wuj nie moze ci chyba zabronic miec przyjaciol w Londynie?

-Nie - odpowiedziala rozjasniona nagle panna Bulleyn. Usmiechnela sie szeroko, ukazujac rowne biale zeby i czarujace doleczki w policzkach. - Wuj nie moze mi zabronic spotykac sie z toba.

Madame Francine urodzila sie jako Sara Franks w malej wiosce w srodkowej Anglii. Dzieki, talentowi, determinacji i hojnosci bogatego kochanka stala sie jedna z najwybitniejszych krawcowych, szyjacych suknie dla pan z najwyzszych sfer. Kiedy ostatnio Sara odwiedzala jej zaklad, zauwazyla, ze chociaz podobno byla tu od dawna stala klientka, jakos w ogole nie pamietala tego budynku. Odkryla takze, ze madame Francine nie tylko znala wszystkie plotki z wyzszych i nizszych sfer, ale takze, ze jej modne dodatki pochodza wprost z Paryza, jakby w ogole nie istniala blokada handlowa. Madame Francine, podobnie jak wszyscy, starala sie uprzyjemnic Sarze pobyt w miescie, totez kiedy zjawila sie w zakladzie z nowa przyjaciolka, natychmiast zostaly poczestowane herbata i ciastkami. Nowy gosc mogl poczuc, ze jest miło przyjetý.

Meriel bardzo latwo nawiazywala kontakt z ludzmi. Jeszcze zanim dluga przymiarka dobiegla konca, mlode kobiety serdecznie sie zaprzyjaznily, a Meriel uzyskala zaproszenie do odwiedzenia domu lady Roxbury, kiedy tylko zechce. Sara, zaprzatnieta rozmyslaniem o lowcach posagow i grozba malzenstwa z diukiem Wessex, nawet nie pomyslala, ze moga istniec ukryte powody, dla ktorych jakas kobieta mialaby szukac znajomosci z lady Roxbury. Nie przyszlo jej tez do glowy, w jaki sposob taka znajomosc mozna wykorzystac.

Tego samego majowego dnia, podczas którego nastąpiło tak wiele interesujących spotkań, także diuk Wessex przyjmował gościa.

Młody diuk po ostatniej wizycie u babki zaszył się w swoich apartamentach. Po pierwsze chciał uniknąć nie kończących się przyjęć, które go nudziły, a po drugie zamierzał przemysleć trudny problem, przed jakim postawiła go ukochana babka. Rzecz w tym, że nie przychodził mu do głowy żaden dobry powód, dla którego nie miałby poślubić markizy Roxbury... a przynajmniej żaden powód, który zaakceptowałaby babka. Byli zareczeni od wielu lat, no i miała odpowiedni charakter - na ile ją poznał, nie wymagałaby od męża namietnych uczuć i przesadnej galanterii. Mogłoby wieść swoje życie, a ona swoje i gdyby tylko nie uszczesliwiła go bekartem, spokojnie mogłoby zaakceptować każdy z jej wyskoków. Ale Wessex nie zamierzał się zenić. Jego styl życia był zbyt niepewny, ciężar służby dla króla i kraju zbyt wielki, aby mógł stać się statecznym mężem przyzwoitej kobiety. Na jego krwi ciążyło przekleństwo. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że dwóch kolejnych diuków przed nim również skusiła mroczna tajemnica Gry Cieni? Kiedyś w chwili rozpaczy Wessex poprzysiągł, że na nim rod się skończy. Ale przecież nie mógł przedstawić tych oczywistych powodów kochającej babce.

A gdybym nawet chciał się ożenić, na pewno wybrałbym mniej kłopotliwą kobietę niż Roxbury, pomyślał.

Czy naprawdę kłopotliwa? Wessex już miał zamiar zastanowić się nad tym określeniem, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi.

-Pan Kosciuszko, wasza miłość - zapowiedział Atheling.

Podczas pobytu w mieście Illia Kosciuszko nie wkładał swojego oryginalnego munduru. Po pierwsze nie chciał narazić się na śmieszność, a po drugie regiment w takich właśnie mundurach walczył po stronie największego wroga Anglii.

Wierny sługa Wessexa nie czuł się bynajmniej uszczesliwiony przybyciem gościa, którego właśnie zaanonsował. Dalo się to wyraźnie wyczytać z jego twarzy. Nie akceptował energicznego cudzoziemca, który wpadał do jego pana nie zapowiedziany i o bardzo dziwnych porach, a potem jeszcze wyciągał go na różne eskapady, zawsze kończące się uszczerbkiem dla garderoby.

-Wprowadz go - polecił Wessex, zgarniając na bok stosy rachunków i zaproszeń.

Nie czekał długo. Illia Kosciuszko, tym razem po cywilnemu, choć ubrany w sposób dość rzucający się w oczy, wtargnął do salonu z właściwym sobie temperamentem, wraz z kapeluszem, rękawicami i lasieczką, które próbował odebrać mu na progu zrezygnowany Atheling.

Cywilne ubranie Kosciuszki mało przypominało stonowany i spokojny styl przyjęty w Londynie. Illia wystroił się w żółte pantalony, doskonale pasujące barwą do rękawiczek.

Splecione w warkoczyki włosy, przewiazane takze zolta wstega, opadaly na ozdobiona rzędem srebrnych guzikow fioletowa kamizelka, ktorej kroj mogl zadziwic nawet wytrawnych znawcow mody. Na nia zarzucil brokatowy wzorzysty surdut, a na glowie mial czapke z dobrze wyprawionej bobrzej skory. Jesli dodac do tego diamentowa spinke w krawacie, zwisajacy z kieszonki zloty lancuszek od zegarka, kolczyk w jednym uchu i wreszcie laseczke z lakierowanego drewna, ktora dziarsko wymachiwal, otrzymywalo sie jedyny w swoim rodzaju, wielce inspirujacy widok.

-Dobry Boze - westchnal Wessex. Kosciuszko rozpromienil sie w usmiechu.

-Niezle, prawda? Smiem przypuszczac, ze bede wygladal na dzisiejszym przyjeciu lady Jersey, jak przystalo na egzotycznego cudzoziemca.

-Z cala pewnoscia - przyznal uczciwie Wessex. - Nikt nie wezmie cie za kogos innego. Ale co cie tu sprowadza? Oczywiscie rad jestem z twojego przybycia...

-...ale jesli czesciej nas beda widywac razem w Londynie, ktos moze zaczac sie zastanawiac, co laczy jego milosc diuka Wessex z tym podejrzanym uchodzca z kontynentu? - dokonczyl Kosciuszko. Nie czekajac na zaproszenie rozsiadl sie wygodnie na podniszczonym skorzanym fotelu przy biurku Wessexa i wzial do reki nie naladowany pistolet, ktorego diuk uzywal jako przycisku do papieru.

-Jeden z judaszowskiej pary? - zapytal z zainteresowaniem, spogladajac doswiadczonym okiem na zamek. Chociaz pistolet wygladal zupełnie normalnie, byl zaprojektowany w ten sposob, ze strzelal w tyl, a nie do przodu, zabijajac w pojedynku strzelca zamiast osoby, do ktorej tamten mierzyl.

-Zdobyłem go na czlowieku Wartlawka zeszlej wiosny w Calais - odparl Wessex. - Pewnie pamietasz falszywa operacje Malhythe'a, ktora prawie wykonczyla tamtejsze podziemie.

-Przynajmniej przekonalo to Home Office, aby trzymac sie z dala od interesow Bialej Wiezy - powiedzial spokojnie Kosciuszko. - Teraz robia to, co umieja najlepiej... inna sprawa, ze nie jest to warte nawet polowy czasu, ktory na to traca. Ale mialem mowic o czymś innym. Spedzilem ten poranek sluchajac lorda Misbourne'a i umieram z pragnienia.

-Wiesz, gdzie szukac - powiedzial beznamiennie Wessex. Kosciuszko odlozyl pistolet na biurko i rozejrzal sie w poszukiwaniu napitku. Przynioslo mu to sukces w postaci gasiorka, ktory wyciagnal spod rozmaitych smieci walajacych sie po kawalerskim mieszkaniu. Po chwili rozesmiany Polak z duza szklanka brandy w dloni zasiadl z powrotem w fotelu, spokojnie wytrzymujac uwazne, choc zaintrygowane spojrzenie Wessexa.

-Moge ci zdradzic cos niecos, bo i tak na pewno od kogos sie dowiesz. Mam wsiasc na statek do Kopenhagi w najblizszy piatek. - Kosciuszko powiedzial to takim tonem, jakby jego celem byla Antarktyka, a nie Dania. - Mam sie tam wybrac, zeby zabawiac przyszla angielska krolowa, dopoki tu nie przyzegluje, a moze takze potem.

Wessex zmarszczył brwi. Ustalono - zanim jeszcze pojechał do Francji i zaangażował się w l'affaire de Morrisey - że to on ma być członkiem eskorty księżniczki Stefanii.

-Kiedy się o tym dowiedziałeś?

-Wszyscy już wiedzą - powiedział Kosciuszko. - Ty też byś wiedział, gdybyś zadal sobie trud przeczytania swojej poczty. - Polak wyciągnął z kieszeni pomietę, zapieczętowany papier i rzucił Wessexowi, który chwycił go zgrabnie w powietrzu. Papier był ciężki z powodu wielkiej woskowej pieczęci, w której Wessex bez trudu rozpoznał prywatny sygnet króla Henryka. List wyglądał na nie otwierany.

Przelamawszy pieczęć Wessex szybko przebiegł wzrokiem kilka linijek starannego, równego pisma króla. Wiadomość była precyzyjnie sformułowana, choć niezbyt wiele wyjaśniała. Król wyjątkowo potrzebował obecności Wessexa w Londynie przez następne dwa miesiące, więc wycofywał swoje poprzednie zaproszenie, aby diuk towarzyszył eskorcie dunskiej księżniczki.

Wessex spalił list w płomieniu stojącej na biurku świeczki. Kiedy papier splonął, wsypał jego resztki do popiołu w kominku, gdzie przykrył je spalonymi węgielkami.

-Nie muszę nawet pytać, czy Misbourne to czytał - powiedział niezadowolony.

Liczył, że planowana wyprawa do Danii oddali go od machinacji babki. Zastanawiał się nawet, czy to nie ona użyła swoich wpływów na dworze, aby zatrzymać go w mieście teraz, gdy zamierzała doprowadzić do tego małżeństwa, na które tak się uparła.

-Czy czytał? - roześmiał się Kosciuszko. - Podejrzewam, że jest właściwym autorem. Na pewno wiele radości sprawi mu przebranie mnie za zwykłego marynarza na dwa miesiące. Ale nie martw się, dla ciebie też może się znaleźć coś ciekawego w czasie, kiedy ja będę zżywał luksusu i rozpusty na obcych dworach. Saint-Lazarre zniknął.

-Zniknął? - Wessex natychmiast stał się czujny. - Czy jest... martwy?

-Może i martwy - zgodził się Kosciuszko - ale jeszcze cztery dni temu był żywy i podróżował w blasku księżyca z jakimś nieznanym dzentelmenem w kierunku Norfolk. Nasi ludzie nie mieli rozkazów, aby zatrzymać Saint-Lazarre'a w Anglii, więc pozwolili mu odpłynąć.

-Nie ma co, ten człowiek lubi ryzyko - mruknął Wessex. - Z takiego stateczku można go równie dobrze wysadzić na środku Kanalu jak i dowieźć do Francji. Admiralicja powinna dokładnie go wypytać, co zamierza.

Jeżeli Admiralicja uważa, że misja Saint-Lazarre'a jest warta zachodu.

-Trzeba chyba założyć, że nasz Victor nie pytał ich o zdanie - zakończył temat Kosciuszko. - Chociaż powinien. Ma tu dobrych przyjaciół i naturalnych sojuszników. A Anglia ma wszelkie

powody, by wspomagać działalność Saint-Lazarre'a.

-M'sieur Corday nie rozjasni tej zagadki, prawda? - zapytał Wessex.

Kosciuszko wykrzywił usta w uśmiechu.

-Zadalismy mu trochę pytań, ale nie bardzo chciał współpracować. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że lord Misbourne będzie musiał zapytać Talleyranda, czy chce z powrotem tego faceta, albo odesłać go do kolonii, chociaż wtedy będziemy go mieli z głowy tylko dopoty, dopoki nie dotrze do Luizjany. Kolonia jest rojalistyczna i królewski gubernator nie współpracowałby zapewne z jednym z sans-culottes. Jednak nasz panicz Gambit na pewno nie będzie trąbił na prawo i lewo, kto mu płaci. Odegra raczej dotkniętego niesłusznymi podejrzeniami podróżnika.

-A gubernator, chociaż niewątpliwie występuje przeciw swojemu soi-disant Imperatorowi, niekoniecznie musi współpracować z Anglią - dokończył Wessex. - Mimo to byłoby zabawnie potraktować Gambita Cordaya w ten sposób.

-To nie zależy od nas - przypomniał mu Kosciuszko. Wessex poznawał po pozornie obojętnym tonie przyjaciela, że podobnie jak on gubi się w domysłach, co takiego ważnego wywabiło Saint-Lazarre'a z powrotem do Francji, gdzie niemal każdy był jego wrogiem, a złapanie go mogło przynieść bardzo wymierną korzyść materialną. Jaka dostał informacje, która nie podzielił się nawet z tymi rojalistami, z którymi miał kontakt? Co spowodowało tę samobójczą wyprawę?

-No, teraz muszę zadbać o własne sprawy i powiedzieć pewnej damie, że porzucam ją dla innej - przerwał milczenie Kosciuszko. - Muszę także się spakować i odwiedzić kilka miłych spelunek, zanim odpłynie "Endevour". - Dopił brandy i wstał, sięgając po rekawiczki, laseczkę i kapelusz. - Tak czy inaczej możesz się pocieszać, że będę teraz przez jakiś czas ciężko pracował, a prawdopodobnie i tak nie wydarzy się nic interesującego.

-Masz rację - zgodził się Wessex, odprowadzając przyjaciela do wyjścia. - Cała zabawa zacznie się dopiero, gdy księżniczka Stefania tu przybędzie, a król będzie musiał przekonać Jakuba, by zaakceptował swoją przyszłą żonę.

Mysli o rodzicielsko-matrymonialnych troskach dawno wywietrzały z głowy Wessexa, gdy dwa tygodnie później został przyjęty wieczorem przez króla Henryka w dworskim salonie. Jeszcze rano tego samego dnia Wessex nie pamiętał nawet, że na ten wieczór obiecał także Dowager księżnej Wessex swoją obecność na balu w Herriard House - balu z okazji prezentacji markizy Roxbury na dworze. Teraz jednak już sobie o tym przypomniał, a to za sprawą Athelinga, który koniecznie chciał się dowiedzieć, czy jego pan włoży na te okazje stroj wieczorowy, czy też galowy mundur. Od tego momentu nie mógł o tym zapomnieć. Cały poranek spędził przy swoim biurku na Bond Street (członkowie Białej Wieży mieli do czytania nie mniej dokumentów niż politycy, a Misbourne nie pochwałal wnoszenia ważnych

papierow do domu), a popołudnie w samej Białej Wieży. Kiedy tylko słońce zaczęło chylic się ku zachodowi, wymknął się do swoich apartamentów, przebrał i podał się prosto do palacu St. James. Natychmiast zaprowadzono go do króla. Nikogo to nie zdziwiło, bo wiadomo było powszechnie, że król Henryk często zasięga rady Wessexa w sprawach dotyczących armii. Tak też stało się tym razem. Przez ponad trzy kwadransy król i jego poddany dyskutowali problemy dostaw dla wojska przez Kanał, po którym kreciło się mnóstwo francuskich okrętów wojennych; delikatne sprawy obecności na polach bitewnych mało użytecznych księży, arcyksięży i królów oraz brak wiarygodności nieregularnych oddziałów, które były większą zawadą niż pomocą dla lorda Wellesleya na Polwyspie.

-Twój młody przyjaciel Kosciuszko dotarł bezpiecznie do Kopenhagi - dodał jeszcze król. - Został wszystko w takim stanie, jak się spodziewałem.

Kosciuszko nie musiał oczywiście podróżować na pokładzie "Endevour" jako zwykły marynarz, nie mógł jednak także podróżować jako Illia Kosciuszko, były gwardzista Jego Królewskiej Mości Króla Polski - czarujący, wesół szlachcic, chętnie zabawiający się w towarzystwie ludzi niższego stanu. Ktoś taki na pewno nie mógłby znaleźć się w świecie księżniczki Stefanii, a i obecność takiego człowieka na pokładzie statku byłaby za bardzo widoczna. Wessex wiedział, że Kosciuszko mógł z łatwością przybrać z pół tuzina osobowości podczas tej morskiej podróży. Kiedy dopłynął do celu, zapewne zniknął wszystkim z oczu i pojawił się w Danii jako jeszcze inny człowiek.

-To znaczy, sir? - zapytał uprzejmie Wessex. Wewnętrzny głos ostrzegł go, że Jego Majestat zaczyna powoli zmierzać ku tematowi, który był właściwym powodem wezwania Wessexa na dwór.

-Dezorganizacja i opóźnienia. Francuski poseł, ten przechrzta Saint-Germain, naturalnie robi wszystko co może, by nakłonić księcia regenta do zmiany postanowienia. Ale ufam, że sir John poradzi sobie z każdą przeszkodą na gruncie dyplomatycznym, tak więc przypuszczam, że konwój znajdzie się w drodze z lekkim tylko opóźnieniem. Tu zresztą dochodzimy do sprawy, która chciałbym omówić właśnie z tobą, Wessex.

Wessex stał się czujny, nie dał jednak po sobie nic poznać.

-O ile ci wiadomo, księże Jakub... nie jest specjalnie zadowolony z przybycia księżniczki Stefanii - powiedział król z naciskiem.

Wessex zeszywniał. Wszystkim było wiadomo, że Jakub broni się przed małżeństwem, ale o pewnych rzeczach, nawet oczywistych, po prostu się nie rozmawiało.

-Jestem pewien, że księżniczka Stefania jest bardzo sympatyczna - odparł Wessex oschle.

-Cieszę się, że tak myślisz - uśmiechnął się Henryk. - Wiesz jednak, że nie każdy z tym się zgodzi. Fox już wzywa do złagodzenia konfliktu, a torysom nie może podobać się posunięcie, które dla nich jest tylko tworzeniem nowych układów w starej wojnie.

Zakładając oczywiście, że Dunczycy będą tańczyć tak, jak im zagramy, pomyślał Wessex. Głośno powiedział:

-Jestem pewien, że z czasem zrozumieją, iż się mylili. Książę Jakub jest we właściwym wieku do małżeństwa, a Dania...

-Leży daleko i ta biedna dziewczyna będzie pomiędzy nami bardzo samotna. Jestem przekonany, że opinia towarzystwa na temat słuszności tego małżeństwa będzie w dużej mierze zależała od tego, czy zaakceptują sama księżniczkę... dlatego właśnie chciałem porozmawiać z tobą.

Podświadomie Wessex przygotował się na cios.

-Mam zamiar nadać markizie Roxbury tytuł Wielkiej Garderobianej...

Teraz już Wessex wiedział, do czego zmierza ta rozmowa i przeklinał sam siebie, że nie był na tyle przewidujący, by zaakceptować się na pokład "Endevour" albo wyjechać na Wyspy Ludozerców, albo strzelić sobie w łeb. Tytuł Wielkiej Garderobianej wiele znaczył w hierarchii dworskiej... ale nie mogła go sprawować kobieta niezamezna.

A król Henryk wciąż mówił.

-Chcę, aby księżniczka Stefania ubierała się zgodnie z obowiązującą modą. Nie mam zamiaru mieć pod własnym dachem następnej takiej pary, jak Maria i ten jej niemiecki Georgie. Ten człowiek nawet nie potrafi nauczyć się angielskiego. Ludzie uciekają, gdy tylko się do nich zbliży. Księżniczka Stefania przyplynie do Anglii w połowie lipca i chciałbym, żebyście ty i markiza byli do tego czasu małżeństwem. Roxbury zdołała wyrobić sobie całkiem niezłą opinię w Londynie ostatnimi laty, a ty jesteś dość niekonwencjonalnym człowiekiem. Oboje wprowadźcie księżniczkę Stefanię w towarzystwo i zadbać o to, aby wszystko dobrze się skończyło. Chcę, żebyś to dla mnie zrobił, Rupercie.

W Wessexie zamarło serce, ale przecież nie mógł odmówić królowi tej przysługi, skoro wcześniej poświęcił dla służby swój honor. Jeśli zonaty diuk ma być bardziej użyteczny dla króla niż diuk i markiza Roxbury osobno, Wessex posłubi te dziewczyny. Król wydał rozkaz, a jeszcze się nie zdarzyło, by diuk nie posłuchał królewskiego polecenia. Ale przekleciona linia Dyerów skończy się wraz z nim. Nie splodzi więcej szpiegów. Tej przysięgi Wessex nie zamierzał złamać.

-Nie zawiodę, wasza wysokość - powiedział cicho. Ciekawe, czy markiza też okaze uległość królewskiej woli. Coż, widział talizman, który nosiła. Jako członek Ligi Boscobel, jedna z tych, którzy przysięgli służyć królowi, będzie musiała być posłuszna, gdy tylko się dowie, że jest to życzenie samego króla.

Henryk dojrzał niezdecydowanie w oczach Wessexa i opacznie je zrozumiał.

-Moj drogi Rupercie - powiedział z uśmiechem - czy to możliwe, żebyś się bał, że Roxbury ci odmówi? Dziewczyna ma wprawdzie o sobie bardzo wysokie mniemanie, ale jej rodzina zawsze była zaprzyjzazniona z Koroną. Aby zaoszczędzić ci zmartwień, sam ja poproszę. W twoim imieniu oczywiście - rozesmiał się król.

Sara nie mogła powstrzymać dreszczu zdenerwowania, kiedy przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze o pozłacanych ramach. Suknia zdawała się mocno staroswiecka - z okropnie szeroka spódnicą z błyszczącej białej satyny, ozdobiona srebrnymi koronkami i mnóstwem drogich kamieni. Ten sam fason, nieco tylko unowocześniony, został zastosowany w sukni balowej, która miała włożyć później. Sara liczyła tylko na to, że zdenerwowanie pozwoli jej doczekać tej chwili. Na szczęście prezentacja była bardzo formalna ceremonia - wraz z tuzinem innych szczęśliwych pańienek wprowadzają do salonu, gdzie poczeka na króla. Potem każda zostanie przedstawiona monarche i będzie miała okazję oddać mu ukłon. Wszystko przebiegnie bardzo szybko, tak jej przynajmniej powiedziano.

Z uwagi na szczególną rangę markizy udostępniono jej prywatną komnatę, gdzie w oczekiwaniu na ten moment mogła poprawić garderobę. Knoyle naprawdę potrzebowała tych kilku chwil, aby doprowadzić do porządku jej fryzurę, która, upięta zbyt wysoko, nie przetrwała podróży powozem. Musiała też dokończyć opinanie diamentów na każdym dostępnym miejscu sukni. Sara patrzyła w lustro. Z przejęcia była nienaturalnie blada, a suknia zdawała się świecić, jakby była ze śniegu, a nie z jedwabiu. Jeszcze tylko kilka minut - widziała to na zabytkowym zegarze stojącym na stole - i poprosza ją do króla.

Według tradycji Sara powinna pokłonić się królowi w tym samym czasie, kiedy przedstawiono ją w towarzystwie - osiem lat temu. Do tej pory nie mogła sobie przypomnieć, jak to się stało, że wtedy tego nie uczyniła. Napiecie, jakie teraz przeżywała, powodowały bez wątpienia te dziwne i niepokojące sny, które ją ostatnio męczyły. Może gdy minie ten wieczór, znikną także sny?

Gdyby nie znikły, nie wytrzyma ich dłużej. Tylko dzięki towarzystwu panny Bulleyn ostatnie kilka tygodni było do zniesienia.

Sara chciała zaprosić pannę Bulleyn na swój bal i nawet poruszyła ten temat w rozmowie z przyjaciółką. Ale Meriel natychmiast uciela temat mówiąc, że jej wuj na pewno się nie zgodzi i w dodatku niewątpliwie się dowie, gdyby poszła tam bez jego zgody. Sara zaczynała czuć niechęć do pana Richarda Bulleyna, kimkolwiek był - mężczyzną, który zabraniał swojej siostrzenicy takiej nieszkodliwej rozrywki jak bal wydawany przez księżnę Wessex dla jej chrześnicy, z pewnością nie zasługiwał na miłe uczucia. A przyszłość, jaka szykował swojej siostrzenicy, trzymając ją z dala od kontaktów z towarzystwem, była naprawdę godna pożałowania.

Inna sprawa, że jej własna przyszłość nie wyglądała wcale różowo. Westchnęła. Mimo swoich triumfów towarzyskich zamierzała powrócić na wieś, gdy tylko skończy się ten bal.

Miasto nie było miejscem dla niej. Czegokolwiek szukała w życiu, z pewnością nie znajdzie tego tutaj. Jej melancholijne myśli przerwało pukanie do drzwi. Knoyle ruszyła je otworzyć.

W progu stał gwardzista w palacowym uniformie - złotej bluzie i przypudrowanej peruce.

-Lady Roxbury? Król Henryk przysłał mnie, abym zaprowadził panią do salonu.

Salon był zatłoczony i duszny. Przez okno było jeszcze widac ostatnie promienie zachodzącego słońca, ale zapalono już także świece w ciężkich kandelabrach i zapach rozgrzanego wosku wypełniał powietrze. Sara stała tak nieruchomo, że nawet nie błyskały diamenty na jej sukni. Odkąd bez słowa stanęła w miejscu, które wskazał jej gwardzista, nawet nie próbowała go zmienić.

Ściany salonu były obwieszane grubymi kotarami z czerwonego jedwabiu, których monotonię gdzieś przerywały lustra. Podłoga pod ozdobionymi diamentami trzewikami Sary była wypolerowanym marmurem. Na malowanym i pozłacanym suficie cherubiny otaczały portrety dawnych królów - wyciągających miecze ze skały, przekuwających je na kowadło, odbierających bronię z rąk kobiet wychylających się z toni jeziora.

Trzy wielkie kandelabry błyskały świecami, których blask odbijał się także w lustrach i drażnił oczy. Aby dać im odpocząć, Sara przestała podziwiać sufit i dyskretnie rozejrzała się po najbliższym otoczeniu, uważając jednak, by nie zmienić wyznaczonego jej miejsca.

Większość czekających obok dziewcząt była znacznie młodsza od niej; coż, ona miała bądź co bądź dwadzieścia pięć lat. I wszystkie były potwornie zdenerwowane, chociaż, w odróżnieniu od Sary, każdej z nich towarzyszyła co najmniej jedna starsza krewna. Na widok ich przerażonych twarzy Sara poczuła się nagle dziwnie uspokojona. W sali zobaczyła też wielu mężczyzn, najwyraźniej byłowców dworu, a kiedy przyjrzała im się lepiej, dostrzegła, że jednym ze stojących przy oknie huzarów w galowych mundurach jest Wessex. Miał na sobie krótką błękitną bluzę ze srebrnymi znakami Jedenastego Regimentu Huzarów, a przez ramię przewieszona podbita niedzwiedzim futrem peleryna. Ciemnoczerwone nogawki spodni ze złotymi lampasami wpuszczone były w wysokie buty, zakończone u góry fredzelkami. Do ramienia miał przymocowane ozdobione piorami czako.

Bez szabli mundur wyglądał na niekompletny, ale Wessex nie mógł pojawić się z bronią w obecności króla. Miał jednak przy pasie pochwę udekorowaną odpowiednimi dla regimentu wzorami. W tym stroju Wessex wyglądał groźnie i dostojnie, i w niczym nie przypominał tego oschłego i zmanierowanego pajaca, jakiego знаła.

Dostrzegł ją i nagle zeszywniał; zupełnie jak lampart, który zauważył myśliwego. Przez moment poczuła na sobie spojrzenie jego czarnych oczu. Potem jednak natychmiast odwrócił od niej wzrok nie skłaniając nawet najłżejszym ruchem głowy.

Teraz z kolei oczy Sary rozpalili się gniewem. A więc sądzi, że może ją ignorować,

udawac, ze jej nie widzi, jakby byla jakimś wyrzutkiem czy sluzaca?

Nie wydalo by sie jej to tak irytujace, gdyby nie to, ze w ciagu ostatnich kilku tygodni Sara zdolala zorientowac sie lepiej w swojej wysokiej pozycji... i gdyby nie to, ze od pierwszej chwili poczula jakas niezwykla wiez laczaca ja z Wessexem. Nie chodzilo tu o zadne zareczyny. Po prostu instynkt podpowiedzial jej, ze powinni byc przyjaciolmi, ale tak sie nie stalo.

Spojrzala w inna strone, a kiedy znow powrocila wzrokiem w tamto miejsce, diuk zniknal posrod innych dostojnych mundurow. Juz miala zamiar go poszukac, gdy do sali wkroczył przez ukryte drzwi gwardzista z dluga laska z kosci sloniowej i zastukal nia donosnie o podloge, sciagajac na siebie uwage zebranych.

-Jego Krolewski Majestat Henryk Karol Jakub Artur Christian, krol Anglii, Irlandii, Szkocji i Walii!

Wizerunek krola znajdowal sie na kazdej monecie, poczawszy od złotej gwinei a skonczywszy na miedzianych pensach; Sara widziala tez jego twarz na wielu obrazach, ale po raz pierwszy, odkad pamietala, zobaczyla monarche - zywego czlowieka. Nie byl tak wysoki jak oczekiwala, a charakterystyczne dla Stuartow jasne wlosy pociemnialy nieco z wiekiem. Ale nawet bez korony i krolewskich szat Henryk byl krolem w kazdym calu. Sara poczula, ze w reakcji na otaczajaca go aure krolewskosci budzi sie w niej niezwykle szacunek. Krol wolnym krokiem przechodzil wokol sali, zatrzymujac sie przy kazdym z obecnych, zeby sie przywitac. Spotkania w salonie krolewskim sluzily temu, aby lud Anglii mogl sie przekonac, ze jego monarcha jest zdrow i caly; powstrzymywalo to wszelkie plotki o chorobach czy nawet smierci wladcow, szerzace sie bardzo latwo w tych niespokojnych czasach.

Wielu z palacowych dygnitarzy podazalo w slad za monarcha i Sara zirytowala sie, dostrzeglszy w tej grupie Wessexa. Nie wiedziala, ze diuk jest tak blisko krola i nie wiadomo z jakiego powodu odnotowanie tego faktu zaniepokojilo ja.

Kiedy wreszcie krol sie zblizyl, Sara zgiela sie w poklonie, ktory cwiczyla przez wiele godzin. Brzeg jej krynoliny stuknal cicho o marmurowa posadzke, a biala satyna i srebrne koronki rozlozily sie wokol niej jak wachlarz. Pochylila glowe, a jej przyozdobiony piorami kapelusz pochytil sie wraz z nia; widziala i przed nosem tylko czubki pior. Potem spojrzala w gore i ku swojemu zdziwieniu dostrzegla wyciagnieta dlon krola, ktory spieszyl z pomoca przy wstawaniu.

Nie liczyła na tak szczegolny znak laski. Podajac mu dlon w rekawiczce pozwolila dzwignac sie z posadzki.

-Jak podoba sie pani Londyn, lady Roxbury? - zapytal z figlarnym blyskiem w oku krol Henryk.

Sara usmiechnęła się. Nie mogła popełnić takiego niewybaczalnego nietaktu, aby odwrócić wzrok od króla i szukać za jego plecami Wessexu, ale widziała, że diuk, gdziekolwiek był, teraz ją na nią patrzy.

-Interesujące miejsce, wasza wysokość - odpowiedziała.

-Ale nie tak interesujące jak Mooncoign, prawda, lady Roxbury? - odpowiedział król, wciąż w dobrym humorze. - Musi mi pani o nim opowiedzieć.

Niemal bez zastanowienia Sara zaczęła mówić o wspaniałych łakach Wiltshire. Król zdawał się zaskoczony w jej opowieści, aż nagle Sara zdała sobie sprawę, że trąkocze jak przekupka na rynku.

-Ale jego wysokość zapewne nie ma ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego - zakończyła trzeźwiejąc nagle.

-Au contraire, to cudowna opowieść. Ale to tylko utwierdza nas w przekonaniu, że musimy zrobić nieco więcej, by zabawić panią tu, w Londynie. Może zechcesz pani zatroszczyć się o księżniczkę Stefanię, kiedy tu przybędzie, i oprowadzić ją po mieście?

-Ależ z przyjemnością, sir - odparła szybko Sara.

Los tej dunskiej księżniczki - wysłanej daleko od domu na podstawie traktatu politycznego i zareczony z księciem, który nie chciał jej przybycia - wydał jej się bardzo smutny już wtedy, gdy usłyszała o niej po raz pierwszy.

-A zatem ustalone. Księżniczce będzie bardzo miło mieć za przewodnika młodą mezatkę z niebyle jakiej rodziny. I koniecznie musicie przysłać nam zaproszenie na wasze wesele. Chętnie weźmiemy w nim udział.

-Wasza wysokość jest zbyt łaskaw - odpowiedziała automatycznie Sara. Tylko dzięki długim ćwiczeniom udało jej się zachować niezmieniony wyraz twarzy, gdy król puścił jej dłoń i oddalił się wolnym krokiem.

Młoda mezatka? Odruchowo rozejrzała się za Wessexem, ale nie było go nigdzie w pobliżu.

10. KSIĄŻE POWODUJE ZAMET

Moja droga, stała się najlepsza rzecz, o jakiej mogliśmy marzyć! Król rozmawiał z tobą prawie dziesięć minut! Sukces masz zapewniony - zachwycała się Dowager księżna Wessex. Sara odwróciła wzrok od lustra. Knolly właśnie poprawiała drugą już tego wieczoru uroczystą kreację markizy.

-Tak - powiedziała powoli Sara. - Też tak sądzę.

Ale ten sukces na dworze wydał jej się mało istotny. Król Henryk mówił tak, jakby jej małżeństwo było już przesadzone, a jego data ustalona - co mogła mu wobec tego odpowiedzieć?

-Biedne dziecko - powiedziała Dowager. - Chyba już jesteś gotowa. Niedługo musisz tam zejść, bo nie wiadomo, jakie plotki powstają na temat twojej nieobecności. Ale masz jeszcze chwilę, akurat tyle, żebyś coś szybko zjadła, zanim pójdziesz powitać gości.

Bał był dokładnie taki, jakiego oczekiwała Dowager, a obawiała się Sara. Cały Londyn przybył, by ją odwiedzić, z wyjątkiem jednej osoby.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewa diuk Wessex.

Sara tańczyła z earlem Riponem bez wielkiego entuzjazmu. Znała go tylko z opowieści. Highclere'owie byli rodziną katolicką, która od wielu pokoleń miała za złe Stuartom ich nawrócenie na wiarę anglikańską i porzucenie Starej Religii. Zajmowali wprawdzie pewną pozycję w towarzystwie, ale nawet teraz protestowali przeciwko wszelkim poczynaniom politycznym króla - od wojny na Kontynencie począwszy, a na liberalnym postępowaniu z amerykańskimi koloniami skończywszy.

Ale jeśli Dowager księżna Wessex uznała, że należy zaprosić Ripona na bal, markiza Roxbury mogła z nim ostatecznie zatęczać. Musiała przyznać, że Ripon nie próbował poruszać tematów politycznych, uznając widocznie, że jest to spotkanie czysto towarzyskie. A jednak było w jego wzroku coś, co zdecydowanie się Sarze nie podobało... coś nieprzyjemnego i mrocznego...

Ale co to może mieć wspólnego ze mną? - zgromiła się w myślach. Wciąż była zła z powodu nieobecności Wessexa i najwyraźniej szukała ujścia dla swojego gniewu...

Melodia zbliżała się do końca i tancerze zaczęli się już rozglądać na boki w bezwiednym poszukiwaniu kolejnych partnerów. Ale zanim zabrzmiały ostatnie takty, Ripon zatrzymał Sarę w tancu tak gwałtownie, że spojrzała nań zdumiona.

-Geoffrey - wymamrotał.

Jednak oczy zebranych nie były skierowane na młodszego brata Ripona, ale na osobę, która razem z nim wkraczała do sali balowej tak dostojnym krokiem, jakby całe przyjęcie było wydane na jej cześć.

Oto przybył Jakub książe Walii, i to w całkiem liczonym towarzystwie.

Ripon i Sara przesunęli się ku krawędzi parkietu.

Książe Walii nie był zaproszony, chociaż utarło się, że wszyscy członkowie rodziny królewskiej mają wstęp na każde spotkanie, które tylko zechce zaszczyścić swoją

obecnością. Ale zazwyczaj książę Jakub obracał się w zupełnie innym towarzystwie niż Dowager księżna Wessex, a listę uczestników tego balu układała głównie ona. Sara osobście nie znalazła nikogo ze swity otaczającej księcia, chociaż niektórych rozpoznawała na podstawie plotek. Jasnowłosa mężczyzna, na którego patrzył Ripon, był prawie na pewno jego młodszym bratem Geoffreyem. A ten obok księcia, tak ciemny jak Geoffrey jasny, musiał być lordem Drewmore, którego wyczyny zyskały sobie tak skandaliczną sławę, że nawet nie rozmawiano o nich w przyzwoitym towarzystwie. Kobieta przy jego ramieniu... ta, której jasne loki z pewnością nie były dziełem natury... też wydawała się Sarze znajoma.

Ależ tak, to na pewno Karolina Truelove, młoda wdowa po sir Arturze Truelove, który wyróżnił się, a zaraz potem zginął na polu bitwy, niecałe trzy lata temu. Młoda i piękna wdowa odbyła potem podróż przez niemal wszystkie europejskie stolicy, wydając przy okazji całe pieniądze sir Artura, aby wreszcie osiedlić w Anglii, przy rodzinie meza. Niestety młodszy brat sir Artura, który odziedziczył po nim i baronię, i obowiązek opieki nad dwoma małoletnimi synami brata, nie zamierzał być tak tolerancyjny dla lady Truelove jak zmarły mąż. Pozbawiona złudzeń na szanse zwiększenia swojej wdowiej renty i nadziei na to, by pozwolono jej zabierać synów na długie wyprawy po okolicznych przyjęciach, lady Truelove poddała się wrodzonej niefrasobliwości, jak liść niesiony przez wiatr, i trafiła do kompanii, która wielce sobie ceniła wesołą zabawę i za nic miała wszelkie skandale.

Sara przypominała sobie, że widziała niedawno lady Truelove w Mooncoign. Była jednak pewna, że Dowager nie zaprosiła jej na dzisiejszy wieczór. Lady Truelove miała na sobie suknię prosto z Paryża - zieloną, jedwabną, z głębokim dekoltem, ozdobioną wstawkami i brylantami. Wyglądała w niej znacznie mniej przyzwoicie niż tancerka w operze na scenie Covent Garden.

-Przywitalabys lepiej swoich gości - warknął Ripon prosto w ucho Sary, a ona rzuciła mu wściekle spojrzenie.

Jak on śmie przemawiać do mnie w taki sposób! Zupełnie jakbym to ja była winna tej katastrofy!

Muzyka znów zaczęła grać, a Sara podążyła w stronę grupki otaczającej księcia. Dowager musiała widocznie nakazać muzykom, by nie przerywali. Sara była jej wdzięczna, bo towarzyszące muzyce i tancom zamieszanie pozwalało jej ukryć emocje. Kiedy zbliżyła się do księcia, zauważyła, że następca tronu zdążył już sporo wypić. Policzki miał zaczerwienione, a oczy błyszczące i wyglądał stanowczo na zbyt pijanego, by Sara mogła być spokojna o dalszy przebieg tej nieoczekiwanej wizyty.

-Lady Roxbury - zawołał wesoło książę Walii, gdy tylko ją dostrzegł. - Cudownie, że cie widzę... a, jest też diuk Wessex! Cholernie dostojnie wyglądasz w tym mundurze, mojej drogi. Ale czy nie szkoda marnować mundur dla faceta, który mogłby być za morzem, gdyby tylko zechciał, a nie chce?

Sara zaryzykowała szybkie spojrzenie w tył i za plecami zobaczyła Wessexa w tym samym galowym mundurze, który nosił na królewskich salonach. Zastanawiała się, kiedy wszedł, skoro dotąd go nie widziała. On zaś uśmiechał się, jakby to nie jego właśnie przed chwilą książe Walii nazwał tchorzem.

-W rzeczy samej, wasza wysokość - powiedział uprzejmie i zrobił krok do przodu. - Skoro jednak Jedenasty Regiment jest własnym regimentem księcia, a ten mundur księcia obraża, pozostaje tylko zmienić jego kroj.

Chyba rozbawił tym dostojnego gościa, bo Jakub rozesmiał się i klepnął Wessexa w ramię.

-Jak na kogoś, kto cały czas wisi na uchu mojego ojca, nie jesteś aż takim nudziarzem. Kate, przywitaj się z jego miłością.

Lady Truelove uśmiechnęła się zmysłowo do Wessexa, jak ktoś, kto doskonale wie, że może sobie na wiele pozwolić. Widząc to Sara nabrała ochoty, żeby jej przyłożyć. Nie miała pojęcia, dlaczego dotąd uważała tę kobietę za interesującą, ale mogła się założyć, że od tej pory zostanie skreślona z listy znajomych lady Roxbury.

-Jestem zaszczycona, wasza wysokość, że zechcieliście pojawić się na moim balu - powiedziała Sara przejmując kontrolę nad sytuacją.

Przy boku księcia został już tylko Geoffrey Highclere. Pozostali jego towarzysze zdążyli rozejść się w poszukiwaniu rozrywki.

-Czy wasza wysokość życzy sobie coś do picia?

-Doskonale pomysł! - rozjaśnił się w uśmiechu Jakub. Na szczęście jakieś pary wrocily już na parkiet. Sara miała nadzieję, że nieoczekiwane i hałasliwe wejście pijanego księcia przestanie zwracać powszechną uwagę. Niestety plan zabrania kłopotliwego gościa i jego skandalicznej swity z publicznego widoku spalił na panewce. Podczas gdy Sara prowadziła księcia przez pokoje otwarte dla gości, jego głośne zachowanie ściągalo na nich spojrzenia wszystkich, czego właśnie Sara starała się uniknąć.

-Czy to prawda, że powinniśmy dziś wieczorem oczekiwać ważnych deklaracji, lady Roxbury? - zapytała chichocząc lady Truelove. - Niczego tak nie lubię jak możliwości życzenia komuś szczęścia.

Sara miała nadzieję, że na jej twarzy nie odmalowało się osłupienie. Lady Truelove wyglądała raczej na osobę, która cieszy się z nieszczęść znajomych. Na pewno chodziło jej o to, że podobnie jak połowa świata, oczekuje dzisiaj ogłoszenia jej zaręczyn, a może nawet daty ślubu.

-Mam już dość tego spaceru, lady - oznajmił Jakub i zatrzymał się gwałtownie. Jeden z lokajów przechodził właśnie ze szklanką szampana. Książę polknął jej zawartość, jakby to

była woda i skinal, by przyniesiono więcej. Rozejrzal się i opadł ciężko na najbliższą sofę, a lady Truelove skwapliwie ulokowała się obok niego. Sara i Wessex nie mogli zrobić nic innego, jak tylko też się zatrzymać.

-Jeśli dobrze zrozumiałem, ty też masz wstąpić w związek małżeński, księżu - Geoffrey Highclere wyrosł jak spod ziemi u boku Jakuba. - Z jakas przeraźliwie nudną dąską szkapą.

Policzki Jakuba spurpurowiały; nie można było tego przypisać wyłącznie ilości alkoholu, jaką wypił.

-Niech mnie diabli, jeśli się z nią ożenie! - krzyknął z temperamentem właściwym Stuartom. Zerwał się na nogi i gniewnie rozejrzal po otaczających gościach. Nie wszyscy niestety należeli do jego osobistej swity. - Księżniczka Stefania może sobie płynąć do Anglii, a nawet do piekła, ale ja jej nie poslubie! Żaden Stuart nie będzie...

-...sprzedany za to, co Anglia może łatwo osiągnąć na polu bitwy - odpowiedział usłużnie Highclere.

-Dokładnie, Geoffrey - odparł Jakub, zadowolony z bystrości towarzysza. - Niech Dunczycy zajmą się swoimi interesami, a brytyjski lew...

-Jeszcze wina, Wasza Wysokość? - zapytał uprzejmie Wessex.

Musi być jakiś sposób, aby to zakończyć, pomyślała z desperacją Sara. Nagle przyszedł jej do głowy znakomity pomysł.

-Panie Highclere - powiedziała szybko - proszę wyswiadczyć mi przysługę i zatęczyć ze mną następny taniec.

Spojrzenie Sary zderzyło się z gniewnym wzrokiem młodego Ripona. Geofrery nie mógł jednak zignorować takiego zaproszenia. Uklonił się uprzejmie.

-Do usług, lady Roxbury.

Mobilizując całą swoją pomysłowość, Sara utrzymała przy sobie Geofreya Highclere'a przez następny kwadrans, chociaż w jego obecności czuła się zdecydowanie źle. Z wielką ulgą powitała widok powracającego do sali balowej Wessexu. Mogła wreszcie pozwolić swojemu zniecierpliwionemu partnerowi odprowadzić się do krzeseł. Gdy tylko tam się znalazła, Highclere wybiegł w pośpiechu z sali. Wessex przyglądał się temu z zimnym uśmiechem.

Sara zaniepokojona wstała.

-Niech sobie idzie, lady Roxbury - uspokoił ją Wessex. - Z przykrością oznajmiam, że księżu

opuscił twoje przyjęcie i udał się gdzie indziej. Mam nadzieję, że pan Highclere nieprędko go znajdzie.

-Dzięki niebiosom - powiedziała z ulgą Sara. Rozłożyła wachlarz i pomachała nim energicznie, bardziej aby ukryć miotające ją uczucia, niż w celu ochłody. Rozejrzała się dyskretnie, poszukując wzrokiem lorda Ripona. Starszego brata Geoffreya, ku swej radości, również nigdzie nie mogła dostrzec.

-Na razie sprawa się wyjaśniła - powiedział Wessex. - Niestety nieprzemysłane słowa księcia będą znane całemu Londynowi jeszcze przed switem, a to spowoduje... Lady Roxbury, czy mogłbym zamienić z tobą kilka słów na osobności?

Sara spojrzała na niego spodoba. Zastanawiała się gorączkowo, w jaki sposób, u diabła, uniknąć tej rozmowy. Tylko głupiec by się nie domyślił, o czym chce rozmawiać Wessex, a dyskusji na ten temat Sara wolałaby uniknąć. Patrzyła na diuka z wahaniem, a on nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko.

-Tak, wiem, że bardzo ci to nie w smak i że masz ochotę posłać mnie do wszystkich diabłów. Ale żadne z nas nie może sobie pozwolić, by zachowywać się zgodnie z własnymi życzeniami, jeśli więc wasza dostojność wyświadczy mi ten honor...

Podsunał jej ramię, a Sara, jakby nie mogła się oprzeć sile jego osobowości, pozwoliła bezwiednie poprowadzić się przez salę balową.

Chociaż, o ile wiedziała, Wessex nigdy nie był w tym domu, zdawał się znać rozkład pokoi lepiej niż ona sama. Już po chwili znaleźli się na wąskiej klatce schodowej, prowadzącej do prywatnego saloniku Sary na pierwszym piętrze. Wessex prawie wepchnął ją do pokoju i zamknął za nimi drzwi.

-Chciałes ze mną mówić... wasza miłość? - Znowu na moment poczuła pustkę w głowie; umknęła jej właściwa forma tytułu diuka, która przecież lady Roxbury musiała znać niemal od kolyski. Trwało to bardzo krótko i Sara wzięła, by Wessex coś zauważył. Przemierzyła pokój i usiadła w wygodnym fotelu naprzeciw kominka. Mimo płonącego w nim ognia dygotała lekko. Teraz, gdy nie było świadków, twarz Wessexa przybrała wyraz powagi, jakby musiał spełnić bolesny obowiązek. Sara wiedziała, jaki to obowiązek.

-Wasza miłość... - zaczęła.

-Nic nie mów! - przerwał jej ostro Wessex. - Są pewne rzeczy, o których nie wiesz, i dzisiaj właśnie powinnas się o nich dowiedzieć. Książę Jakub od jakiegoś czasu, mimo wysiłków króla, otacza się ludźmi, którzy, mówiąc ogólnie, wciąż zalegają odsunięcia od władzy młodszego brata Karola II - katolika, także Jakuba. Z jednym z głównych architektów tej partii tańczyłaś pani dziś wieczorem. Earl Ripon jest jednym z tych, którzy uważają, że Anglia powinna stać po stronie katolickich królestw Europy i porzucić politykę tolerancji i postępu. - Wessex patrzył przez chwilę w zamyszeniu w ogień kominka, zanim przemówił

znowu.

-Malzenstwo ksiecia z ksiezniczka z domu Schleswig-Holstein-Sonderberg-Glucksborg bedzie bardzo powaznym ciosem dla ich planow. Jak moglas pani zaobserwowac, stronnicy Ripona robia wszystko co w ich mocy, by zniechecic Jakuba do malzenstwa, ktore zaplanowal dla niego ojciec. Niewielu ludzi jednak wie, ze Ripon ma wlasna kandydatke na ksiezne Walii - swoja mloda siostrzenice, ktora zostala bardzo dokladnie przygotowana do odegrania roli w tych machinacjach. Ripon zamierza wplatac Jakuba w zwiazek z ta dziewczyna, aby ksiaze nie mogl sie juz wycofac. Spowodowaloby to skandal tak wielki, ze dunski ksiaze regent wycofa sie zarowno z malzenstwa siostry, jak i z traktatu wojkowego.

-Rozumiem. - Reka Sary bezwiednie powedrowala do pierscienia ojca, zawieszzonego pod suknia.

-Watpie, abys rozumiala wszystko, lady Roxbury. Jesli dunskie malzenstwo nie dojdzie do skutku, Anglia straci waznego sojusznika. A jesli ksiaze Jakub poslubi siostrzenice Ripona, Ripon uzyska takie wplywy na dworze, ze moze osiagnac swoj cel glowny: wycofanie Anglii z Trojprzymierza i zmuszenie jej do zawarcia odrebneho pokoju z Bonapartem.

-Ale... ale to niemozliwe. Siostrzenica Ripona musi byc katoliczka.

-I sadzisz, ze taki mariaz nie jest mozliwy wobec Aktu o Sukcesji - dokonczyl Wessex. - Uwierz mi, madame: jesli Ripon przeprowadzi swoj plan, krol bedzie musial zgodzic sie na malzenstwo albo tronem wstrzasnie taki skandal, ze krolestwo nielatwo wroci do rownowagi.

-A earl wygra i tak, i tak - dokonczyla Sara. Zaczynala powoli rozumiec polityczna intryge, ktora przedstawial jej Wessex. - On chce zakonczyc przymierze, a jesli w Anglii bedzie takie zamieszanie...

-Nasi ukochani sojusznicy pognaja z powrotem jak sploszone konie - zgodzil sie Wessex.

Patrzyl w ogien nieobecny spojrzaniem. Dopiero po chwili odezwal sie, jakby sam do siebie.

-Do tego nie mozna dopuscic. Gdyby ktos obudzil w Jakubie poczucie odpowiedzialnosci, gdyby on przestal zadawac sie z bratem Ripona... ale nade wszystko gdyby ksiezniczka Stefania zdobyła sympatie angielskiego ludu, nacisk opinii publicznej zmusilby ksiecia do wlasciwego zachowania.

Wessex wzial gleboki oddech.

-W obliczu niecheci ksiecia Jakuba ksiezniczka bedzie potrzebowala przyjaciol i mentorow. Ty, lady Roxbury, nie mozesz byc jej przewodnikiem po towarzystwie, bo jestes niezamezna. Ja tez nie bede mogl sie do niej zbliczyc bez... zalatwienia przedtem pewnej

delikatnej sprawy pomiędzy nami.

Wessex zamilkł, a Sara wbrew woli zastanowiła się nad jego słowami. Nie dbała zupełnie o Ripona, ale o księciu Jakubie pomyślała nagle jak starsza siostra o bracie, który pakuje się w kłopoty. Księżniczki Stefanii nie znała w ogóle, ale gdy myślała o tej młodej, samotnej kobiecie odbywającej daleką podróż do nieznanego kraju, czuła do niej niewytłumaczalną sympatię. Uważała, że powinna zrobić coś w jej mocy, aby ta dunska księżniczka znalazła szczęście w Anglii i w małżeństwie.

Małżeństwo. A więc ostatecznie wszystko do tego się sprowadza. Małżeństwo i diuk Wessex. Sara nie wątpiła, że diuk mówi prawdę - że bez tego małżeństwa nie będzie mogła pomóc ani księżniczce, ani księciu. Czy o to chodziło tej istocie, która spotkała w nocy w Mooncoign? Czy dlatego Sara usłyszała wtedy, że musi stać się częścią tego świata albo umrzeć?

-Wiem chcesz, abym cię poślubiła? - zapytała.

Ze słów Wessexa wynikało, że traktuje to jako czystą formalność, coś, co musi być załatwione z uwagi na znacznie ważniejszy cel. A król Henryk też życzył sobie tego ślubu, chociaż Wessex nie podchodził do niego z entuzjazmem.

-Tak - odparł sucho diuk.

Z trudem zmusił się do wygłoszenia tej przemowy, która miała w końcu doprowadzić do ich małżeństwa. Należało chyba podziękować earlowi Riponowi za spowodowanie incydentu, który był doskonałą ilustracją do tej historii. W pewnym sensie Wessex zaczął teraz niemal jawnie brać udział w walce z wrogami Anglii. W końcu wraz z żoną stanął na czele tej części towarzystwa, która będzie przeciwdziałać izolacjonistycznym planom Ripona. Nie wymagano zresztą od niego nic, co by przerastało jego możliwości. Po prostu jeszcze jedna maskarada, jeszcze jedna rola do zagrania, a lady Roxbury była po prostu kolejnym partnerem w Grze Cienia. A więc teraz wciążam w to także ja, pomyślał diuk.

-Dobrze - powiedziała Sara wzruszając ramionami, aby podkreślić, jak mało istotna jest to dla niej kwestia.

Wessex poczuł coś na kształt ulgi. Markiza najwyraźniej przejmowała się tym wszystkim jeszcze mniej niż on. Perspektywa małżeństwa nie wzruszyła jej dostojności w najmniejszym stopniu. Może zatem polubi też Grę Cienia?

Diuk przypomniał sobie o najważniejszym. Zdjął rękawiczkę, a potem pierścionek, który ze względów bezpieczeństwa nosił na małym palcu. Galowy mundur regimentu książęcego nie miał zbyt wielu kieszeni...

Wyciągnął rękę z pierścionkiem ku przyszłej małżonce.

-Pewnie chcialabys dostac takze to - odezwal sie. - Tak kaze tradycja.

W palcach diuka Isnila gruba zlota obraczka. Sara wziala pierścien z taka ostroznoscia, jakby podawano jej zatruta czekoladke. Byl stary, wytarty przez uplyw czasu. Przedstawial salamandre w plomieniach - ogon plazza otaczal palec, blyszczac czerwienia ognia i malutkimi zoltymi brylancikami, ktore imitowaly iskry. Ciało salamandry ozdabialy luski z perel i rubinowe, plomienie. Glowe tworzyly duzy diament; zamigotal w blasku swieczki, gdy Sara obrocila pierścien w palcach.

Zareczynowy pierścien. Przeciez zgodzila sie poslubic diuka. A jednak nie mogla sie zmusic, by wsunac klejnot na palec.

Weessex zlapal ja za lewa dlon. Wciaz nosila klejnoty zalozone na ceremonie prezentacji. Diuk sciagnal jej z palca duzy pierścien z brylantem i wsunal na to miejsce salamandre w plomieniach.

Stalo sie! - jeknal glos w glebi jej umyslu. Pomimo wszelkich mozliwych przeszkod. Patrzyla na zlocista salamandre otaczajaca jej palec, jakby ta mala istota miala zaraz przemowic.

-Co mam teraz robic? - zapytala drewnianym glosem.

-Mysle - odparl ponuro Wessex - ze najlepiej bedzie oglosic to radosne wydarzenie i dac twoim gosciom dobry temat do rozmow na reszte wieczoru.

11. WLASNOSC PANI

Oostatecznie okazalo sie, ze zareczyny wcale duzo nie zmienily. Ot, zwykly pobyt w Londynie. A ludzie i tak wiedzieli, co myslec o markizie Roxbury. Wprawdzie plotkowano wokol, ze diuk kupuje uzywany towar, ale Sara nie czula sie na tyle zwiazana uczuciowo z tym nieznosnym czlowiekiem, aby przejmowac sie jego reputacja. W ciagu dwoch tygodni od zareczyn nie udalo jej sie pozbyc uciazliwych bolow glowy. W koncu musiala uczciwie przyznac sie przed soba, ze jej chwilowe luki w pamieci nie sa tak niewinne, jak probowala to sobie tlumaczyc. Chocby nie wiadomo jak bardzo sie wysilala, nie mogla sobie przypomniec niczego, co sie zdarzylo, zanim obudzila sie po wypadku u pani Bulford. Mooncoign, gdzie przeciez podobno dorastala, bylo dla niej tak samo nieznane jak Londyn. Z kregu swoich przyjaciol Sara nie pamietala ani jednej osoby, z ktora wczesniej by sie spotkala. Przeczytala uwaznie pamietniki markizy i zupełnie nie potrafila sobie wyobrazic, by sama napisala cos takiego. Nawet nie podobala sie jej ta kobieta, ktora wylaniala sie z tych zapisanych stron - pusta i arogancka. Sara nie umiala nawet sie wstydzic za swoje poprzednie zachowanie; nie mogla w zaden sposob zmusic sie do uwierzenia, ze ta kobieta z pamietnika w czerwonych okladkach miala z nia cokolwiek wspolnego. Czy taka wlasnie kobiecie chcial poslubic ten zarozumialy diuk Wessex? To i tak nie ma znaczenia, pomyslala z rezygnacja; przeciez Weessex wyraznie dal jej do zrozumienia, ze zeni sie z nia z obowiazku.

Nie będzie więc o tym myśleć. Wystarczy, że robi co może dla Korony. Jej rodzina zawsze służyła Stuartom...

Klacz, na której siedziała, potknęła się nagle, co przywróciło Sarę do rzeczywistości. Jej życie osobiste było mocno poplątane, ale przecież i tak miała za co dziękować losowi.

Maj ustąpił miejsca czerwcowi i przy coraz cieplejszej pogodzie Sara każdego poranka zazywała cudownej konnej przejażdżki. Zgodnie z jej poleceniem służba czekała na nią przed parkową bramą. W pięknym, lesistym Green Parku zdolała na chwilę zapomnieć, że oto jeszcze jedno miejsce, którego nie pamięta, choć powinna.

O tej porze dnia park był także doskonałym miejscem na spotkanie z kims, kto nie chciał być widziany przez wielu świadków.

Po kilku minutach truchtu Sara dojechała do malej polanki wśród drzew, przy samej drodze. Strzegła jej statuetka Apollina. Każdy, kto chciałby się ukryć między tymi drzewkami, był doskonale widoczny dla ludzi spacerujących drogą. Modny Londyn wybierał się na przejażdżki po południu, a na razie poranne słońce dopiero złożyło dachy Piccadilly. W oddali błyszczała złotem kopuła katedry. Sara zatrzymała się na polance, obróciła klacz z powrotem w kierunku drożki i czekała.

Już niebawem usłyszała tętent kopyt i jej oczom ukazała się Meriel Bulleyn.

Panna Bulleyn miała na sobie ładny i bardzo modny kostium, skrojony na wzór huzarskiego munduru, z podwójnym rzędem srebrnych guzików, które błyszczały z daleka na tle nieskazitelnej czerni zakładu. Woalka opuszczona na twarz miała zapewnić dziewczynie anonimowość; za to kon, na którym jechała, stawał te zamiary pod znakiem zapytania. Miał siersc tak absolutnie czarna jak włosy panny Bulleyn, z wyjątkiem srebrnej plamki na samym środku czoła, która wyglądała jak ślad po pocałunku wrożki. Gdy Meriel zatrzymała go ściągając wodze, zatoczył na tylnych nogach, okazując wyraźne niezadowolenie, że musi skończyć bieg.

Sara zastanawiała się często, jak to jest: dlaczego wuj Meriel podarował jej wierzchowca, jakiego trudno byłoby znaleźć nawet w królewskich stajniach, a jednocześnie trzymają z dala od towarzystwa.

-Dzień dobry - zawołała panna Bulleyn.

Sara wiedziała, że słuzacy Meriel czeka za zakretem drożki. Musiał być bardziej lojalny wobec panny Bulleyn niż wobec wuja Richarda; może zresztą ten ostami nic widział nic niewłaściwego w tych porannych spotkaniach.

-Co u ciebie słychać? - zapytała Meriel odrzucając woalkę.

-Mam dość tych przygotowań do ślubu. Dowager twierdzi, że mój narzeczony też jest w

podłym humorze, bo zamierza kupić dla nas dom. Dyer House jest o wiele za mały, poza tym Dowager mieszka w nim już od trzech lat, a przecież jej nie wyrzucimy. Nie mogę sobie też wyobrazić, żeby dom na West Endzie, który proponuje Wessex, był gotowy do czasu naszego ślubu. - Kiedy teraz opowiadała o tych kłopotach, poczuła, jakie są w gruncie rzeczy błahy. Wrócił jej dobry humor i uśmiechnęła się.

Meriel odpowiedziała głośnym śmiechem.

-Będzie musiał przywyknąć do pewnych niewygod. I do krótkich cugli, bo do tego musi przywyknąć każdy mąż. A ty nie masz własnego domu?

-Mam, oczywiście - odparła Sara. - Musisz go koniecznie zobaczyć, Meriel. Naprawdę boli mnie serce, że z moją najlepszą przyjaciółką musimy się chować po krzakach. Mam być księżną Wessex, przyjaciółką króla, więc twój wuj nie powinien mieć nic przeciwko naszym spotkaniom.

-On... on jest bardzo zadowolony, że się poznałyśmy, ale... nie prosz mnie o wyjaśnienia. Wiele bym dała, aby uczestniczyć w tych przyjęciach, o których mi opowiadałaś, ale nie mogę. Jeszcze nie - westchnęła Meriel.

-Jeszcze? - Sara nie mogła powstrzymać ciekawości. Kiedy jednak zauważyła zmieszanie na twarzy Meriel, uznała, że musi trochę poczekać. - No dobrze, dajmy spokój. Nie zamierzam cię wypytywać.

-Jesteś dla mnie taka dobra - powiedziała jej przyjaciółka cicho. - Gdybyś wiedziała, kim naprawdę jestem, nie byłabyś taka miła.

-Choćbyś nawet była samym diablem, i tak nie przestanę cię kochać - stwierdziła z przekonaniem Sara. - Ruszajmy. Dobry galop wyleczy każdą depresję!

Data ślubu zbliżała się coraz bardziej, a diuk Wessex oczekiwał jej z takim mniej więcej fatalizmem jak dnia egzekucji. Miało się to wydarzyć bez względu na wszystko, więc najlepiej było do tego czasu zajmować się wszystkim, co rozprasza ponure myśli.

Wessex odwiedzał zatem regularnie ulubione kluby, spędzał sporo czasu w koszarach Gwardii, trenował boks i szermierkę i jeździł konno po Hyde Parku. Rzadko widywał swoją narzeczoną (co zresztą mu odpowiadało), ale miał o niej stale wiadomości od wspólnych znajomych. Miejskie rozrywki wciągały, Wessex pozwolił więc po prostu dać się wciągnąć. Co kilka dni znajdował jednak chwile, by zatrzymać się przy pewnym budynku na Bond Street. Dopiero tego popołudnia dowiedział się, że Lord Misbourne go oczekuje.

Wessex miał kartkę papieru i położył ją na srebrnej tacy trzymanej przez Charterisa. Lokaj uklonił się i odszedł, by wrzucić zgnieciony papier do zamkniętego pieca, gdzie ładowały wszystkie niepotrzebne dokumenty Białej Wieży.

Diuk rozejrzal sie po pokoju, ktory wygladal jak biblioteka w normalnym klubie. Kilka siedzacych tam osob nawet nie unioslo glow znad papierow. Dwoch z obecnych Wessex znal z nazwiska, trzeci byl mu zupelnie obcy, ale w tych scianach wszyscy byli sobie rowni i wszyscy jednakowo anonimowi.

Westchnal. Nie mozna bylo nic zrobic, aby opoznic ten moment, ani tez by dowiedziec sie wczesniej, czego chce od niego Misbourne. Wyszedl z pokoju i skierowal sie korytarzem do obitych skora drzwi gabinetu Misbourne'a.

-Ona spotyka sie z siostrzenica Ripona niemal codziennie. W Green Parku - powiedzial lord Misbourne, gdy tylko diuk stanal w progu.

Wessex zamrugal, zaskoczony tym dosc niekonwencjonalnym powitaniem. Misbourne majacy w polmroku pokoju niczym bestia z morskich glebin, wyciagnieta na powierzchnie w rybackiej sieci.

-Dobry wieczor, lordzie Misbourne - odpowiedzial uprzejmie Wessex. Od razu domyslil sie, o kogo chodzi Misbourne'owi. - Mowi pan o lady Roxbury?

-Stala sie bardzo bliska przyjaciolka tej latorosli Ripona -potwierdzil Misbourne wpatrujac sie badawczo w Wessexa. bezbarwnymi oczami.

-To nie moja wina - mruknal Wessex. - Ja tylko zenie sie z ta kobieta.

-I dlatego jej zycie towarzyskie wcale cie nie obchodzi. Ale jej motywy powinny - napomniat go Misbourne.

Wessex zmarszczyl brwi. Nagle zdal sobie sprawe, jak niewiele wie o charakterze swojej narzeczonej. Z jednej strony wiedzial, ze nalezy do Ligi Boscobel, ale tym sekretem nie mogl sie podzielic nawet z Misbourne'em, wiec teraz nie mialo to znaczenia. Zreszta uczestnictwo markizy w Lidze nie wykluczalo konszachtow z siostrzenica Ripona, zwlaszcza jesli Roxbury toczyła jakas tajemnicza gre z polecenia krola.

-Moze byc wiele prawdopodobnych motywow -powiedzial diuk, co zreszta bylo prawda. - A co robi Ripon?

-Nic - odpowiedzial po prostu Misbourne. - Trzyma swoja siostrzenice pod korcem, wyglada na to, ze ukrywa ja przed towarzystwem. Mala nie chodzi nigdzie i nie spotyka sie z nikim... z wyjatkiem lady Roxbury.

-Interesujace - odparl Wessex ze spokojem, ktorego wcale nie odczuwal. Mial wielka ochote dopasc markizy i potrzasac nia tak dlugo, az wydobedzie odpowiedz. Sadzil, ze moze jej ufac... ze nie musi zaprzatac sobie nia glowy. A tu cos takiego... Zdal sobie nagle sprawe, ze Misbourne uwaznie go obserwuje.

-Sa jakies wieści z Danii? - zapytał.

-Nic więcej, niż oczekiwaliśmy - odparł Misbourne. - Kosciuszko informuje, że nadal planują podróż na koniec lipca, kiedy morze jest najspokojniejsze. Książę regent wciąż próbuje zmienić traktat, aby Dunczycy nie musieli nic robić, a sir John, stary lis, kontrykuje go umiejętnie.

Wessex uśmiechnął się lekko. W politycznych kręgach sir John nosił przydomek "Małego buldoga" z powodu swojej nieustępliwości.

-Powinnismy raczej martwić się przyjęciem księżniczki tu, na miejscu. Nieodpowiedzialne wybryki księcia Jakuba powtarzają się coraz częściej i mówi się, że nie do uniknięcia jest otwarty konflikt między księciem a jego ojcem.

Taki rozłam w ich stosunkach daby Jakubowi okazji sformowania własnej partii. Zresztą na pewno zrobiłby to dla niego Ripon. Przynajmniej na razie nie kusił księcia swoją siostrzenicą. Wessex był pewien, że o tak katastrofalnym obrocie sprawy Misbourne by mu wspomniał.

Piękna kotka Ripona spędza na razie czas z narzeczoną Wessexa.

-Być może uda mi się wpłynąć na markizę - powiedział powoli Wessex - a przynajmniej zwrócić jej uwagę na pewne fakty. Wątpię, żeby posłuchała moich rad, ale jeśli będę się sprzeciwiał jej kontaktom z siostrzenicą Ripona, sprawa może nabrać rozgłosu, a tego Ripon zdaje się bardzo pragnie uniknąć.

Misbourne przyglądał się Wessexowi przez dłuższą chwilę przezroczystymi jak szkło oczami.

-Nic nie rob - powiedział w końcu. - Lisica opuściła nore. Zobaczymy, dokąd pobiegnie.

12. MALZENSTWO SILNYCH LUDZI

Piętnastego lipca tysiąc osiemset piętego roku, w Kaplicy Królewskiej pałacu St. James, kapitan Rupert St. Ives Dyer dzięki Wessex zawarł święty związek malzenski z Sara Maria Eloiza Arkadia Dowsabelle Conyngham, markizą Roxbury. Pan młody był ubrany stosownie do okoliczności - w szarą kamizelkę, piaskowej barwy bryczesy i ciemnogrnatowy frak. Panna młoda błyszczała srebrem. Król osobiście poprowadził Sarę do ołtarza, bo markiza była sierotą i wobec prawa właśnie Karol II był jej opiekunem. Przyjęcie weselne należało raczej do skromnych. W Heriard House, u markizy, nakryto stoły na sto pięćdziesiąt osób. Mała armia kucharzy przyrządziła wszelkie możliwe przysmaki, aby zaspokoić wybredne gusta gości. Same tylko galaretki i lody serwowano w całej teczce barw i smaków. Miała to być przecież wesela uroczystość. Dzięki Wessex załował trochę, że nie może w niej wziąć udziału Kosciuszko; w gruncie rzeczy wolałby, żeby Kosciuszko był teraz na jego miejscu, bo on sam chętnie uciekłby stąd do wszystkich diabłów.

To okropny błąd. Mimo wyraźnego życzenia babki, a nawet samego monarchy, Wessex nie powinien był poślubić Roxbury. Wiedział to doskonale już od momentu, gdy wkroczył do kaplicy i zobaczył postać stojącą przy ołtarzu - obsypana klejnotami zjawą, przywodzącą na myśl posąg ze stali i lodu. Dziewczyna wyglądała na tak przerażona, jakby zaraz miała się odbyć jej egzekucja. Wessex, który czuł się podobnie, uśmiechnął się nawet, by dodać jej odwagi. Nie wiedział, czy to zauważyła.

Potem zaczęła się ceremonia. Każde padające podczas niej słowo diuk odczuwał jak uderzenie młota, przypieczętujące nieodwołalność tego, co się dzieje. Kiedy zostaną połączeni węzłem małżeńskim, tylko specjalna uchwała Parlamentu będzie mogła ich rozdzielić.

Ale skoro już się zaczęło, było za późno na jakiegokolwiek kroki. Stało się. Wessex pocałował żonę w lodowate usta. Na szczęście Sara nie miała okazji powiedzieć mu, co o tym myśli. Nie wtedy, kiedy wszyscy w zamieszaniu wychodzili z kościoła, a potem wsiadali do powozów wiozących ich na przyjęcie. Potem zaś Wessex zadbał o to, aby nie mogła się do niego zbliżyć na osobności. Te noc szczęśliwa młoda para miała spędzić w Dyer House, jak wiele pokoleń diuków i ich małżonek przed nimi. I tylko Wessex wiedział, że stanie się to pierwszy i ostatni raz. Na razie jednak płynęły strumienie szampana, w których można by utopić całą Gwardię Królewską. Wessex w każdym razie nie zamierzał się przed tym bronić.

Nawet jeśli nie udało mu się upić do końca, przynajmniej znieczulił się na tyle, że nie przeszkadzały mu wznoszone przez gości życzenia i toasty. Chyba nawet uśmiechnął się do oblubienicy.

Wessex wiele razy zabijał w służbie króla i kraju, ale nigdy nie sprawiało mu to przyjemności. Teraz też jej nie odczuwał, rujnując życie tej kobiety, która właśnie poślubiła szpiega - czyli najnikczemniejszego z nikczemnych. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw działalność diuka dla Białej Wieży, nie czeka go wieniec laurowy, tylko wieczna hanba dla całej rodziny, której członkowie parali się tym odrazającym zajęciem. Jakby tego było mało, nieszczęśliwa markiza poślubiła dziś człowieka, który nie życzył sobie kontynuacji swojego rodu. Mogłaby uzyskać unieważnienie związku, gdyby to udowodniła (i gdyby Wessex narobił sobie wystarczająco wielu wrogów w określonych sferach). Za parę lat mogłoby to być odpowiednim wyjściem z sytuacji, ale na razie skandal okazałby się zubożycielski.

Świeżo poślubiony małżonek może także zginąć...

Wessex nagle poczuł się lepiej. Ta możliwość do tej pory nie przyszła mu do głowy, ale przy jego zajęciu była wielce prawdopodobna. Jeśli zginie, jego wstydlivy sekret odejdzie wraz z nim, wdowa po nim będzie mogła znów dobrze wyjść za mąż, a jego babka nigdy się nie dowiedzie, jakim potworem był naprawdę jej wnuk. Pod wpływem sporej ilości szampana Wessex nabrał pewności, że jego śmierć na służbie jest najlepszym rozwiązaniem wszelkich problemów i najlepszym wyjściem z sytuacji, w jakiej się znalazł.

Bedzie musial to zaaranzowac. Kiedy tylko Jakub szcieszliwie sie ozeni i zostanie podpisany ten przeklety traktat...

Ale najpierw musi cos zrobic ze swoja noca poslubna.

Sara, od dzisiaj ksiezna Wessex, siedziala bez ruchu na malzenskim lozu, w pozycji, w jakiej na nie opadla, i tepym wzrokiem przygladala sie drgajacej jeszcze kotarze, ktora przed momentem opuscila Knoyle. Mdle swiatlo ze stojacego na stole lichtarza przeswitywalo przez delikatna tkanine, pozostawiajac jasna smuzke w miejscu, gdzie jedwab nie zostal zasuniety do konca. Kiedy ucichly kroki pokojowki, do uszu Sary dotarly odlegle odglosy usypiajacego Dyer House. Nie slyszala jednak wsrod nich krokow meza, wchodzacego po schodach, by dolaczyc do oblubienicy. Pewna, ze Knoyle juz nie wroci, Sara odslonila kotary przy lozu i wstala. Jej kaszmirowy szeroki szal lezal na oparciu stojacego obok krzesla. Wziela go, by otulic nagie ramiona. Pokoje w Dyer House byly malenkie. Chociaz ta sypialnia byla jedna z wiekszych, jej sufit, udekorowany wspanialym wizerunkiem katedry sw. Pawla w otoczeniu aniolow, opadal ku oknu w tylnej scianie pod ostrym katem. Sara musiala schylic glowe, zeby tam sie dostac. Staroswieckie ramy otwieraly sie w dosc skomplikowany sposob, jednak po chwili Sara otworzyla okno i wychylila sie na zewnatrz.

Nocne powietrze bylo ciezkie od wilgoci rzeki, a znad Tamizy unosila sie mgla. Klebila sie wokol budynku i zaslaniala widok. Bylo bardzo pozno. Ksiezyc w pelni wisial na niebie okragly i blyszczacy, a jego swiatlo, przebijajace sie przez opary mgly, zmienialo ksztalty znanego swiata w niesamowity, obcy krajobraz. Za waskim oknem, ktore wychodzilo na ciemny przydomowy ogrodek, slychac bylo Londyn, oczekujacy odleglego jeszcze switu. Sara slyszala dalekie dudnienie konskich kopyt na bruku, slabe odbijajace sie echem krzyki rybakow na Tamizie...

Gdzie sie podzial Wessex?

Zupelnie nieoczekiwanie Sara poczula sie porzucona. Niewazne, czy czula jakikolwiek pociag do meza. Z pewnoscia nie wchodzily tu w gre uczucia. Przeciez Wessex kazdym slowem i gestem dawal jej do zrozumienia, ze ich malzenstwo jest wylacznie kwestia obowiazku, krolewskiego polecenia. Coz, to nie to samo, co byc panna mloda, pozostawiona sama w noc poslubna.

A jesli w ogole nie ma zamiaru sie pojawic?

Tym lepiej, stwierdzila stanowczo. Chociaz jeszcze lepiej by bylo, gdyby powiedzial jej to od razu. Nie musialaby wtedy czekac, obawiajac sie, ze w kazdej chwili do jej sypialni moze wtargnac ktos obcy. Bo tak wlasnie jego milosc Wessex juz raz zachowal sie wobec bylej Sary Cunningham z Baltimore...

Ale ona byla zawsze Sara Conyngham, markiza Roxbury. Lady Roxbury. Byla pania na Mooncoign, ktore mialo nalezec do niej i do jej corek tak dlugo, jak dotrzymywana byla

przysiega...

To Roxbury złożyła przysięgę, nie ja. Ja nie byłam związana z tą ziemią...

Sara scisnęła oburącz bolące skronie. Napłynęła nowa fala zmęczenia. Ten dzień zaczął się dla niej przed swiędem, a teraz dochodziła pomoc. Była zmęczona jak chyba nigdy w życiu, a nie mogła zająć zwykłej wieczornej porcji wzmacniającego kordialu, bo w całym tym przedślubnym zamieszaniu butelka została w jej sypialni w Heriard House. Nic więc dziwnego, że ma w głowie taki chaos. Przecież nawet nie bardzo wie, kim jest i gdzie teraz powinna być.

Lekki podmuch zachybotał płomieniem świeczki. Wizerunek katedry na suficie nagle wydał się większy i drżący, jakby w każdej chwili mógł się zmienić w zupełnie inny obraz. Sara jęknęła, zamknęła oczy i oparła głowę na chłodnym parapecie. Bardzo niewiele jadła podczas wielogodzinnego weselnego przyjęcia; wypila tylko kilka kieliszków przemyconego francuskiego szampana, aby przejść przez to wszystko. Nic dziwnego, że źle się czuła.

Odeszła od okna i usiadła na krześle podciągając nogi, by nie dotykać zimnej podłogi. Siedziała tak owinięta kaszmirowym szalem i rozmyślała nad wszystkim, co ją ostatnio spotkało. Jeśli diuka nie było tutaj - nieważne dlaczego - to gdzie był? Straciła z nim kontakt pod koniec zabawy w Heriard House, ale dobrze wiedział, że będzie spała tutaj, w Dyer House. Sam na to nalegał. Widocznie miłość własna nie pozwalała mu zaczynać małżeństwa w domu żony. Wtedy jeszcze paliły się latarnie, a Sara z ochotą pojechała do Dyer House, licząc, że tu wreszcie odpocznie. Oczywiście przypuszczała, że Wessex natychmiast podąży za nią - ten człowiek był zlepkim zasad i obowiązków, więc powinien zachować się dokładnie tak, jak w danej sytuacji dyktują zwyczaje.

Tym razem jednak tak się nie stało.

Godziny mijały i Sara spróbowała rozczesać wymyślną fryzurę panny młodej. Wessex wciąż nie przybywał, a ona jakos nie mogła się zmusić, by zapytać Dowager, gdzie podziewa się jej wnuk, a mąż Sary.

Poczuła nawrót bólu głowy, osłabienia i poczucia nierzeczywistości. Wessex na pewno nie pojawi się w najbliższym czasie. W ogóle nie pojawi się tej nocy. Sara była przekonana, że Langley dawno już zamknął zewnętrzne drzwi, więc jeśli diuk nie zaryzykuje wspinaczki na drugie piętro do okna jej sypialni, będzie musiał spędzić tę noc na ulicy. Czego zresztą szczerze życzyła mu jego żona. Świeczka wypaliła się już do połowy; Sara westchnęła wreszcie z rezygnacją i wsunęła się zmarznięta do łóżka. Dlaczego się nie zjawił? To on nalegał na to małżeństwo, on ofiarował jej pierścionek i swoje nazwisko... dlaczego więc tak ją upokarza? Dlaczego?

Pokój o różowych ścianach był pełen luster i świec. Rozstawiono tu gesty stoły nakryte białym płótnem, od którego wyraźnie odcinały się kolorowe koszulki kart i stosy złotych

gwinei. Całe fortuny zmieniały tu właścicieli za jednym rozdaniem, a mężczyźni, którzy zniszczyli przez to miejsce swoje rodziny, opuszczali je, by zakończyć życie w nurtach Tamizy lub w zaciszu prywatnej biblioteki. Pokój zostawał taki sam.

Ten przybytek hazardu nosił nazwę "U Gavina". Siedzący w rogu mężczyzna przebywał w nim już od północy. Obok jego łokcia stała pusta butelka po whisky. Był jednym z niewielu obecnych, którzy nie zmienili eleganckiego stroju na oferowane przez klub Iniane bluzy. Było już dobrze po czwartej, za oknem szarzało, a on wciąż siedział w tym samym miejscu. Grał mechanicznie i obstawiał tak desperacko, jakby od tej gry zależało całe jego życie. A jednak, ku zdziwieniu wszystkich przyglądających się grze, jego miłość Wessex wygrywał nieustannie, odkąd zasiadł do gry.

Bystry służący bezszelestnie zabrał pustą butelkę i zamienił ją na pełną. Jego miłość zdawał się tego nie zauważać.

"U Gavina" był jednym z wielu klubów, do których należał Wessex i bynajmniej nie pierwszym, który odwiedził, odkąd kilka godzin temu opuścił Heriard House. Jego pierwszym celem był prywatny apartament, dokąd mógł się łatwo wymknąć zarówno gościom, jak i świeżo poślubionej żonie. Tam Wessex zmienił weselne ubranie na coś mniej rzucającego się w oczy, a kiedy już to zrobił, uznał, że lepiej poszukać rozrywki wśród anonimowych byłowalców klubów niż w ramionach żony. W końcu trafił i do Gavina.

Klub Gavina był wyjątkowy pod wieloma względami; wystarczy wspomnieć, że wpuszczali tu także kobiety i cudzoziemców.

Właścicielem tego przybytku, przynajmniej nominalnie, był Irlandczyk O'Donnell - postać na tyle podejrzana, że niewielu członków tego klubu przyjęłoby go w przedpokoju swojego domu. Mówiono, że O'Donnell zabił kiedyś człowieka jednym uderzeniem pięści, chociaż nikt nie wiedział dokładnie, kiedy i gdzie właściwie miało miejsce to interesujące zdarzenie. Nikt, oprócz diuka Wessexa, który miał własne źródła wiadomości o wielu interesujących rzeczach. Mówiono także, że O'Donnell miał w tym interesie partnera - kobietę, ale nikt, tym razem nie wyłączając Wessexa, nie miał pojęcia kim ona była. Nikt też nie wiedział, dlaczego klub nazywa się "U Gavina" albo skąd O'Donnell miał pieniądze, by go otworzyć. Irlandczyk ze swej strony nie był zbyt rozmowny. Ta atmosfera tajemnicy wcale zresztą nie zmniejszała atrakcyjności klubu, wręcz przeciwnie. Niektórzy dobrze się czuli przy tej iluzji niebezpieczeństwa, inni sadzili, że człowiek o tak mrocznej przyszłości nie będzie specjalnie zwracał uwagi na ich obecne sprawy. A O'Donnell w dalszym ciągu nie był zbyt rozmowny.

Na parterze lokalu znajdowały się małe pokoje, dostępne dla członków klubu po wcześniejszym umowieniu. Była to też jedyna część, do której mieli wstęp także ludzie spoza klubu, chociaż wyłącznie w towarzystwie członka. Tylko te pokoje miały okna, zresztą zamknięte naглуcho i zabarykadowane, mimo że lokal znajdował się w jednej z lepszych dzielnic. Pomieszczenia na pierwszym piętrze - sale do gry w faraona, wista i ruletkę, a także salon, w którym dżentelmeni mogli w ciszy i spokoju podelektować się napitkami - nie

mialy ani jednego okna. Pietro wyzej byla sala do fechtunku, w ktorej ci, ktorych to bawilo, mogli pocwiczyz te trudna sztuke, walczac ze soba lub biorac lekcje u mistrza, zatrudnionego u Irlandczyka. Na tym samym pietrze odbywaly sie od czasu do czasu, ku uciesze czlonkow klubu, nielegalne pojedynki bokserskie. Piwnice pod lokalem byly niezwykle rozlegle i zapewnialy wystarczajaco wiele miejsca do ewentualnego rozstrzygania nieporozumien, ktorych nie dalo sie zalagodzc slowami ani bronia biala. Chociaz "U Gavina" nie bylo kuchni (podawano tylko chleb, ser i zimne miesa), polecano tam za to spory wybor win i innych trunkow, rowniez przechowywanych w piwnicach. Plotka glosila, ze znajdowaly sie tam tez podziemne, wiodace az do Tamizy tunele, ktorymi ewakuowalo sie na Kontynent i do amerykanskich kolonii wielu zwyciezcow nielegalnych pojedynkow. Wiekszosc czlonkow klubu nie byla do konca pewna, czy takie tunele w ogole istnieja, ale opowiesci o nich dodawaly temu miejscu uroku tajemnicy.

W tym lokalu czlonkowie mogli byc absolutnie pewni, ze nikt nie bedzie im przeszkadzal i zaklocal ich prywatnosci. Pokoje tutejsze byly miejscem absolutnej izolacji, niczym sredniowieczne koscioly. Nikt niepowolany nie mial do nich wstepu; nawet czlonek klubu mogl byc pewien, ze rychlo wyleci na ulice, jesli bedzie zbyt natarczywie nagabywal innych gosci.

Dlatego wlasnie nalezy uznac za niezwykle fakt, ze tego lipcowego poranka ktos jednak przeszkodzil diukowi Wessex podczas zboznego zajecia - grania w karty i picia whisky. Mezczyzna, ktory wkroczyl do pomieszczenia graczy, byl wyjatkowo paskudny. Jego stroj wieczorowy - ciemnogramatowy surdut i tego samego koloru bryczesy siegajace kolan, gdzie konczyly sie ozdobnymi guzikami, a do tego biale rajtuzy i czarne lakierki - zdawal sie niemal nieporozumieniem. Nie znalazlby sie chyba ani jeden odzwierny, ktory by kogos z taka twarza wpuscil na jakiegokolwiek wieczorne przyjecie. Chcialo sie o niej zapomniec od razu po ujrzeniu. Zreszta niezaleznie od wygladu nie powinien byl ominac straznika na dole przy wejsci, a tym bardziej zostac wpuszczony na gore.

Kiedy przechodzil przez pokoj, stopniowo dostrzegali go kolejni goscie. Ciche rozmowy graczy nagle umilkly. Kiedy ta nagla cisza dotarla do swiadomosci Wessexa, uniosl glowe i spojrzal na sale, dostrzegajac intruza.

Powolnym ruchem opuscil karty na stol i napelnil sobie szklanke, wpatrzony w dzentelmena, ktory zmierzal najwyrazniej do jego stolika. Wessex nie uczynil zadnego gestu, ktory sugerowalby, ze on tez jest tego swiadom. Wpatrywyl sie tylko w nadchodzacego spokojnym, nieruchomym wzrokiem.

Ten stanal wreszcie tuz przy diuku. Reszta zebranych tymczasem wrocila do swoich zajec, nabrawszy pewnosci, ze to nie ich prywatnosc ma byc naruszona. Tylko partnerzy przy stole Wessexa, ktory z cala pewnoscia byl powodem przybycia obcego, czekali w ciszy na rozwij wydarzen.

-Jest ktos, kto pragnie sie z toba spotkac, wasza milosc - powiedzial przybysz.

-Wiec niech przyjdzie do mnie sam.

Wessex nie okazywal gniewu, ale w ciagu ostatnich godzin wypil tyle, ze mogl stac sie nieobliczalny. W takim stanie mozna wyzwac kogos na pojedynek tylko z powodu zlosliwego komentarza na temat krawata.

-Ale ten dzentelmen nie jest czlonkiem klubu - zabrzmiala odpowiedz.

-Wiec niech sie zapisze - odparl calkiem rozsadnie Wessex.

-Niestety, interes, ktory ma do waszej milosci, nie moze czekac, az zalatwi sie odpowiednie procedury.

-Jesli zajdzie potrzeba, O'Donnell poradzi sobie bez udzialu Komitetu Czlonkowskiego - nie dawal za wygrana Wessex.

-Mozliwe, ze pan O'Donnell nie chcialby, aby ten czlowiek zostal czlonkiem klubu - powiedzial obcy.

Wessex obrzucil go ostrym spojrzeniem. Jego cierpliwosc byla juz na wyczerpaniu.

-Jest bardziej niz mozliwe, ze cie zastrzele, jesli zaraz sobie stad nie pojdiesz.

-Interes, ktory ma do waszej milosci ten czlowiek, jest bardzo pilny - nalegal obcy. - Czy wasza milosc wyjdzie?

Moze dopiero w tym momencie Wessex uswiadomil sobie, ze obcy wszedl tu nie zatrzymany, a moze po prostu byl zmeczony ta potyczka slowna. Nie powiedzial juz wiecej ani slowa. Zgarnal lezacy przed nim stos zlotych monet, wrzucil je do kieszeni i nakazal gestem, zeby natretny przybysz szedl przed nim.

O swicie panowal przenikliwy chlod. Wessex odczul to, gdy tylko stanal na progu klubu. Mgla byla gesta, ale dostrzegl od razu latarnie na ciezkim powozie stojacym o dwa domy dalej. Zatrzymal sie odruchowo, a jego reka powedrowala do ukrytej kieszeni kamizelki.

-Nie ma powodow do obaw, wasza milosc - zauwazyl jego ruch nieznajomy. - Jestem na sluzbie Palacu.

-Kazdy moze tak powiedziec.

A poza tym w palacu St. James bylo wiele roznych frakcji. - Ale nie kazdy bedzie mial przy sobie to. Wyslannik siegnal do kieszeni i wyjal portfel, a z portfela blaszke, ktora pokazal Wessexowi. Zaswiecila zlotem i zalasila kolorowymi wzorami w swietle padajacym z uchylonych drzwi klubu.

Wessex natychmiast pobiegl do powozu i otworzyl drzwiczki.

-Wasza wysokosc!

Krol Henryk byl wsciekly. Wessex poznal to po jego blyszczacych oczach i zaczerwienionych policzkach.

-Wessex, tak wlasnie sluzysz swemu krolowi? - wybuchnal Henryk.

Diuk natychmiast stal sie zupełnie i bardzo nieprzyjemnie trzeźwy. Przypomniat sobie, ze powinien teraz byc w domu. I to juz od kilku godzin.

-Chyba wyjasnilem, czego oczekuje po tym malzenstwie! Diuk i ksiezna Wessex, szanowani w towarzystwie, maja pomoc wkrasc sie w jego laski takze ksieznicze Stefanii. Jak sadzisz, czy dobrze wplynie na reputacje ksieznej informacja, ze jej maz spedzil noc poslubna walesajac sie po klubach zamiast u niej w lozku?

Glos krola byl lodowato zimny. Wessexowi nie przychodzilo do glowy absolutnie zadne wytлумaczenie.

-Nie wplynie dobrze, wasza wysokosc - powiedzial cicho.

-A wiec moze jest to twoj gambit w jakiejś wielce skomplikowanej grze? Moze liczysz, ze towarzystwo wzruszy sie krzywda ksieznej Wessex? Jakim cudem kobieta opuszczona przez meza w noc poslubna moze nie stac sie obiektem drwin? W dodatku zrobiles to tak ostentacyjnie!

Zgadza sie, pomyslal Wessex z desperacja. Czy naprawde zwariowal, ze dokonat dezercji na oczach polowy Wielkiego Swiata? Nawet jesli ci, z ktorymi gral przez pol wieczoru "U Gavina", nie pisna slowa, to przeciez wloczyl sie jeszcze po innych takich przybytkach.

Nie mial nic do powiedzenia.

Krol spojrzal na niego badawczo i Wessex pomyslal z rezygnacja, ze Henryk zrozumial absolutnie wszystko, co wydarzylo sie dzisiejszej nocy, lacznie ze sprawami, ktore Wessex staral sie ukryc przed samym soba.

-Sadzisz, ze uda sie jeszcze naprawic szkode? - zapytal w koncu monarcha.

-Musi sie udac - przyrzekl Wessex. Da sie to zrobic, jesli on wykaze troche determinacji, a markiza zechce wspolpracowac. Poczatek byl fatalny, ale przy odrobinie szczescia moga jeszcze dobrze odegrac swoje role. On bedzie troskliwym i opiekunczym mezem, a Sara jego dostojna malzonka.

Przynajmniej publicznie.

-A wiec nie ma o czym mowic - zdecydowal Henryk.

Zapukał w ściankę i Wessex poczuł, że powóz rusza.

Oczywiście, pomyślał. Trzeba przecież w jakiś sposób usprawiedliwić godzinę powrotu meza do Dyer House.

Ale ta podróż, choć bardzo krótka, nie była wcale przyjemna.

Była Sara Cunningham i we śnie przedzierała się przez las, w którym nigdy chyba jeszcze nie postąpił człowiek. Poruszała się jak pstrąg w strumieniu, jak zwierzę w środowisku, do którego zostało stworzone. Nie miała na sobie powiewnych muslinów, brokatów, podwiązek, halki, gorsetu. Jej włosy nie były upięte wysoko i przyozdobione wstawkami. Nie trzymała też w ręku kolorowego wachlarza i nie stapała delikatnymi cizemkami po marmurowej posadzce. O, nie.

We śnie włosy Sary, splecione w warkocz, opadały swobodnie na plecy, a wpięła w nie tylko orle pióra. Na twarzy miała znaki łowcy naniesione czerwoną, żółtą i białą farbą, a ubrana była w skózaną bluzę i także rajtuzy wojownika Ludu. W lewej ręce niosła muszkiet w ozdobionym fredzlami i paciorkami pokrowcu.

Była Sara Cunningham z Baltimore, z kraju, który nie uznawał władzy szalonego i złego angielskiego króla Jerzego od momentu, kiedy się urodziła.

Ale przecież to Henryk Stuart jest królem, a nie Jerzy z dynastii hanowerskiej!

Mogła sobie być zacofana kolonistka, ignorantka w sprawach władzy tam daleko, na Wschodzie, któremu kiedyś podlegał jej kraj, ale nawet ona wiedziała przecież, że...

Ale pamięć przeplatała się ze snem - pamięć o przepięknej sukni, jakiej nie znalazłoby się w całym Marylandzie i o władcy, który uśmiechał się do niej, gdy pomagał jej wstąpić... gdy pomagał wstąpić lady Roxbury, swojej poddanej.

Ale to nie była rzeczywistość. To nie mogło się wydarzyć.

Była Sara Cunningham z Baltimore. Była nią! Nie było żadnej markizy Roxbury.

A jeśli będzie wciąż powracać do tamtej fantazji, oszaleje.

Wroczyła jej pamięć. Była Sara Cunningham, córka Alasdaira Cunninghama, wychowanka wojowników Kriksów. To była rzeczywistość. Stała bez ruchu, wciągając w nozdrza ostrą won letniej puszczy. Wiatr wiał ku niej od strony zwierzyny, która chciała upolować.

Jakby ściagnęła zły los ta myślała, wiatr nagle zmienił kierunek i poczuła silny odor rozkładu i śmierci. Coś się tutaj czaiło. Coś potwornego i złego. I zbliżało się do niej.

Sara zastygła zmrożona strachem, nie wierząc w to, co się dzieje, dopóki nie usłyszała

ciężkiego przedzierania się przez krzaki. Coś zdecydowanie się zbliżało, aby na nią zapolować.

Sara zaczęła biec.

Hałas za jej plecami stawał się coraz donośniejszy, a smrodliwy oddech potwora był teraz jedyną wonią, jaką czuła. Nie wiedziała, co to takiego - puma czy dzik... ale bała się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Jeśli ją dopadnie, spotkają los gorszy od śmierci.

Kiedy tak gnała przed siebie w panice, las zaczął się przerzedzać, ale zamiast pol i białych domów - bo tak wyglądało Baltimore w tamtych czasach - zobaczyła wokół siebie olbrzymi, zadbane parki.

To jest Mooncoign.

Sara zatrzymała się kompletnie zdezorientowana, na moment zapominając o swoim prześladowcy. Nowe wspomnienia mieszały się ze starymi, i choć bardzo się starała, nie mogła rozwikłać tego węzła. Podróżowała do Anglii, wsiadła na statek w Baltimore...

Nie. Urodziła się w Mooncoign...

Oba te fakty naraz nie mogą być prawdziwe.

-Ależ mogą.

Sara obejrzała się nerwowo. Głos dochodził z tyłu i przeraziła się, że to potwór przemówił do niej ludzkim głosem. Potem dojrzała mowiącego i przez chwilę myślała, że to jeden z jej braci Kriksów. Ale obcy, choć odziany w zwierzęce skory i z długą włócznią w ręku, miał skóre jasnorozowa jak angielskie dziecko. Białe włosy z przodu tworzyły sterczący grzebień, a z tyłu opadały swobodnie. Niebieskie linie wokół oczu nadawały jego spojrzeniu sowa intensywność. Na szyi miał naszyjnik z czystego złota. Kiedy przypatrywał jej się uważnie, nagle zdała sobie sprawę, że już go gdzieś widziała.

W ogrodzie Mooncoign, tej nocy, kiedy trwał bal maskowy.

-W jaki sposób - zapytała drzacym głosem - w jaki sposób jedno i drugie może być prawdziwe?

Obcy uśmiechnął się, jakby oczekiwał tego pytania, i wyciągnął do niej rękę.

Podala mu swoją.

Teraz sen się zmienił. Razem z obcym spacerowała po alejkach ogrodu Mooncoign, a przed nimi pojawił się dwór, którego biała fasada w chłodzie poranka zdawała się przybierać błękitną barwę. Sara wciąż miała na sobie to samo skórzane ubranie, ale jej towarzysz

był odziany w fantastyczny kostium z zielonego sukna i maske zwieńczona jelenimi rogami.

Wskazał na dom dlonia w ozdobionej klejnotami rekawiczce.

-Wszystko zaczyna się tutaj. Ale gdzie się kończy? Hmm... oto zagadka. I nie ja ja rozwiąże, ale ty, Saro Cunningham.

-Ja? - zapytała zdumiona Sara. Teraz w jej pamięci zaczęły z dziwną jasnością pojawiać się brakujące fragmenty przeszłości, a wtłaczana jej do głowy pamięć Mooncoign odchodziła w mrok. Było naprawdę Baltimore i statek, i powóz...

I dame Alecto - w Baltimore i tutaj.

-Ta sama kobieta, ale nie ta sama osoba - powiedział jej przewodnik.

Teraz miał na sobie lamparcia skóra, zarzucona na czarny aksamitny strój w elzbietańskim stylu. Jego duże oczy wyglądały jak dwa szmaragdy.

-Mówisz zagadkami - powiedziała ze złością Sara. Zapomniała, że śni, ale cały czas pamiętała o złowieszczej bestii, która ścigała ją w lesie. Jeśli nie była tylko sztuczka jej uśmiechniętego towarzysza - a tego odgadnąć nie potrafiła - mogła powrócić w każdej chwili.

-Zagadki to moja natura - odparł nieznajomy. - Bo to ja jestem Mistrzem Bramy Rogu i Kosci Słoniowej. Ale oto twoja odpowiedź, Saro. Spójrz.

Sara spojrzała. Stali teraz w cieniu domu i przez okno na parterze mogła zobaczyć bogato umeblowany pokój, z ogniem płonącym w kominku, nad którym wisiał portret kobiety w staroswieckim stroju i klejnotach.

-To jest moja sypialnia - powiedziała Sara. - Nie, to sypialnia markizy Roxbury... ale przecież każdy mi mówi, że to ja jestem.

-Naprawdę? - zapytał obcy. - Wtedy dlaczego to nie ty jesteś tam w łóżku?

Sara spojrzała raz jeszcze. W ozdobnym łóżku leżała młoda kobieta o szarobrazowych włosach. Jej szczupła postać wyraźnie odcinała się na stosie białych poduszek.

-Ależ właśnie tam leże - odparła Sara z jeszcze większym zmieszaniem. Przez okno mogła dokładnie dostrzec swoją twarz...

Tak jak widziała ją na moment przed zderzeniem powozów. Słońce wtedy wschodziło...

Zachodziło...

Ona kierowała powozem...

Siedziała w dylizansie i miała...

-Dosc! - jeknela Sara odwracając się gwałtownie od okna. - Jak może być w dwóch miejscach naraz?

Ta sama kobieta... ale nie ta sama osoba.

-Ach - powiedział obcy - na to pytanie może odpowiedzieć. Pociągnął Sare za rękaw i odeszli od okna.

Ta ozdobna sadzawka została wykopana w parku przez ostatniego markiza Roxbury, dziadka Sary. Ale której Sary? Podając za swoim przewodnikiem Sara nagle zdała sobie sprawę, że wszystkiego, co wiedziała o Mooncoign albo o londyńskim towarzystwie - nauczono ją w ciągu kilku tygodni po wypadku.

A jej własne wspomnienia ukryto przed nią.

Pochyliła się i zajrzała w spokojną, srebrną ton jeziora. Choć wyraźnie czuła przy sobie obecność swojego towarzysza, w wodnej toni odbijała się tylko ona.

Niemal instynktownie chciała się odwrócić i upewnić na własne oczy, że kłeczy obok niej, ale dłoń na ramieniu powstrzymała ją.

-Nie, Saro. Popatrz w wodę i zobacz w niej prawdę.

Sara pochyliła się jeszcze niżej, a lustrzana ton nagle pociemniała. Zdawała się, jakby otworzyła się przed nią bezdenne przepaść. Tam, w odległych ciemnościach, dostrzegła błysk światła. Wpatrywała się w niego gorączkowo, a on zaczął nagle przybierać formy i kolory.

Osoby, obrazy. Scenki. A centralna postać każdej z nich była Sara.

Czasem było to tak, jakby patrzyła w lustro, a kiedy indziej w ogóle się nie poznawała. Widziała niejedną terazniejszość - niektóre były znajome, inne tak obce, że nie mogła uwierzyć w to, co widziały jej oczy.

Oto była dziewczyna Kriksow, z niemowlęciem w ramionach i wysokim wojownikiem u boku. Na obrazie obok wciąż harowała jak niewolnik w domu kuzyna w Baltimore. A tutaj stała u boku diuka Wessexa...

-Nie chce już na to patrzeć! - krzyknęła Sara i uderzyła dłonią w wodę niszcząc obraz. - Co to znaczy? One wszystkie są mna, ale...

-Ale są na swoim miejscu, Saro Cunningham z Baltimore, a ty nie - dokonał jej towarzysz. - Zostałaś przeniesiona ze swojego świata na miejsce tej, która zawiodła... ale nie

odwazyła się zawiesić do końca. Bo Istota poluje właśnie w tym świecie...

W oddali Sara usłyszała dziki skowyt. Choć dzień był jasny i pogodny, wydało się jej nagle, że chmura przesłoniła słońce, a poranek stał się ciemniejszy i chłodniejszy.

Wycie rozległo się znowu. Sara skojarzyła je natychmiast z potworem, który ją ścigał.

-To jest właśnie to, co musisz pomóc nam zniszczyć - powiedział z powagą jej towarzysz.

Sara otworzyła usta, by znowu zaprotestować przeciwko tak niejasnym wypowiedziom, ale usłyszeli skowyt, znacznie teraz bliższy i zerwali się na równe nogi. I znowu Sarze wydało się, że czuje won rozkładu, won śmierci, won łowcy.

-Uciekaj - powiedział obcy popychając ją w kierunku drzew. - Musisz uciekać, Saro. Powstrzymam Bestie przez jakiś czas, ale to nie mojej krwi ona pragnie. Pamiętaj wszystko, co ci powiedziałem. Pamiętaj także, że nie należysz jeszcze całkowicie do tego świata. A jeśli nie staniesz się jedną z ta ziemią, umrzesz, Saro, a Wielkie Dzieło pozostanie nie zakończone.

-Ale... - wyjąkała Sara. Dostała tylko niemożliwe do zaakceptowania obrazy i wcale wskazówki. - Jak może z tego skorzystać?

Jej towarzysz miał teraz na sobie srebrną zbroję, a na jasnym tle jego pęklerza lśnił rubinowym blaskiem czerwony krzyż. W jednej ręce trzymał miecz, który błyszczał tak jasno, jakby był wykuty ze złota; w drugiej równie lśniła tarcza.

-Uciekaj!

Rozległ się huk, jakby coś przebijalo się z potworną siłą przez zabudowania dworu. Sara nagle poczuła przyływ paniki. A kiedy rozpoznała trwogę w głosie swojego towarzysza, zaczęła biec...

Biegając słyszała głos za plecami, który wzywał ją do powrotu. Słyszała też przeciągły świst, jakby gwałtowny wiatr przemknął po koronach drzew.

Wessex ostrożnie otworzył drzwi do swojej sypialni. Białe światło pierwszego brzasku wpadało przez wąskie okno, tworząc nierzeczywisty nastrój. Mogł jednak rozróżnić zarysy przedmiotów w znanym sobie dobrze pokoju i nie musiał korzystać z latarni, która przyniosł ze sobą. Świeczka przy łóżku wypaliła się do końca, pokrywając podstawkę białą warstwą stopionego wosku. Okno najwyraźniej ktoś otwierał i po przyknieciu nie dociągnął zasuwki, bo wiatr uchylił je ponownie, a w pokoju panował poranny chłód.

Wessex sięgnął do kieszeni i skradając się podszedł do łóżka. Latarnia nawet nie skrzypnęła, kiedy otworzył jej obudowę i skierował strumień światła na łóżko. Jego uspijona żona wyglądała na białym tle poduszek jak anioł z renesansowych obrazów. Niedbale spleciony

warkocz wil sie po szyi, dlugie rzesy rzucaly cien na policzki, a koronkowa snieznobiala koszula nocna nadawala Sarze niemal dziecienny wyglad. Dreczona najwyrazniej przykrym snem, poruszyla sie nerwowo. Wygladala w oczach Wessexa mlodo i niewinnie.

Jej zycie, jej los, wreszcie jej reputacja byly teraz w jego rekach.

Nigdy cie nie skrzywdze, przyrzekl sobie patrzac na nia, ale uczciwosc kazala mu sprostowac to oswiadczenie. Skrzywdze cie tylko na tyle, na ile bede musial.

Ale przybyl tu w innym celu. Mial zamiar wykonac swoje zadanie, nie budzac jej. Ostroznie postawil latarnie na stole i wyciagnal jakis przedmiot z kieszeni surduta. W swietle latarni zablysko zloto i rubiny. Naszyjnik mial posrodku rubinowe serce wielkosci duzej wisni, a otaczal je krag malutkich diamentow, czystych jak lodowe krople. Po obu stronach rubinowego serca dwa mniejsze diamentowe serduszka laczyly te czesc naszyjnika z grubym zlotym lancuszkciem. Od ponad dwustu lat w jego rodzie istnial zwyczaj dawania malzonkom tego wlasnie klejnotu - Plomiennego Serca - pierwszego poslubnego poranka.

Odwrocil klejnot. Oprawa mniejszych serduszek byla z czystego zlota, na ktorym wygrawerowano inicjaly kilku pokolen Dyerow. Blyszczaly tam takze calkiem swieze ozdobne litery "R" i "S", wryte reka mistrza w zakladzie Rudel Bridges. Rupert i Sara.

Ostroznie, by nie obudzic zony, Wessex polozyl blyszczacy naszyjnik na poduszce obok jej glowy a potem zabral ze stolu latarnie. Wchwile pozniej juz go nie bylo, jakby jego bytnosc w tym pokoju byla tylko zludzeniem. Drzwi domknely sie cicho.

Sara sie nie obudzila.

Poruszajac sie jak duch po swoim uspionym domu - tak naprawde byla to rezydencja jego matki, ale nie czynilo to zadnej rozniczy - Wessex dotarl do biblioteki i zamknal za soba drzwi. Dopiero tam odetchnal swobodnie. Nikt nie bedzie mu tu przeszkadzal i on nie bedzie przeszkadzal nikomu. Za zycia jego ojca bylo to wylaczenie meskie miejsce. Z tamtych czasow wciaz pozostalo ciezkie mahoniowe biurko i kredens, a takze debowe polki z rowno ustawionymi ksiazkami. A jednak Dowager ze swoim damskim towarzystwem pozostawila tu swoje slady - obok kominka pojawilo sie krzeslo i podnizek uzywany przy tkaniu, kosz z klebkami welny, a takze na wpol skonczona tkanina lezaca na krzesle.

Wessex postawil na stole latarnie, szybko przejrzal szuflady i wyjal fidybus. Przytknal go do plomienia latarni i zapalil najpierw swieczki na kominku, a potem w wielkim swieczniku, stojacym na centralnym stole biblioteki. W pokoju zrobilo sie jasno; pierzchla gdzies upiorna atmosfera opuszczonego miejsca.

Naszykowany w kominku opal na jutro zajal sie szybko, promieniujac milym cieplem. Wessex znalazl butelke brandy i nalal sobie pelna szklanke. Langley wciaz dbal o zapasy alkoholu.

Dowager, chociaż używała tego pokoju, nie zmieniała jego wystroju od czasu śmierci syna.

Wessex bezwiednie spojrzal na portret wiszący nad kominkiem - dzieło LeBruna, przedstawiające jego ojca w czasach młodości. Ubrany w satynę i aksamit, z rapierem u boku, hardy i elegancki młodzieniec z portretu zaginal dwanaście lat temu we Francji podczas szalenczej próby ratowania Delfina ze szponów Terroru. Babcia wciąż była oczekiwaniem, że pewnego dnia Andrew Dyer stanie u frontowych drzwi, chociaż z tuzin mężczyzn potwierdziło jego śmierć, a Sad Kanclerski dawno już zdecydował o przejściu tytułu księcia na jego syna. A jednak wbrew wszelkiej logice Dowager nie przestała nigdy wierzyć, że Andrew może pewnego dnia powrócić. Wessex niekiedy myślał, że może ona ma rację; że wszystko, co podsuwa nam rozum, jest tylko budowla z piasku, a życie maskarada, na której zdarzają się rzeczy niewytłumaczalne. Potrząsnął głową odganiając te niedorzeczne myśli. Albo nie powinien zacząć tej brandy, albo powinien wypić więcej. Gwałtownym ruchem unosił szklankę do ust i opróżnił ją do połowy. Nie zamierzał ofiarować Sarze Płomiennego Serca. Może to dziecinada, ale sądził, że w ten sposób nie skapituluje zupełnie. Płomienne Serce było podarunkiem miłości, a on i Sara nigdy się nie kochali i nigdy się nie pokochają. Poślubił ją na rozkaz króla i z tego samego powodu ona zaakceptowała go jako męża. Ale jednak dał Sarze swoje nazwisko i tytuł, a tym samym miała też prawo do wszystkiego, co się z tym wiązało. Nie było sensu rezygnować z tradycyjnego podarunku tylko dlatego, że ich związek oparty był na kłamstwie.

Opróżnił szklankę do końca i napełnił znowu, choć wiedział, że alkohol jest tylko doraźnym lekarstwem na jego problemy, a jutro będzie musiał stanąć przed żoną bez jego wsparcia.

Jutro i przez resztę życia.

Wessex westchnął ciężko i podszedł do kominka ze szklanką w dłoni. Kiedy przechodził koło tkackiego stolika, jego stopa zawadziła o ukryty pod brzegiem dywanu przedmiot. Zaintrygowany Wessex sięgnął pod dywan i wydobyl szkicownik w pozłacanej okładce. Usiadł razem z nim na krzesle przesuwając automatycznie kosz z wólcza. Jeśli dobrze pamiętał, ani babka, ani dame Alecto nie rysowały. Ciekawe, czyje to rysunki?

Strony pokrywały precyzyjne szkice, niektóre już wykonane tuszem albo akwarela. Z pewnością wykonała je ręka młodej kobiety, o czym świadczyły tematy - polmiski z owocami, kwiaty, ale też konie, długonogie damy w wymyślnych sukniach, najwyraźniej skopiowanych z katalogów Ackermana. Były także inne rysunki - same w sobie bez znaczenia, ale dla Wessexa bardzo intrygujące. Pokład statku - oddany dokładnie, ale bardzo fragmentarycznie, jakby autor próbował wydobyć ten obraz ze swojej pamięci. Osada kolonistów: proste budynki z białego kamienia, rozrzucone wzdłuż nieznanego wybrzeża. Kobieta ubijająca masło. Inna, siedząca przy kołowrotku. A potem strona za stroną Indianie - wspaniali, dzicy, w pioropuszach i z wojennymi barwami na twarzy. Artysta musiał spędzić wiele dni przyglądając się swoim obiektom, bo każdy szczegół ich ubrania i pierwotnego otoczenia oddany był z niezwykłą dokładnością i bardzo prawdziwie. Wessex wiedział doskonale, że rysunki ukazują prawdę, bo przebywał wraz z wesołym Kosciuszka

przez ponad szesc miesiecy wsrod krajowcow Ameryki. Przezyl tam zreszta pamietne przygody. Ale jednak nawet w koloniach trudno bylo znalezc kobiete, ktora tak dokladnie zdolala poznac ubiory i zwyczaje Kriksow. A artystka najwyrazniej posiadala taka wiedze. Pod niektórymi rysunkami byly podpisy i z nich Wessex dowiedzial sie, kto jest wlascicielem szkicownika - Sara markiza Roxbury.

Jego zona.

A to z pewnoscia niemozliwe. Gdyby Sara podrozowala do Ameryki, Wessex na pewno by o tym wiedzial... a jesli nie odbyla tej podrozy, nie mogla wykonac tak dokladnych i precyzyjnych rysunkow.

Po raz pierwszy Wessex zaczal sie zastanawiac, kim wlasciwie jest osoba, ktora poslubil.

Sara uciekala przed Potworem, ktory scigal ja przez coraz bardziej nierealne krajobrazy, az wreszcie strach wypchnal ja ze snu. Przebudzila sie.

Lezala na nieznanym lozku, w obcym sobie, ciasnym pokoju. Zlote promienie slonca zamienialy przeciwlegla sciane i sufit w jasna plame, ktora zdawala sie plonac ogniem.

Wlasnie. Byla w Dyer House i wczoraj poslubila diuka Wessexa.

Sara ziewnela i przeciagnela sie. Przez krotki moment myslala, ze to tez tylko czesc jej snu.

Gdy teraz probowala przywolac ten koszmar, strzepki wspomnien krazyly chaotycznie po jej umysle. Czegos sie dowiedziala... jakiejś prawdy, ktora powinna byla zapamietac...

Ale prawda uciekla.

Sara zirytowana uderzyla reka w poduszke i cofnela sie przestraszona, gdy natrafila na cos chlodnego, co owinelo jej nadgarstek. Zerwala sie i otworzyla szeroko zaspane oczy. Na lozu lezal naszyjnik, ktory wlasnie spadl z poduszki. Zdumiona podniosla go zastanawiajac sie, czy to mozliwe, ze we wczorajszym zamieszaniu polozyla sie spac z tym klejnotem na szyi.

Nie, to nie byla jej wlasnosc. Sara przyjrzala sie wielkiemu rubinowi i zrozumiala nagle, skad sie tu wzial.

Podczas snu odwiedził ją diuk Wessex i to on musiał zostawić naszyjnik. Sara obróciła łniący przedmiot i dostrzegła wygrawerowane inicjały. Kosztowna łapowka! Cena za milczenie na temat jego nieobecności dzisiejszej nocy. Kupował ją, jakby była łluzaczką, zwykłą prostytutką stojącą na londyńskiej ulicy! Jakby nie mógł uwierzyć w jej poczucie honoru albo chociaż obowiażku i uważał, że jej milczenie można tylko kupić!

Sara zacisnęła zęby w gwałtownym ataku łłości. Wessex nie cenił chyba zańadto swojego rodu, jeśli kobiety, za jaką ją uważa, był gotów uczynić księżną. Gniew chwilowo wymazał z jej łamieci wszystkie łiepokożące łysli z ostatnich tygodni, a także wspomnienie dzisiejszego dziwacznego snu. Wessex obraził ją łmiertelnie i Sara miała zamiar dopilnować, by tego pozalał.

Z biało-łoltej werandy na parterze, gdzie podano łniadanie, był doskonały widok na cichą łuliczkę. Diuk Wessex jednak nie interesował się zupełnie otoczeniem. Stojąc przed nim czarka z łhinejskiej porcelany zawierała tym razem kawę zamiast zwykłej porannej czekolady. Nawet po łabiegach Athelinga, włącznie z wylewaniem na łłowe łodowatej wody, Wessex czuł się równie krucho jak ta czarka.

Rano zszedł na łniadanie, jakby wszystko było w największym porzadku. Przywitał się z łabką (Dowager zawsze wstawala o łrżasku i wñuk nie był specjalnie zaskoczony, widząc ją na łogach, mimo że o tej porze większość łowarzystwa wylegiwała się jeszcze w łozach) i powiedział jej, że Sara wciąż jeszcze łpi. Jak dotad nie musiał łlamac, a jakie wnioski wyciągnie z jego łłow łabka... Coż, najważniejsze, że nie obciaża mu to dodatkowo łumienia.

Jeśli Dowager miała cokolwiek do powiedzenia na temat póżnego powrotu Wessexa do domu albo jego łtanu, zachowała to dla siebie. Promienie łłonca łłniły na łrebrnej łastawie i białym obrusie, podkreslając barwę łieknych, łojrzałych łomaranczy na łaterze łosrodku łtulu. Dowager łpokojnie ładła swoje łosty z łarmolada i łopijała je łherbatą, jakby był to łnormalny łporanek. Wessex łdala łobie łsprawę, że łlanując ten katastrofalny łwiazek mógł uczynić łpoważny łblad w łaloleniach. Wprawdzie łpoczątkowo łmaskarada z łudziałem łwłolpracującej łpartnerki łposzła nie łnajgorzej, ale zupełnie nie łwiedzial, łdokał łdoprowadzi go łodgrywana w tym łprzedstawieniu łrola. Czy łpotrafi łcały łczas łdawać przed łoczami łowarzystwa - a przede wszystkim przed łoczami łkogoł łznacznie łbardziej łwymagającego, to jest łswojej łbabki - że jego łmalzeństwo jest łprawdziwe?

Na razie łporzucił te łrozważania, bo łpojawiła się łksiężna.

Sara włkroczyła tak łdostojnie, jakby własnie łdokonywała się jej łprezentacja na łdworze. Łprzystanała przy łkrześle Dowager i łpocalowała ją w łpoliczek.

-Łdzień łdobry, łmoja łdroga - łprzywitała ją łabka. - Łłłsniewająco łdzisiaj wylgładasz.

-Łdziękuje, łmatko łchrześna - łodparła Sara.

Miała na sobie różową poranną suknię wykonaną ciemniejszymi lamówkami, a na jej szyi Isniło, dopasowane barwa, Plomienne Serce. Spojrzała nad stołem na Wessexa, który wstał na jej powitanie.

-Rupercie... - powiedziała cicho.

Oczywiście miała prawo zwracać się do niego po imieniu, skoro byli małżeństwem. Jednak Wessex poczuł się nieco zaniepokojony tym chłodnym podkreśleniem jej nowego statusu.

Pochylił się do dłoni Sary z gracją, która czarował zarówno hrabiny, jak kurtyzany we wszystkich europejskich stolicach. Poprowadził ją do jej krzesła.

-Mam nadzieję, że spałaś dobrze? - spytała Dowager, kiedy do stołu podszedł sługa, aby naleć Sarze herbatę. - Czasem trudno jest zasnąć w nowym miejscu.

Sara uśmiechnęła się do Wessexa, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

-Spalam doskonale - powiedziała unosząc do ust filiżankę. Na jej palcu błysnął pierścionek kryjący tajemnicę Ligi Boscobel. Sara zmniejszyła jego obwód umieszczając wewnątrz obrączki grudkę wosku.

Spoglądając na żonę Wessex rozluźnił się. A zatem zgodziła się na jego warunki i pomoże mu rozegrać te partie. Poślubieni rozkazem króla będą białym małżeństwem, a ich ciała nie połączą się ze sobą, nie rozgrzeją namiętnością. Sara zdobyła tytuł diuki, zdobyła jego klejnoty.

Ale nie zdobędzie jego samego.

13, SAMOTNA KSIEZNA

Bardzo dobrze się złożyło, pomyślała księżna Wessex pewnego czerwcowego poranka, dokładnie tydzień po ślubie, że Maz został wezwany na dwór w niecierpiacej zwłoki sprawie. Bardzo dobrze, bo skoro go nie było, nie mógł zaprotestować, że postanowiła przenieść się z powrotem do własnego, znacznie wygodniejszego domu. W dodatku jego nieobecność była znakomitą usprawiedliwieniem tego czynu. Przeprowadzka do własnego domu dała jej chwilę oddechu i możliwość spokojnego zastanowienia, co dalej zrobić ze swoim życiem. Dla króla Henryka i nieznannej księżniczki Stefanii Sara powinna podtrzymywać iluzję udanego życia małżeńskiego. A to oznacza, że będzie musiała codziennie widywać Wessexa, a także mieszkać z nim pod jednym dachem.

Ale jeszcze nie teraz, myślała z ulgą. Maz był daleko, a ona została w mieście i mogła czerpać wszelkie korzyści ze swojego nowego statusu nie cierpiąc z powodu obecności diuka. A pozycja, jaką zyskała, była zaiste mocna. Jednak Sary nie interesowało brylowanie w towarzystwie.

Zdziwione spojrzenia służby i znajomych uswiadamiły jej, jak bardzo różni się zachowaniem od markizy Roxbury, która dotąd znano. Ale ona nie była markiza; doszła do tego wniosku podczas bezsennych nocy. Tylko Mooncoign zdawało jej się realne, ale nie otaczający ją pompatyczny rytuał, a już na pewno nie Londyn z jego hulaszczym stylem życia. Na szczęście podczas pobytu w mieście udało jej się zdobyć jedną prawdziwą przyjaciółkę. Odkryła ku swojemu zadowoleniu, że tytuł księżnej okazał się dla przekletego wuja Meriel wystarczającą motywacją, aby przewartościować swój niechęć do przyjazni siostrzenicy. Panna Bulleyn dostała dziś pozwolenie, aby odwiedzić księżnę Wessex i wypić z nią herbatę.

Sara krzesała się nerwowo po salonie, jakby armia służących w Heriard House nie potrafiła zadbać o porządek w domu albo jakby kucharz nie zdążył przygotować całego mnóstwa przysmaków. Od czasu do czasu przystawała, by przez okno przyjrzeć się powozom, które przejeżdżały obok domu. Nie miało to większego sensu, bo stojący na kominku zegar upewniał ją, że nie powinna oczekiwać Meriel jeszcze przez najbliższy kwadrans.

Sara zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, gdzie mieszka panna Bulleyn. Zawsze spotykały się w miejscach publicznych i o dokładnie wyznaczonym czasie. A każde następne spotkanie planowały pod koniec poprzedniego. Ta konspiracja dzisiaj się skończy, przyrzekała sobie Sara. Jeśli nawet wuj Meriel mógł sobie pozwolić na ignorowanie pragnień markizy, to życzenia księżnej Wessex po prostu się spełniały.

Na widok znajomej sylwetki na ulicy Sara wydała z góry niekiedy okrzyk radości. Kiedy jednak Buckland oznajmił jej przybycie oczekiwanego gościa, zdolała się na tyle opanować, jak przystało damie.

Panna Bulleyn wyglądała przepięknie w białej muslinowej sukni i kapeluszu o szerokim rondzie. Zdobione kapelusz wstążki, tak samo jak jej zakieci, miały barwę głębokiej zieleni, co świetnie pasowało do szmaragdowych kolczyków. Taka nieprawdopodobna uroda to przecież...

Ale Sara porzuciła te myśli, zanim się na dobre uformowały. Natychmiast jednak o niej zapomniała, gdy podbiegła uscisnąć przyjaciółkę, co dziewczyna o chęć odwzajemniła.

-Świetnie wyglądasz! - zawołała Meriel. - Malżeństwo ci służy.

-Służy mi wyjazd meza - odparła uśmiechnięta Sara, a w oczach Meriel zamigotały figlarne ogniki.

-W takim razie ciesz się wraz z tobą, że wyjechał, ale chyba jest prawdziwym głupcem, skoro zostawił cię zaraz po ślubie. - Meriel rozwiązała wstążki kapelusza, odłożyła go na bok i zaczęła powoli sciągać koronkowe bawełniane rękawiczki.

-To nie był jego wybór. - Sara ku własnemu zdziwieniu odczuła nagle potrzebę obrony meza. - To rozkaz króla. Ma to coś wspólnego z wojskiem - dokończyła niepewnie, bo zdała sobie nagle sprawę, że w długim i nudnym wyjaśnieniu Wessex tak naprawdę niczego

jej nie powiedział.

-Coż, skoro król rozkazuje, rzecz lojalnego poddanego jest usłuchać - stwierdziła przyjaciółka.

Meriel na pewno nie chciała, aby jej wypowiedź zabrzmiała tak kasliwie. Sara zdecydowała, że to jej nerwy, napięte po nieprzespanych nocach, plątają jej takie figle. Wprawdzie nie miała pojęcia, jakie są poglądy polityczne jej przyjaciółki, ale z pewnością w jej charakterze nie było złośliwości. Sara rozbawiła niedorzeczność tej myśli. Potrząsnęła głową. Meriel opisała po prostu stan faktyczny. Ostatecznie, co mógł ktokolwiek zrobić wobec królewskiego rozkazu? Przecież ona właśnie z jego powodu poślubiła Wessex.

-Mam nadzieję, że nie unieszczęśliwi cię zbyt - dodała jeszcze Meriel.

-Król? - spytała bezmyślnie Sara, a Meriel rozesmiała się błyskając perłkami białych zębów.

-Twój mąż, głupia! Chyba nie myślisz o królu, kiedy powinnas myśleć o nim...

-Rzeczywiście - odparła Sara z udawanym smutkiem. - Ale przecież nie byłabym dobrą poddaną, nie pamiętając o królu przy każdej możliwej okazji.

Tak jak się spodziewała, Meriel rozesmiała się ponownie.

Początek wizyty przebiegał gładko - młode kobiety ochoczo plotkowały na interesujące je tematy: o książkach, zakupach, zabawach, w których brały udział.

Nie miały wielu wspólnych znajomych. Chociaż Sara nie przepadała specjalnie za towarzystwem, zajmowała w nim ważną pozycję, natomiast Meriel zdaje się nie bywała w nim w ogóle. Sara starała się wymoczyć na przyjaciółce obietnicę, że odwiedzi ją ponownie, ale reakcja Meriel była co najmniej dziwna. Nie odrzuciła wprost zaproszenia, ale spuściła oczy, jakby dreczyło ją poczucie winy. W końcu zdecydowała się przemówić.

-Widzę, że dłużej nie uda mi się tego ukrywać. Jednak błagam cię, Saro... ze względu na naszą przyjaźń nie zacznij mnie nienawidzić za to, co muszę zrobić.

Z kieszonki sukni Meriel wyjęła małą kopertę, kryjącą sztywny bilecik wizytowy.

Zaintrygowana Sara wzięła z rąk Meriel tajemniczą kopertę. Otworzyła ją i przeczytała, z początku nic nie rozumiejąc, tekst zaproszenia, starannym charakterem pisma wykalfigrafowanego na białym bileciku:

Earl Ripon prosi o łaskawą obecność księżnej Wessex na balu wydanym z okazji prezentacji towarzystwu jego siostrzenicy, lady Meriel Jehanne Bulleyn Highclere...

-Wiec ten twoj zlosliwy wuj Richard to earl Ripon? - zapytala niebotycznie zdumiona Sara.

Co oznaczalo - usluznie podpowiedziala jej pamiec - ze jej droga przyjaciolka Meriel jest wlasnie ta kobieta, ktora miala posluzyc za przynete w pulapce zastawionej na ksiecia Walii. Ta, ktora wedle slow Wessexu tkwila w samym srodku katolickiego spisku.

-Tak - przyznala cicho Meriel. - Kiedy dowiedzialam sie, kim jestes, nie chcialam wyznac ci prawdy, bo twoj maz i moj wuj sa politycznym wrogami. Ale wuj Richard nalegal... - jej glos zadrzal i ucichl.

Sara spojrzala na Meriel spod oka. Trudno bylo wyobrazic sobie cos zabawniejszego niz pomysl, ze Meriel moze brac udzial w tym mrocznym spisku - ale tak twierdzil Wessex, a cokolwiek Sara mogla zarzucic temu czlowiekowi, to na pewno nie sklonnosc do konfabulacji. Jesli wiec Meriel rzeczywiscie tkwi w tym po uszy, bedzie potrzebowala pomocy przyjaciolki, aby znalezc droge wyjścia.

-Och, Meriel, prosze, nie rob takiej ponurej miny! Nie dbam ani troche o klotnie miedzy Wessexem a Riponem - powiedziala Sara, bardziej kierujac sie uczuciem niz rozsadkiem. - Przeciez jestesmy przyjaciolkami, prawda? I mam nadzieje, ze tak juz pozostanie.

-Wiec... nie przeszkadza ci to? - zapytala cichutko Meriel. Sara sie zawahala. Nie wiedziala, jak powiedziec Meriel, ze te jej slowa nie odnosza sie do spisku Ripona. Chociaz niezadowolona z meza, byla jednak lojalna poddana krola i nawet nie przyszlo jej do glowy, by watpic w madrosc dunskiego traktatu i malzenstwa, ktorym musial byc okupiony. Sara zadecydowala, ze przede wszystkim musi wydobyć od Meriel przyrzeczenie, ze nie stanie sie czescia planu, ktory ma usidlic ksiecia Walii.

Nigdy nie miala sie dowiedziec, czy jej pomysl mial jakies szanse powodzenia, bo w tym momencie otworzily sie drzwi i do pokoju wszedl nie zapowiedziany Wessex. Drgnal na widok Meriel, ale bylo juz za pozno, zeby sie wycofac, bo za nim szedl jeszcze ktos. W ten sposob w chwile pozniej Jakub ksiazka Walii stanal twarza w twarz z lady Meriel Highclere.

Dziewczyna sklonila sie przed nim, zerkajac w gore spod czarnych dlugich rzes.

-Ksiezno! - przemowil Jakub, nie spuszczajac przy tym oczu z twarzy Meriel. Zaraz tez podszedl do niej i pomogl sie podniesc z glebokiego uklonu. - Wessex, dlaczego nie mowiles nigdy, ze twoja zona ma takie czarujace przyjaciolki?

-Wasza wysokosc pozwoli, ze przedstawie lady Meriel Highclere, siostrzenice earla Ripona - powiedzial ponuro Wessex.

Sara spojrzala na niego zdumiona. Skad wiedzial, kim jest Meriel?

-Tak, wlasnie - powiedziala slabym glosem. - Przyszla tu... przyszla na herbate - skonczyla kulawo, mnac nerwowo za plecami zaproszenie Ripona.

Jakby przyzwany tymi słowami, pojawił się Buckland z zastawioną tacą. Sara zerknęła na zegar na kominku. Była czwarta i właśnie o tej porze zamówiła herbatę. Doprawdy, mogła lepiej wybrać czas...

-Doskonale - powiedział z zadowoleniem książe. - Herbata to świetny pomysł... zwłaszcza w tak uroczym towarzystwie. Ale muszę przy okazji zmyć głowę panu Highclere. Geoff nigdy mi nie wspominał, że ma tak piękną siostrzenicę.

-Wasza wysokość zawstydza mnie tymi komplementami - wymamrotała zmieszana Meriel. Na jej alabastrowe policzki wypłynął purpurowy rumieniec. Cały czas przytrzymywała się ramienia księcia, jakby nie mogła ustac na nogach. - Wasza wysokość jest szeroko znany jako koneser w różnych dziedzinach, więc takie słowa tym bardziej przyprawiają mnie o konfuzję.

-Och, człowiek z moją pozycją musi znać się na pięknie - odparł Jakub, przelitykając pochlebstwem bez zmruczenia oka. - Proszę, usiadz, Meriel - dodał prowadząc ją do krzesła przy stoliku z herbatą i samemu zasiadając obok.

Zrozpaczona Sara opadła ciężko na sofę. Starła się nawet nie patrzeć w kierunku Wessexa. Ze tego akurat ten moment musiał sobie wybrać na powrót! Nieważne, że sam wrócił... Ważne, w jakim towarzystwie!

I co teraz musiał pomyśleć, zastając ją na poufalej rozmowie z siostrzenicą Ripona? Prawda jest, że Wessex nie zabronił jej takich kontaktów, kiedy opowiadał o planach earla. Ale wtedy nie wiedział, że takie kontakty istnieją... a może wiedział?

Na razie postanowiła nie roztrząsać tego problemu. Nalala herbatę swojemu przyszłemu władcy, potem swojemu gościowi, mężowi, a na końcu sobie. Słuchając ożywionej pogawędki księcia z Meriel zdążyła sobie nagle sprawę, że wypadaloby zacząć rozmowę z Wessexem.

Odnaleziono trop Saint-Lazarre'a, na tyle jeszcze gorący, że król posłał Wessexa w drogę mimo jego szalonego postępu poprzedniej nocy. Źródłem informacji był jeden z wcześniejszych kontaktów diuka, Wessex miał więc okazję zrobić coś, co zmazałoby niedawny królewski gniew.

Osiadł Hirondele i wyruszył, aby wyciągnąć od niektórych, milczących zazwyczaj ludzi potrzebne informacje. To, czego się dowiedział, spowodowało, że przeprawił się przez Kanał i dalej podążając tropem Saint-Lazarre'a, spędził trzy dni we Francji udając bretonskiego rybaka, który zdezerterował z armii. Przy okazji o mało nie wpadł w ręce łapaczy. Nie miał zamiaru służyć ani chwili we flocie La Belle France - ani na pokładzie dumnego okrętu wojennego, ani pod pokładem wieziennej galery - więc potraktował to niemiłe spotkanie jako wyraźny sygnał, że czas wracać do Anglii. Wiadomości, jakie zdobył, były zbyt istotne, by ryzykować wpadkę, a on był jedynym, który je znalazł.

Pewnego styczniowego dnia dwanaście lat temu zgilotynowano króla Francji rozkazem zadnego krwi Konwentu. Ludwik Karol, francuski Delfin, miał wtedy zaledwie siedem lat.

Ludwik Karol - król Ludwik XVII od momentu, gdy krwawe ostrze spadło na szyję jego ojca - spędził już potem tylko kilka miesięcy w towarzystwie matki i starszej siostry, czternastoletniej Marii Teresy. Potem przeniesiono go w bezpieczniejsze miejsce. Jeszcze przed końcem tegoż roku jego matka, siostra i ciotka zostały ścięte... ale nikt nie wiedział, gdzie przebywał młody Ludwik Karol.

Ojciec Wessexa zginął próbując to ustalić. Po egzekucji króla Francji Andrew diuk Wessex został wyprawiony przez Białą Wieżę, aby spróbować uratować resztę rodziny królewskiej, a przede wszystkim cennego dziedzica tronu Burbonów. Ale diuk zaginął bez śladu i bez najmniejszej wskazówki, jak blisko miał do wypełnienia swojej misji. Los młodego króla wciąż pozostawał tajemnicą, która interesowała całą Europę. Paru emigrantów, którzy zdolali uciec z Francji kilka lat później, przywiozło wiadomość, że chłopiec zmarł w więzieniu, ale zostało to potraktowane przez wszystkich jako zrezygnowana bajka, która miała na celu wzmocnienie władzy Napoleona we Francji. W przypadku bowiem śmierci młodego Ludwika rojalisci byłiby zmuszeni uznać przebywającego na emigracji hrabiego Prowansji za króla Ludwika XVIII. A przyznanie prawa do tronu temu niepopularnemu Burbonowi zapewne bardzo wzmocniłoby poparcie Francuzów dla Napoleona w kraju.

Hrabia Prowansji odmówił jednak przyjęcia tytułu króla wyłącznie na podstawie plotek o śmierci Karola Ludwika. Zaządał od Francuzów okazania mu ciała jego bratanka albo przynajmniej wskazania wiarygodnego świadka jego śmierci. Nikt jednak nie był w stanie przedstawić Ludwika, żywego czy umarłego, i tym samym sprawa sukcesji pozostała nierozstrzygnięta. I tak się sprawy miały przez następne dziesięć lat. Rosło jednak przekonanie, że młody król musiał zginąć, bo gdyby żył, na pewno już by się objawił światu, chociażby jako marionetka na cesarskim dworze Bonapartego. Gdyby jednak żył, jego nagłe pojawienie się na politycznej scenie tchnęłoby w Trójprzymierze nową energię i zjednoczyło przy okazji wszystkie francuskie rojalistyczne frakcje, bo tego jednego pretendenta do tronu Francji musieli by uznać wszyscy.

Tak więc wszyscy zakładali, że Karol Ludwik nie żyje, ale nie wszyscy byli o tym zupełnie przekonani. I oto pojawia się nagle sprawa Saint-Lazarre'a, który najwyraźniej uważał, że młody król żyje. Ba, sądził chyba nawet, że wie, w którym miejscu należy go szukać. Saint-Lazarre był znany z cynizmu i sceptycyzmu, więc musiał dostać wiadomość, która go przekonała. To dlatego znikł tak nieoczekiwanie z Anglii i wyruszył w podróż do Francji, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Czy była to prawda, czy zrezygnowane kłamstwo, ta wieść mogła całkowicie zmienić europejski układ sił i uczestnicy Gry Cienia musieli dowiedzieć się o tym natychmiast. Tak więc Wessex wrócił co tchu do Anglii i nie kryjąc już swojej tożsamości, pognął na grzbiecie Hirondele'a wprost do Londynu, by zameldować się w pałacu St. James.

Złożył raport dwukrotnie - najpierw królowi Henrykowi, a potem baronowi Misbourne'owi - a każdy z nich zasypał go gradem pytań. Wiadomość tej wagi nie mogła zostać tak po prostu przyjęta - należało ją zmierzyć, zwążyć, sprawdzić, zbadać... ale jeśli była prawdziwa, jeśli chociaż istniało prawdopodobieństwo, że była prawdziwa, ktoś musiał natychmiast udać się do Francji, podjąć trop i dotrzeć do młodego króla, zanim dotrze do niego Saint-Lazarre i ukryje go w innym miejscu. Należało mieć absolutną pewność, że król Ludwik będzie czekał na swoją restaurację w Anglii, a nie gdziekolwiek indziej.

Ale to nie Wessexowi miało przypaść w udziale to delikatne zadanie. Król Henryk bardzo jasno wyraził swoje zdanie na ten temat. Miejsce Wessexu było w Londynie. Miał skakać koło swojej żony i przygotowywać się na przyjazd księżniczki Stefanii, zamiast wleźć się po Kontynencie.

Tak więc Wessex powrócił w końcu do Dyer House, zresztą tylko po to, by się dowiedzieć, że jego żona już tam nie ma. Powiedziano mu, że Sara przeniosła się z powrotem do Herriard House, tak jakby ich ślub w ogóle nie miał miejsca.

Wessex z przyjemnością zostawiłby ją tam, gdzie była - ale mając w pamięci niedawną rozmowę z królem i jego dokładne instrukcje, nie miał wątpliwości, że jego obowiązkiem jest uczynić coś zgoła przeciwnego. Natomiast to, że po drodze spotkał księcia Jakuba, było po prostu fatalnym zbiegiem okoliczności. Zobaczył go wychodzącego z jednego z klubów w towarzystwie Geofreya Highclere i chciał choć na chwilę wyciągnąć księcia spod złego wpływu tego dzentelmena, zaprosić go do Herriard House. Jamie zachował w pamięci ostatnie spotkanie ze świeżo upieczoną małżonką Wessexu, toteż łatwo dał się przekonać, że wypada złożyć jej wyrazy uszanowania. Wessex zresztą uznał, że przyjscie z gościem da mu czas na zastanowienie się, co właściwie powinien powiedzieć żonie o swojej nieobecności.

Teraz wiedział już bardzo dokładnie, co ma jej powiedzieć. Niestety w ten sposób dobrze wychowany mężczyzna w ogóle nie powinien zwracać się do kobiety.

-Jaka mieliście pogodę w Londynie? - zwrócił się zatem diuk Wessex do swojej małżonki.

Następny kwadrans minął Wessexowi i księżnej na takiej właśnie obrzydliwie uprzejmej wymianie zdań. W tym czasie zaś Jakub i Meriel naprawdę miło spędzali czas. Sara, oprócz targających nią od wielu dni emocji, miała jeszcze zaznać poczucia zdrady. Sądziła, że Meriel ma dość rozumu i wrażliwości, aby nie dać się wykorzystać w ambitnych planach jej wuja, mających na celu omotanie Jakuba i przecignięcie go do katolickiej frakcji.

Najwyraźniej się myliła. Meriel odgrywała z takim talentem rolę zalotnej i głupiotkiej panią, że Sara się zastanawiała, czy kiedykolwiek znalazła przyjaciółkę.

W końcu księżniczka Jakub wstał, aby ich opuścić. W tym samym momencie wstała też Meriel, oznajmiając przerażonym głosem, że spóźniła się na umówione spotkanie. Potem jeszcze

szybkie wkładanie kapeluszy i rekawiczek, i nareszcie księżna Wessex została sam na sam ze swoim mężem...

Z wahaniem zaryzykowała spojrzenie na niego. Miał zacisnięte wargi, a czarne oczy błyszczały wściekłością.

-Zadam tylko jedno pytanie: wasza miłość, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co dzisiaj zrobiłaś? - powiedział w końcu.

Gniew podyktował jej stosowną odpowiedź:

-Nie ja przyprowadziłam tutaj księcia. Z jakiego to powodu zjawiliście się tu obaj? Chciales wprowadzić go w sam środek katolickiego spisku, który może sam wymyślił?

Wessex aż się zatrząsł w hamowanej furii, a jego twarz zbladła, jakby uciekła z niej cała krew.

-Jak możesz? - powiedział zduszonym głosem. - Tak słuchasz królowi i Lidze? Sama rozgrywasz jakieś potajemne gierki. Jak rozpuszczone dziecko bawisz się rzeczami, które należą do dorosłych.

-Jak śmiesz? - Sara też nie panowała już nad nerwami. - Ty mnie nazywałeś dzieckiem? Ty, który nie masz pojęcia ani o mnie, ani o moim charakterze!

-Tu się mylisz - odparł Wessex śmiertelnie lodowatym tonem, który przejmował dreszczem bardziej niż poprzedni wybuch gniewu. - Znam na wylot każdą cechę twojego charakteru, choć wcale nie jest to przyjemna wiedza. Jesteś zepsuta, oddana wyłącznie przyjemnościom i pełna złej woli. Zdradziłaś sekretny związek dla własnej pustej zabawy...

Sara nie do końca pojmowała, o co chodzi Wessexowi, więc tym bardziej przestraszyły ją jego słowa.

-Pustej zabawy! - zareagowała na ten fragment jego zarzutów, który, jak jej się wydawało, zrozumiała. - Meriel jest moja przyjaciółka i delikatnie mówiąc, nie darzy miłością swojego wuja. Z pewnością też nie zrobi nic z tego, co sugerujesz, aby go zadowolic. Wiem, że sytuujesz ją w samym środku spisku Ripona, ale ona nie jest aż taka głupia.

-Och, naprawdę? - zapytał drwiako Wessex. - Jej dzisiejsze zachowanie zdawało się o tym świadczyć. Powiedz mi, co to za idiotyczny pomysł, żeby przyjmować ją w tym domu?

-To jest mój dom, wasza miłość, gdybys przypadkiem o tym zapomniał. t

-Jeśli wyniknie z tego jakiś skandal, który zresztą Ripon umiejętnie wykorzysta, dunski książę regent nie zawaha się wycofać z zareczyn ani z traktatu...

-A czy książe Jakub o tym nie wie? - zapytała lodowatym tonem Sara.

-Jakub to rozpuszczony smarkacz, a jego ojciec król polecił nam obojgu strzec go przed popełnianiem takich głupich błędów, w jakie właśnie się pakuje dzięki tobie.

-Wiec jest głupcem, który nigdy nie powinien zasiąść na tronie! - wrzasnęła Sara i zamilkła przerażona własnymi słowami.

-Masz zamiar bawić się w osadzanie królów na tronach, madame? - zapytał bardzo cicho Wessex. - Ostrzegam cie, bo takie pomysły mogą zaprowadzić w bardzo niemile miejsce.

Kłótnia rozwijała się w kierunku, w którym Sara wcale nie zamierzała podążać. Wessex zachowywał się teraz nie jak rozgniewany mąż, ale jak wrogi, którego obecność była śmiertelnym zagrożeniem.

-Nie wiem, o czym mówisz! - wrzasnęła. - Nigdy, przenigdy nie chciałam cie poślubić! I żałuję, że w ogóle się urodziłam!

Chwyliła pierwszy lepszy przedmiot, jaki nawinął się pod rękę - porcelanowa cukiernica - i cisnęła nią w głowę Wessexa, który niemal automatycznie chwycił pocisk.

Sara wybiegła z pokoju.

Wessex odstawił cukiernicę na najbliższą płaską powierzchnię, podszedł do drzwi i zamknął je bezszelestnie. Nigdy nie czuł się mniej pewnie niż teraz, a taka niepewność bywa wielce niebezpieczna.

W jaką grę grała Sara? Czy była lojalna wobec Ligi Boscobel, czy też chciała ją zniszczyć, a wraz z nią króla? Czy zaprzyjając się z Meriel współpracowała z Riponem, czy wręcz przeciwnie, chciała zniweczyć jego plany? Wessex zastanowił się głęboko i spróbował wybiec myślą poza dzisiejszą katastrofę. To, że Sara prowadziła jakieś własne działania, nie ulegało wątpliwości... ale na razie to lady Meriel przejęła inicjatywę, i to Ripon nią sterował, niezależnie od tego, jakie były dalsze plany Sary. Czy diuk powinien pozostawić żonę w mieście, czy też wywieźć ją na dwór Wessex i trzymać tam z dala od miejskich pokus? Mężczyzna mógł zrobić z żoną co chciał - to była jedna z zalet małżeństwa. Ale z drugiej strony, i tak doszło już do fatalnego spotkania lady Meriel i księcia Jakuba. Jeśli Meriel celowo zawarła znajomość z żoną Wessexa, by doszło do niby przypadkowego spotkania z księciem, to właściwie księżna nie jest jej już potrzebna. A jeśli to jednak Meriel została wykorzystana przez księżnę w zrecznej intrydze...

Kiedy już zupełnie zaplatał się w myślach, jego wzrok padł na skrawek papieru wetknięty pod oparcie sofy. Wyciągnął go ostrożnie, jakby obawiał się eksplozji, i obejrzał z uwagą.

Zaproszenie na bal, który Ripon wydawał w imieniu siostrzenicy.

Fascynujące. Na tyle fascynujące, że Wessex znowu zmienił zdanie na temat działań swojej żony. Teraz musiał przyznać, że nie ma najmniejszego pojęcia, w co gra ta kobieta. Dlaczego tak bardzo chciała pojechać na ten bal Ripona, że ukryła zaproszenie przed własnym mężem? I jeszcze ciekawsze pytanie: po co Ripon ją zapraszał?

Sara uciekła do swojego pokoju, jakby umykała przed Bestią, która ścigała ją w na wpół już zapomnianym śnie. Zakładała, że Wessex ułatwi jej trwanie w tym fikcyjnym małżeństwie, ale teraz zdała sobie sprawę, że nie może liczyć na pokój między nimi. Z uczuciem zbliżonym do paniki wpadła do bezpiecznego azylu swojej sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wessex najwyraźniej jej nie ścigał, więc zdołała w miarę szybko ochłonąć w atmosferze prywatności. Wojownik nigdy nie ulega panice, strach jest drogą donikąd, strach jest zagubiona ścieżka...

Przez krótką chwilę dwie Sary - Sara Cunningham z Baltimore i fałszywa markiza Roxbury, która potem się stała - walczyły o kontrolę nad jej osobowością. Ale jej prawdziwe ja szybko umknęło i zniknęło w zakamarkach umysłu, pozostawiając jednak pewną myśl...

Oni wszyscy chcą, żebym udawała księżną Wessex i przewodziła towarzystwu w tym tanecznym korowodzie. Ale nie wiem, jak to zrobić. Nie jestem tą kobietą, za którą zapłacili...

Sara opadła ciężko na krzesło i splótła dłonie. Wiszące naprzeciwko lustro drwilo z niej najwyraźniej, pokazując zupełnie obcą osobę - spokojną, pewną siebie arystokratkę w złocie i błękicie; kobietę może nie piękną, ale o zdecydowanych rysach i silnej woli.

Ale na pewno nie markizie Roxbury. Za to chyba jednak jestem księżną Wessex, skoro poślubiłam diuka? Ale nie ta księżna, za którą on mnie bierze...

Jednak pamięć znowu ją zdradziła i Sara za nic nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazła się na miejscu markizy. A jeśli chodzi o wcześniejsze życie, o to, kim była, zanim zaczęła się ta maskarada... wciąż jej się zdawało, że zna odpowiedź na to pytanie, i że ta odpowiedź czeka tylko na właściwy moment, aby błysnąć w jej umyśle.

Wzięła głęboki oddech. A więc miała pewność co do jednego: wiedziała, kim nie jest. Na razie pozostałe problemy straciły znaczenie.

Tylko co powinna teraz zrobić?

Nie zostanie w Londynie. Nie może uczestniczyć w tej szopce ani chwili dłużej. Chciała być sojuszniczką Wessex od pierwszej chwili, kiedy poprosił ją o pomoc, ale on zdaje się żądał jej współpracy, podczas gdy ją sama odpychał. A teraz w dodatku był wściekły. To prawda, że spotkanie Meriel i księcia Jakuba było katastrofą, ale Wessex był temu winien w równym stopniu co i ona, i razem powinni naprawić te szkody. On jednak nie był zainteresowany współpracą. A ona nie życzyła sobie być zawsze tą jedyną, która dąży do kompromisu. Kiedyś trzeba z tym skończyć - najlepiej w tej chwili. Podjedzie do Mooncoign i zostawi

Wessexa, by sam rozwiązywał swoje problemy. Watpila, by protestował.

Wessex wciąż jeszcze przypatrywał się uważnie zaproszeniu Ripona, gdy w drzwiach stanął Buckland z zatroskana twarzą.

-Wasza miłość, niejaki pan Farrar prosi o posłuchanie. Mówi, że sprawa jest pilna.

Gdyby Wessex był kimkolwiek innym, z przyjemnością odesłałby teraz pana Farrara do wszystkich diabłów. Ale w jego zawodzie nie można było tak po prostu pozbywać się nieznanym ludzi.

-Niech wejdzie, Buckland. I niech ktoś uprzątnie ten balagan - machnął ręką w stronę pustych filizanek i cukiernicy.

Pan Farrar był milej powierzchowności dżentelmenem w ciemnozielonym surducie. Wessex, jak się okazało, znalazł go całkiem niezłe, chociaż nie z nazwiska.

-Wielki Boże - wykrzyknął. - Toby! Co ty tutaj robisz?

-To delikatna sprawa. I niezbyt miła, wasza miłość. Przepraszam za te zabawy w przebieranców, ale lord Misbourne nie chciał powierzyć tej sprawy papierowi i sadził, że najlepiej będzie posłać mnie.

Człowiek, którego Wessex znalazł jako Toby'ego - chociaż z pewnością było to równie nieprawdziwe imię, jak Farrar nazwisko - nie należał do towarzystwa, choć, gdyby chciał, mógłby uchodzić za dżentelmena. Gdyby zresztą Wessex kiedykolwiek spotkał go w prywatnym życiu, Misbourne nigdy nie pozwoliłby spotkać im się w Wieży. Wychodził z założenia, że nawet na torturach nie zdradzi się tego, czego się nie wie. Tak więc dla Wessexa istnienie Toby'ego Farrara zaczynało się i kończyło w korytarzach i bibliotece na Bond Street.

Ale oto Toby pojawił się tutaj. Sytuacja, w której nie dało się wezwąć Wessexa zwykłym trybem, przekazując umówiony sygnał w zupełnie neutralnej przesyłce, musiała być niewątpliwie niezwykła.

-Mów - powiedział krótko Wessex.

-Księżniczka Stefania znikła - odparł beznamiętnie Toby.

Oficjalnie dąński gość miał pojawić się w Londynie pod koniec lipca. Jednak księżniczka wsiadła w sekrecie na statek miesiąc wcześniej, co było dość rozsądne, bo statek wiozący członka dąńskiej rodziny królewskiej stanowił lakomy kasek. Dwa okręty - "Krolowa Christina" i "Trygve Lie" wypłynęły z Danii cztery dni temu. Jeden z nich dotarł do Roskild. Drugi nie.

-Kapitan Kosciuszko mowil, ze stracili kontakt z "Krolowa Christina" we mgle. Podobno byla tak gesta, ze cala nieprzyjacielska flota moglaby przeplynac o dziesiec stop od nich, a i tak nic by nie dostrzegli. Kiedy mgla sie podniosla, statku juz nie bylo. I nie dotarl do portu przed nimi.

Znikla ksiezniczka Stefania, najwazniejsza dla traktatu osoba!

-Jak aktualna jest ta informacja? - zapytal Wessex.

-Nie starsza niz trzydziesci szesc godzin, wasza milosc. Do Szkocji dotarla telegrafem slonecznym, a z Edynburga golebiem - odparl Toby.

Wessex nie trafil czasu na pytanie, czy informacja jest pewna. Tego nikt nie mogl wiedziec. Musieli zalozyc, ze pewna i dzialac zgodnie z tym zalozeniem.

-Kto jeszcze wie? - padlo kolejne krotkie pytanie. - I jak dlugo potrwa, zanim dowiedza sie wszyscy?

-Zaloga, kapitanat portu Roskild, krol Henryk, baron Misbourne - zabrzmiala odpowiedz. - Kosciuszko twierdzi, ze wedlug jego wiedzy "Christina" nie zostala zaatakowana.

A wiec jej znikniecie bylo zaplanowane... przez kogos.

-Czy mamy jakies podejrzenia, dlaczego "Krolowa Christina" znikla?

Toby Farrar skrzywil sie niechetnie.

-Slova lorda Misbouma brzmialy: jedz i zobacz.

14. TANIEC Z DIABLEM W BLASKU KSIEZYCA

Dwa tygodnie pozniej Sara ksiezna Wessex wziela udzial w balu wydanym przez earla Ripona z okazji prezentacji w towarzystwie jego siostrzenicy lady Meriel Highclere. Te dwa tygodnie byly bardzo nieprzyjemne. Kiedy w koncu Sara zdolala otrzasnac sie z zagubienia i gotowa byla do rzeczowej rozmowy z mezem, aby mu wyjasnic, dlaczego musi pojechac na wies, jego juz nie bylo. Nie bylo go tez w Dyer House, ani w jego kawalerskich apartamentach, ktore, jak przy okazji odkryla, wciaz wynajmowal. Nie bylo go wreszcie w zadnym z klubow. Dwa dni pozniej nadeszla wreszcie dosc chaotyczna wiadomosc od Wessexa, adresowana do niej i do Dowager, a wyslana do Dyer House; diuk zawiadamial, ze pilne sprawy zwiazane z wojskiem wezwaly go do podrozy i pisal, ze ma nadzieja, ze nie czuja sie bardzo dotkniete jego nieobecnościa.

Wiadomosc byla na tyle niedorzeczna, ze Sara nie wiedziala, czy smiac sie, czy plakac. Na szczescie teraz, kiedy Wessex wyjechal, nie musiala opuszczac miasta, aby uniknac z nim kontaktu. Poza tym powinna wlasciwie miec na oku lady Meriel. Zreszta obserwowanie lady

Meriel nie było specjalnie kłopotliwe, bo mówił o niej niemal każdy, kogo Sara spotykała. Widziano ją w towarzystwie księcia. Wybrali się na konną przejażdżkę. Jechali razem powozem. Oczekiwano jego obecności na balu. Porzucił Karoline Truelove i swe pozostałe kochanki. Udał się do domu wuja Meriel i spędził tam całe popołudnie. Pogłoski. Plotki. Niepokoje. A Meriel nie odpowiadała na listy Sary, nie spotkała się z nią w żadnym z umówionych miejsc. Sara wybrała się raz do niej osobiście, po to, żeby usłyszeć od służby, że lady Meriel nie ma teraz w domu.

Az wreszcie nadszedł czas balu u earla Ripona.

Powóz Sary, na którego drzwiczkach wciąż widniały herby Roxbury, a nie Wessex, podskakiwał i trząsł na wyboistej drodze. Kabina starego typu opierała się na skorzanych pasach, a nie na nowoczesniejszych sprężynach, jednak powóz był obszerny i wygodny, i kiedy nie pedziło się galopem, zapewniał wyjątkowy komfort. A tego wieczoru galopem z powodu zatłoczenia dróg nie dawało się jechać.

Z powozu zdjęto tym razem skórzane poślaczane zasłony, aby zapewnić lepszy dostęp powietrza. Teraz, gdy się znowu zatrzymali, Sara otworzyła okno i wyjrzała z zaciekawioną miną na zewnątrz. Stali niedaleko od rogu ulicy - widziała to wyraźnie, mimo natłoku powozów. Najdalej za pół godziny powinni być na miejscu. Z daleka widziała londyńską rezydencję Ripona - wielkie, niemal średniowieczne domostwo. Pośród sąsiednich budynków wyglądało jak wielkolud wypatrujący ofiary - z gotycką fasadą z ciemnych kornwalijskich kamieni, oświetlona teraz niezliczonymi pochodniami. Chociaż największe letnie upały miały dopiero nadejść, tej dusznej lipcowej nocy Sara dziękowała Bogu, że jej balowa suknia jest, zgodnie z duchem mody, uszyta z lekkiego muslinu i jedwabiu, zamiast ze sztywnego brokatu i aksamitu. Włosy miała ułożone w prostą fryzurę, ozdobiona tylko pojedynczą kokardą, czaplami piorami i paroma diamentkami. Na zwiewnej błękitnej kreacji naszyto cekiny i wyszywane srebrną nicią rozetki. Nie chciała przycmiec strojem Meriel, do której miała należeć ta noc, ale też nie zamierzała wyglądać, jakby była w zalobie po nieobecnym mezu.

Reka Sary odruchowo powędrowała do ukrytego za gorsem pierścienia. Tkwił w specjalnie w tym celu zrobionej wewnętrznej kieszonce, która wymyśliła na prośbę Sary madame Francine. Nie mogła niestety sięgnąć do pierścienia, wąski dekolt sukni skutecznie to uniemożliwiał, ale samo jego dotknięcie, choćby przez materiał, zawsze ją uspokajało. I zarazem budziło nowe pytania.

Pierścień należał do jej ojca - tego Sara była pewna. Ale z całą pewnością nie należał do ojca lady Roxbury. Kiedy Sara po raz pierwszy spotkała Wessexa, ten rozpoznał pierścień i uruchomił ukryty mechanizm. Oznaczało to, że pierścień kryje w sobie jakiś sekret, może klucz do całej tej historii - i Wessex wie, jaki to sekret.

Powóz szarpnął gwałtownie i wytracił ją z zamyslenia. Stojące w korku ulicznym powozy ruszyły znowu. Zbliżała się do celu podróży.

Jego miłość kapitan diuk Wessex, podróżujący z racji pośpiechu pod własną tożsamością, stał na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości "Widowmaker" i zbliżał się do najbardziej na pomoc wysunietej ziemi Korony - wysp Orkadów. W tej podróży Atheling towarzyszył swojemu panu, bo wyjątkowo Wessex występował tu jako oficjalny przedstawiciel króla Henryka i nie mógł podróżować bez służby.

Orkady - wyspy, które przeszły spod panowania dąskiego pod szkockie za czasów niesmiertelności przez literaturę lady Macbeth - były zamieszkałe głównie przez niewielkie społeczności rybaków, których życie niewiele się zmieniło w ciągu ostatniego tysiąca lat. Największym miastem w lancuchu wysp było Roskild; jego port był też jedynym na tyle głębokim, by mógł w nim rzucić kotwicę większy okręt. Kotwiczył tam swego czasu "Trygve Lie" i teraz okręt Wessex podążał w jego ślady. Wypłynął z Londynu podczas przyływu i żeglując na pomoc trzymał się cały czas brytyjskiego wybrzeża - ku wielkiemu niezadowoleniu kapitana - aby nie prowokować francuskich okrętów wojennych, które kreciły się po Kanale jak głodne rekiny. Dzięki okrętowi podróż, która konno zajęłaby ponad tydzień, mogła odbyć się w ciągu czterech dni. O świcie piątego dnia "Widowmaker" wpłynął do portu w Roskild, korzystając z porannego przyływu.

Tu, daleko na pomocy, gdzie słońce dopiero wychyliło spoza chmur, wszyscy, nawet najgorliwsi kupcy, byli jeszcze w łózkach. Wessex pozostawił kapitanowi w pełni przyjemność załatwienia całej papierkowej roboty w kapitanacie portu, a sam udał się na poszukiwania swojego przyjaciela Kosciuszki.

Polski huzar (który zresztą w oczach tubylców nie uchodził ani za Polaka, ani za huzara) wynajął pokój w mniejszym z dwóch hoteli w Roskild. Przybytek ten był położony na tyle daleko od portu, że nie dałoby się go pomylić z podławną tawerną, w jakich popijali marynarze, ale też trudno by w nim było podejmować arystokratów... gdyby się jakiś trafił w Roskild.

Wessex nigdy nie był "Pod Syrenką", ale znalazł tysiące identycznych miejsc. Główne drzwi hotelu trzymały zamknięte i zabarykadowane dla ochrony przed nocnymi włóczęgami, ale drzwi kuchenne były zgodnie z jego przewidywaniami uchylone. Wessex skorzystał z nich i wszedł od razu na pierwsze piętro.

Zauważył tu tylko dwoje drzwi; spoza jednych dochodziło gromkie chrapanie. Wessex otworzył te drugie.

Illia Kosciuszko leżał w poprzek rozrzuconego łoża pograżony w głębokim śnie, z jedną ręką pod zmietoszoną poduszką. Wąsy miał ogolone, a włosy w nieładzie. Miał na sobie tylko koszulę i pantalon, i wyglądał jak pierwszy lepszy student, uchodzący czy podróżnik.

Wessex energicznie zamknął za sobą drzwi. Towarzyszący temu dźwięk zagłuszył odcignięcie pistoletowego kurka. Kiedy diuk odwrócił się znowu w stronę łoża, zobaczył, że Kosciuszko już unosi się na łokciu i trzyma pistolet wymierzony prosto w jego głowę. Rozpoznał twarz gościa, zabezpieczył broń i odłożył ją na bok.

-Powinienes lepiej sie ubierac, przyjacielu. Patrzac na ten zmiotoszony plaszcz bylem pewien, ze mam do czynienia z Francuzem. - Kosciuszko przejechal reka po czuprynie i skrzywil sie, gdy natrafil na zlepione kosmyki.

-Jesli spodziewasz sie Francuza, to moze lepiej byloby zamknac drzwi - zasugerowal Wessex.

-Kiedy ja wlasnie mialem nadzieje, ze jakis wejdzie do srodka - wyznal szczerze Kosciuszko. - Ale jaki jest sens wystawiac sie na atak, skoro nikt nie chce skorzystac z okazji?

Wstal z lozka i zaczal przeszukiwac balagan w poszukiwaniu najpierw butow, a potem butelki brandy. - A nikt nie skorzystal? - zapytal Wessex.

-Zostalem poblogoslawiony nieobecnościa jakichkolwiek wrogow - odparl Kosciuszko i uzupełnil to dluga i niezrozumiala fraza we wlasnym jezyku. Wessex podejrzewal, ze przyjaciel posluzyl sie swoim ulubionym powiedzonkiem: jak diabel straci poczucie humoru, to ci zsyla spokoj.

-Zupelnie nie potrafie sobie wytлумaczyc tego spokoju - dodal wciagajac na nogi buty, co prawda ciezkie i zniszczone, ale pasujace do jego nowej tozsamosci.

Wessex rozejrzal sie po pokoju, ale nie znalazl zadnych mebli oprócz lozka i stolu, usiadl wiec na ziemi opierajac sie o sciane.

-Zdaje sie, ze miales plynac na tym samym statku co ksiezniczka - przeszedl do rzeczy.

-I plynalem. Calkiem niezle odgrywalem role holenderskiego lekarza, ktory dzieki uprzejmosci sir Johna mogli odbyc podroz na statku do Anglii. Szkoda, ze mnie nie widziales. Ale jej wysokosc kazala mnie przeniesc na drugi statek, zanim jeszcze wyplynelismy, twierdzac, ze nie podoba jej sie ten Van Helsing. A zbyt malo czasu zostalo do poczatku rejsu, abym zdazyl sie pojawic jako ktos inny. Zreszta wtedy niespecjalnie sie tym zmartwilem. Sprawdzilem dokladnie zaloge "Krolowej Christiny", kiedy jeszcze stalismy w porcie, i wykluczam obecność posrod nich zdrajcy. Nie bylo tez zadnych zmian w ostatniej chwili.

Jedynym minusem mojego rejsu na "Trygve Lie" bylo to, ze nie moglem bezposrednio pilnowac ksiezniczki. Ale byl przy niej sir John, ktory na pewno zlozylby lepszy raport na temat jej nastrojow podczas podrozy niz zrobilbym to ja. A potem "Krolowa Christina" po prostu znikla bez sladu, raptem o pol dnia drogi od szkockiego wybrzeza.

Wessex wiedzial, ze zgodnie z planem okrety mialy sie trzymac brytyjskiego brzegu, aby uniknac spotkania z francuskimi jednostkami.

-I to wszystko, co wiesz? - zapytal z wyraznym rozczarowaniem.

Kosciuszko uniosl rece do gory.

-Nie mam nic wiecej do dodania - powiedzial ze skrucha. - Nikt na "Trygve" sie nie spodziewal, ze ksiezniczka zniknie. Upewnilem sie co do tego. I nikt na pokladzie nie ma tez najmniejszego pomyslu, co sie z nia stalo.

-Musimy przyjac - zauwazyl rozsadnie Wessex - ze sama chciala gdzieś wyladowac. Ale gdyby to bylo na tym wybrzezu, cos juz byśmy uslyszeli.

-Co oznacza Francje - mruknal z ponura mina Kosciuszko.

-Co prawdopodobnie oznacza Francje - zgodzil sie Wessex. - Nie da sie ukryc przed ksieciem, ze stracilismy jego siostre. Trzeba zalozyc, ze juz sie dowiedzial. Teraz wyruszam na pokladzie "Widowmakera" do Kopenhagi. Przy okazji powesze na dunskim dworze i zorientuje sie, czy tam przypadkiem nie wiedza czegos wiecej o tym tajemniczym zniknieciu.

-Jade z toba- zglosil sie natychmiast Kosciuszko.

-Nie - odmowil zdecydowanie Wessex. - Ty pojedziesz do Anglii. Ksiaze Jakub zwiazal sie z dziewczyna Ripona, a ty musisz ja od niego odciagnac.

-Ja? - zdziwil sie Kosciuszko. Po chwili usmiechnal sie ze zrozumieniem. - Warto sprobowac. Ladna?

-Bardziej niz na to zaslugujesz. Zadbaj o wyglad i zbieraj sie do drogi.

-Jej milosc ksiezna Wessex! - oznajmil donosnie straznik w peruce, gdy Sara doszla do szczytu schodow.

Sala balowa zajmowala cale drugie pietro palacu Ripona. Sara mimo woli porownala ja do sali balowej w Mooncoign, zastanawiajac sie, czy roznice pochodza od charakterow wlascieli. Sala balowa w Mooncoign byla urzadzona z przepychem - wszystko tam blyszczalo zlotem, przyciagalo wzrok i zachwycalo. Ale Brookstone - dom Ripona nazwano tak od jednego z jego tytulow - mial przede wszystkim przytlaczac. I to nie tylko ogromem, ale i potega rodu, do ktorego nalezal. Zbroje i bron z herbami Highclere'ow spotykalo sie tu na kazdym kroku, jakby byly trofeami zdobytymi na wrogach, a niezliczone lustra odbijaly blask swiec z zyrandoli, tworzac orgie swiatla, ktora zmuszala do mruzenia oczu.

Sara celowo przyszla wczesniej, majac nadzieje, ze przylapie na chwile Meriel i zdola ja wypytac o jej plany, ale tlok na ulicach opoznil jej przyjazd na tyle, ze zjawila sie grubo po dziesiatej. Sala balowa byla wypelniona gosciami, a w zimnym Isnieniu krysztalow i luster Sara nie mogla dostrzec ani Meriel, ani ksiecia Jakuba. Moze jednak ksiaze nie przybyl...

-Jak miło, że zaszczytila nas pani swoja obecnością! - U boku Sary nagle zmaterializowal sie earl Ripon.

-Mnie też jest miło - odburknęła Sara, nie siląc się na uprzejmość. Czy Ripon naprawdę wierzył, że zdoła zrobić z Jakuba zasiadającą na tronie marionetkę? I czy kiedykolwiek zastanowił się, jaki jest koszt tych jego planów?

-Czy przybędzie też mój pan? - nalegał Ripon. - Diuk - dodał, jakby Sara mogła zapomnieć, kogo poślubiła miesiąc temu.

Mocniej zacisnęła dłoń na wachlarzu.

-Mój pan niespecjalnie tęskni do pańskiego towarzystwa - odparła ze złością. Nie miała zamiaru bawić się w uprzejmości. Do tej pory starała się zachowywać jak dama. Rzadko wychodziło jej to na dobre, więc może należało zmienić sposób bycia.

Ripon nie wydawał się zmiądzony tym oświadczeniem.

-Może uda mi się przekonać chociaż panią do zmiany opinii o mnie.

Watpie, pomyślała Sara, ale powstrzymała się przed powiedzeniem tego na głos. Pozwoliła nawet Riponowi poprowadzić się przez salę balową do następnego pomieszczenia, gdzie earl podał jej kieliszek zimnego szampana, uklonił się uprzejmie i pozostawił ją w spokoju. Z obludą, która zaskoczyła nawet ją samą, Sara spędziła następne pół godziny usmiechając się fałszywie do gości i obiecując tańce, których nie zamierzała tańczyć, aż wreszcie wyruszyła na poszukiwania Meriel.

Musiała przyznać, że Ripon bardzo się postarał - chyba z połową Górnych Dziesięciu Tysięcy tłoczyła się teraz w komnatach jego palacu.

Szybko przemknęła przez otwarte dla gości pokoje i upewniła się, że nie znajdzie tam obiektu swoich poszukiwań. Ale przecież to niemożliwe, żeby lady Meriel była nieobecna na balu wydanym z okazji wprowadzenia jej do towarzystwa. Mogła jednak wciąż jeszcze przebywać w swoich prywatnych komnatach i Sara postanowiła to sprawdzić.

Bez trudu opuściła salę balową, ale kiedy już znalazła się na wyższym piętrze obcego domu, doszła do wniosku, że nie ma pojęcia, gdzie szukać pokoi Meriel. Wzruszyła ramionami i poprawiła szal. Musi szukać, aż znajdzie. Teraz, kiedy wszyscy są na dole, spotka co najwyżej jakiegoś zagubionego służącego. Ostatecznie osoby z wyższych sfer bywały ekscentryczne, więc nie zdziwiłoby to służby, a drobna łapówka powinna wystarczyć, by Ripon nie dowiedział się o jej wycieczce po domu. Znalazła następne schody i zaczęła się po nich wspinać. Otworzyła jedno czy drugie drzwi na trzecim piętrze, ale prowadziły tylko do pogrążonych w mroku małych pokojków. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia zamieszkanego. Sara już miała zamiar zaprzestac poszukiwań na tym piętrze, kiedy wychyliła się za róg korytarza i dostrzegła blask światła w szparze pod jeszcze jednymi zamkniętymi drzwiami. Może tam właśnie była Meriel? Ale przecież nie może tak po prostu podejść i zapukać. Jakże podać powody swojego przyjscia?

Kiedy doszła do wniosku, że to głupi pomysł, drzwi, spod których dochodziło światło, otworzyły się gwałtownie.

-Tam nikogo nie ma - powiedział earl Ripon.

-Oczywiście, że nie ma! - warknął Geoffrey Highclere. - Tylko ta jęcząca ofiara, nasza siostrzenica, cały dom służby i z pięciuset gości.

Kurier z Francji...

Geoffrey z trudem powściągnął gniew. Nie warto zrażać brata, zwłaszcza że to on wymyślił plan osaczenia księcia Walii. Ale francuscy mocodawcy Geofrreya, a zwłaszcza pająk Talleyrand - sekretary władcy Francji - podchwycili plan natychmiast i teraz Geofrrey musiał być pewien, że zamierzenia jego brata osiągną zadowalający efekt. Oczywiście Ripon nie będzie wiedział, kto jeszcze się za tym kryje. Brat był na swój sposób lojalny wobec Anglii i jego spisek miał posłużyć tylko wewnętrznemu przesunięciu sił. Ale jeżeli spuszcza się z lancucha takie moce, mogą pchnąć kraj w wielu różnych kierunkach...

-Za bardzo się tym przejmujesz, Geofrrey - powiedział uspokajającym tonem brat. - Meriel płacze się teraz w ramionach pokojówki po lekcji, jaka dałaś jej przedtem, a wszyscy pozostali są na balu. Swoją obecnością zaszczyliła nas nawet księżna Wessex i nie należy jej zaniedbywać.

-Wessex! - syknął Geofrrey z nienawiścią. Kurier przywiózł z Francji wiadomości, że Wessex staje się niebezpiecznym człowiekiem, znacznie bardziej niż Geofrrey przypuszczał. - On cały czas przeszkadza w naszych planach.

-W jaki sposób? - zapytał rozsądnie Ripon. - Przecież wyjechał na wieś.

-Nieprawda - odparł Geofrrey. - Pojechał do Danii. Księżniczka Stefania znikła. Jej statek nie dotarł do portu na Orkadach.

-Co? - Ripon wyglądał jak rąbany gromem. - Kiedy powiedziałeś, że masz ważne wiadomości, myślałem, że wiążą się z naszą sprawą.

Twoja sprawa, bracie, poprawił go w myślach Geoffrey.

-A nie wiążą? Uważasz, że Francja nie byłaby zainteresowana każdym sposobem, który mógłby znowu uczynić z Anglii jej naturalnego sojusznika przeciwko wszystkim tym przeklętym heretykom? - podpowiedział gładko Geofrrey. - Teraz nam pomogła. Księżniczka Stefania nigdy nie dotrze do Edynburga.

Plotki o zniknięciu księżniczki Stefanii krążyły już po dworze, a kurier przywiózł Geoffreyowi tylko ich potwierdzenie. Ale jego informator donosił także, że zniknięcie księżniczki Stefanii to tylko mydlenie oczu, które ma usprawiedliwić pospieszną podróż na Kontynent diuka

Wessexa.

-Znikla! - usmiechnal sie Ripon. - Mamy wiec dosc czasu, by rozegrac sprawe z ksieciem. Nie musiales dzis wieczorem byc taki surowy dla Meriel.

-Moze wcale nie mamy tak wiele czasu, jak myslisz - powiedzial powoli Geoffrey. Wahal sie wciaz, jak wiele moze powiedziec bratu. Wzial gleboki oddech i przywolal na pomoc caly swoj dyplomatyczny talent.

-Moje... zrodla sadza, ze prawdziwa misja Wessexa nie ma nic wspolnego z ksiezniczka Stefania. To tylko przekonujaca wymowka dla tych, ktorzy wiedza, ze diuk jest agentem krola Henryka. Niektorzy sadza, ze tak naprawde Wessex jest na tropie krola Ludwika XVII. Zdaje sie, ze mlody krol zyje, a jesli tak, Wessex zamierza przywiezc chlopca do Anglii i stworzyc tu opozycyjny francuski rzad.

Ripon przez chwile trawil otrzymana wiadomosc, a Geoffrey zastanawial sie, czyjego brat chwyci przynete.

-To mozliwe - powiedzial w koncu earl. - Czy to nie ojciec Wessexa wybral sie do Francji, by uratowac to dziecko i nie udalo mu sie? Zaraz, czy na pewno mu sie nie udalo? Jesli stary diuk jednak zdolal ukryc chlopca w jakiej rojalistycznej rodzinie...

-...to syn zamierza teraz dokonczyc dzieła, ktorego nie mogl skonczyc ojciec - uzupelnil Geoffrey. - A kiedy mlody krol bedzie w angielskich rekach, bardzo to oslabi imperium francuskie. Anglia nigdy nie poprosi o oddzielny pokoj...

-...i nasza sprawa bedzie przegrana - zmarszczyl brwi Ripon. - Wessexa trzeba powstrzymac.

-Jego tutaj nie ma, wiec nie da sie go powstrzymac - zauwazyl Geoffrey. - Jak proponujesz go zneutralizowac?

-Mam pewien plan, ktory moze cie ucieszyc, Geoffrey - odparl earl. - Bedzie wymagal podrozy na Kontynent...

Sara wycofala sie za rog, gdy tylko drzwi sie otworzily. Taki nakazywal rozsadek. Czy miala dac sie zlapac na zwiedzaniu korytarzy domow obcych ludzi? Kiedy uslyszala denerwujacy glos Geoffreya Highclere'a, byla zadowolona, ze podjela taka wlasnie decyzje. Zapewne korzystal z okazji, aby znnow prosic brata o finansowe wsparcie. Kazdy wiedzial, ze pan Highclere tonie w dlugach.

Zrozumiala, jaki moze byc powod nieobecności Meriel. Dziewczyna nigdy dotad nie bywala w towarzystwie, a w dodatku zaplatala sie w skandalizujacy romans. Nic wiec dziwnego, ze po prostu bala sie pojawic na balu. Najrozsadniej bylo zaraz powrocic do sali balowej i poczekac na sposobnosc zapytania lorda Ripona o powody nieobecności Meriel.

Chyba rozsadek nie podpowiedzial najmadrzej, doszła do wniosku Sara kilka godzin później. Na stoliku w jej pokoju palila sie tylko jedna swieczka, a ona siedziala przed lustrem w szarym jedwabnym szlafroku obszytym bialymi koronkami, z twarza wciaz wilgotna po zmyciu makijazu. Odeslala Knoyle do lozka, gdy pokojowka zdjela z niej suknie i wyjela klejnoty z wlosow. Potem jeszcze godzinie przygotowywala sie do spania.

Krytycznym wzrokiem przygladala sie swojemu odbiciu w lustrze. Nie byla intrygantka ani najwazniejsza dama w towarzystwie, za jaka chcial ja uwazac krol Henryk. I nie zdolala zamienic z Meriel nawet jednego slowa na osobnosc. Za to widziala mnostwo rzeczy, ktore nie powinny sie byly wydarzyc. Ksiaze Jakub wygladal bowiem na absolutnie olsnionego uroda Meirel. Byl w niej najwyrazniej niebezpiecznie i glupio zadurzony. A Meirel rozgrywala to jak metresa z dworskich romansow, wymagajac skandalicznych i publicznych dowodow jego oddania.

Gdyby Wessex tu byl, Sara przelknelaby jakos dume i poszla z tym do niego. Katastrofa byla zbyt wielka, by przejmowac sie swoimi zranionymi uczuciami, jesli byla szansa na jego pomoc. Ale Wessex wyjechal i nie miala pojecia, kto zna miejsce jego pobytu.

Z westchnieniem zaczela rozczesywac wlosy. Markiza Roxbury miala wielu sojusznikow, ale Sara Cunningham nie miala zadnego. A to znaczylo, ze chociaz czula sie odpowiedzialna za fiasko dunskiego traktatu, nie mogla w zaden sposob temu przeciwdzialac...

Nie! Nie moze sie z tym pogodzic! Meriel jest jej przyjaciolka i musi istniec jakis sposob, by do niej dotrzec.

Moze jutro odkryje, jaki to sposob.

Byla Roxbury. Byla pania Mooncoign. Prastara przysiega i prastara wiez byly jej czescia. Sara nagle to zrozumiala, mimo zaslony amnezji, ktora okrywala jej umysl. Byla wybranka Najstarszego Ludu - wojownikiem, ktory mial strzec ich ziem przed intruzami, co chcieli nimi zawladnac. To byla ta odpowiedzialnosc, o ktorej zapomniala tamta Sara. Ta sama, ktora ona - jej sobowtor - tak beztrosko wziala na siebie. Podobnie jak jej poprzedniczka, wierzyla nierozwaznie, ze nie istnieje wrog, z ktorym trzeba walczyc. I podobnie jak jej poprzedniczka byla w bledzie.

Swiete Glazy otaczaly ja wokol i wyrastaly wysoko w gore - filary miasta pozbawionego scian. W swiecie dnia byly tylko zimna skala, ale tu, w swiecie snow - srebrzystym krysztalem pokrytym swiecacych runicznymi napisami. Sara stala posrodku, a przed soba miala krysztalowy blok, w ktorym tkwil pokryty tajemniczymi znakami Isniacy miecz. Byl to miecz ceremonialny - zbyt wielki, by mogla nim wladac jakakolwiek ludzka istota. Miecz giganta. Ale ona miala go uniesc, wyrwac ze skaly i poniesc przeciwko wrogom Ludu. Przeciwko Potworowi, ktory czail sie tuz za granicami ich ziem.

A oni na nia patrzyli. Katem oka widziala, jak stoja miedzy glazami, ktore stanowily

zewnetrzny krag. Rząd za rzedem stal Najstarszy Lud, choc ich ciała byly jak zwiewna mgla. Stali tam i czekali, az Sara wypelni swoja obietnice.

Tylko ze to nie ona zlozyla obietnice. To za nia przysiegano. Ja sprowadzono tu z jej bezpiecznego swiata, aby dotrzymala przyrzeczenia, ktorego nigdy nie zlozyla.

A mimo to Sara ich nie zawiedzie. Walka byla bliska, a ona miala zamiar odegrac w niej swoja role. Ale kiedy uspokoila wreszcie nerwy i siegnela po miecz, nie mogla uchwycic jego ozdobionej klejnotami rekojesci. Raz po raz jej palce zeslizgiwaly sie z broni.

-Nie jestes czescia tej ziemi.

To byl ten, ktory pokazal Sarze jej drugie wcielenie w jeziorze w Mooncoign. Teraz zamiast zielonej szaty mial na sobie srebrne ubranie, Isniace tak jasno, ze nie mogla na niego patrzec bez mruzenia oczu. Wokol jego czola widnial rząd rubinow, a kiedy na nie patrzyla, jeden po drugim ciemnialy, pekaly i splywaly w dol jego twarzy, nie jak kamienie, ale jak krople krwi.

-Dopoki nie bedziesz czescia tej ziemi, nie mozesz jej sluzyc. A ona nie da ci mocy. Nie zawiedz nas, Saro...

-Czekajcie! - krzyknela. - Nie rozumiem!

Sara usiadla gwałtownie na lozku z bijacym sercem. Rozejrzala sie oszolomiona po ciemnej sypialni, dostrzegajac tylko jasniesza plame w miejscu, gdzie znajdowalo sie uchylone podczas tej goracej lipcowej nocy okno.

-Nie rozumiem - wyszeptala, ale bylo juz za pozno, by scigac postacie z jej snu. Nagle pomiedzy lozkiem a oknem poruszył sie jakis cien i Sara zdala sobie z przerazeniem sprawe, ze nie jest sama w pokoju.

-Tsss - uslyszala cichy glos, gdy juz nabrala powietrza, aby zaalarmowac krzykiem sluzbe.

-Meriel? - wyszeptala z niedowierzaniem.

Cien zblizyl sie do jej lozka. Rzeczywiscie byla to lady Meriel, ubrana w dlugie, czarne domino narzucone na biala jedwabna suknie balowa, w ktorej Sara widziala ja wczesniej tego wieczoru.

Odrzucila koldre i zerwala sie na rowne nogi.

-Co ty tutaj robisz? - zapytala ostrzej niz zamierzala. Podeszla do stolu z zamiarem zapalenia stojacej tam swieczki, ale Meriel dopadla jej jeszcze szybciej.

-Nie! - szepnela zdecydowanie. - Zadnego swiatla. Ktos moze zobaczyc.

-Kto? - zapytała nagle czujna Sara. Zamknęła natychmiast okno i zasunęła ciężkie brokatowe zasłony.

-Wuj Geoffrey - odparła cichym głosem Meriel. - Jeśli zobaczy światło...

-Juz w porządku, Meriel - uspokoiła ją Sara. - Nikt nie może nas zobaczyć.

Grube zasłony z pewnością uniemożliwiłyby dostrzeżenie jednej zapalanej świeczki obserwatorowi z ulicy, nawet jeśli ktoś naprawdę czaił się w ogrodzie Sary.

-Ale on i tak wie, że tu jestem - powiedziała dygocąc ze strachu dziewczyna. - Wuj Geoffrey zawsze wie wszystko... to on kazał mi zaprzyjazać się z tobą, twierdzić, że twoja lojalność wobec króla będzie dobrą zasłoną dla jego... dla jego planów. Powiedział, że jesteś zimna i wyniosła... ale ty zawsze byłaś dla mnie taka dobra... - głos Meriel zdrztał i nie mogła mówić dalej.

-Teraz to nie ma znaczenia - wtraciła szybko Sara. Odstawiła świeczkę na stół i chwyciła Meriel za ramię. Nawet przez domino i jedwab sukni czuła, że jej ciało jest lodowato zimne. - Bardziej istotne jest, dlaczego tu się znalazłaś, i to w środku nocy.

Meriel zdobyła się na drżący uśmiech.

-Jest już prawie rano. Teraz miałam zostać znaleziona z księciem w ogrodach Vauxhall w jednej z prywatnych kabin. W jakim celu? Chyba się domyślasz. Wuj Geoffrey wyszedł z księciem po balu, a do jego butelki brandy dołał laudanum. Potem książe miał stracić przytomność, a ja miałam do nich dołączyć, żeby nas znaleźli sam na sam... - głos Meriel zalał się i wybuchnęła niepohamowanym szlochem.

Sara uspokajała ją jak umiała, ale w jej głowie zapaliły się iskry gniewu. To, co chciano zrobić księciu, a zwłaszcza Meriel, _ było obrzydliwe. Gdyby Jakub nie poddał się panice i jej nie j posłubił, gdyby król nie ustąpił przed skandalem, życie Meriel i tak byłoby zrujnowane. Tylko dla chorych ambicji i chciwości jej wuja.

-Ale nie pojechałaś do Vauxhall? - na wpol stwierdziła, na wpol spytała Sara.

-Wuj Geoffrey posłał po mnie powoz. - powiedziała Meriel, a w jej głosie pojawiła się lekka nutka triumfu. - Nie zatrzasnęłam do końca drzwi i kiedy zatrzymaliśmy się przy browarze obok doków, wyskoczyłam, a powoz pojechał dalej beze mnie. Ale potem nie wiedziałam, dokąd pojsc... więc przyszedłam do ciebie.

-Szłaś całą drogę piechotą? - zapytała przerażona Sara. Słyszała opowieści o bandach wyrostków z arystokratycznych rodzin, którzy tylko czatowali na chodzące samotnie po nocy kobiety. A tutaj nad rzeką było jeszcze bardziej niebezpiecznie. Meriel miała naprawdę wielkie szczęście, że dotarła do Herriard House i nikt nie podciął jej po drodze gardła albo nie zrobił czegoś jeszcze gorszego.

-Nie miałam wyjścia - odpowiedziała Meriel.

W ciemnościach wyglądała jak zwiewny cien i Sara przez moment miała wrażenie, że to dalszy ciąg jej snu. Po nocy wszystko zdawało się takie nierealne, ale działo się naprawdę. Przez krótki moment Sara zapragnęła, by był z nią Wessex. To wprowadziło zimny i wyrachowany człowiek, ale nie miała wątpliwości, że wiedziałby dokładnie, co należy teraz zrobić. Na pewno znalazłby sposób, by wydostać Meriel z łap jej przekletego wuja, choćby nawet trzeba było w tym celu zastrzelić Ripona.

Niestety Sara nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie można go znaleźć. Może Dowager by wiedziała...

-Wiem, że nie powinnam była tak tu wtargnąć - powiedziała zawstydzona Meriel, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co zrobiła. - Ale będę dla ciebie kłopotem jeszcze tylko krótka chwila. Miałam sporo czasu na przemyślenie, co powinnam dalej zrobić. Plan wuja Richarda nie był dla mnie tajemnicą już od ponad roku. Teraz muszę się udać w miejsce, w którym nigdy mnie nie znajdzie.

-Gdzie jest takie miejsce? - zapytała Sara obawiając się najgorszego. - Meriel, nie bój się. Mogę zabrać cię na wies, do Mooncoign...

Ale Ripon bardzo łatwo znajdzie tam Meriel. Wystarczy, że pojawi się przed drzwiami Sary i zazażda jej powrotu, i ani Sara, ani jej służba nie będą mogli się temu sprzeciwić. Choć usilnie myślała, nie przychodził jej do głowy żaden inny pomysł...

-Nie - zaprotestowała Meriel, po raz pierwszy podnosząc odrobinę głosu. - Pojadę do rodziny matki do Hiszpanii. Oni mnie przyjmą, a wuj nie odważy się tam za mną podążać...

-Do Hiszpanii! Meriel, czy ty straciłaś rozum? - oburzyła się Sara. Dopiero w grudniu Anglia wypowiedziała wojnę Hiszpanii. Hiszpania była teraz krajem podbitym przez Napoleona, a jej wygnani władcy - jak inni w całej Europie - kontynuowali walkę, by uwolnić swój kraj spod korsykańskiego buta.

-Tam jest rodzina mamy - upierała się Meriel. - Znam bardzo dobrze ciotkę Meristelle. Dopóki wuj Richard mi nie zakazał, pisywałam do niej co tydzień. Ona mnie przyjmie i to będzie koniec spisku moich wujów.

Sara usiłowała wybić Meriel z głowy ten szalony plan. Podróż przez połowę Europy w samym środku wojennej zawieruchy? Ale przecież angielskie statki wciąż pływały do Lizbony, stolicy wciąż jeszcze neutralnej Portugalii, a tam Meriel zapewne znalazłaby eskortę, która doprowadziłaby ją do domu ciotki. Był to argument, którego Sara nie zdołała obalić mimo usilnych starań. Zapaliła nawet świeczkę, ale jej blask nie wniosł wiele światła rozumu do tej dyskusji.

-Sara, ja nie mam wyjścia! - ucieła wreszcie Meriel nagłym wybuchem. - Nie wróć do

domu. Nawet nie wiesz, co mi wtedy zrobił wuj Geoffrey. Spojrz!

Zrzuciła domino, zadarła suknie balowa i podniosła bieliznę. Odwróciła się plecami do Sary, która w blasku świecy dostrzegła dwie brzydkie czerwone rysy znaczące wyraźnie skórę Meriel.

Lady Meriel została wychłostana.

-Twój wuj ci to zrobił? - zapytała Sara wstrzymując oddech

-Wuj Geoffrey - przytaknęła Meriel. - Nie chciałam brać w tym udziału, nie chciałam spotkać się z księciem ostatniej nocy. Ale wuj Geoffrey zagroził, że jeśli nie spełnię ich zadania, zniknie tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie... i ja mu wierzę. Mam pieniądze - dodała wyciągając spod sukni ciężką sakiewkę - i klejnoty mamy. Wystarczy, aby dostać się do Madrytu - dokonała z uporem. - Jeśli tylko dojadę do Dover, znajdzie się tacy, którzy mi pomogą. Znam ludzi, z którymi Geoffrey robi interesy. Dla nich liczy się wyłącznie złoto. A ja je mam.

To zmienia zupełnie postać rzeczy, uznała Sara. Sama nie miała żadnej szansy, by ukryć lady Meriel, jeśli jej opiekunowie, zechcą ponownie jej użyć w spisku. A nie mogła zostawić Jakuba w ich sieci, zwłaszcza teraz, kiedy się dowiedziała, jak daleko mogą się posunąć.

Co robić? Co robić?

-Musisz się przebrać - powiedziała zdecydowanie, wskazując na pogniecioną i wysmarowaną błotem balową suknię Meriel. - Zadzwoń po Knoyle i przyniesie ci coś odpowiedniego. Kaze też przygotować powóz...

-Nie! - zaprotestowała Meriel.

-Ależ Meriel, jak inaczej dostaniesz się do Dover? - skarciła ją Sara. - Mówisz, że masz tam jakichś przyjaciół, a mnie się wydaje, że potrzebujesz ich także tutaj.

Wciąż brakowało co najmniej godziny do świtu, kiedy Sara i Meriel wsiadły do podróżnego, dobrze resorowanego powozu markizy Roxbury. W odróżnieniu od ciężkiego, uroczystego potwora, którym Sara zajęła poprzedniego wieczoru na bal Ripona, ten złoty powozik był szybki i lekki, i powinien dowieźć swoich pasażerów do Dover w ciągu jednego dnia. Knoyle, ze zgorziona mina, zasiadła w powozie naprzeciwko obu dam, a obok niej na złotym welwetowym siedzeniu ułożono najbardziej niezbędne w podróży bagaże. Kosz z zimnym prowiantem - bo każdy podróżnik zdawał sobie sprawę, jak obrzydliwe są potrawy w angielskich przydrożnych gospodach - spoczywał w przejściu przy nogach. Wszystkie trzy kobiety były owinięte ciepłymi i grubymi szalami, i same też wyglądały nieco jak podróżne pakunki - było wprawdzie lato, ale nawet latem poranki były chłodne.

Zamknięto drzwi i Sara usłyszała trzask bicia nad głową pierwszej pary koni. W tej samej

chwili powoz zaczął się toczyć po brukowanej ulicy. Z tyłu usłyszała też tetent kopyt konia podążającego za powozem uzbrojonego strażnika.

Trudno było nazwać ten wyjazd konspiracyjnym i niezauważalnym, ale podróż bez woznicy i dwóch uzbrojonych ludzi w eskorcie - jednego z tyłu wozu, drugiego jadącego wierzchem - byłaby prowokowaniem nieszczęścia. A Knoyle była potrzebna nie tylko po to, by robić za przyzwoitkę podczas powrotu...

Tylko po to, by nie można było jej schwytac i wypytac - choćby i bezprawnie - kiedy mnie tu nie będzie, pomyślała Sara.

Nie bardzo wiedziała skąd, ale miała pewność, że nie należy lekceważyć potęgi Ripona. On wiedział, że była przyjaciółką Meriel. Kiedy Meriel zniknie, Ripon na pewno będzie chciał się dowiedzieć, co wie na ten temat jej przyjaciółka, a Sara nie była tak pewna... jak byłaby prawdziwa księżna Wessex...

... że jej pozycja ochroni ją przed ciekawością Ripona. W końcu ten człowiek już popełnił zdradę stanu, co wobec tego znaczyła jedna księżna? Kiedy Meriel zostanie już bezpiecznie wyprawiona w podróż - a Sara miała zamiar upewnić się co do tego - ona sama zamierzała osiedzić w Mooncoign pod zbrojną ochroną, do czasu, aż zlokalizuje Wessex...

... i nie wytłumaczy mu, jak bardzo się mylił co do charakteru lady Meriel, chociaż należy przyznać, że miał rację co do reszty! jej rodziny, zamysliła się ponuro Sara. Przeklęty włoczęga! Gdzie on się podziewa?

Pałac Amalienborg w Kopenhadze był surową i potężną warownią z szarego kamienia, o wielkim wewnętrznym dziedzińcu. "Widowmaker" zawinął do kopenhaskiego portu już przedwczoraj, ale dwa dni trwały załatwianie wszelkich protokolarnych zezwoleń, których dziesiątki strzegły dostępu do dąńskiego dworu, aby Wessex mógł wreszcie zostać przyjęty przez księcia Frederyka, który rządził jako regent w zastępstwie swojego ojca Christiana VII. Król Christian już od lat podlegał tak nieopanowanym atakom, na przemian gniewu i melancholii, że rządy nad krajem stopniowo musiały przejść w ręce jego najstarszego syna.

Księżna Frederyk była ojcem księżniczki Stefanii. Wessex czuł się nieswojo przynosząc mu wieść o zaginięciu jej okrętu bez śladu na brytyjskich wodach.

Amalienborg był stosunkowo nową konstrukcją. Jego klasyczna marmurowa fasada odznaczała się chłodem i wyniosłością. Sam Wessex też był raczej chłodny i wyniosły. Jego niebieski mundur ze srebrnymi lampasami wyglądał jak spod igły, a w czarnych wysokich butach można było się przejrzeć jak w lustrze. Pod pachą niosł niewielką teczkę.

Przy pałacowych drzwiach zatrzymał diuka człowiek w liberii; uważnie przejrzął jego dokumenty, zanim wpuszczył go do środka. Kolejny dworzanin - w staroswieckim stroju i peruce - już tam na niego czekał. Odwrócił się na pięcie, nie patrząc w oczy Wessexowi i powiodł go przez pałacowe korytarze. Diuk szedł za swoim przewodnikiem, a jego podkute

buty dudnily echem na wypolerowanej marmurowej posadzce, kiedy przemierzali kolejne pomieszczenia pełne kolumn i lusterek. Brązowe drzwi, przy których w końcu się zatrzymali, były strzeżone przez dwóch uzbrojonych ludzi w galowych mundurach.

Dokumenty, które Wessex dostarczył wczoraj, a które już mu zwrócono, by mógł je formalnie przedstawić na dworze, powinny teoretycznie zapewnić mu audiencję u księcia Frederyka, ale wiadomo było, że na obcych dworach nie należy z góry niczego zakładać. Równie dobrze może zostać dzisiaj przyjęty, jak i nie zobaczyć księcia przez najbliższych kilka dni.

Wciąż jeszcze musiał przedostać się przez szambelana - przypomniał sobie Wessex - a na samym końcu pokonać jakichś dworaków w komnatach prywatnych. Dunkski protokół dworski był znacznie bardziej wymyślny niż na stosunkowo nieskomplikowanym dworze Stuartów, którego emisariuszem był Wessex. Przy całym niesmaku, jakie budziły te słowa wobec wypadków we Francji, Wessex był nawet skłonny twierdzić, że wiatry Wolności i Równości, które tam wznieciły taki płomień, wiały chyba najskuteczniej właśnie w Anglii i jej amerykańskich koloniach. Wraz z upływem lat Wielka Brytania i jej dominia zaczynały mieć coraz mniej wspólnego z Kontynentem.

Ale nie pora była na takie rozmyślenia. Przewodnik prowadził coraz głębiej w pałacowe komnaty, a potem w górę po kilku stopniach schodów. Wessex ocenił, że oddalali się od ceremonialnej części dworu.

A więc miała to być prywatna audiencja.

Dworzanin zatrzymał się przy wyjątkowo ozdobnych drzwiach, pokrytych rzeźbionymi i malowanymi dunkskimi symbolami królewskimi. Dwaj stojący przy nich strażnicy odwrócili się i sprawnie pchnęli oba skrzydła do środka. Przewodnik Wessexu wyprezyl się nieruchomo jak posąg, a Wessex, odgadując swoją rolę w tym przedstawieniu, minął go i wszedł do środka.

Ściany tej malej, pozbawionej okien komnaty wyłożono złotymi draperiami. Znajdowały się one nawet na suficie, formując w centralnym punkcie kształt wielkiego słońca. Gruba tkanina pokrywająca ściany i sufit tłumila wszelkie dźwięki, tworząc poczucie izolacji. Wessex wiedział, że jest w tej chwili wczesne popołudnie, ale tutaj mogła być równie dobrze północ lub jakakolwiek inna godzina... podobnie jak dosłownie wszystko mogło się kryć za tymi ścianami ze złotogłowi.

W wyscielającym podłogę dywanie także dominował złoto-bursztynowy kolor, a jedynymi meblami były tu olbrzymie biurko, którego blat stanowiła pojedyncza płyta z zielonego malachitu oraz stojące za nim, podobne do tronu krzesło, na którym zasiadał człowiek, którego Wessex pragnął zobaczyć.

Tyle że książę Frederyk nie był sam. Kiedy Wessex rozpoznał jego towarzysza, miał przez

moment wrazenie, jakby ktos; dzgnal go sztyletem w brzuch.

Markiz Donatien Alphonse Franpois de Sade byl niegdys pensjonariuszem domu dla oblakanych w Charenton, skad uwolnila go zwycieska Rewolucja. Zla slawa, ktora otaczala jego nazwisko, do pewnego stopnia wyjasniala, dlaczego Napoleon byl dla niego tolerancyjny. O ile na angielskim dworze markiz de Sade, byl uwazany w takim samym stopniu za czciciela Szatana, co i za dewianta, o tyle na dworze apostatow Napoleona jego bieglosc w czarnej magii mogla byc bardzo uzyteczna. Juz od czasow Ludwika XIV i sprawy markizy de Montespan wiadano, ze sztuka ezoteryczna, zwana tez czasem magia, mogla byc potezna bronia, zwlaszcza w rekach kogos, kto nie czuje sie zwiazany przez zadne etyczne czy religijne ograniczenia. Wiara w Lucyfera - upadlego aniola - byla szczegolnie popularna wlasnie we Francji, a de Sade byl w niej bieglym kaplanem... jak rowniez w kilku innych rzeczach, o czym Anglia mogla sie juz przekonac.

Ale co de Sade robil tutaj, w swiatobliwej, religijnej i protestanckiej Danii? Jeszcze w tej chwili Dania byla neutralna, ale to mialo sie skonczyc natychmiast po podpisaniu traktatu, a wtedy de Sade zostalby aresztowany albo w najlepszym razie demonstracyjnie wygnany. A przeciez de Sade nie wiedzial, ze zaginal najwazniejszy element traktatu - ksiezniczka Stefania. Katastrofa wydarzyla sie niecaly tydzien temu i wiesci dostarczane normalnymi kanalami nie mogly jeszcze dotrzec na dunski dwor. A wiec de Sade nie mogli wiedziec...

A jesli wiedzial?

Dworzanin wszedl do komnaty w slad ze Wessexem, wyprezyl sie jak dobrze wyszkolony zolnierz w jego wlasnym regimencie i zaanonsowal:

-Jego milosc diuk Wessex blaga o pozwolenie na podejscie do Waszej Arcychrzescijanskiej Wysokosci.

Wessex nie mial zwyczaju blagac nikogo o pozwolenie na cokolwiek, a juz najmniej obcych monarchow, ktorzy nawet jeszcze nie byli sojusznikami Anglii, ale zdecydowal sie na razie ugryzc w jezyk.

-Wasza wysokosc - powiedzial. Podeszedl do biurka, uklonil sie i podal teczke z listami uwierzytelniajacymi, ktora sluzacy wzial z jego rak i polozyl na blacie przed monarcha. Na teczce widniala zlota pieczec przedstawiajaca angielskiego lwa i jednorozca otaczajace herb krolewski; pieczec zalsnila w blasku swiec, gdy Frederyk otworzyl teczke i wydobył dokument ciezki od woskowych pieczeci, zapisany niemozliwym do pomylenia, starannym pismem krola Henryka. Nie bylo czasu, by na papierze wdawac sie w szczegoly znikniecia ksiezniczki, totez glowna wiadomosc Wessex, jak niegdys antyczni poslowie, mial w glowie.

W czasie gdy ksiaze Frederyk studiowal dokument, Wessex studiowal księcia Frederyka. Ksiaze regent byl blady i mial orli nos, podobnie jak cala reszta dunskiej rodziny krolewskiej. Jasnoblond wlosy mial zaczesane do tylu, a wysokie czolo i przenikliwe blekitne oczy

znamionowały nie była jakaś inteligencja. Był ubrany w niebieski mundur, zapewne uniform królewskiego regimentu. Dania była przede wszystkim potęgą morską i to raczej duńskiej floty jako potężnego przeciwnika obawiała się Anglia, gdyby kraj ten został podporządkowany przez Napoleona.

Ani król Henryk, który prowadził z księciem Fryderykiem długie negocjacje nad traktatem i małżeństwem, ani Wesseks, który uważnie przestudiował wszystkie dokumenty Białej Wieży, które odnosiły się do księcia, nie wiedzieli wiele o tym człowieku. Przez ostatnie dwie dekady Dania prowadziła bardzo wyrafinowaną grę, lawirując ostrożnie pomiędzy sojuszami i koalicjami, które pojawiały się na mapie Europy po wybuchu francuskiej rewolucji. Nawet dziś jej pozycja odległa była od angielskich marzeń. A teraz oto Wesseks musi zawiadomić duńskiego władcy o zniknięciu jego córki, czego ten Francuz de Sade nie omieszką natychmiast wykorzystać na niekorzyść Anglii.

-Więc jesteś, panie, diukiem Wesseks? - zapytał Fryderyk po angielsku, choć z silnym akcentem.

Wesseks pochylił głowę. De Sade wydal z siebie prawie niesłyszalne parsknięcie. W jego oczach odbijał się płomień świeczki; zwracał je to na Fryderyka, to na Wesseksa. Akolita diabła był odziany w czern, a blada, pokryta pudrem cera przywodziła na myśl oblicze trupa. Twarz markiza, dziwnie nalana, sprawiała wrażenie opuchniętej z powodu choroby lub pijanstwa. Dłonie miał długie i smukłe zakończone szokującymi długimi, spiczastymi i pomalowanymi na czarno paznokciami. Wesseks szczylił się wprawdzie swoim opanowaniem, ale nawet on odpychał siebie myśl o tym, do czego mogą służyć te szpony. Na palcach markiz nosił wielkie pierścienie, których czerwone kamienie lśniły w blasku świec jak otwarte rany.

-Miałem nadzieję, że będę mógł porozmawiać z waszą wysokością prywatnie - zaryzykował gambit Wesseks.

-Nie sądzę, aby powiedziano tu coś, co nie powinno dotrzeć do uszu mojego przyjaciela markiza - odparł z dezaprobacją książę Fryderyk.

Wesseks wpatrywał się w twarz monarchy, która nie zdradzała żadnych emocji; kątem oka dostrzegł wyraźną satysfakcję malującą się na twarzy de Sade'a, któremu sprawiała wielką radość zakłopotanie Wesseksa. Markiz zatarł nawet nieznacznie rece, o czym diuka upewniło ciche grzechotanie pierścieni.

-Muszę z przykrością przekazać waszej wysokości wyrazy smutku i żalu króla Henryka przy szerszej nieco publiczności.; Mój król jest zmuszony poinformować waszą wysokość, że statek księżniczki Stefanii zniknął, a ona i cała towarzysząca jej załoga zaginęli.

Wesseks wyrzucił z siebie tę wiadomość i zaraz skupił się na ocenie reakcji swoich słuchaczy. Nie rozczarował się. Twarz księcia regenta stała się trupioblada, co utwierdziło

Wessexa w przekonaniu, że nie spodziewał się takich nowin. De Sade natomiast nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego wieścią o zniknięciu księżniczki. Na jego twarzy pojawił się lekki, prawie niewidoczny pod warstwą pudru rumieniec, jakby markiz wysysał energię życiową, która właśnie opuszczała księcia regenta.

-Zaginęła? - zapytał książę Fryderyk. Jego jasne oczy, które na moment przymknęły się po usłyszeniu tej nieoczekiwanej i tragicznej wiadomości, znów spoczęły na Wessexie, a w ich głębi rozjarzyły się ogniki gniewu.

-Jej okręt zaginął o dzień żeglugi od Roskild, ale wciąż na wodach duńskich - powtórzył jeszcze raz Wessex. Roskild było najbardziej na pomoc wysuniętym portem brytyjskim i wpływy Brytanii tam się kończyły. Tak więc Wessex miał rację, że księżniczka znikła na wodach duńskich, choć niewiele to zmieniało.

-Oto przykład, w jaki sposób brytyjscy traktują swoich sojuszników - wtrącił się de Sade. Mówił oczywiście po francusku, jakby przekonany, że cały świat musi znać ten język.

-Zamilcz - warknął krótko książę w tym samym języku, nawet nie odwracając głowy. Markiz syknął cicho i cofnął się o krok.

-Proszę powiedzieć mi, co się stało - zwrócił się książę do Wessexa swoim sztywnym angielskim. - Gdzie teraz przebywa moja córka?

-Wasza wysokość... - zaczął Wessex kłaniając się ponownie i przystąpił do długiej, zupełnie bezprzedmiotowej oracji w dyplomatycznym i namiętnym języku, która miała zamaskować, jak niewiele naprawdę wiadano. Fakty zaś przedstawiały się tak, że "Królowa Christina" w drodze z Kopenhagi do Roskild po prostu znikła w gestej mgłę.

-I to ma być ta eskorta, którą zapewniłicie mojej biednej córce? - Akcent księcia regenta stał się jeszcze twardszy po usłyszeniu tych informacji. Twarz pociemniała mu z gniewu.

-Eskorta córki waszej wysokości znikła wraz z nią - zauważył Wessex. - A także z wieloma brytyjskimi dyplomatami. Oczywiście król Henryk wysłał okręty na poszukiwanie "Królowej Christiny" i ufa, że wasza wysokość zrobi to samo. Jednak - tu Wessex wskazał głową na de Sade'a - są pewne elementy, które mogą utrudnić mojemu królowi prowadzenie tych poszukiwań.

-Nic mnie to nie obchodzi - powiedział książę wstając sztywno. Starł się spojrzeć na Wessexa z góry, co było o tyle trudne, że diuk był nieco wyższy. - Znajdźcie moją córkę i odesłacie ją tutaj! Potem przedyskutujemy dalsze losy tego traktatu.

-Jestem pewien, że jego wysokość nie zechce bez powodu robić sobie niebezpiecznych wrogów - zagadnął po francusku Wessex takim tonem, jakby pytał de Sade'a o pogodę.

Książę Fryderyk zeszywniał nagle, jak uderzony. Jego twarz stała się alarmująco

purpurowa i przez moment Wessex sie bal, ze ksiaze regent moze wybuchnac takim samym atakiem slepej furii, jakie przydarzaly sie jego ojcu.

-Znajdzcie moja corke! - ryknal ksiaze machajac piescia przed oczami Wessexa.

Nie czekajac na odpowiedz odwrocil sie i podszedl do drzwi ukrytych za draperia w tylnej scianie. Rozgarnal tkanine i wyszedl. Rozlegl sie cichy trzask zamka i nagle pokoj wydal sie o wiele mniejszy.

Wessex stal bez ruchu, przygladajac sie, jak zlota draperia opada na swoje miejsce. Przekazal wiadomosc i uzyskal w zamian pewna informacje. Teraz mogl prowadzic dalsze poszukiwania, ale instynkt i doswiadczenie podpowiadaly mu, ze niewiele sie dowie tu, w murach Amalienborgu.

-Och, duc d'Angleterre, rozegrales to naprawde dobrze - powiedzial po francusku de Sade. Niski czlowieczek podszedl do biurka, chociaz ksiaze nie dal jeszcze zadnemu z nich pozwolenia na odejscie.

-Tak sadzisz? - odparl uprzejmie Wessex w tym samym jezyku. - Obawialem sie, ze moze zabraklo mi nieco subtelnosci... Wypada docenic uznanie mistrza. Widac dobrze to rozegralem.

-Prosze, mowisz cywilizowanym jezykiem - powiedzial de Sade ukrywajac zdumienie odpowiedzi Wessexa.

-Ten jezyk byl cywilizowany jakis czas temu. Teraz niestety nie utwierdzaja go w tym cnoty tych, ktorzy wladaja krajem - odparl Wessex smutnym tonem. - Ale moze za jakis czas... - dodal uprzejmie.

-Mozesz sobie drwic, angielski diuku. Francja i tak bedzie smiala sie ostatnia, kiedy juz pogrzebiemy wasza angielszczyzne. Imperator jest czlowiekiem, jaki rodzi sie raz na stulecie! Bedzie tak, jak on zaplanuje. A na razie uwaza, ze to Francja powinna wladac Europa. Narysuje jej nowa mape jeszcze za swojego zycia - uniosl sie de Sade.

-A kiedy umrze, po prostu poprawimy ja znowu - odparl Wessex, niezbyt przejeity retoryka de Sade'a. - Nie powinienes chyba byc specjalnie dumny z tego, ze potrafiles przejac jeden statek. Statek to mimo wszystko nie narod. Ani nawet regiment.

Wessex nie byl do konca pewien, czy Francuzi maczali palce w zniknieciu "Krolowej Christiny", ale spotkanie z perwersyjnym francuskim magiem i tak bylo istotna informacja. De Sade musial byc w Amalienborgu, zanim statek wyplynal... czy mogl w jakis sposob przyczynic sie do jego znikniecia? A moze po prostu tylko wie, kto sie do tego przyczynil?

Ale o dziwo markiz tym razem nie chwycil przynety. Usmiechnal sie tylko swoim gadzim usmiechem, a pierscienie zalsnily krwawo, gdy splotl palce.

-Och, badzmy ze soba szczerzy, angielski diuku. Mala ksiezniczka nie jest ani w polowie tak wazna jak ten, kogo naprawde szukasz. Wiemy, kim jestes i wiemy, czym jest Biala Wieza. Jestes psem gonczym krola Henryka i nie mysl, ze Francja nie wie, jakiej zwierzyny tym razem szukasz. Ciekaw jestem, czy on jest tutaj, czy tez przybyles tu tylko dla odwrocenia uwagi, a inni prowadzi polowanie za ciebie?

Wessex postaral sie, aby nie okazac po sobie zdumienia. A takze zmartwienia, ze de Sade wiedzial, kim diuk naprawde jest - czyli szpiegiem.

-Moj drogi markizie - powiedzial wesolo - powinienes wiedziec, ze polowanie jest ulubiona rozrywka Anglikow. Jesli zas chodzi o miejsce ukrycia tego, kogo szukam, to z pewnoscia bardziej ubawisz sie, probujac sam rozwiazac te zagadke, m'sieur le marquis.

-Co tu robi de Sade? - zapytal Wessex bez zadnych wstepow, wchodzac do biblioteki w malym, niepozornym domku w bocznej ulicy, ale prawie w centrum miasta. Rezydencja sir Gavina - nieporownanie mniejsza i nie tak dostojna jak biura ambasady - nie roznila sie niczym od pozostalych budynkow na tej cichej uliczce. W odroznieniu od Londynu, ktory wciaz przebudowywano po licznych pozarach, unicestwiajacych budowle poprzednich pokolen, Kopenhaga wciaz byla sredniowiecznym miastem - szarym i ciasnym. Iscie rzymski rozmach architektoniczny rodziny krolewskiej odczuwalo sie raczej na przedmiesciach. W wiekszosci dzielnic budynki z kamienia i drewna wygladaly dokladnie tak samo jak trzy wieki temu.

Sir Gavin MacLaren przez chwile przygladal sie Wessexowi nie odpowiadajac. MacLaren byl wysokim i malomownym Szkotem, ktorego przodkowie w czasach Wielkiego Eksperymentu Cromwella w siedemnastym wieku walczyli po stronie Stuartow. Jego prezbiterianskie cnoty, a takze poczucie humoru, pozwalaly mu wytrzymywac wsrod surowej zarliwosci religijnej dunskiego dworu. Od wielu juz lat byl przedstawicielem krola Henryka na tej najtrudniejszej z politycznych placowek, zreszta niejako ambasador czy oficjalny dyplomata, ale raczej jako czlowiek do rozwiazywania malych i duzych problemow. A znikniecie ksiezniczki Stefanii bylo problemem calkiem duzych rozmiarow.

-De Sade siedzi tu co najmniej od trzech miesiecy. Zastapil poprzedniego ambasadora, co jest dosc dziwnym posuniecie - powiedzial wreszcie sir Gavin. - Nie zdolalem dotad odkryc, jaki jest cel jego pobytu, oprócz oczywiscie wspierania interesow Francji. Nie moge tez niestety w zaden sposob pozbyc sie tej obrzydliwej kreatury. - Sir Gavin zapraszajacym gestem wskazal na komode, na ktorej w blasku slabego polnocnego slonca blyszczal rzad butelek. - Do tej pory nie zrobil tez niczego na tyle obrzydliwego, aby go stad wydalono... co wydaje sie o tyle dziwne, ze Frederyk jest fanatycznym purytaninem.

-Ciekawie to brzmi w twoich ustach - usmiechnal sie lekko Wessex.

Podszedl do komody i nalal sobie whisky.

-Alez wasza milosc, nawet zapal religijny moze byc szkodliwy, jesli sie z nim przesadza - zapewnil go powaznie sir Gavin.

-Ale dlaczego on tu jest? - nalegal Wessex. Oparl sie o komode i zaczal odpinac wysoki srebrny kolnierz mundur. - De Sade jest rozpustnikiem, w dodatku bieglym w filozofii i czarnej magii. Moglby byc bardzo uzyteczny w Paryżu, do szantazu, do rozsiewania plotek... ale dlaczego przyslano go tutaj, by obrazal Dunczykow?

Sir Gavin wzruszyl ramionami, nie ruszajac sie ze swojego wygodnego fotela.

-Nie ma tu tez sladu dzialalnosci wspolwyznawcow de Sade'a. Na bardziej dzikich terenach silny jest tu jeszcze Najstarszy Lud, a oni, jak wiesz, nie zaakceptowali jeszcze nikogo z panteonu Bialego Chrystusa.

-Nie do uwierzenia jest tez, by Czarna Loza dzialala na samym dworze. Ale jesli nie ze wzgledu na jego specjalne talenty, to w jakim celu przyslano tu de Sade'a? - wciaz zastanawial sie Wessex.

-A nie pomyslales, ze on moze nie byc jedynym czarnoksiężnikiem, ktorego przyslali tutaj Francuzi... za to najbardziej widocznym? - zapytal sir Gavin.

-Oczywiscie. Ale niezaleznie od tego, czy pracuje sam, czy w grupie, chcialbym wiedziec, po co sie tu znalazl? - odparl Wessex.

I co sadzi na temat powodu mojego przybycia, dodal w mysli diuk.

15. WYZWANY NA POJEDYNEK

Mimo obaw przed pogonia naslana przez earla Ripona, godziny podrozy wlokly sie im przerazliwie wolno. Zarowno Sara, jak i Meriel byly zbyt przejeite, by rozmawiac, w dodatku Meriel nie chciala na razie mowic o swoich przyszlych planach. Obie uciekiniarki spogladaly w milczeniu przez przeciwlegle okna na mijany po drodze krajobraz. Konie zmieniano co dwie godziny, a w poludnie zatrzymaly sie na godzine w przydroznej gospodzie, aby zjesc swoj prowiant w bezpieczniejszym i wygodniejszym miejscu. Gospoda, ktora wybral eskortujacy je sluzacy, byla stosunkowo czysta i na tyle wygodna, ze Sara niemal zalowala, ze zabraly wlasny prowiant. Damom udostepniono jedno z pomieszczen na wlasny uzytek, a zona wlasciciela dostarczyła im tam dodatkowo cydr i mocna kawe. Zyskaly tez mozliwosc odswiezenia sie po dlugiej podrozy w pomieszczeniu na pietrze. Jednak ta mila przerwa byla stanowczo za krotka i wkrótce ponownie znalazly sie w drodze.-Wczesniej czy pozniej bedziesz musiala mi powiedziec, dokad wlasciwie zmierzasz - zauwazyla rozsadnie Sara. - Chyba nie oczekujesz, ze John przewiezie nas tym powozem przez morze?

Slyszac to przyjaciolka cicho zachichotala.

-Nie, nie, Saro. Oczywiscie, ze ci powiem, ale... planowalam to od tak dawna... i to jest

moja jedyna szansa...

Trudno zaufać komukolwiek, jeśli każdy, kogo spotykasz, może okazać się wrogiem, pomyślała ze współczuciem Sara.

Kiedy następnym razem zatrzymały się, aby zmienić konie, Meriel powiedziała w końcu Sarze, dokąd zmierzają - nie do samego Dover, ale do małej rybackiej wioski, kilka mil w dół wybrzeża. Zanim dotarły do Talitho - jechały wolniej, oszczędzając konie, bo możliwość ich zmiany poza głównymi drogami była ograniczona - słońce już zaszło, a z nad morza zaczęła się unosić wieczorna mgła. Latarnie po obu bokach powozu, zapalone podczas ostatniego postoju, płonęły metnym, ciepłym światłem.

Wioska Talitho była mała, odizolowana od świata osada, przytulona do wysokiego wybrzeża; najwyraźniej niewiele się zmieniła w ciągu ostatnich wieków. Kościół i gospoda stały po obu stronach głównej drogi. Powóz Sary przejechał koło kościoła i zatrzymał się przed zajazdem.

Sara pchnęła drzwiczki powozu, szczęśliwa, że ma okazję rozprostować nogi. Wciągnęła w płuca won morza. Chętnie wybrałaby się na wybrzeże, mimo mżawki, która powoli przenikała wszystko wilgocią. Hajduk jadący z tyłu powozu zeskoczył i przystawił stopień, a Sara wyszła na zewnątrz. Za nią pojawiła się Meriel, zmęczona trudami podróży, ale wciąż żywa... jak lekko przygnieciona róża.

-Simon, zobacz, czy możliwe jest wynajęcie osobnej sali w gospodzie - wydała polecenie Sara. - John, postaw powóz za stodołą i wyprzęgnij konie. Musimy dostać nowe, jeśli mamy jeszcze gdzieś jechać dalej.

Nie zdecydowała jeszcze, czy pytać o pokoje na noc. Gospoda była ciasna, a sprawa noclegu mogła poczekać, aż odświeży się trochę po podróży.

-A zatem, Meriel - zwróciła się Sara do towarzyszki, gdy powóz potoczył się powoli za stajnię - przybyliśmy bezpiecznie tam, gdzie chciałaś. Co dalej?

Meriel wzruszyła ramionami. Na jej twarzy w świetle powozowych lamp wyraźnie było widać zmęczenie. Sara ujęła ją pod ramię i obie kobiety, poprzedzane przez Knoyle, podeszły do drzwi gospody, gdzie o mało nie zderzyły się z hajdukiem.

-Przepraszam, wasza miłość. Właściciel mówi, że osobna sala jest już zarezerwowana... dla lady Meriel.

Kto wiedział, że przyjedziemy?

Sara spojrzała na Meriel. Wyglądała na przerażoną, a więc to nie ona dokonała rezerwacji. W nagłym przeczuciu niebezpieczeństwa Sara pomyślała o broni. W snach wiele razy czuła w rekach ciężar strzelby i nie wątpiła, że potrafi z niej strzelać, a nawet zabijać. Ostatnie

mgly fałszywych wspomnień, którymi otoczyły ją dame Alecto i Dowager, nagle opadły w obliczu tej katastrofy. Sara wiedziała już, kim naprawdę jest.

Jestem Sara Cunningham ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. A to nie jest mój świat.

Dalsze pytania związane z tym odkryciem musiały poczekać wobec bardziej bezpośredniego zagrożenia. Dzięki obudzonemu nagle instynktowi wojownika Sara wiedziała już, że nie mogą wejść do tej pułapki. Chwyła Meriel za ramię. Trzeba wracać do powozu i uciekać! To jedyne wyjście.

-Simon... - zaczęła. Hajduk właśnie się odsuwał, aby przepuścić człowieka stojącego za nim.

-Jak miło, lady - odezwał się tamten. - Meriel, sala i kawa dla ciebie i przyjaciółki już zamówione. Jest mokro i ciemno, więc lepiej wejdźcie do środka. Zwłaszcza że mam w kieszeni pistolet i nie zawaham się przed jego użyciem.

W mrocznym pomieszczeniu żadna z nich nie widziała twarzy mówiącego, ale głos nie pozostawił miejsca na wątpliwości.

To był Geoffrey Highclere.

Ostatnie dziesięć dni zanudziłoby na śmierć każdego innego, ale Wessex posiadał umiejętność cierpliwego znoszenia monotonii. Zwłaszcza że niewiele było rzeczy, które mogły mu się wydawać ciekawe i zaskakujące.

Nawet gorączkowe poszukiwania księżniczki Stefanii, której zniknięcie stawało się coraz powszechniej wiadome, nie przynosiło niespodzianek, bo też nikt nie oczekiwał, że po tak długim czasie uda się znaleźć ją albo statek. Woda nie oddawała łatwo swoich ofiar; katastrofa na morzu nie pozostawiała śladów. Gdyby jednak ciało księżniczki zostało wyrzucone na wybrzeżu brytyjskim, dunskim lub któregoś z krajów bałtyckich, Wessex już by o tym wiedział...

Pozostawało jeszcze jedno miejsce, gdzie mogła wylądować - Francja.

W pierwszej chwili Wessex wykluczył taką możliwość. W lipcu była dobra pogoda do żeglugi, więc statek w żaden sposób nie mógł tak bardzo zboczyć z kursu. Zarówno kapitan, jak i załoga byli sprawdzeni i lojalni, co wykluczało celowe odpłynięcie. Gdyby zaś w grę wchodził piraci, Wessex dawno już dowiedziałby się o tym z któregoś ze swoich źródeł. Nie było więc żadnej możliwości, aby "Krolowa Christina" dopłynęła aż tak daleko.

Zadnej normalnej możliwości...

Ale żyli w nienormalnych czasach i chociaż Wessex był dość sceptyczny wobec magii, jednak nie mógł jej całkowicie wykluczyć ze swoich hipotez. Na wyspach nazywanych

kiedys Logres Najstarszy Lud stworzył wrota, które łączyły różne światy i czasy, a więc sprawa nie była taka całkowicie nierealna. Czy w ten sam sposób, w jaki chrześcijanicy magowie przyzywali szatana, nie można było unicestwić przestrzeni, spowodować zniknięcia statku z wybrzeży Szkocji i przeniesienia go do wybrzeży francuskich? Załóżmy, że tak. A wtedy pojawienie się de Sade'a na dunskim dworze stałoby się bardziej zrozumiałe. Miał namówić księcia regenta, aby skłonił się w kierunku Francji, za pomocą wszelkich nacisków... więc mógł też użyć swojej mocy, aby rzucić zaklęcie na statek. W ten sposób przetrzymywana we Francji księżniczka Stefania stała się zakładnikiem, który zapewniał współpracę księcia Frederyka.

Wessex załował, że nie ma tu Kosciuszki, który teraz bezpiecznie siedział sobie w Anglii. Polski huzar z niejednego pieca chleb jadł i już kilka razy uratował skóre Wessexu i swoją własną, używając magicznych zaklęć, które poznał w czasie swoich licznych wólczeń po świecie. Kosciuszko mógłby przynajmniej mu powiedzieć, czy de Sade dysponuje takimi możliwościami, jakie przypisywał mu diuk. Bo na razie jego pomysł był tylko szukaniem po omacku.

Ale mimo że nie natrafił na żadne ślady, ktoś próbował go wczoraj zabić.

Wessex wracał do domu MacLarena wczesnym rankiem. Cały poprzedni, niezwykle meczący dzień spędził prezentując w oficjalnych kregach zatroskana twarz Anglii z racji nieszczęścia, jakie wydarzyło się jej przyszłemu sojusznikowi. Noc spędził w nieco bardziej interesujący sposób - na przyjęciu u barona Andresena, które okazało się całkiem niezłym źródłem plotek i zarazem podejrzeń. Nie widział nic niezwykłego w powrocie do domu piechota, bo księżyc był niemal w pełni, a ulice dunskiej stolicy miały opinię wyjątkowo bezpiecznych. Wziął małą latarnię, aby oświetlać sobie ciemniejsze zaułki, jeśli będzie musiał się w nie zapuścić, pożegnał się serdecznie z gospodarzami i ruszył w drogę.

Ktoś jednak go śledził.

Chociaż wypił sporo alkoholu - bo było to wyłącznie meskie przyjęcie - Wessex prawie natychmiast odkrył obecność podążających za nim ludzi. Dwoch ludzi. Albo bardzo się spieszących, albo niezbyt doświadczonych. Zanim przeszedł dziesięć kroków, wiedział już, co należy zrobić. Zaczął posuwać się lekko chwiejnym krokiem, udając znacznie bardziej pijanego niż był. Waska ulica otworzyła się na mały plac, na którym stała pompa, a pod nią korytko. Wessex zatrzymał się tam, spryskał sobie twarz wodą i odszedł... pozostawiając przez zapomnienie latarnię. Tak jak się spodziewał, tamci skorzystali z okazji. Nie doszedł jeszcze do przeciwległego końca skraj skwerku, kiedy zaatakowali.

-W czym mogę pomóc, panowie? - zapytał Wessex dobywając szabli i odwracając się ku nim jednym wytrenowanym ruchem. Tak się szczęśliwie złożyło, że akurat był w mundurze. Nie musiał używać żadnej ze zdradzieckich szpiegowskich broni przeciwko tym dwóm, skoro miał w reku uczciwą stal.

Zaden z dwoch napastnikow nie wygladal na Dunczyka. Wyzszy, ktory mogl byc Irlandczykiem, trzymal potezny debowy kij, ktorego wlasnie zamierzal uzyc. Jego kompan, nizszy i ciemniejszy, za pas mial zatkniety pistolet, a w jego dloniach Isnilo ostrze sztyletu.

Wessex rozpozna go. To byl Charles Corday - Gambit, zabojca naslany przez Taileyranda.

-Allons! - rozkazal krotko Gambit i Irlandczyk ruszyl w strone ofiary, wymachujac wprawnie swoja laga. Wessex cofal sie czujnie. Jego szabla byla z najlepszej stali, ale masywna palka przeciwnika mogla zlamac ostrze jednym uderzeniem.

-Pomoc mozna, ale niestety to po zycie waszej lordowskiej mosci tu przyszlismy. Wiec jesli chcecie nam pomoc, to trzeba polozyc sie grzecznie, jakem Sean O'Brien.

-Powiem ci cos, O'Brien - odparl lekko Wessex. - Odloz ten kij i powiedz mi, kto cie naslal, a obiecuje, ze skonczy sie na plazowaniu.

Sean O'Brien odrzucil do tylu ruda glowe i ryknal glosnym smiechem.

-Niewatpliwie smierc waszej lordowskiej mosci to duza strata - powiedzial.

Ale w jego glosie nie bylo zalu, tylko chlodne wyczekiwanie. Oczy Isnily mu jak zimna stal. Bez zadnego ostrzezenia rzucil sie do przodu.

Ale Wessexa juz tam nie bylo. Jak matador przyjmujacy na siebie atak wscieklego byka, usunal sie na bok plynny ruchem, pozwalajac, aby O'Brien calym impetem ataku przemknal obok niego. W blasku ksiezycyca blysnelo ostrze i Irlandczyk ciety przez udo upadl z rykiem bolu. Wessex natychmiast zwrocil sie w strone Gambita, probujac przebic wzrokiem cien zaulka. Byl juz przygotowany na przyjecie drugiego napastnika, ale Gambit nie kwapil sie do szarzy. Stal wciaz u wylotu alejki, a w jego dloni Wessex dostrzegl pistolet.

-Ty nie tak pijany, jak wygladasz, cher - odezwal sie z aprobata w glosie Gambit Corday swoja prymitywna angielszczyzna. Mierzyl pewnie mimo slabego oswietlenia. Mundur Jedenastego Regimentu byl latwym celem.

-A ty nie przypominasz Dunczyka, Francuzie - odpowiedzial diuk.

O'Brien wlasnie podnosil sie z ziemi. Gambit za chwile wypali...

-Ja nie Francuz. Akkadianin - powiedzial z duma Gambit i wypalil jednym nieuchwytnym ruchem... prosto w piers O'Briena.

Irlandczyk upadl z jekiem, a z jego piersi buchnela fontanna krwi. Trwalo to zaledwie kilka sekund, bo prawie natychmiast jego serce przestalo bic. Ten huk na pewno sciagnie straze; Wessex nie zamierzal czekac, az sie tu zjawia. Spojrzal badawczo na Gambita.

Akkadianin - a więc osadnik z Akkadii, jednej z byłych francuskich kolonii w Nowym Świecie, która przeszła we władanie Anglii ponad sto lat temu. Jej mieszkańcy nie przyjęli z zadowoleniem zmiany rządów, więc większość z nich wygnano. Wielu udało się na południe i osiedliło we wciąż francuskiej Luizjanie. Ale Wessex wiedział, że dzieci i wnuki osadników wciąż żalowały utraconej ojczyzny.

-Byli my po stronach naprzeciwko, ale teraz chyba po tej samej, eh? To, co szukasz, lepiej żebyś znalazł, eh? Tam wróci, gdzie jego miejsce i nikt nie będzie za morzem nas gnebil.

Wessex nie zdążył odpowiedzieć, kiedy Gambit znikł w ciemnych uliczkach. Usłyszał za to skrzypienie otwieranych okiennic i wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, jeśli nie chce, by znaleziono go z trupem. Pochylił się nad ciałem.

Najpierw de Sade, teraz Gambit. Ich obecność świadczyła o rozmiarach operacji szpiegowskiej, która trwała w Danii, a o której Wessex nie miał najmniejszego pojęcia. Dlaczego Gambit uważał, że należy mu pomóc, chociaż z całą pewnością miał rozkaz wyprawić go na tamten świat?

O'Brien niewiele miał przy sobie wartościowych rzeczy i niestety nic na piśmie. Możliwe nawet, że nie umiał czytać. Ale najwyraźniej potrafił dobrze liczyć... miał w kieszeni dziesięć złotych imperialnych monet z wizerunkiem Napoleona w laurowym wiencu na skroni.

Wessex schował monety i oddalił się pośpiesznie.

W kilka minut później zameldował się bezpiecznie przed drzwiami MacLarena. Od razu wpadł w ręce Athelinga, który z wyrzutem spojrzał na jego ubranie.

-Zlituj się, człowieku - zaprotestował Wessex odgadując znaczenie tego spojrzenia. - Nie mam na sobie ani plamki krwi.

-Wasza miłość niestety się myli - wymamrotał Atheling wskazując Wessexowi purpurową smugę na spodniach, która zasychając zaczęła już przybierać brązowy kolor. - Ale smiem powiedzieć, że da się jeszcze coś z tym zrobić, wasza miłość.

Wessex machnął ręką. Wiedział, że Atheling zna chyba każdą możliwą metodę wywabiania krwawych plam z różnych tkanin.

-Można by sadzić, że dzisiejszego wieczoru miał miejsce jakiś niezwykle wypadek - odezwał się jeszcze słuzacy.

-Nic takiego - odpowiedział krótko Wessex.

Nic takiego, pewnie. Tyle że dwóch ludzi opłaconych przez Francuzów chciało go dziś zamordować. W dodatku jeden z nich zamiast wykonać zlecenie wolął zabić swego towarzysza. No i jeszcze okazało się, że ten Gambit - Akkadianin, choć na francuskim

zoldzie - chcial, aby Wessex znalazl to, czego szuka i przywrocil na wlasciwe miejsce...

Wessex byl pewien, ze Gambit nie mowil o ksiezniczce Stefanii. Kogo lub co w takim razie mial na mysli?

Na to pytanie diuk nie znajdowal odpowiedzi. To wszystko bylo bardzo tajemnicze. A atmosfera sie zageszczala.

Wydawalo sie, ze nie maja wielkiego wyboru: mogly przyjac zaproszenie pana Highclere albo zostac zastrzelone na miejscu. Sara odeslala wiec Simona i razem z Meriel weszly do pokoju, ktory dla nich zarezerwowano. Meriel byla blada jak kreda i drzala od szoku, co stanowilo pewny dowod, ze w pulapce, w jaka wpadly, nie brala udzialu.

Na stole naszykowano juz dla nich przyjecie: lekka przekaske - ciasta i sery oraz parujacy dzbanuszek z kawa. W kominku palil sie wesoly ogien; Sara wbrew sobie poczula sie nagle zmeczona i glodna.

Wiedziala juz, kim jest, a towarzyszylo temu uczucie, ze jej uporządkowany amerykanski swiat ktos wywrocil do gory nogami. Oto rzucono ja w dziwacznie wykrzywione, lustrzane odbicie Anglii, ktora ledwie rozpoznawala - w swiat duchow i lesnych istot. Jak kazda corka Ludu wiedziala, ze dzieła ten swiat nie tylko z Mowiacymi Zwierzetami, ale takze z Pierworodnymi Wielkiego Ducha, jednak Sara Cunningham z Baltimore nie spodziewala sie, ze kiedykolwiek spotka zywe tego dowody. Nie spodziewala sie tez, ze bedzie musiala grac role swojej blizniaczki w swiecie, w ktorym te istoty zyly nie ukrywajac sie.

Ale mimo tej niewiarygodnej sytuacji pan Highclere stanowil bardziej bezposrednie zagrozenie niz wszelka magia. Jakkolwiek nierealny i mistyczny byl ten swiat, pistolet Geoffreya wygladal na bardzo materialny.

Rzeczywistosc i fikcja zlaly sie w jedno.

Sara prowadzac za reke Meriel przeszla obok Geoffreya nie zwracajac na niego uwagi, tak jak zrobilaby prawdziwa ksiezna Wessex. Usiadly na jednej z dlugich law, stojacych po obu stronach stolu. Za ich plecami Geoffrey zatrzasnal drzwi, aby nie przeszkadzaly im ciekawskie spojrzenia.

-Teraz, kiedy juz nas masz, panie Highclere, co wlasciwie zamierzasz z nami zrobic?

Sara zauwazyla, ze jej glos brzmi teraz inaczej - bylo to cos posredniego miedzy przeciaganiem samoglosek charakterystycznym dla wymowy Baltimore a brytyjskim ucinaniem koncowek, jakiego nauczyla sie jako markiza Roxbury. To tak jakby przespala kilka ostatnich miesiecy i nagle sie obudzila... tylko czym skonczy sie to przebudzenie?

Geoffrey zignorowal jej pytanie. Nalal im obu kawy i zachecal do jedzenia, jak przystalo na gospodarza.

-Moze skusi pania kawalek szynki, wasza milosc? Kucharz upiekl wprawdzie doskonale ciasto, ale po tak dlugiej podrozy przydaloby sie chyba najpierw cos solidniejszego niz szarlotka. Ten chleb jest upieczony dzisiaj. Mamy tez kilka gatunkow ryb. Obawiam sie, ze niewiele wiecej mozemy zaproponowac tu, nad samym morzem. Meriel, widze, ze nie wygladasz najlepiej...

-Wystarczy tego lawirowania - warknela Sara. - Powiedz od razu, o co ci chodzi.

Highclere lekko sie zmieszal. Najwyrazniej amerykanska bezposredniosc stropila angielskiego arystokrate. Ale szybko odzyskal pewnosc siebie i usmiechnal sie szeroko.

-Och, chcialem tylko pogratulowac siostrzenicy, ze okazala w koncu slad rozumu, wasza milosc. Pomysl Dicka, by zmusic ksiecia do malzenstwa ze Stara Religia i nawrocic Anglie z powrotem na dawna wiare, jest co najmniej idiotyczny. Znam Jakuba znacznie lepiej niz on. Nasz Jakub moze by i poslubil dziewczyne, ale zupełnie nie liczylyby sie z jej zdaniem. A malzenstwo tnozna rozwiaczac, i to na kilka sposobow.

-Co... co masz na mysli? - uniosla sie Meriel, ktora przezwyciezyla juz na tyle przestrach, ze mogla sie odezwac. - Nie rozwiodlabym sie z nim! - odruchowo siegnela do szyi, jakby w poszukiwaniu nieobecnego krzyzyka.

-Pewno, ze nie - odparl Highclere z okrutnym usmiechem. - Zawsze jednak moglabys umrzec, moja droga. Krol juz by o to zadbal... albo ten jego rzeznik Wessex.

-Krol Henryk nigdy nie posunalby sie do czegos takiego - oburzyla sie Sara. Uniosla filizanke z kawa i upila ostroznie lyk. Rozchodzace sie po ciele cieplo napelnilo ja energia i odwaga. - Napij sie kawy, Meriel. Jestem pewna, ze pan Highclere zaraz nam wytlumaczy, o co mu dokladnie chodzi.

-To o mnie mu chodzi - powiedziala cicho Meriel z nieszczesliwa mina. Drzaca reka uniosla filizanke.

-Tu sie mylisz, moja droga - odpowiedzial jej uprzejmie wuj. - Jak juz powiedzialem, plan Dicka mial wiele minusow. Poczatkowo mu pomagalem, bo to bylo doskonallym sposobem na zniszczenie dunskiego traktatu, ale teraz, gdy znikla ksiezniczka, nie ma potrzeby tego ciagnac. Wciaz jednak pozostaje problem Wessexu. Ten czlowiek jest wyjatkowo irytujacy.

Sara niezbyt cieplo myslala o Wessexie, nie mogla jednak pozwolic, aby ktos oprócz niej osmielal sie krytykowac jej meza.

-Obawiam sie, ze nie mamy pojecia, o czym pan mowi -. odezwala sie zimno. - Diuk Wessex jest czlowiekiem o nieskazitelnym charakterze.

-Alez droga ksiezno - odparl Highclere - ranisz mnie wkkladajac mi w usta slowa, ktorych nie wypowiedzialem. Czy ja twierdze, ze jego charakter nie jest nieskazitelny? Wskazuje tylko

na fakt, że jest on zabojca i szpiegiem w służbie króla Henryka. Bardzo przepraszam, jeśli cię to zdenerwowało, ale to chyba niemożliwe, że byś nie wiedziała nic o podwójnym życiu swojego męża.

Wessex agentem króla! Umysł Sary odsunął na razie od siebie dalsze implikacje tego faktu. Ale to tak wiele wyjaśniało... i zarazem nic.

-To nie...

To nie twoja sprawa, chciała powiedzieć, ale słowa uwieźły jej w gardle.

-Więc już mnie nie potrzebujesz? Mogę odjechać? - odezwała się Meriel głosem pełnym nadziei. Wypiła duży łyk kawy.

Uśmiech Highclere'a stał się jeszcze szerszy.

-Ależ nie, skarbie. Czy ja tak powiedziałem? Plan Dicka wprawdzie się nie powiódł, ale przecież dziewczyna taka jak ty można jeszcze wykorzystać na tak wiele sposobów...

Sara próbowała odstawić filiżankę, ale blat stołu nagle jej uciekł, a sztywne palce nie zdołały utrzymać naczynia. Kawa rozlała się po stole ciemna struga.

Narkotyk - chciała krzyknąć, ale nie udało jej się wykrztusić ani słowa. Chciała wstać, ale nie panowała już nad swoim ciałem. Cały świat pociemniał i nie wiedziała nawet, kiedy straciła przytomność.

Pierwszy lipca zastał Illie Kosciuszko w Edynburgu. Tam zniknął młody holenderski artysta Jan van Harmenz, który przyплыł do miasta na wynajętej łodzi rybackiej, a jego miejsce zajął pogodny francuski emigrant o imieniu Jean-Marie. Ten też nie zabawił długo w mieście - tyle tylko, by odpocząć w wynajętym pokoju i posłać gołębia pocztowego do Londynu. Następnie Jean-Marie udał się do granicy, skąd polski huzar mógł wreszcie podróżować dalej pod własnym nazwiskiem, gnając na złamanie karku do pewnego domu na Bond Street w Londynie.

Tam spędził kolejny tydzień, szczegółowo wypytywany o wszystko, co widział i słyszał w ciągu ostatniego miesiąca, sam zaś dowiedział się, że księżniczki wciąż nie odnaleziono i że przebywający w dalekiej Kopenhadze Wessex nie rozwiązał niestety zagadki jej zniknięcia. Z bliższych źródeł dowiedział się też, że książe Walii wciąż kontynuuje swój skandaliczny i niewłaściwy flirt z siostrzenicą earla Ripona oraz że księżna Wessex zdaje się sprzyjać temu związkowi, przyjęła bowiem zaproszenie na bal wydawany na cześć lady Meriel.

Kosciuszko zastanawiał się, co zrobi z tym wszystkim Wessex. Znal wystarczająco dobrze tajemnice swojego milczącego przyjaciela, by wiedzieć, że Wessex nigdy by się nie ożenił, gdyby nie wyraźny rozkaz króla. Małej Roxbury, która była z konieczności wybranka Wessexu, Kosciuszko nie znalazł w ogóle.

Nawet nie miał okazji się zastanowić, czy diuk będzie z nią szczęśliwy... natomiast od jakiegoś czasu zastanawiał się bardzo usilnie, czy można jej ufać.

Z powodu tej ciekawości Kosciuszko postanowił zmienić skóre raz jeszcze. Stał się Davym Vaughnem, młodym stajennym w służbie barona Misbourne'a, który postanowił zmienić pracę po kłótni z majordomusem jego lordowskiej mości. Został przyjęty do Herriard House na próbę. Stworzyło mu to sposobność swobodnego myszkowania po domu i wysłuchiwania plotek, które służba zawsze roznosiła na temat tych, którym posługiwała.

Davy Vaughn przejrzał dokładnie pokoje księżnej, kiedy ta przebywała na balu i nie znalazł żadnych dowodów zdrady stanu. Był też świadkiem niezwykłego nocnego spektaklu, kiedy młoda dama w dominie i balowej sukni wspinała się po kracie do okna sypialni księżnej. Niestety mimo całego swego sprytu Davy nie potrafił się dowiedzieć, co zaszło tam na gorze. Potem zajął dobrą pozycję w stajni i dzięki temu był świadkiem pospiesznego przygotowywania do podróży powozu księżnej, na długo zanim pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Podróż zapowiadała się ciekawie, bo hajduk z tyłu powozu miał ze sobą muszkiet i pistolet, a jadący wierzchem dostał dwa naładowane pistolety i wystarczająco dużo złota, by zapewnić częste zmiany zaprzęgu. Gdy tylko powóz księżnej Wessex odczłoczył się spod drzwi domu, Davy Vaughn na zawsze stąd zniknął, zwłaszcza iż odkrył, że nocny gość księżnej był nikim innym jak sama lady Meriel Highclere, niebezpieczna inamorata księcia Jakuba.

W godzinę później Illia Kosciuszko usiadł na grzbiecie swojego upartego, grubokostistego siwka i ruszył drogą na Holborn w poscigu za powozem księżnej Wessex. Pierwsze promienie słońca dopiero oświetliły kościelne wieże.

Powóz nie posuwał się zbyt szybko i jadący wierzchem Illia Kosciuszko z łatwością mógłby go dogonić, a nawet przegonić, gdyby tylko sobie tego zazyczył. Bardziej jednak interesowało go, dokąd i po co zmierzają księżna i lady Meriel. Dopóki był pewien, że wciąż jedzie w ślad za nimi, oszczędzał w miarę możliwości konia. Kiedy słońce stało już wysoko, powóz skręcił z drogi na Holborn w kierunku Dover i Kosciuszko zaczął przypuszczać, że podróż miała być naprawdę bardzo długa. Jeśli wsiadano się na statek w Dover, prawdopodobny był tylko jeden kierunek podróży...

Podążał za powozem przez cały dzień, pozostając poza zasięgiem wzroku jadących i często podróżując przez pola, aby nie zwracać na siebie uwagi. Tak był pewien, że to właśnie Dover jest celem ich podróży, że o mało ich nie zgubił, kiedy nagle skręcili na zachód, omijając to ruchliwe portowe miasto. Zapadła noc i zaczął padać dokuczliwy drobny deszczyk, więc Kosciuszko mógł się znacznie zbliżyć do powozu. Wkrótce też przekonał się, że zatrzymał się on we wiosce Talitho. Kiedy już był pewien ich celu, nakłonił swojego konia do zaprezentowania wyuczonego triku; w ten sposób będzie mógł się pojawić w gospodzie jako zmoknięty i śmiertelnie zmęczony podróżny dosiadający okulawionego wierzchowca.

Chłopiec stajenny powiodł więc siwka - który potykał się i niemal padał ze zmęczenia przy każdym kroku - do stajni, obiecując zrobić wszystko, żeby umożliwić dalszą podróż na grzbiecie zwierzęcia następnego ranka. Kosciuszko skierował kroki do gospody.

-Potrzebuje oczywiście oddzielnej sali - powiedział wyniosłe na wstępie. Osobowość, która teraz przybrał, służyła mu już kilkakrotnie przy różnych okazjach: miał to być prywatny sekretarz byłego diuka.

-Oczywiście, sir - odparł karczmarz i poprowadził gościa uniesieniem, chowając skwapliwie rzuconą mu złotą monetę. Miał dla niego osobny pokój na tyłach gospody.

Przechodząc przez wspólną salę Kosciuszko rozejrzał się szybko w poszukiwaniu mężczyzn w liberjach księżnej, ale nie dostrzegł nikogo takiego. Karczmarz zamknął za nim drzwi. Ogień już plonął w kominku i w pokoju zrobiło się ciepło. Kosciuszko dotknął powierzchni stołu i stwierdził, że jest lekko wilgotna, jakby ktoś przed chwilą ją przetarł. Ktoś niedawno był w tej sali - gotów był się założyć.

-Czy to jedyna oddzielna sala? Nie ma tu żadnej lepszej? - zapytał.

Karczmarz rozpoczął długi wywód, zachwalając zalety tego pokoju, ale Kosciuszko uciął potok jego wymowy następną złotą monetą.

-Starczy! Idę teraz do stajni zobaczyć, co te tepaki, których bez wątplenia zatrudniasz, zrobili z moim koniem. Kiedy wróce, wieczera ma już na mnie czekać.

Kosciuszko opuścił gospodę. Ten przybytek nie miał drugiej osobnej sali, a w wiosce nie było innych zajazdów. Widział zatrzymujący się tu powóz i stracił go z oczu najwyżej na pół godziny. Więc gdzie one były?

Humor poprawił mu się natychmiast, gdy wyszedł przed stajnię i zauważył stojący tam zablokowany żółty powóz ze znakami Roxbury. Ale to była tylko drobna pocięcha. Wciąż jeszcze musiał znaleźć księżną i jej towarzyszkę. Musiał się też koniecznie dowiedzieć, kiedy zaczyna się poranny przyływ i kto zamierza z niego skorzystać. Wchodząc do stajni dostrzegł natychmiast swojego konia, w znacznie lepszym stanie, koło którego krztał się stajenny. Siwek zauważył swojego pana i natychmiast zaczął grzebać w ziemi prawą przednią nogą, jakby uwierała go podkova. Kosciuszko się uśmiechnął. Pare miesięcy zajęło mu nauczenie zwierzęcia tej sztuczki, ale warto. Zdarzały się sytuacje, kiedy wiele mógł uratować wierzchowiniec, który potrafi okuleć na komendę. Siwek stał między boksami, bo wszystkie były zajęte. Szesc koni zaprzegowych doskonałej krwi należało do ekwipazu księżnej. Zauważył też kasztana jej hajduka. Pozostałe trzy boksy zajmowały miejscowe ogiery.

-Mój dobry człowieku - warknął Kosciuszko - co ty sobie właściwie myślisz, kazać stać mojemu koniowi w przeciagu?

-Przepraszam, milordzie - odparł stajenny. Najwyraźniej wolął przesadzić z tytułem, skoro nie znalazł prawdziwej rangi przybysza. - Ale to jest tylko godzina. Potem znajdziemy jakiś boks.

-Godzina? - oburzył się Kosciuszko. - Wyprowadź któregoś z tych szkap i zrób miejsce dla mojego konia. - Wskazał kasztana, który należał do hajduka księżnej.

-Błagam o wybaczenie, milordzie - odparł stajenny niepewnie. - To są konie księżnej Wessex.

Kosciuszko zastygł w miejscu, jakby zaskoczony tą wiadomością.

-Jest tu księżna Wessex? - zapytał. - A jej służba?

-Młody Simon jest na gorze - poinformował stajenny, jedząc obiad w gospodzie. Hej, Jemmy! Polec no na strych i sprowadź tu Simona jej miłości.

Pomocnik stajennego natychmiast przestał czyścić konia i pobiegł ku drabinie.

-Czyś ty zwariował? - powiedział obrażonym tonem Kosciuszko. - Myślisz, że przyszedłem tu dyskutować ze służbą? Zajmijcie się swoimi sprawami, a konie mają być gotowe na jutro do drogi.

Odwrocił się energicznie i wymaszerował zagniewany ze stajni.

Jednak nie poszedł w kierunku gospody. Zatrzymał się na głównej ulicy Talitho i rozejrzył badawczo w obie strony. Czuł wyraźny zapach morza i rybich resztek gnijących na plaży. Wzrost mgły i deszczu sprawiał, że wszystko wokół wyglądało nierealnie. Widoczność była kiepska. Choć Kosciuszko mocno wyteżał wzrok, nie dostrzegł żadnych świateł, prócz dalekiego mżenia świec, pozostawionych najwyraźniej na noc w kościele, i latarni wiszącej u wejścia do gospody.

Był powóz. Były konie.

Ale księżna znikła.

Lady Meriel obudziła się, czując gwałtowne kołysanie i obrzydliwy zapach ryb. Otworzyła oczy i zaraz tego pozalowała; spowodowało to taki ból głowy, że aż jęknęła głośno.

-Obudziłaś się? - usłyszała szczerk odsłanianej ścianki latarni i nagły snop światła oświetlił kołyszące się ściany pomieszczenia. Meriel zdała sobie sprawę, że to kabina statku zmierzającego do Francji.

Ale dlaczego? Wuj Richard miał tylko jedno fanatyczne pragnienie: przywrócenia prawdziwej wiary w Anglii. Francja zaś nie była już katolickim krajem, odkąd Rewolucja zakazała wszelkiej religii niemal dwadzieścia lat temu. Wuj Richard nigdy nie sprzymierzyłby

sie z Cesarzem.

A wuj Geoffrey? Tak, Geoffrey zrobiłby wszystko, co mogło sprawić komus ból. Meriel obrocila sie na waskiej koi i usiadla. Ukucie bolu w plecach gwałtownie przywrocilo ja rzeczywistosci. Spojrzala w gore.

Wuj Geoffrey stal pod wiszaca na suficie latarnia i wygladal jak pozlacany Szatan. Meriel zadrzala przerazona na widok bicza, ktory trzymal w reku.

Rozesmial sie.

-Nabywasz wlasciwych odruchow, moja droga, ale na razie zamierzam byc dla ciebie mily. Gdyby nie ty, nie wyploszylbym ksieznej Wessex z jej nory tak latwo, a musze przyznac, ze teraz ona jest dla mnie znacznie bardziej przydatna niz ty.

-Ale jestes pewien, ze znajdziesz dla mnie pozniej jakies zastosowanie - uzupełnila gorzko Meriel. - Jak nas znalazles?! Nikt za nami nie jechal, upewniam sie co do tego!

Geoffrey rozesmial sie znowu.

-Moja mala, wcale nie musialem jechac za toba. Czytalem kazdy list, jaki napisalas od czasu, gdy zginial twoj drogi ojciec, a Dick zaczal planowac, ze posadzi cie na tronie Anglii. Taka wiedza zawsze moze sie przydac, wiec domyslilem sie, jaki z ciebie pomyslowy maly spiskowiec. Kiedy powoz przybyl do Vauxhall pusty, bylem pewien, ze zamierzasz uciec do ciotki, wiec wybralem sie w tym kierunku. Ci lamiacy blokade szyprowie, niewiele dbaja, jaki wioza towar, jesli tylko dobrze im sie zaplaci. Zdazylem sie juz nauczyc, ze zloto otwiera wszelkie drogi.

Meriel zwiesila glowe. Wiec wszystko na nic, a krotkie poczucie wolnoscii bylo tylko iluzja. Ale oprócz tej desperacji zapalila sie w niej niesmiala, lecz rosnaca iskierka oporu. Jeszcze bardziej niz wolnoscii zapragnela pokrzyzowac plany swojego dreczyciela.

-A zatem potrzebujesz ksieznej - odezwala sie. Nadala glosowi ton przygnebienia. - Ale dlaczego?

-Bo ksiezna jest droga do diuka - odparl po prostu Geoffrey. - A w tej chwili to on mi najbardziej przeszkadza.

Byla prawie pomoc, gdy wszyscy troje przeplyneli szalupa na francuski brzeg. Sara wciaz mocno spala, bo Geoffrey podal jej kolejna porcje laudanum podczas podrozy, czemu Meriel nie mogla w zaden sposob zapobiec. Lezala teraz na piasku owinieta w swoj podrozny plaszcz, podczas gdy Geoffrey czekal na odpowiedz na sygnal, ktory przeslal jeszcze ze statku. Wciaz trzymal w reku kryta latarnie, jakby zamierzal jeszcze jej uzywac.

Meriel przysiadla przy lezacej Sarze. Geoffrey nie zamierzal podawac narkotyku takze jej.

Stwierdził krótko, że jedna nieprzytomna kobieta jest wystarczającym ciężarem. Meriel wiedziała, że Geoffrey jest przekonany o jej uległości i miała zamiar podtrzymać go w tym złudzeniu. Chciała uciec przy pierwszej nadarzającej się sposobności - chociaż wiedziała, że taka sposobność może okazać się kolejną fałszywą szansą. A wtedy wuj Geoffrey ponownie ją doścignie i pochwyci.

Dlatego musiała wybrać moment, kiedy nie będzie mógł jej ścigać. Wciąż jeszcze miała pieniądze - złote monety w sakiewce pod gorsetem. Wuj Geoffrey je przeoczył.

Ku zaniepokojeniu Meriel w odpowiedzi na ich sygnał pojawił się człowiek we francuskim mundurze. Francuski kapitan nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony przybyciem dziwnej grupy o tej porze. Przemówił tylko po francusku do Geoffreya - zbyt szybko i zbyt cicho, by Meriel go zrozumiała, chociaż niezłe władała tym językiem. Potem zaprowadzono ich do miejscowej tawerny. Ziewający i nie ogolony gospodarz podał Meriel gorącą zupę, a Geoffreycowi whisky. Jednak odpoczynek był krótki. Meriel ledwie zdążyła wypić kubek rosolu, gdy zajechał powóz i znowu musieli ruszać w dalszą drogę.

Powoli mijala mila za mila, a kiedy niebo rozjasniło się pierwszym brzaskiem, zaczął padać deszcz. Było to niezwykle jak na lipiec, ale Meriel błogosławiła ten deszcz, który powinien ułatwić jej ucieczkę. Na razie wyglądała przez okno, zastanawiając się, gdzie właściwie są. Była zbyt młoda, by pamiętać Francję z lepszych czasów, nie miała więc żadnej szansy, by określić dokładnie miejsce ich pobytu, ale to nie zmieniało w najmniejszym stopniu jej planów.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, gdy powóz zatrzymał się przed okazalą gospodą z rodzaju tych, w jakich podróżnicy spożywali większe posiłki. Deszcz przestał padać i cała okolica pokrywał welon parującej wody. Krajobraz był piękny; Meriel dostrzegła w oddali wieżyczkę kościoła. A więc niedaleko była jakaś wioska.

Nie próbowała udawać snu, bo wuj Geoffrey na pewno by to dostrzegł i stał się podejrzliwy. Zamiast tego starała się wyglądać na przestraszona i zagubiona - nie było to zresztą takie trudne, bo naprawdę niewiele widziała dla siebie szans. Nie miała pojęcia, w którą stronę powinna prowadzić jej ucieczka. Hiszpania i wątpliwa pomoc rodziny jej matki była bardzo daleko, a po drodze na młoda dziewczynę czekały rozliczne niebezpieczeństwa.

A jednak nie miała zamiaru pozwolić, by wuj Geoffrey osiągnął swój cel.

Wokół powozu zrobiło się zamieszanie, bo wyprzegano i zmieniano konie. Jadący wierzchem, towarzyszący im francuscy żołnierze również postanowili skorzystać z okazji, by zjeść coś i odpocząć. Geoffrey przeciągnął się i pochylił nad śpiącym wciąż więźniem. Dłonie Sary były zimne, a oddech bardzo płytki, ale Meriel miała nadzieję, że dawka laudanum nie okaże się za silna.

Upewniony, że Sara się nie poruszy, Geoffrey pchnął drzwiczki powozu.

-Wysiadam na śniadanie. Ty, moja mała, zostajesz tutaj. I czekaj grzecznie, bo inaczej wujek będzie bardzo, bardzo zły.

Meriel zwiesiła głowę i nie odpowiedziała, ale gdy tylko wuj odszedł, natychmiast otworzyła drzwi po przeciwnej stronie i wyskoczyła z powozu. Jej pożyczone podróżne buty posliznęły się w błocie; chwyciła się powozu, żeby nie upaść. Niechętnie zostawiała bezbronna Sare w rękach Geoffreya, znalazła bowiem jego okrucieństwo. Ale wuj mówił, że Sara jest mu potrzebna do jakiegoś spisku, który knuł przeciwko Wessexowi, co znaczyło, że nie skrzywdzi księżnej.

Meriel bardzo chciała w to wierzyć.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwiczki powozu. Główna droga miała za plecami; za gospoda zauważyła zywopłot, który biegł wzdłuż bocznej wiejskiej drożki. Odrzuciwszy kaptur - nie chciała wyglądać, jakby się skradła - Meriel zaczęła iść w tamtym kierunku.

Już niemal dochodziła do zywopłotu, gdy dostrzegł ją jeden z żołnierzy, który wolął wyjść z piwem i chlebem na świeże powietrze, mimo panującej wilgoci.

-Gdzie idziesz? - zapytał po francusku, ale niezbyt ostro. W jego głosie brzmiała raczej ciekawość.

-Za potrzebą - odparła Meriel w tym samym języku.

Żołnierz zrozumiał, co miała na myśli i odwrócił się dyskretnie. Na jego policzkach wykwitł rumieniec. Meriel minęła go szybko i oddaliła się w kierunku zabudowań.

Geoffrey znalazł dobrze swoją siostrzenicę, ale lady Meriel znalazła też dobrze wujka. Nie lubił się z nikim dzielić swoją wiedzą i wolął trzymać innych w nieswiadomości na tyle, na ile było to możliwe. Dlaczego więc miałby powiedzieć tym żołnierzom, że nie ufa swojej siostrzenicy i że należy uważać, by nie uciekła?

Postanowiła więc zaryzykować - i miała rację. Teraz tylko potrzebuje szczęścia przez najbliższe dziesięć minut. Rog budynku skrył ją przed oczami ciekawego żołnierza i Meriel zaczęła biec unosząc spodnice. Dopadła do zywopłotu i przedarła się przez niego, błogosławiąc praktyczną Sare, że przekonała ją do włożenia tej podróżnej sukni i mocnych butów. Owijając się ciasno płaszczem i zgarniając faldy sukni, Meriel pognęła co sił w nogach w kierunku wioski.

Niedaleko mogła uciec, zanim odkryją jej ucieczkę, ale wiedziała, że wuj Geoffrey ma do załatwienia różne pilne sprawy. Liczyła na to, że zdoła się ukryć na tyle dobrze, by nie starczyło mu czasu na poszukiwania. Kiedy wpadła do wioski, przyjrzała się uważnie budynkom starając się znaleźć coś odpowiedniego. Nie mogła niestety nikomu zaufać, bo każdy tutaj mógł ją wydać wujowi. Dopadła wreszcie do starego kościołka na skraju wioski. Przez moment błysnęła jej w głowie myśl, czy by nie poszukać schronienia na jego ołtarzu,

ale natychmiast porzuciła tę romantyczną mrzonkę. Zwyczaj ten był martwy od stuleci, a nawet gdyby nie był, Geoffrey Highclere nie wahałby się przed podeptaniem każdego prawa, ludzkiego czy boskiego. Obok kościoła znajdował się otoczony murem ogród, gdzie zapewne kiedyś stała plebania. O tej porze dnia w ogrodzie nie powinno być nikogo. Meriel otworzyła furtkę i weszła do środka, spoglądając ze strachem w stronę domów. Chyba jednak nikt jej nie dostrzegł.

Przemykając jak duch przez ogród Meriel znalazła wreszcie schronienie w małym domku ogrodnika. Rozejrzała się trwożnie za pajakami, ale nawet pajaki nie były takie straszne jak jej wuj.

Zamknęła za sobą drzwi i po omacku dotarła do pustego kata. Tam przysiadła i czekała. Mijały długie minuty i nic się nie działo, więc Meriel zapadła w sen.

-Możesz już wyjść. On poszedł.

TLUMIAC Okrzyk przestraszenia Meriel zerwała się ze snu. Serce biło jej z całej siły. W domku było teraz okropnie gorąco, ale przez otwarte drzwi wpadał podmuch chłodniejszego powietrza; złote promienie popołudniowego słońca oświetlały pokłady kurzu. W drzwiach ktoś stał, ale pod słońcem Meriel nie widziała go wyraźnie. Chciała zerwać się na nogi, ale zaplatała się we własny płaszcz i przez moment paniki walczyła z nim jak z żywą istotą.

-Już dobrze - powiedział nieznajomy biorąc ją za rękę i pomagając wstać. - Naprawdę odszedł. Ciebie szukał, prawda? Ten wybuchowy Anglik o złotych włosach?

Teraz Meriel mogła przyjrzeć się przybyszowi. Był mniej więcej w jej wieku. Nosił proste ubranie wiejskiego ogrodnika. Ciemnoblonde włosy miał związane z tyłu w krótką kitkę, a błękitne oczy wpatrywały się w nią z uwagą.

-Odszedł? - zapytała, chcąc najpierw upewnić się co do najważniejszej rzeczy. Mówiła po francusku, skoro do niej też zwrócono się w tym języku.

Chłopak uśmiechnął się.

-Już wiele godzin temu, mademoiselle. Czekalem, aż sama wyjdiesz, ale potem pomyślałem, że może chcesz spędzić noc w domku Jacques'a, a na to nie można pozwolić.

Meriel próbowała strzasnąć z pomietej sukni zaschnięte grudki błota i kurzu. Jej umysł tymczasem pracował gorączkowo. Czy ma uważać to spotkanie za ratunek, czy tylko za następną pułapkę?

-Jeśli wiedziałeś, że tu jestem, dlaczego mi nie powiedziałeś, kiedy mnie szukał?

Zapytany rozesmiał się.

-Bo mi sie nie podobał, mademoiselle! A pere Henri... właściwie powinienem powiedzieć wielebny de Conde, ale on, mieszka już tutaj tak długo, że nikt w Trois Saintes nie mówi o nim inaczej niż pere Henri... - nie wiedział gdzie jesteś, więc na szczęście nie musiał obciążać swojej duszy kłamstwem - odparł pobożnie nieznajomy. - Teraz, kiedy Anglais odjechał, mogę zaprowadzić cię do pere Henri. Musimy podjąć decyzję, co dalej robić. Ten człowiek, któremu uciekaś, jest chyba bardzo zły, prawda mademoiselle?

-Jest diabłem - powiedziała z całym przekonaniem Meriel - Jeśli mnie znajdziesz, zabij mnie.

-We Francji - powiedział nieznajomy - jest teraz wielu diabłów. A pere Henri jest bardzo wprawny w ukrywaniu przed nimi tego, czego szukają. I oto znowu przestawie mu kogoś, kogo trzeba ukrywać... biedny człowiek! Tylko kogo mam mu właściwie przedstawić?

Meriel zawahała się. Tak bardzo pragnęła komuś zaufać, a ten młody człowiek wyglądał na kogoś, kto może być sojusznikiem. Mimo to wahała się przez długą chwilę, zanim odpowiedziała.

-Meriel...Greya - skłamała. - A ty kim jesteś?

-Musisz mówić do mnie Louis - odparł obcy ze smutnym uśmiechem. - Wiem, że to tylko imię, ale nie mam nazwiska, odkąd od dwunastu lat panuje nasza zwycięska Republika.

16. LEW RZEZBIONY W DREWNI

Gdy Wessex wszedł do tej paryskiej piwnicy, od razu wiedział, że wpadł w pułapkę. Nie rozpoznał twarzy żadnego z członków tej komórki Podziemia. Musiał użyć jeszcze raz tożsamości de Reynarda, aby się z nimi skontaktować, a wiedział, że Jacks mieli już do czynienia z tą postacią kilka miesięcy temu i uważali go za angielskiego agenta. Rzeczywiście wszystko wskazywało, że nie mieli wątpliwości.

-Proszę do środka, m'sieur de Reynard... czy jak tam się naprawdę nazywasz - odezwała się brunetka, która kiedyś musiała być piękna. - Nie próbuj opuścić naszego towarzystwa. Zginiesz, zanim ci się to uda.

-Przyszedłem tu po informacje - odpowiedział spokojnie Wessex. - Nie jestem jednym z psów Czerwonych.

-Nie ma wielkiego znaczenia, czyim jesteś psem, skoro z pewnością nie naszym - powiedziała kobieta. - Powiesz nam, co wiesz, a potem... zobaczymy.

-Gdybym wiedział cokolwiek interesującego, nie przychodziłbym do was - odparł Wessex.

Jako kawaler de Reynard miał wprawdzie szablę przy boku i kilka małych niespodzianek po kieszeniach, ale nie chciał tutaj zabijać... to byściągnęło na niego niepotrzebną uwagę.

-Czy nie możemy się zachowywać rozsądnie? Moi ludzie zawsze popierali restaurację i prawowity rząd Francji. Współpracowaliśmy już przecież kiedyś.

-Czasy się zmieniają - powiedziała brunetka spoglądając twardym wzrokiem. Wyraźnie wahala się przed podjęciem drastycznej decyzji, kiedy przy drzwiach zapanowało małe zamieszanie i do środka wszedł Victor Saint-Lazarre.

Na widok Wessexa cofnął się o krok.

-Zette! Co robisz? - zapytał ostro.

-Wykonuje swój obowiązek, Victorze - odparła nie zmieszana brunetka. - Sądziś, że powinniśmy ufać naszym tak zwanym sojusznikom teraz, gdy nadchodzi najważniejszy czas? Oni; sami by go wykradli...

-Milcz! - sapnął Saint-Lazarre. - Nie możemy zachowywać się jak sans-culottes, jeśli naprawdę chcemy ocalić Francję. Ten człowiek jest przyjacielem...

-Ten człowiek nie ma imienia - zauważyła sucho Zette. - Mówi, że jest kawalerem de Reynard... ale kawaler de Reynard nie istnieje, jest tylko cieniem rzucanym przez angielskiego szpiega.

-Ja znam tego człowieka - odpowiedział Saint-Lazarre patrząc spokojnie na Wessexa. - I recze za niego. Nie jest dla nas groźny i oddał mi już raz wielką przysługę. - Zwrócił się wprost do diuka: - Co cie tu sprowadza... m'sieur?

A więc Saint-Lazarre nie chciał zdradzać jego sekretu. Wessex odetchnął z ulgą. Saint-Lazarre znał tożsamość diuka Wessex, a teraz dowiedział się też, że jest on szpiegiem. Chociaż bardzo się starał, Francuz nie mógł ukryć wyrazu niesmaku. Szpieg to ktoś najniebezpieczniejszy z niedźnych, a oto okazało się, że arystokrata mógł się stoczyć tak nisko...

-Przyjechałem się dowiedzieć, czy naprawdę mówią plotki, że za zniknięciem księżniczki Stefanii stoi Tyrana. Jej okret zniknął, ale ja wierzę, że ona żyje.

-Ta mała księżniczka, której małżeństwo miało przypieczętować traktat? - zapytał Saint-Lazarre. - Zaginęła?

-Zniknął okret - powiedział Wessex jedyne, co naprawdę było wiadomo. - A markiz de Sade przebywa właśnie na dąbskim dworze jako emisariusz Tyrana. Co on tam może robić?

-De Sade to przeklezione imię - powiedział Saint-Lazarre potrząsając z obrzydzeniem głową. - Ale nie możemy ci pomóc, m'sieur. Księżniczki nie ma w Paryżu. I radzę ci jechać do domu, Angliku. Francja zdecyduje o swoim przeznaczeniu sama, bez angielskiej pomocy.

Wessex opuścił Paryż, ale bynajmniej nie udał się do domu.

Jego nieomylny instynkt mowil mu, ze ksiezniczka Stefania zostala porwana. A jedyna sila, ktora moglaby sobie tego zyczyc, bylo Imperium Francji. Ale ksiezniczka nie znikla sama. Wraz z nia znikl takze angielski okret liniowy z osmiusetosobowa zaloga. Wraz z ksiezniczka zniklo lacznie ponad tysiac osob - mezczyzn i kobiet. Wessex nie wierzył, by Bonaparte kazal ich wszystkich stracic. Maly Korsykanin byl zbyt ostroznym graczem, by zrobic cos takiego.

Musza wiec gdzies byc. Przeszukiwanie calej Francji bylo jak szukanie igly w stogu siana. Ale gdzie latwiej znalezc igle niz w stogu, ktory caly jest zrobiony z igiel?

Sredniowieczne, otoczone murami miasto Verdun zagradzalo droge do Paryza jak ponury olbrzym. Ale ten olbrzym byl oswojony i znajdowal sie na zoldzie La Belle France. Wewnatrz murow trzymano tych, ktorzy nie powinni siedziec w normalnych wiezieniach - zolnierzy obcych mocarstw, ktorzy zlozyli bron, internowanych obywateli panstw neutralnych i wszystkich, ktorzy chociaz byli wiezniami, nie zostali uznani za wrogow panstwa.

Jesli Avery de Morrissey zdolal stad uciec, Wessex uznal, ze jemu uda sie dostac do srodka. Nie mial niestety odpowiednich papierow, ktore pozwolilyby mu przejsc przez brama jako urzednikowi albo kupcowi, a nie bardzo mial ochote wchodzic do Verdun jako wiezien. Jedynym sposobem bylo przemkniecie sie po cichu, zeby nie dostrzegli straznicy. Wessex wlasnie rozmyslal, jak tego dokonac, gdy jego uwage przyciagnal tetent konskich kopyt za plecami. Zsiadl z konia i zaprowadzil go za rosnace przy drodze drzewa. Wprawdzie nie ukrylyby go przed uwaznym obserwatorem, ale jesli to tylko przypadkowy podroznym, powinien ujsc jego uwadze.

Jakis czas pozniej na drodze pojawil sie samotny jezdziec na siwym ogierze. Wygladal imponujaco na siodle z lamparciej skory i ze sterczacymi w gore skrzydlami z orlich pior, ktore szelescily na wietrze...

Wessex pozostal jednak w ukryciu. Byl zbyt daleko, by rozpoznać twarz jezdzca, a wielu z tych, ktorzy nosili takie stroje, u sluzylu teraz Napoleonowi. Jednak ten andaluzyjski ogier byl jedyny w swoim rodzaju.

Illia Kosciuszko sciagnal wodze. Kon zatrzymal sie, parskajac i przestepujac z nogi na noge.

-Mam nadzieje, ze to ty, przyjacielu, chowasz sie w tych krzakach. Nie chcialbym zostac zmuszony do zastrzelenia nastepnego Francuza, aby zamaskowac swoje slady - zawolal Polak.

Sarze od dawna udawalo sie tylko zbliczac do krawedzi swiadomosci; zaraz zapadala sie znowu w ciemnosc, czujac w gardle slodki smak nastepnej dawki laudanum. Teraz przypomniala sobie, ze dokladnie tak samo bylo po wypadku, kiedy jednoczesnie pracowano nad skonstruowaniem jej nowej osobowosci i nad zamiana w markize Roxbury.

Teraz wreszcie zdolala odzyskac swoja prawdziwa osobowosc; drugi raz nie uda sie

nikomu oszukać jej w podobny sposób. Była Sara Cunningham z Ameryki - i właśnie dzięki uporowi i niezależności, który wyrzył w jej umyśle tamten powojenny świat, zdołała w końcu zmusić się do przebudzenia.

Narkotyk wciąż utrzymywał jej ciało w łozku, jakby spoczywała na nim czyjaś ciężka dłoń; głowę zdawała się mieć z ołowiu, ale przynajmniej mogła wreszcie otworzyć oczy i pomyśleć... jako tako.

Geoffrey Highclere znalazł ją i lady Meriel w Talitho, podał im narkotyk i przywiozł je... no właśnie, dokąd?

Pokój, w którym leżała, robił przytłaczające i staroswieckie wrażenie, jak kaplica w Mooncoign, tylko jeszcze bardziej ponure. Otynkowane ściany w wielu miejscach podeszły wilgocia, a tu i owdzie fragmenty tynku odpadły, ukazując szary kamień. Sufit wykonano z potężnych, poczerniałych od upływu czasu drewnianych belek, co dodatkowo potęgowało wrażenie, że Sara znajduje się w podziemiach średniowiecznej fortecy. Kiedy wreszcie zdołała lekko unieść głowę, dostrzegła, że okno - jedyne źródło światła w tym pomieszczeniu - jest głęboko wpuszczone w przeciwległą ścianę, a dostępu do niego bronią dwa grube metalowe prety.

Sara z jękiem zmusiła swoje ciało do przybrania pozycji siedzącej. W pokoju stało tylko łozko, na którym siedziała - wykonane z rzeźbionego i pozłacanego drewna, zdawało się wyjątkowo nie na miejscu w tym surowym i pustyni pomieszczeniu - i ciężki drewniany stół, na którym stała karafka z wodą i niebieska butelka laudanum.

Oprócz silnego zawrotu głowy Sara poczuła szalone pragnienie.

Wciąż miała na sobie to samo ubranie podróżne, łącznie z płaszczem i butami. Zastanawiała się, jak długo leżała tutaj uspiona. Włosy miała zmierzwiłone i pozlepiane, a nogi bolały przy najmniejszym ruchu. Opierając się o brzeg łozka, Sara wstała krzywiąc się z bólu. Pokój zatęczał dziko wokół niej, ale była zdecydowana utrzymać się w pozycji stojącej. W końcu zdołała odbyć drogę do zakratowanego okna.

Tak jak przypuszczała, była w zamku.

Za oknem wieża opadła jakies sześćdziesiąt stopów w dół do fosy pokrytej niemal całkowicie wodnymi liliami. Krajobraz za fosą był zielony i świeży; roślinność rozkwitała w letnim słońcu. Zdawało się jej, że dostrzega w oddali zarys wieży wiejskiego kościółka, ale nie była całkowicie pewna.

Anglia... czy inny kraj? Meriel zamierzała udać się do Lizbony...

Gdzie jest Meriel?

Wciąż czując silne zawroty głowy, Sara odwróciła się i jeszcze raz rozejrzała po

pomieszczeniu. Ani śladu obecności Meriel. Potrząsnęła głową próbując zebrać myśli. Highclere zamierzał zabrać je gdzieś obie. Czyżby Meriel trzymano w innym miejscu?

Wyjęła ostatnie spinki z włosów; opadły swobodnie na plecy splatana masa. Czy może w jakiś sposób wydostać się z tego więzienia? Przyjrzała się z powatpiwaniem ciężkim, obitym metalowymi sztabami drzwom. Nie miała z pewnością dość siły, by je pchnąć, nawet jeśli nie są zamknięte.

Oszczędzono jej sprawdzania tego. Rozległ się zgrzyt przekreślanego klucza (a więc były zamknięte) i skrzywienie nie naoliwionych zawiasów, a ciężka płyta zaczęła się otwierać do środka. W drzwiach pojawiła się młoda kobieta, ubrana jak wiesniaczka. Niosła drewnianą tacę, na której spoczywał dzban i kubek. Za jej plecami stał Geoffrey Highclere, schludnie odziany w rewolucyjną czern. Lajdak wyglądał naprawdę elegancko i Sara na jego widok poczuła się jeszcze bardziej brudna.

Sluzaczka zobaczyła stojącą Sarę i wydała cichy pisk przestraszenia. Pobiegnęła szybko do stołu i postawiła na nim tacę. Highclere uśmiechnął się szeroko.

-A więc księżna już się zbudziła? Doskonale, to mi zaoszczędzi kłopotu.

-Gdzie jest Meriel? - zapytała Sara z jankeską bezpośredniością. Jeśli Highclere spodziewał się owijania w bawełnę, to nie miała zamiaru tracić na to czasu.

Uśmiechnął się znowu, najwyraźniej szukając jakiegoś zrezygnowanego wykrętu, ale Sara nie miała już cierpliwości.

-Tylko nie kłam, panie Highclere! Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich bajeczek.

-Powinna pani być nieco miłsza - odparł Highclere tonem zranionej niewinności. - Jest pani bądź co bądź moim więźniem.

Sara parsknęła zgoła niearystokratycznie.

-Zabieraj się stąd, dziewczyno, i powiedz Monsignorowi, że może już porozmawiać z więźniem - wydał polecenie po francusku Highclere.

Przestraszona sluzaczka ukloniła się i uciekła z pokoju.

Sara patrzyła Geoffreyowi w oczy. Jej serce biło dziko, ale wiedziała, że zachowuje kamienny wyraz twarzy i że wyprowadza go tym z równowagi. Jej wrogiem był miejskim mieczakiem, który nie przeżyłby nawet dnia w niezmiernych puszcach kraju Sary. Jeśli tylko zdoła uciec z tego zamku, zniknie bez śladu i nigdy nie zdołają jej znaleźć.

-Pewnie myślisz, że możesz patrzeć na mnie z gory, ale zapewniam cię, że Monsignor nie będzie dbał o twoje pochodzenie. Zmiażdży cię jak lupinę orzecha, wystarczy, że zacisnie

dlon...

-A potem może mnie zjeść - odpowiedziała mu Sara. - Przerazająco to brzmi, panie Highclere, ale nic pan nie wskóra. Zdradziłeś Anglię, Highclere, i chociaż muszę przyznać, że mam pewną sympatię dla zdrajców i rewolucjonistów, nie mogę zaakceptować sposobu, w jaki potraktowałeś lady Meriel - powiedziała twardo, starając się skierować rozmowę na temat, który najbardziej ją interesował.

-To, jak ja potraktowałem, nie ma tu nic do rzeczy - warknął Highclere. - Mam nadzieję, że ta suka zdechnie w jakimś rowie. Zwiąła z powozu na pierwszym postoju, zostawiając cię, moja droga księżno. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie teraz jest.

-Jak bardzo mi cię żal - powiedziała ze współczuciem Sara. Twarz Highclere'a pociemniała z gniewu. Ruszył ku niej z uniesioną pięścią. Sara stała bez ruchu, gotowa odeprzeć jego atak. Była wojowniczką Ludu, a Highclere to łatwy przeciwnik. Sara czekała, aż go obezwładni i wykorzysta szansę ucieczki.

Niestety jej plan się nie powiódł, bo do pokoju wkroczył jakiś mężczyzna w nieznanej jej mundurze.

-Monsieur Talleyrand przyjmie pana teraz, m'sieur Highclere. Przyjmie również madame la duchesse.

Sara nie wiedziała, że Charles-Maurice de Talleyrand-Perigord nosił w niektórych kręgach przydomek Czarnego Księdza - prawdopodobnie z powodu swojego przymusowego pobytu w zakonie, ale tylko na podstawie wyglądu sama mogłaby nadać mu taki przydomek. Jego niegdyś ciemne włosy teraz, po sześćdziesiątce, już nie były tak gęste, ale wciąż miał niewinny, pocziwy wyraz twarzy wiejskiego kapłana. Talleyrand uciekł od Terroru, stając się jego narzędziem, a kiedy krwawe koło rewolucji znów odwróciło, - stał się z kolei narzędziem terroru Imperium.

Ubrany był w czern, jak zwykły kleryk, czarne też były jego rękawice i chusta owinięta wokół szyi. Niektórzy mówili, że to dlatego, że na czarnej chustce mniej widać krwi niż na białej krawacie, ale Sara na szczęście nie słyszała tych opowieści.

Siedział na zwykłym krześle, za prostym drewnianym biurkiem. Obok jego łokcia stał kalamaz, leżały pióra i kilka zwojów papieru. Wyglądał jak zwykły urzędnik sądowy, który zaraz<< zacznie spisywać zeznania świadka.

Sara rozejrzała się po pomieszczeniu, do którego ją przyprowadzono. Niegdyś musiał się tu mieścić zamkowy salon. Komnata miała trzydzieści na sześćdziesiąt stop i kiedyś zapewne była bardzo piękna, ale teraz panowała tu taka sama atmosfera zapożyczenia i opuszczenia jak w całej reszcie budynku. Biała plama na drewnianej podłodze wskazywała na miejsce, gdzie kiedyś leżał kobierzec, a niektóre okna zalepiono papierem, co powodowało, że w pokoju panował lekki półmrok. Ozdobne ściany w wielu miejscach zostały uszkodzone, a

arrasy z nich zdarte. Wielki kominek z białego marmuru ktoś rozbił młotkiem albo i łomem; nie oszczędzono nawet figurek nimf i satyrów. Nie plonął w nim teraz ogień i mimo letniej pory w pustym pokoju było zimno.

-Dzień dobry, madame la duchesse - powitał ją Talleyrand swoją twarzą angielszczyzną, kiedy przywiedziono ją jego przed biurko. - Wierzę, że miała pani przyjemna podróż.

-Niech pan przestanie odgrywać komedie! - wybuchnęła Sara - Dobrze pan wie, że nie miałam. Porwano mnie, podano mi narkotyki. A jeśli pan nie wie, jak się można czuć po takiej dawce laudanum, to radzę spróbować!

-Madame jest bardzo narowista - zauważył Talleyrand. - Byli tu już tacy, ale zachowywali się tak tylko podczas pierwszej wizyty. Potem już nie.

-Jeśli jestem tu tylko po to, by mógł pan osobiście mnie zabić - odpowiedziała mu równie uprzejmie Sara - to sądzę, że ma pan pod ręką parę setek innych kandydatów, znacznie łatwiej dostępnych niż ja. Kosztowało to chyba trochę wysiłku, aby mnie tu sciągnąć.

-Ale w końcu pani jest - zauważył beznamiętnie Talleyrand.

-Zgadza się - potwierdziła Sara. - I bardzo chciałabym się dowiedzieć, dlaczego.

-Nie wyjaśniłeś? - zwrócił się Talleyrand do Highclere'a.

-Myślałem... to znaczy... jakby to powiedzieć...

Po raz pierwszy Sara była świadkiem, jak Highclere zapomniał języka w gębę.

-Nie myśl. I tak dobrze się spisujesz, Highclere. Nie wymagam od wszystkich moich agentów, by myśleli. Teraz możesz odejść. Chcę porozmawiać z księżną prywatnie, a potem znajdzie się dla ciebie inne zadanie.

Katkiem oka Sara dostrzegła ciemny rumieniec na twarzy Geoffreya, który jednak nie odważył się okazać niezadowolenia człowiekowi, zwanemu Monsignor. Wkrótce opanował się na tyle, że zdołał złożyć sztywny ukłon i opuścić komnatę.

-Teraz możemy poczuć się bardziej komfortowo madame - powiedział Talleyrand, jakby nie zauważył, że Sara ledwo stoi i że nie miała do tej pory możliwości, by choć przeplukac gardło.

-Wyjaśnię pani kilka rzeczy.

Sara była zmęczona, ale także przerażona, i to z każdą minutą mocniej. Zdawała sobie sprawę, że Talleyrand jest znacznie bardziej niebezpiecznym człowiekiem niż Geoffrey Highclere. Ale jej twarz nie okazywała żadnych uczuć. Nawet zapedzona do kąta i zdana na

laske tego człowieka, da sobie rade. Zrobi to, co w takiej sytuacji czyni jeżozwierz. Będzie blefować.

-Nie będę namawiał cię do współpracy, tym możesz się nie martwić - powiedział Czarny Ksiądz, a Sara nie zareagowała. - Chce tylko, aby twój mąż wrócił do domu i dał sobie spokój z donkiszoterią.

Talleyrand wstał i zaczął spacerować po pokoju przemawiając jak wykładowca do studentów.

-Może pani tego nie wie, ale co najmniej od kilku lat diuk Wessex jest głównym politycznym agentem króla Henryka, mieszającym się w sprawy innych suwerennych krajów. Jest mordercą, szantażystą, złodziejem...

-Ale mimo wszystko Anglikiem - wtraciła Sara lekko ironicznym tonem. - Proszę kontynuować, sir. Rozumiem, że sprowadził mnie pan tutaj, abym zmieniła charakter mojego męża?

Talleyrand zatrzymał się i przez jego pocziwą twarz przemknęło coś w rodzaju rozbawienia.

-Można tak to nazwać, moja odważna pani. Otrzymałem ostatnio wiadomość, że obecna misja Wessexu jest wymierzona w samo serce Francji. Monsieur le duc zamierza skończyć zadanie - zaczęte przez jego ojca, który zresztą zginął nie zdolawszy go wykonać. Jest to oczywiście godne podziwu, ale tym razem muszę mu stanąć na drodze. Sprawy Francji mają być pozostawione Francji, a jeżeli diuk tego nie zrozumie, to obawiam się, pani, że w ten sposób przypieczętuje twój los.

Sara zmartwiała, ale nie pokazała tego po sobie. Wiedziała, że w zachowaniu jej męża i w jego ciągłych zniknięciach muszą kryć się jakieś tajemnice. Ale teraz, gdy przedstawiono jej tak dokładnie szczegóły jego profesji...

-Czy nie miałoby więcej sensu - odezwała się obojętnym tonem - gdyby zamordował pan raczej mojego męża? Mówię to oczywiście dla dobrej pańskiej sprawy. - Zmusiła się, żeby stać bez drgnienia, jak na polowaniu. To też było swego rodzaju polowanie... tylko kto był myśliwym, a kto zwierzyną?

-Muszę przyznać, madame, że z tym właśnie mamy pewne kłopoty - powiedział Talleyrand. Zatrzymał się i spojrzał jej prosto w twarz.

Stał tyłem do okna, a jego czarny płaszcz oświetlały promienie słońca, przechodzące przez szyby i przez papierowe zasłony niektórych okien. Siwe włosy też lśniły metalicznym blaskiem. Przez moment wyglądał nie jak człowiek, ale jak niehumanitarne narzędzie przeznaczenia.

-Na razie nie znalazłem żadnej dobrej metody, aby załatwić z diukiem tę małą sprawę. Próbowaliśmy to rozwiązać w Kopenhadze, ale otrzymaliśmy ostatnio informacje z Paryża, że diuk wciąż żyje, chociaż niestety stylu bycia nie zmienił. Trudno nam będzie przedstawić mu naszą ostatnią ofertę: że albo musi się stąd wynieść, albo dostanie twoją słodką głowę, pani, w dużym pudełku.

Sara nie zdołała powstrzymać drżenia, słysząc te okrutne słowa Talleyranda. Zamysłona podeszła do biurka i spokojnie usiadła na krześle, które zwolnił Francuz. Splotła dłonie, uniosła głowę i patrzyła na niego.

-Trudno będzie go do tego przekonać - powiedziała po chwili milczenia - ponieważ on mnie nie kocha.

Kiedy to mówiła, cząstka jej serca krzyczała, że to nie ma znaczenia, bo ona kocha jego... że przekroczyła granice między światami, aby go spotkać...

Talleyrand spojrzał jej prosto w oczy z poważnym wyrazem twarzy, jakby był jej spowiednikiem.

-Moja droga księżno, nic dziwnego, że wyglądasz na pogrążoną w depresji. Jak mężczyzna może odrzucać kobietę o takim charakterze, urodzeniu... i zapewne majątku? Naprawdę Wessex jest dziwnym człowiekiem. Ale nie martw się, pani. Wessex na pewno będzie chciał ocalić twoje życie, bo jesteś jego żoną. Może nie nazwałbym tego sprawą honoru, bo tego nie ma żaden szpieg, ale z pewnością jego duma bardzo by ucierpiała, gdyby zabito mu żonę. No cóż, madame, wątpliwa to nadzieja, ale jedyna, jaką mamy... ty i ja.

Sara bolała głową. Była spragniona, zmęczona i zaczynała czuć głód. Rozzłościło ją też, że ten człowiek traktuje ją, jakby byli sojusznikami.

-Sądzi pan, że nie ma szans, abym wyszła żywa z tego zamku? - zapytała z ironią.

-To prawda, madame, ale musi pani mieć nadzieję - odparł Talleyrand. - Wszyscy musimy mieć nadzieję w tych okropnych, niepewnych czasach.

Nie czekając na jej odpowiedź podszedł do drzwi i zapukał. Drzwi się otworzyły i stanął w nich ten sam młody żołnierz, który przyprowadził ją do tego pokoju. Teraz miał odprowadzić ją z powrotem.

-Jak się tu znalazłeś? - zapytał Wessex swojego zblakłego przyjaciela. - Albo bardziej do rzeczy: po co? Przysłał cię Misbourne? Znalazła się księżniczka?

Kosciuszko wzruszył ramionami. Wyglądał na zmieszanego.

-Nie i nie. Ale zapewniam cię, że bron Ripona też nie wypaliła. Lady Meriel jest tutaj... - Kosciuszko zdawał się zbierać siły - ...i także księżna Wessex.

Przez krótki moment Wessexowi zdawało się, że Kosciuszko ma na myśli jego babkę, ale zaraz sobie przypomniał, że to Sara jest teraz księżną Wessex.

-Jest we Francji? - zapytał obojętnie.

Kosciuszko krótko przedstawił mu informacje, które zdołał pozbić - bal u earla Ripona, nocna wizyta Meriel u księżnej Wessex, ich ucieczka do Talitho, nagle przybycie Geoffreya Highclere'a.

-Za późno wpadłem na trop tego stateczku, którego zamierzał użyć i nie zdołałem go powstrzymać przed wypłynięciem, ale to Highclere odpowiada za tę podróż. Księżna z pewnością nie zamierzała nigdzie płynąć ani zostawić swojego wozu i służby. W pokoju na gorze znalazłem jej służącą, uśpioną. To ona mi powiedziała, że uciekały przed panem Highclere'em. No i z tego wynika, że im się nie udało.

-Kobiety! - mruknął Wessex z gniewem i desperacją. Jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach. - Jeśli Highclere przybył do Francji, wniosek z tego, że sprawa Starej Religii, która tak bardzo leży na sercu jego bratu, jest mu raczej obojętna.

-Albo wobec niepowodzenia spisku... na co wskazuje ucieczka dziewczyny, która miała w nim odegrać ważną rolę... szuka sobie nowego protektora. Nie jest z nikim ściśle związany - zasugerował Kosciuszko.

-Ale po co ja zabrał? - zapytał Wessex. Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

-Poczekalem na powrot kapitana Crispina i kazalem przewiezc sie lodzia razem z koniem w to samo miejsce. Nasz kapitan jest bardzo elastycznym czlowiekiem, jesli pojawia sie twarda waluta.

Ale byłem tam dzień później i wszelki trop urywał się w małej wiosce nieopodal. Postanowiłem więc strzelić na ślepo, a ponieważ Verdun jest bardzo prawdopodobnym...

-Więc jesteś tutaj - przerwał mu Wessex. - Ja miałem ten sam pomysł, jeśli chodzi o księżniczkę Stefanię i jej siostrę. Spróbujemy szczęścia? Zakładam oczywiście, że masz pomysł, jak przedostać się przez bramy.

-Jeśli o to chodzi - powiedział skromnie Kosciuszko - to zawsze mam jakiś pomysł.

Porucznik nowo sformowanego Batalionu Polonais de la Garde Imperiale dopadł bramy Verdun z furją młodego arystokraty, który stracił cały dzień w drodze i spóźnił się na wieczerzę. Samo pytanie o jakiegokolwiek papiery byłoby obrazą. On i towarzyszący mu m'sieur le chevalier są przydzieleni do departamentu samego Talleyranda - i zadawanie im jakichkolwiek pytań jest po prostu impertynencją. Czy dżentelmeni - porucznik wypowiedział to słowo z przekasem - chcieliby posłać po swojego oficera, aby zmierzył się z porucznikiem na szablę w pobliskim lasu?

Ten wyjątkowo mocny blef podziałał. Oficerowie kawalerii często byli wysyłani jako kurierzy albo posłancy; wszyscy we Francji wiedzieli, jak bardzo Bonaparte ceni sobie swoje polskie oddziały ze względu na umiejętności i odwagę, która wyróżniały się w tej najbardziej międzynarodowej armii świata. W końcu strażnicy ich przepuścili i Kosciuszko z Wessexem wjechali do Verdun.

-Ta maskarada nie wystarczy na długo - powiedział Wessex do swojego partnera, gdy jechali do przeznaczonej dla nich kwatery.

-Nie sądzilem, że chcesz tu zostać długo - odparł z prostotą Kosciuszko.

Verdun wyglądało jak miasto, które dopiero co zostało zdobyte. Jego najpiękniejsze rezydencje zajęli ci, których było stac, aby zapłacić za lepsze warunki więzienia, natomiast pozostali tłoczyli się w każdym zaułku tego średniowiecznego grodu. Zapewnienie każdej życiowej potrzeby kosztowało tu bardzo dużo, a znalezienie się w tym mieście bez pieniędzy oznaczało życie w skrajnej nędzy. Zageszczenie było niewiarygodne, zwłaszcza jeśli dolożyć do tego wąskie uliczki i przechadzające się po nich liczne patrole, które często opuszczały baszty i mury, w całości obsadzone przez cesarskich żołnierzy. Kiedy wojna się skończy, internowani w mieście ludzie będą mogli je opuścić. Ale czy znajdą jeszcze swoje ojczyzny, do których będą mogli powrócić - to było zupełnie odrębne pytanie, a perspektywa tak odległa, że niektórzy mogli jej nie dożyć.

Wessex i Kosciuszko zameldowali się w przypisanej im kwaterze. Mimo przepelnienia zaopatrzenie dla oficerów było tu takie samo jak w każdym innym miejscu we Francji. Zostawili konie w stajni i postanowili usiąść przy kawie, by zastanowić się nad następnym ruchem.

-Wiesz? - zapytał po prostu Kosciuszko, gdy już przyniesiono im kawę i koniak. Mówił po francusku, chociaż w tym międzynarodowym mieście na miejscu byłby każdy język.

-Zadziwiasz mnie - odparł uprzejmie Wessex. - Jesteśmy w Verdun i interesują nas plotki. Wiesz gdzie powinniśmy pójść?

Kosciuszko zastanawiał się przez krótką chwilę.

-Słusznie. Idziemy zatem do Helicony.

Wessex uśmiechnął się.

Germaine de Staël baronowa de Staël-Holstein urodziła się w tysiąc siedemset szesćdziesiątym szóstym roku. Jej przeznaczeniem było bogactwo i przywileje. Uznana na świecie pisarka i intelektualistka została wygnana z Francji przez Rewolucję, a potem już tylko z Paryża przez Dyktariat. Kiedy upadł także ten rząd, Madame powróciła do swojego ukochanego Paryża i stała się jednym z największych paradoksów Francji - płomienna rojalistka, która jednocześnie głosiła ideały rewolucji. W imieniu obu tych swoich

miłości sprzeciwiała się każdemu krokowi, który czynił Bonaparte sięgając po laury cesarskie. I kiedy Imperator dwa lata temu ponownie zabronił jej wstępu do Paryża, osiadła właśnie w otoczonym murami Verdun, po prostu aby z niego zadrwić. Tu wydawała jedną z najważniejszych podziemnych gazet w Europie. Plotka głosiła, że jej pamflety i eseje doprowadzały do szalu Napoleona i jego krwawego pupilka Talleyranda, którego poddała straszliwej krytyce w powieści Delphine, będącej przyczyną jej wygnania. Jednak Napoleon nie chciał uchodzić za radykała podejmując odwetowe akcje przeciwko jednej kobiecie, która w dodatku była córką bohatera Rewolucji - bankiera Jaques'a Neckera.

Tak więc Madame de Stael odtworzyła swój słynny paryski salon w tym wieziennym mieście i sama swoją obecnością drwiła z Cesarza.

Dotarcie spacerkiem do domu Madame de Stael, przez zatłoczone ulice miasta, zajęło Wessexowi i Kosciuszce niemal godzinę. Verdun przypominało Wessexowi miasto Wschodu - pełne rozkrzyczanych ludzi, złodziei i handlarzy.

Odzwierzy, który otworzył pomalowane na zielono drzwi Madame, był bardzo oficjalnie ubrany w liberie i przypudrowana peruke. Na widok niezwykłego munduru Kosciuszki słuzacy unosił tylko nieznacznie brwi, natomiast bilet wizytowy Wessex'a wziął bez zbędnych pytań. W chwili później wrócił by powiedzieć, że Madame przyjmie ich obu.

Wessex, a za nim jego przyjaciel, wkroczyli zatem do salonu.

Ściany pokoju pokrywały fantastyczne malowidła, a umeblowanie przywodziło na myśl baśnie z tysiąca i jednej nocy. Obrazy olejne przedstawiały głównie panoramy ukochanego przez Madame de Stael Paryża, ale dywany i pufy oraz rzeźby kojarzyły się głównie ze Wschodem. Znajdowały się tu też bardziej niezwykle elementy - jak na przykład wielka, zielona, papuga, siedząca na drzewku z kosciami słoniowej, czy mała czarna małpka, odziana w liberie, a urzędująca na ramieniu Madame. Mimo zbliżającej się czterdziestki Madame de Stael wciąż była niezwykle przystojna kobieta. Chociaż jej czarne krecone włosy, przykryte indyjskim szalem, były już nieco przyproszone siwizną, wciąż zachowała zgrabną figurę i gładką białą skórę - i wciąż mogła zadziwić nie tylko niezwykłą inteligencją, ale także urodą.

Wyciągnęła rękę do wchodzącego Wessex'a.

-Reynard! - zawołała z radością dzwiecznym głosem. - Wciąż jednak żyjesz!

Wessex przykleknął na jedno kolano i z uszanowaniem ucałował rękę Madame.

-Doniesienia o mojej śmierci, jak zawsze, były znacznie przesadzone, Madame. Jak widzisz, wpadłem do twojego domu, aby zadać im kłam.

-Z własnej woli lub nie - dokończyła Madame spoglądając na jego kompana.

Wessex go przedstawił i Kosciuszko zaczął natychmiast szybko coś mówić po polsku. Wessex wprawdzie nic nie rozumiał, ale Madame najwyraźniej była w tym języku na tyle biegła, że pojmowała nawet dwuznaczności.

-Niedobry chłopiec - powiedziała po francusku, rumieniąc się gwałtownie. - Ale miło jest usłyszeć, że wciąż jeszcze czyta się moje książki.

-Alez Madame, największe triumfy jeszcze przed pania - odparł z galanterią Kosciuszko. - Już słyży się o jakimś arcydziele, które właśnie powstaje... rzecz dzieje się w Niemczech, prawda?

-Młody pochlebca! - powiedziała ze śmiechem Madame - Tak, wciąż jeszcze pisze, choć wiem, że ten człowiek w Paryżu bardzo by chciał, abym już przestała. A teraz wypijemy herbatę i opowiecie mi wszystkie nowiny z wielkiego świata, który przede mną jest zamknięty.

Prawie godzinna rozmowa dotyczyła głównie wypadków w Paryżu i wojny na Kontynencie. Madame nie była aż tak źle poinformowana, jak twierdziła, a jej reputacja jako jednej z najbardziej interesujących rozmowczyń w Europie została w pełni potwierdzona. Dyskusja poruszała kwestie praw człowieka i form rządów, ale dotykała niekiedy problemu trudnych warunków, w jakich żyli internowani w Verdun. Wessex w końcu miał szansę skierować rozmowę na interesujący go problem.

-Naprawdę szokujące. Można się zastanawiać, jak długo jeszcze Korsykanin zamierza zsyłać tu ludzi nikogo zarazem nie wypuszczając. Przecież muszą być jakieś granice, do których można tu upychać tych nieszczęśników. - skomentował.

-Rzeczywiście - odparła Madame rzucając bystre spojrzenie na człowieka, którego знаła jako kawalera de Reynarda. - Nie dalej jak trzy tygodnie temu zmuszeni byliśmy przyjąć tu prawdziwą armię Anglików, których okręt rozbił się na skalach koło Calais. A co najdziwniejsze, był to dąński statek. I chociaż Dania prowadzi wolny handel z Francją, dąńscy oficerowie także zostali uwięzieni, a okręt zagarnięty. To więcej niż szokujące, to po prostu haniebne!

-Rzeczywiście haniebne - zgodził się Wessex spokojnie, chociaż serce zabiło mu gwałtownie. Wietrzył świeży trop. - Ale to pewnie tylko tymczasowa sprawa. Wystarczy, że kapitan wróci się do dąńskiego ambasadora, a zostanie uwolniony, a wraz z nim wszyscy Dunczycy.

-Tak by się mogło wydawać, monsieur le chevalier... ale większość listów wychodzących z Verdun jest czytana przez komendanta garnizonu i często zatrzymywana. A jeśli w dodatku powiem, że to był statek wiozący członków dąńskiej rodziny królewskiej do Anglii, gdzie miało się podpisać traktat dołączający Danię do Wielkiej Koalicji, walczącej z moją biedną Francją trzymaną w garści przez tego szalenca...

-W takim razie nie dziwie sie, ze Bonaparte przetrzymuje ten okret i wszystkich, ktorzy na nim plyneli, bo tam, dokad wybierala sie Dania, wktotce moga podazyć pozostałe panstwa neutralne - powiedzial Wessex. - Rosja juz tak zrobila.

-A Dania nie odwazy sie stanac po przeciwnej stronie niz Rosja, bo inaczej car uzyje tego jako pretekstu, by ja zagarnac. - Madame zacisnela dlon, by podkreslic swoje slowa. - Ale nie trzymaja tu wszystkich, ktorzy plyneli na tym statku. Tak sie przynajmniej mowi - zakonczyla Madame.

Siegnela po kostke cukru i podala ja malpce. Ta pochwycila lup i wskoczyla na krawedz ozdobnego lustra, aby schrupac swój skarb.

-Jesli tak sie mowi, Madame, to nie watpie, ze mowi sie przede wszystkim tobie - odezwal sie uprzejmie Wessex. - Kazdy wie, ze jestes pani uszami, oczami i sumieniem Francji. Moze byloby dobrze zaznajomic sie z tymi ludzmi... ale pod warunkiem, ze wiedza, co to zabawa. Z wyjatkiem twojego domu, który jest prawdziwa oaza na pustyni, wszedzie tutaj jest smiertelnie nudno i ja tez umieram z nudow.

-Moj biedny Reynardzie! - rozesmiala sie donosnie Madame. - Bedziesz jeszcze bardziej znudzony, gdy spedzisz tu kilka tygodni.

-Obawiam sie - odparl lekko Wessex - ze moj pobyt tutaj potrwa znacznie krocej. Wpadlem tylko odwiedzic pana.

-Alez, moj drogi... - zaczela Madame i nagle zamilkla. - Zamierzasz opuscic Verdun?

-Prawie natychmiast - odpowiedzial Wessex. - Jesli tylko Jacks mnie tu nie znajda.

Madame skrzywila sie z obrzydzeniem na dzwiek tego slowa.

-W takim razie poprosze cie o wyswiadczenie mi drobnej przyslugi, a w zamian postaram sie poradzic cos na twoja nude. Chcialbym, zebys towarzyszył mi przy obiedzie. Oczywiscie razem z twoim przystojnym przyjacielem.

Madame wyciagnela blyszczaca klejnotami dlon, siegnela po zolta jedwabna linke od dzwonka i pociagnela energicznie.

Wessex juz stal.

-To bedzie dla nas najwyzszy honor, Madame. Oczywiscie sie zjawimy.

Wedle wszelkich standardow - nie tylko dotyczacych przepelnionego Verdun - obiad byl bardzo obfity. Zaczynal sie od zupy i sherry, a potem kolejno pojawialy sie rozmaite arcydziela sztuki kulinarnej. W posilku wzieło udział osiem osob. Madame nie miala zamiaru ulegac konwencjom i starac sie rownowazyc towarzystwo - byla w nim jedyna kobieta.

Kosciuszko zmienil mundur na stroj wieczorowy, chyba jeszcze bardziej ekstrawagancki, a kawaler de Reynard ubral sie stosownie do okolicznosci w seledynowy jedwabny surdut, orientalna brokatowa kamizelke i jasnoszare spodnie ozdobione metalowymi guzikami. Wlasciwie takie spotkanie mogloby sie odbyc w kazdym miescie - tutaj jednak wyczuwalo sie pewne napiecie, pochodzace ze swiadomosci otaczajacych ich murow.

Jak obiecala Madame, Wessex spedzil czas niezwykle interesujaco.

W obiedzie oprócz niego i Kosciuszki uczestniczyli też kapitan Rytter, dowodzący "Krolowa Christina", lord Valentine Grant - ujmujący rudowłosego potomka jednego z angielskich rodów szlacheckich, belgijski duchowny o nazwisku Poirot i sir John Adams, poseł króla Henryka na dąńskim dworze. Rozmowę toczono po francusku.

Wessex przyglądał się uważnie sir Johnowi i dziękował bogom, że nigdy dotąd nie spotkał się z nim osobiście. Sytuacja mogłaby być niezreczna, gdyby sir John znalazł go jako diuka Wessexa, a teraz przedstawiono mu go jako kawalera de Reynarda. Chociaż z drugiej strony nawet gdyby tak się zdarzyło, stary lis chyba nie dalby po sobie poznać zdziwienia. Posel króla Henryka osiągnął w tym roku rzadki wiek czterdziestu lat, ale wciąż był pełen wigoru. Urodził się w angielskich koloniach w Ameryce Pomocnej, a na tę najtrudniejszą z dyplomatycznych placówek trafił z uwagi na swoją nieustepliwość w negocjacjach.

Jeśli nawet sir John był nieco przytłoczony tą nagłą odmianą losu, Wessex nie mógł tego po nim dostrzec.

Obecność kapitana Ryttera przy stole madame de Stael dowodziła, że Wessex miał rację. "Christina" została jakimś cudem sprowadzona z właściwej drogi i rzucona na niegościnne francuskie wybrzeże.

Oczywiście było nie do uniknięcia, że rozmowa w końcu zbieżyła na ten temat. Wessex dowiedział się, że statek po prostu wpłynął w mgłę, a kiedy z niej wypłynął, znajdował się przy francuskim brzegu, setki mil od swojej poprzedniej pozycji.

-Obawiam się, że Francuzi wcale nie uwierzyli w moje wyjaśnienia - stwierdził z zalem kapitan Ritter. - Wkroczone na pokład mimo naszych protestów, pojmano nas i zesłano tutaj. Sądzę, że Kronprinz będzie musiał potraktować to jako akt wypowiedzenia wojny. Dania jest neutralna i nieuszanowanie jej bandery to akt czysto piracki.

-Zapewne tak to potraktuje, jeśli kiedykolwiek się o tym dowie - powiedział lord Valentine. Najmłodszy syn diuka Hurley, Valentine opuścił dom w bardzo młodym wieku i nigdy już do niego nie powrócił, ponieważ jego poglądy polityczne bardzo różniły się od poglądów jego ojca. - Ale śmiem twierdzić, że Boney wcale go o tym nie poinformował. Zrobiłby wszystko, aby nie dopuścić do sojuszu Danii z Brytanią, a porwanie z morza córki księcia regenta byłoby niezłym krokiem w tym kierunku.

-Ale do tego na szczęście nie doszło - powiedział kapitan Rytter. - Księżniczka była na pokładzie "Trygve Lie", a nie słyszeliśmy, by z tym drugim statkiem też się coś stało.

Wessex powstrzymał się przed spojrzeniem na Kosciuszke. Jego partner był wówczas na pokładzie tamtego statku i mógłby przysiąc, że księżniczki tam nie było. Diuk patrzył za to uważnie na sir Johna, który spośród wszystkich tu zebranych wiedział najlepiej, że kapitan Rytter kłamie.

-Zdawało się niemożliwością przekonać o tym także naszych przyjaciół - powiedział bez specjalnych emocji sir John swoim płynnym, dyplomatycznym francuskim. - Pokojowki księżniczki, jej lokaje i gwardziści byli na pokładzie pochwyczonego statku. A jednak, chociaż bardzo dokładnie szukali, nie mogli znaleźć księżniczki. Kapitan Rytter oczywiście

powiedział Francuzom, że nie było jej na pokładzie - sir John wzruszył ramionami. - Jednak ich zdolność pojmowania była poniżej przeciętnej.

-A więc księżniczka Stefania dotarła bezpiecznie do celu - podsumował z radością Kosciuszko. - Doskonale się złożyło.

Pod koniec posiłku Madame de Stael dość nieoczekiwanie wstała.

-Zostawie was teraz na chwilę, panowie, nad szklaneczką portu, jak kaze dobry obyczaj. Moja nieobecność potrwa tylko chwilę. Drogi kawalerze, chciałabym, abyś dotrzymał mi towarzystwa.

Wessex posłusznie wstał od stołu i w ślad za Madame opuścił jadalnię. Nie poprowadziła go do głównego salonu jak się spodziewał, ale do swojej pracowni na piętrze.

-Czy jesteś zupełnie pewien, m'sieur le chevalier, że opuścisz Verdun w ciągu najbliższych kilku dni? - zapytała go Madame de Stael.

-Mogę chyba obiecać, że nie będzie mnie tu do końca tego tygodnia. Zbyt długie siedzenie w jednym miejscu jest bardzo nudne.

-W takim razie dam ci ten rękopis, który chciałbym zobaczyć opublikowany we Francji.

Ze schowka w biurku Madame wyciągnęła gruby plik papierów, zapisanych starannym, drobnym pismem. Złożyła strony razem, tworząc stos niemal na stopę gruby, i zaczęła owijać go czerwonymi sznurami.

-To moja ostatnia praca na motywach podróży do Włoch. Corinne przypomni światu, że jeszcze istnieje.

-Jeżeli otrzyma pani pozwolenie. Minister policji pewnie będzie miał tu coś do powiedzenia - zauważył uprzejmie Wessex.

Madame wybuchnęła głośnym śmiechem.

-Powiedziałby zapewne wiele, gdyby wiedział, że to moje pióro. Ale o tym dowie się dopiero wtedy, gdy książka będzie już w obiegu. Chciałabym zobaczyć, jak się wtedy będzie tłumaczył przed swoim korsykańskim władcą. Ale najpierw rękopis musi trafić do wydawcy i do prasy.

-Droga pani... - zaprotestował Wessex, lekko zaniepokojony.

-Och, nie obawiaj się, m'sieur le chevalier. Nie zamierzam wykorzystać ciebie jako mojego pośrednika. Od jakiegoś czasu koresponduje z pewnym religijnym dżentelmenem, który ma całkiem otwarty umysł. Twoim zadaniem będzie tylko dostarczenie tej paczki do malej

wioski Auxerre i oddanie jej tamtejszemu oberzyscie. Pere le Conde odbierze jawę właściwym czasie, ale i tak oszczędzi mi to czasu na ponowne pisanie tej książki, bo komendant naszego miasta zapewne nie omieszkałby zgubić mojej przesyłki, jak to się już nieraz zdarzało. Pomoże mi pan, m'sieur le chevalier? Zdaje mi się, że został pan w tym celu przysłany przez samego Ducha Wolności.

-Jeśli piękna i genialna kobieta występuje z uprzejmą prośbą, co pozostaje mężczyźnie, jak tylko oddać się na jej usługi? - odparł Wessex z galanterią. Potrzebował pomocy Madame de Stael, chociaż już mu dużo pomogła, umożliwiając nawiązanie kontaktu z sir Johnem. Przy okazji z chęcią utrzyma nosa biurokratycznym rzeźnikom, którzy starali się kontrolować ludzkie umysły.

-Owino go jeszcze dokładnie na drogę - powiedziała Madame. - Nie mogę niestety powierzyć tego mojej służbie, bo szpiegów są tu wszędzie, wielu także pomiędzy moimi domownikami. Ale na razie mamy jeszcze przed sobą całą noc. Zaprosiłam kilku wyjątkowych przyjaciół, których nie trzeba się strzec.

Wesołe i suto zakrapiane przyjęcie skończyło się dobrze po pomocy. Wzięło w nim udział jeszcze około dwudziestu mieszkańców Verdun - kobiet i mężczyzn o otwartych umysłach, którzy ożywiły te ściany żartami i śmiechem. Wessexowi nie spieszyło się do rozmowy z sir Johnem aż tak bardzo, aby podchodzić do niego podczas przyjęcia. Sir John opowiadał coś nieścisłego o swoich warunkach mieszkaniowych, więc dzięki łatwości ustalił, gdzie będzie mógł go później znaleźć.

Kiedy Wessex zebrał się z towarzystwem, Madame wręczyła mu zawinięty starannie w płótno pakunek.

-Panskie książki, kawalerze. Proszę mi je szybko zwrócić - powiedziała głośno.

-Może pani na mnie w zupełności polegać - odparł Wessex, a po cichu dodał: - Zwrocę je pomnożone tysiącrotnie.

Kiedy Wessex pojawił się w kwaterze, odkrył, że Illia Kosciuszko leży na łóżku w koszuli i spodniach.

-Widza, że zrobiłeś zakupy - powiedział na widok paczki w rękach Wessexa.

-To może w rezultacie wyrządzić Bonapartemu więcej szkody niż kompania ciężkiej artylerii - powiedział Wessex rzucając na łóżko owinięty w płótno rękopis Madame de Stael. - Mamy to dostarczyć do wioski zwanej Auxerre.

-Wiem, gdzie to jest - odparł Kosciuszko. - Jakies sto osiemdziesiąt kilometrów od Paryża. Madame ma tam zapewne przyjaciół, którzy pomogą jej to wydrukować. Pytanie tylko, czy to na pewno kierunek, w jakim chcemy się udać?

-Bede znal odpowiedz na to pytanie, gdy spotkam sie z sir Johnem Adamsem - powiedzial Wessex. Zdjal wieczorowy stroj, by zmienic go na surdut i spodnie, ktore nosil za dnia.

Jednak najpierw wywrocil surdut na lewa strone. Nie byl podbity jedwabiem ani satyna, ale miekkim czarnym moleskinem, ktory doskonale pochlanial swiatlo. Po tej stronie surduta przyszyto tez male czarne guziki. Kiedy Wessex go wlozyl i przypial rownie czarny kolnierz, mial na sobie cos w rodzaju czarnej tuniki, zapietej wysoko pod szyje. Potem opuscil mankiety, aby zakryc rekawy bialej koszuli. Teraz byl caly w czerni i trudno byloby go dostrzec w swietle pochodni.

Wlozyl buty podbite guma, co umozliwialo bezszelestne poruszanie sie i znacznie ulatwialo wspinanie po scianach.

Kosciuszko ze swej strony pogrzebal w bagazach i wydobyl j szeroki szal z czarnej gazy. Byl wystarczajaco cienutki, aby przez niego widziec, ale zakrywal dokladnie biala twarz i jasne wlosy diuka, ktory teraz stal sie prawdziwa nocna zjawa. Wessex podziekowal przyjacielowi i zaczal owijac sie w welon.

-A co ja mam robic w czasie, gdy ty bedziesz straszyl naszego wspanialego sir Johna? - zapytal Kosciuszko,

Wessex wsunal za cholewe jednego z butow dlugi noz i owinal dokladnie chustka maly pistolet, ktory schowal za pazuche.

-Ty, moj drogi, bedziesz rozmyslal nad sposobem wydostania sie z tego miasta wraz z naszymi konmi, tak aby nie narobic za duzego halasu. I nie zapomnij o paczce Madame. O kilka mil stad na zachod jest gospoda. Bede tam o swicie.

-A jesli nie?

-Wtedy, na Boga, zawiez paczke Madame do Auxerre i wracaj do domu tak szybko jak mozesz. Misbourne musi wiedziec, ze swita ksiezniczki Stefanii jest w Verdun. Kapitan klamal, ona byla na tym okrecie. I mam nadzieje, ze sir John mi to wytlumaczy. Ale informacja, ze ksiezniczka przebywa tutaj, jest bardzo istotna.

-A co z ksiezna? - przypomniał Kosciuszko. - Highclere porwal twoja zone.

Na moment twarz Wessexa stezala, ale odezwal sie nie zmienionym glosem:

-Zawiez informacje do Londynu i rekopis do Auxerre. Dolacze do ciebie tak szybko, jak tylko bede mogl.

Ale chociaz pozornie lekcewazyl los ksieznej, Wessex nie mogl powstrzymac sie przed mysleniem o kobiecie, ktora poslubil, nawet kiedy przemykal jak kot po dachach domostw na spotkanie z poslem krola Henryka.

Skomplikowana gra jego żony zakończyła się jednak sukcesem - wpłynęła na lady Meriel i oderwała dziewczynę od księcia Jakuba. Sara, lady Roxbury - obecna księżna Wessex - była członkiem Ligi Boscobel i przysięgła przedkładać służbę królowi nawet nad służbę krajowi. Teraz przysięgę tę wypełniła. Królowi nie groził już zamach, który z pewnością przygotowywał Ripon, gdyby książę Jakub dał się zwabić w małżeńską pułapkę.

A teraz Sara była w niebezpieczeństwie, uwięziona gdzieś we Francji, porwana przez tego lajdaka, młodszego brata Ripona, z nieznanych przyczyn. Czy Geoffrey Highclere odkrył, kim naprawdę była?

Równie dobrze mogła już nie żyć.

Wessex zacisnął zęby. Teraz nie powinien o tym myśleć. Jeśli nie odnajdzie księżniczki Stefanii, wtedy duński traktat zostanie zerwany, a Napoleon umocni się w Skandynawii, która posłuży mu jako baza do inwazji na Rosję. A do tego nie można było dopuścić.

Ostatnio Wessex usilnie pracował nad tym, aby nauczyć się na pamięć planu Verdun, więc rue de la Paix numer dziesięć znalazł bez żadnych kłopotów.

Sir John był jednym z ostatnich, którym przyszło znaleźć w mieście kwatery, więc zajął pokój na strychu, a okna skromnej sypialni trzymał otwarte z powodu upalnej nocy. Zejście z dachu do pokoju zajęło Wessexowi zaledwie chwile.

Tylko że pokój był pusty.

-Niewiele tu można ukrąść - odezwał się sir John Adams wychylając się zza szafy. Był w koszuli nocnej i szlafmycy, a w ręku trzymał pogrzebacz - Twoi rodacy już się o to postarali.

-To nie moi rodacy, sir - odparł Wessex odwijając z twarzy welon i odwracając się do posła.

-Jestes Anglikiem! - krzyknął sir John. Oczy najpierw rozszerzyły mu się, a potem zweziły, gdy rozpoznał współbiedniaka z wczorajszego obiadu.

-Wysłał mnie król Henryk, abym dowiedział się, co się stało z "Królową Christiną" i księżniczka Stefania - powiedział Wessex. - Nie mogę niestety pokazać panu oficjalnych dokumentów królewskich, bo zostały w Danii u księcia Frederyka. Był bardzo zadowolony, jak może pan sobie wyobrazić.

-A co sprowadza pana tutaj? - zapytał ostrożnie sir John.

-Po prostu niepohamowana ciekawość, dlaczego Bonaparte ustanowił markiza de Sade ambasadorem w najbardziej światobliwej stolicy Europy - odparł Wessex. - Przyszło mi na myśl, że może jego reputacja czarnoksiężnika ma z tym coś wspólnego.

-Ta mgła była diabelska sprawka, to prawda - mruknął sir John. Wztał z krzesła szlafrok, włożył go i usiadł na łozku. - Ale czemu zawdzięczam twoją wizytę? Po tej wczorajszej maskaradzie, kawalerze de Reynard, nie bardzo chce mi się wierzyć, że przyjechał pan tutaj targować się z komendantem o moje uwolnienie.

-Obawiam się, że nie - zgodził się Wessex. - Chociaż oczywiście powiem królowi, że jest pan w Verdun. Może zdecyduje się wyrzucić jakąś presję. Papież też z pewnością nie pochwali zatrudniania przez Bonapartego czarnoksiężników, bo nawet w obecnych czasach Francja jest w większości katolickim krajem. Ale przede wszystkim chce się dowiedzieć, gdzie jest księżniczka.

Sir John westchnął i wydawało się, że w ciągu kilku sekund postarzał się o całe lata.

-Sam chciałbym wiedzieć - mruknął.

-Kiedy wypłynęliśmy z mgły - zaczął opowiadać sir John - początkowo nie byliśmy pewni, gdzie właściwie jesteśmy. Nawigator wykonał oczywiście pomiary, ale nikt nie mógł uwierzyć w to, co mówiły instrumenty. Potem dostrzegł nas francuski patrol i dalsze losy statku były już tylko kwestią czasu. "Christina" walczyła dzielnie - muszę to oddać kapitanowi Rytterowi - ale tamci mieli znaczną przewagę w działach, trzy do jednego. Późnym popołudniem musieliśmy opuścić flagę i wpuścić ich na pokład. Kobiety cały ten czas spędziły w kabinach, a wraz z nimi kilku gwardzistów Kongelige Livgarde do ochrony - łącznie szesnastu ludzi. Francuzi sądzili chyba, że to jakiś okret szpiegowski albo wyjątkowo bezczelny przemytnik. Wpadli do nas całym tłumem, doszło do przepychanek. Francuskiemu kapitanowi zajęło niemal godzinę zaprowadzenie porządku. On z kolei był przekonany, że płyniemy z Francji, aby wywieźć ważnych ludzi. Kiedy wreszcie mu wytłumaczyliśmy, że to statek konsularny, który jakimś cudem zablakał się na wody francuskie, zdaje się, że nie bardzo nam uwierzył. Ale ulżyło mu, kiedy się przekonał, że pomiędzy pasażerami nie ma Delfina...

-Delfina! - Wessex nie zdołał powstrzymać okrzyku. - Króla Ludwika? To śmieszne. Przecież chłopiec zmarł wiele lat temu.

-Też tak mi się dotąd zdawało - odparł sir John machając ręką, jakby sprawa była mało istotna. - Ale kapitan zdawał się opętany myślą, że w naszych ładowniach może być gdzieś ukryty król. Tak czy inaczej przywrócono wreszcie porządek i mogłem udać się pod pokład, aby wytłumaczyć księżniczce Stefanii, co się właściwie wydarzyło... tylko że jej tam nie było...

Wessex czekał na dokończenie zdania, ale zapadła cisza.

-Nie było? - zapytał w końcu. - To znaczy gdzie się podziała?

-Znikła, mój drogi chłopcze - odparł sir John. - Po prostu znikła wszystkim z oczu, mimo że otaczała ją służba. Kiedy kapitan i ja udaliśmy się pod pokład, by zapewnić księżniczce

stosowna eskorte, nie znaleźliśmy jej tam.

Wiec gdzie mam jej szukać? - Wessex z trudem powstrzymał się przed zadaniem tego pytania na głos. Instynkt podpowiadał mu, że sir John mówi prawdę. Przynajmniej prawdę, jaka znał.

-I nikt z jej otoczenia nie potrafił powiedzieć, gdzie jest? - zapytał w końcu.

-Drogi młodzieńcze - odparł sir John - zdarzało mi się już dyskutować z królami, carami, tyranami i książętami, ale było ponad moje siły zapanować nad tłumem płaczących kobiet, w dodatku krzyczących po dunsku, które były całkowicie pewne, że zaraz zostaną sprzedane w niewole i pohanbienie Turkom. Próbowałem z nimi rozmawiać, ale odpowiedź zawsze była taka sama: nie wiedziały, gdzie jest księżniczka ani dokąd mogła się udać.

-Oczywiście kłamia - powiedział Wessex.

-Tak też sądzę. Ale jestem też pewien, że Francuzi nie wiedzą na temat miejsca pobytu księżniczki więcej niż my.

-To już przynajmniej coś. Nie będę dłużej zakłócał pańskiego spokoju. Przekazę oczywiście natychmiast królowi wiadomości o pańskiej obecnej sytuacji.

-To jest list, który napisałem do lady Adams. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby go pan jej dostarczył. Kochana Abbey! Gdyby tylko była ze mną, dalibyśmy sobie radę z tymi zabojcami.

A przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie jest księżniczka Stefania, dopowiedział w myślach Wessex. Wziął od sir Johna zalakowaną kopertę i wsunął ją pod surdut obok pistoletu.

-Przekazę lady list i pańskie pozdrowienia tak szybko, jak tylko to będzie możliwe - obiecał.
- Ale teraz muszę już się pożegnać, bo niewiele zostało nocy, a muszę się jeszcze wydostać z tego przekletego miasta.

Sir John zachichotał cicho.

-A więc uciekaj, mój bezimienny przyjacielu. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w miłszych okolicznościach.

17. BYLY I PRZYSZLY KRÓL

Mala sypialnia ukryta była pod okapem wiejskiego domu. Przez jej otwarte okno Meriel mogła podziwiać splecione gałęzie ogrodu opactwa Conde i stojący za nim słiczny maly kościółek z szarego kamienia, który teraz kapal się w złotych promieniach zachodzącego słońca. Mala wioska Trois Vierges wygladała tak samo, jak mogła wygladać sto lat temu. Ani czasy Terroru, ani nowego Imperium nie wyrzadziły jej wiele szkody. Pokój pachniał

lawenda i swieza posciela. Gospodyni, madame Carmaux, przyjela Meriel niezwykle serdecznie, gdy Louis przyprowadzil ja do kuchni przestraszona jak zblakane kociatko. To wlasnie Madame Carmaux orzekla, ze Louis i Pere Henri musza wstrzymac sie z pytaniami, dopoki dziewczyna nie ochlonie i nie doprowadzi sie do porzadku - i z miejsca poczestowala ja goraca zupa i szklaneczka sherry. Na razie Meriel byla ubrana w pozyczona halke, bo jej wlasne ubrania zabrala gospodyni, aby doprowadzic je do porzadku. Meriel z przyjemnoscia skorzystala z okazji, by sie odswiezyc - umyla twarz i rozczesala dlugie wlosy, aby ponownie je zaplesc i spiac. Po goracej, gestej zupie odzyskala rownowage ducha i pewnosc siebie.

Odwrocila sie od okna, by przejrzec sie w zniszczonym lustrze, ktore stanowilo wewnetrzna czesc drzwi wielkiej mahoniowej szafy. Spojrzala na nia eteryczna pieknosc.

Lady Meriel przez cale zycie byla swiadoma swojej urody; najpierw uwazala ja za przeszkode, ktora musi przewyciezyc dla zbawienia duszy, potem za narzedzie, ktorym miala zwabic ksiecia Jakuba w sieci wuja. Patrzac w lustro, Meriel zastanawiala sie, czy oprócz urody bylo w niej jeszcze cokolwiek wartosciowego. Czy kiedy uroda odejdzie wraz z mlodoscia, zostanie jej cos jeszcze?

Kim wtedy bedzie?

Rozleglo sie delikatne pukanie do drzwi i weszla madame Carmaux niosac stos ubran.

-Troche mydla i wody, i wszystko od razu wyglada lepiej, prawda, mademoiselle? - zwrocila sie do niej gospodyni, kladac swoj ciezar na lozku.

-Rzeczywiscie - przyswiadczyła z przekonaniem Meriel. Uśmiechnela sie do gospodyni. - Bardzo dziekuje za pani troskliwosc.

-Jako Angielka niemal na pewno nie jest panienka jednym ze szpiegow Czarnego Ksiedza - powiedziala madame Carmaux. - Czy ten jasnowlosy Anglik jest naprawde wujem panienki, jak sie zaklinal w obliczu Boga?

Meriel westchnela. Wiedziala, ze i tak predzej czy pozniej bedzie musiala wszystko wyjasnic... a sluzacy zawsze bardziej troszczyli sie o wlasciwe postepowanie niz ich panowie.

-Nie klamal - powiedziala z ciezkiem westchnieniem. - To naprawde moj wuj, ale jest tez bardzo zlým człowiekiem. Na pewno powroci, by szukac mnie znowu.

-Znajdzie to, na co zaslujuje - odparla madame Carmaux z naciskiem. - Ale co tam! Jestem glupia zanudzajac panienke pytaniami, kiedy stygnie obiad. Niestety suknia nie bedzie gotowa na dzisiaj. A niektore plamy pewnie w ogole nie zejda - dodala zachmurzona. - Na dzisiejszy wieczor przynioslam panience rzeczy mojej corki.

Madame przejrzała przyniesiony stos ubran. Odłożyła na bok nocną koszulę i czepek, a wyciągnęła staroswiecką sukienkę z wzorzystego muslinu z głębokim dekoltem, koronkowa chusta na szyję i ciepły wełniany szal na ramiona.

-Jest pani bardzo miła - powtórzyła jeszcze raz Meriel.

-To smutne, kiedy jest się sciganym jak zając na wiosnę - powiedziała po prostu starsza kobieta. - Zawołam Jeanette, aby pomogła się panią ubrać. Potem zaprowadzi panią do pracowni pere Henriego.

Meriel zapukała i weszła do środka. W pierwszej chwili nie dostrzegła opata Conde. Wysokie okno było otwarte wprost na ogród. Na parapecie leżał bez ruchu biały kot, korzystający z ostatnich promieni słońca. W samym pokoju w oczy rzuciło się przede wszystkim wielkie, ciężkie biurko, zarzucone książkami i papierami. W oczach Meriel nieoczekiwanie pojawiły się łzy. Ten pokój w jakiś sposób przypominał jej ojca, dom i bezpieczeństwo, jakim kiedyś się cieszyła. Opanowała jednak te zdradzieckie emocje. Lady Meriel dawno już pojęła, że w życiu może polegać wyłącznie na sobie.

-Ach, jesteś, drogie dziecko. Podejdź bliżej, niech na ciebie spojrzę.

Opat de Conde był wysokim, szczupłym i dostojnym mężczyzną o przyproszonych siwizną, niegdyś czarnych włosach, które z pewnością nie były peruką. Trudno było ocenić jego wiek, ale niezależnie od niego, błękitne oczy były pełne żaru i energii charakterystycznej dla młodości. Miał na sobie czarną sutannę, która sięgała aż do podłogi, a na jego piersiach wisiał duży złoty krzyż. Na palcu wskazującym prawej ręki nosił sygnet, którego fioletowy kamień rzucał błyski w promieniach zachodzącego słońca.

-Jesteś wierząca, dziecko? - zapytał stary ksiądz.

-Ja... tak, ojciec. Jestem katoliczką - odparła zdecydowanie Meriel.

-A co sprowadziło cię do mojego ogrodu? - pytał dalej. Meriel właśnie starała się ułożyć całą historię w jakimś takim porządku, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

-Aha - powiedział pere Henri - to Claude ze świecami.

Ale nie był to Claude. Wszedł Louis, młody mężczyzna, który pierwszy znalazł ją w domku w ogrodzie. Nosił dwa wielkie świeczniki, które postawił na biurku.

-Marie mówi, że wkrótce stracisz wzrok, jeśli będziesz pracował w takich ciemnościach - powiedział. Zapalił świeczki fidybusem odpalonym od jedynej lampy w tym pokoju, a kiedy się rozpałyły, usiadł na brzegu biurka, najwyraźniej zamierzając tu pozostać.

-Louis... - powiedział opat ostrzegawczo.

-Ja ja znalazlem - powiedzial uparcie mlodzieniec. - 1 bardzo chcialbym uslyszec, co mademoiselle ma do powiedzenia.

-Mnie to nie przeszkadza - powiedziala Meriel. - Niewiele mam do ukrycia.

Jezeli jednak ona miala niewiele do ukrycia, jej gospodarze mieli o wiele wiecej. Istniala w tym domu jakas wielka tajemnica - Meriel zdala sobie z tego sprawe juz pozniej, gdy zasiedli do obiadu. Po wysluchaniu jej historii pere Henri zgodzil sie oczywiscie, ze Meriel musi u nich pozostac az do czasu, gdy jej ciotka Marisol z Madrytu bedzie mogla przyslac po nia zaufanych ludzi. Jesli chodzi o jej towarzyszke - Meriel nie powiedziala, ze Sara jest ksiezna Wessex, a ani Louis ani, opat nie naciskali na nia podczas opowiesci - niewiele mogli poradzić, choc opat obiecal dowiedziec sie dyskretnie o cel podrozy Geoffreya Highclere'a. Natomiast prawie niemoznoscia bylo - zapewnil ja kaplan -poslac wiadomosc do Anglii.

-Jestesmy w stanie wojny z Anglia - wyjasnil - i nie odwazymy sie zwracac na siebie uwagi tu, w Pikardii. Nie jestesmy tak daleko od Paryza, a Imperator jest przyjacielem Kosciola tylko wtedy, gdy sluzycy on jego sprawie.

Meriel zwiesila glowe. Nie miala zamiaru na razie naciskac w tej sprawie, ale z drugiej strony postanowila, ze zrobi wszystko co mozliwe, aby pomoc przyjacielce. Sposoby przemysli jutro. Teraz bardziej zajmowala ja odkryta tajemnica, niewatpliwie zwiazana z Louisem.

Wszystko w jego zachowaniu wskazywalo na arystokratyczne pochodzenie, na krew tak samo blekitna jak ta, ktora plynela w zylach opata Conde - ktory byl ksieciem, zanim zostal duchownym. Meriel wiedziala, ze tylko dzieki temu Conde ocalil glowe, kiedy scieto prawie wszystkich czlonkow rodziny krolewskiej. Wielu ksiezy zginelo w krwawej jatce Rewolucji, bo jakobinski motloch niewielka widzial roznicze miedzy arystokracja a duchowienstwem; tylko ci, ktorzy cicho przyczaili sie na prowincji, mieli szanse przetrwac burze ateizmu i dotrwac do czasu, kiedy Pierwszy Konsul Napoleon ponownie pogodzil sie z Kosciolem.

Ale to jeszcze nie rozwiazywalo zagadki Louisa.

Widzac podobienstwo miedzy tymi dwoma mezczyznami, Meriel sadzila z poczatku, ze chlopiec jest po prostu synem opata, ale slowa, ktore wypowiedzial Louis wtedy w ogrodzie, wciaz brzmialy echem w jej umysle.

"Nie mam nazwiska we Francji od dwunastu lat".

Nie, to nie bekart. Chodzi o tajemnice znacznie powazniejsza i znacznie bardziej niebezpieczna.

Meriel nie chciala budowac zamkow na lodzie; powinna zdobyc prawdziwe dowody, a nie tylko domysly. Co innego zauwazyc, ze Louis jest podobny do Burbonow, a co innego

twierdzić, że jest on Ludwikiem Karolem, królewskim synem, zaginionym w krwawym chaosie Rewolucji.

A może Louis nie był prawdziwym Delfinem, ale raczej młodym człowiekiem przygotowanym do występowania w roli pretendenta do tronu Francji - sekretna broń rojalistów, której chcieli użyć w zamachu stanu? Nigdy nie sądziła, że będzie błogosławieństwo nudne i zarazem przerażające godziny, kiedy słuchała w milczeniu rozpraw wuja o spiskach i zamachach stanu; o poparciu, jakie mogą otrzymać od szkockich katolików i o możliwości separatystycznego pokoju z Francją. Te długie godziny nauczyły ją jednak patrzeć na sprawy Europy jak na wielką szachownicę, na której państwa na kształt szachowych figur przesuwały się w rozmaite pozycje. A powrót na szachownicę zaginionego króla Francji zniszczyłby niektóre stare sojusze i stworzył nowe. Znaczenie Ludwika XVII byłoby tak wielkie, że nikt by nie próbował dociekać, czy jest prawdziwy...

Lady Meriel rozmyślała gorączkowo podczas zupy, ryby, pieczonego, słodkiego i wreszcie sera; nieustannie rozważała, w jaki sposób może udowodnić lub pogrzebać swoją teorię.

Wreszcie opuściła jadalnię i poszła do ogrodu. Nie była specjalnie zdziwiona, że Louis udał się tam za nią. Uroda była jej bronią i Meriel, gdy chciała, potrafiła się nią posłużyć lepiej niż niejeden żołnierz szablą.

-Przyszędłem zobaczyć, czy... - zaczął Louis.

-Wasza wysokość... - powiedziała Meriel składając zdumionemu młodzieńcowi głęboki ukłon. Spod długich rzęs spoglądała na niego uważnie, studiując wyraz jego twarzy.

Louis cofnął się o krok, jakby Meriel nagle przemieniła się w jadowitą zmiję.

-Skąd... jak... - wymamrotał niewyraźnie.

-Masz spojrzenie swojego wuja... jeśli on jest twoim wujem - odparła Meriel. Wyprostował się z wdziękiem.

-Kuzynem, nie wujem - odpowiedział Louis. - Dalekim kuzynem, który narazą się ukrywając mnie. - Spojrzał na nią z nieszczęśliwą miną. - Może jednak jesteś jednym z agentów Czarnego Księcia? Przybyłaś tu, aby mnie zabić?

Lady Meriel straciła nagle ochotę na rozgrywanie tej gry.

-Nie zamierzam ci zaszkodzić... wasza wysokość. Ale mam już dosyć spisków i sekretów, i jeżeli znowu mam się znaleźć w ich środku, będę musiała stąd odejść. Są rzeczy, których nie powiedziałam twojemu kuzynowi, opatowi.

Ku swojemu zdziwieniu Meriel wyznała Louisowi całą prawdę - o spisku earla Ripona, który miał schwytac w sidła księcia Jakuba, o swojej ucieczce z pomocą księżnej Wessex...

-Wessex! - wykrzyknął Louis. - Pamiętam diuka Wessex... przyjechał, kiedy jeszcze byłem dzieckiem i uratował mnie z rak sans-culottes. Czy to jego córka?

-Zona jego syna. Słyszałam historie o zniknięciu diuka we Francji przed wielu laty. Mój wuj Geoffrey twierdzi, że obecny diuk jest politycznym agentem króla. Dlatego wziął Sarę jako zakładniczkę... żeby go szantazować. Nie wiem jednak, co on robi takiego, że wuj go nienawidzi - dokończyła niepewnie Meriel.

Taka ulgę sprawiło jej wyznanie wreszcie komus całej prawdy, że przestało mieć dla niej znaczenie, czy Louis jest prawdziwym królem Francji, czy nie. Pomyślała, że może nim być... zniknięcie poprzedniego diuka Wessex było bardzo tajemniczą sprawą. A jeśli syn jest politycznym agentem, to bardzo prawdopodobne, że ojciec był nim także.

-Uważasz, że diuk przybędzie do Francji, by ratować żonę? - zapytał z zapalem Louis.

Meriel spojrzała na niego zaskoczona.

-Sadze... sadze, że tak. Wuj Geoffrey liczył, że go przez nią dosięgnie - powiedziała z wahaniem. Ale czy tak było naprawdę? Nawet Sara nie miała najmniejszego pojęcia o poczynaniach swojego męża.

-Mogłoby pomóc także mnie, jak to zrobił jego ojciec - powiedział Louis. - Słuchaj, ma petite... ty wiesz, kim jestem.

-Wiem, kim chcesz, abym sądziła, że jesteś - odpowiedziała ostrożnie Meriel.

Louis odegnął te wątpliwości zdecydowanym machnięciem ręki.

-Jestem soi-disant prawowitym królem Francji... jeżeli Francja może jeszcze kiedykolwiek być tym, czym była - powiedział lekceważąco. - Nawet gdyby Tyran umarł jutro, jak miałbym rządzić tymi, którzy wymordowali moją rodzinę? Nawet jeśli Francja nie ma jeszcze dosyć królów, ten król na pewno ma dość Francji.

-Wiec nie chcesz być królem? - zapytała zdumiona Meriel.

-Ja jestem królem - poprawił ją Louis - ale nie mam ochoty rządzić. Ten angielski diuk może mi pomóc.

-Wezmie cię do Anglii i zostaniesz protegowanym króla Henryka, a potem utworzysz rząd na uchodźstwie - powiedziała Meriel gorzko. - Takiej właśnie pomocy pragniesz?

-A ty chciałabys takiej pomocy na moim miejscu? Nie, ma petite, powiedziałem już, że mam dosyć Francji. Jeśli diuk Wessex może wywieźć mnie z kraju, który kiedyś należał do mnie, wsiada na pierwszy okręt do Nowego Świata. Tam, w szerokim świecie nie przejmują się tak bardzo błękitną krwią. Wreszcie będę mógł sam wykuwać swój los.

Meriel spojrzala na mlodego krola, zdumiona odwaga jego wizji. Niesmialo wyciagnela ku niemu reke.

-Mam nadzieje, ze spelnisz swoje marzenie, wasza wysokosc.

-Mow mi jak dawniej po imieniu. Imperator bylby na ciebie wsciekly, ze tytuujesz mnie w sposob, do ktorego on juz sie przyzwyczail. - Mlody czlowiek usmiechnal sie lekko, ubawiony swym wlasnym zartem. - Jednak naszym pierwszym celem musi byc uratowanie twojej przyjaciolki.

-Czy de Sade mogl przeniesc ksiezniczke Stefanie podobnie jak przeniosl okret? - zapytal Kosciuszko od niechcienia.

Jechali z Wessexem na poludniowy zachod, w kierunku Auxerre, oddalajac sie od szarych murow Verdim. Rekopis madame de Stael spoczywal w jukach Wessexu, a list od sir Johna Adamsa w wewnetrznej kieszeni jego surduta. Nie bylo sensu ukrywac obu dokumentow. Gdyby zostali zatrzymani, beda mieli wiecej problemow, niz kara za przewozenie kilku wywrotowych kartek papieru.

-Ale gdzie? Ten czlowiek jest za glupi, zeby grac na dwie strony, a gotow jestem postawic w zaklad swoja dusze, ze ksiezniczki nie ma w Paryzu. Sir John mowil zreszta, ze ksiezniczka znikla, gdy Francuzi opanowali juz "Krolowa Christine".

-Ale gdzie w takim razie jest? Ani w Anglii, ani we Francji, ani z powrotem w Danii. - Kosciuszko zamyslil sie przez moment. - Gdzie?

-To jest pytanie - odparl bezradnie Wessex.

-Nie jedyne - poprawil go Kosciuszko. - Sam zadalbym jeszcze kilka innych.

-Na przyklad dla kogo naprawde pracuje de Sade? Skad ma dostep do takiej mocy? Dlaczego Gambit uwazal, ze zabicie mnie nie sluzzy sprawie niepodleglosci Akkadii? - wyliczal Wessex na palcach.

-Dlaczego francuski kapitan sadzil, ze na pokladzie "Christiny" jest Delfin? Czy Ripon, podobnie jak Highclere, pracuje dla Francji? I dlaczego Highclere uwazal za stosowne porwac ksiezna? - dopowiedzial Kosciuszko.

-To pytanie mam nadzieje postawic niedlugo panu Highclere - powiedzial z zaduma Wessex. - Na razie wszystkie tropy sa jednakowo chlodne. Ale dlaczego Mlody Krol? Przeciez ten biedny dzieciak nie zyje od dwunastu lat.

-Ktos najwyrazniej uwaza, ze zyje - powiedzial Kosciuszko. - A jesli ksiezniczka Stefania sie nie odnajdzie, oznacza to koniec sojuszu z Dania i poczatek zdobywania przez Napoleona gruntu do inwazji na Szkocje.

-W takim razie - odparł Wessex - wydaje mi się, że dobrze byłoby zająć M. L'Empereur czymś, co odciągnie jego uwagę od spraw zagranicznych. A odnaleziony Delfin byłby chyba niezłą dywersją, nie sądzisz?

-Z pewnością. Ale na razie sami jesteśmy w dość niepewnej sytuacji. Zwłaszcza jeżeli ktoś zechce nas zapytać o nasze wakacje w Verdun.

Wessex rozważył to.

-Fakt. Nie mam żadnych papierów oprócz tych na nazwisko Kawalera de Reynard, ale nie odwagę się ich pokazać, bo obawiam się, że kawaler de Reynard jest już mocno przeterminowany. Szkoda. Będzie mi brakować tego faceta.

-Był znacznie bardziej zabawny niż mój obecny kompan - stwierdził Kosciuszko prowokująco - ale jeśli Reynard nie żyje, nie będziemy go oplakiwać. Musisz stać się kims innym. Zastanów się, przyjacielu, kto by to mógł być.

Cztery dni później obywatel Orczy z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przybył ze swoją eskortą - huzarem z Garde Polonaise - do miasta Amiens. Obywatel Orczy udał się wprost do zajazdu "Pod Złotym Kogucikiem", gdzie zajął najlepszy pokój; zachowywał się bardzo niegrzecznie wobec oberzysty, jak przystało na dostojnika, i zamknął się natychmiast w swoim pokoju.

Polak natomiast był niezwykle uprzejmy, ale szybko wyniósł się z gospody, twierdząc, że "Kogucik" jest stanowczo zbyt spokojnym lokalem jak na jego gust. Kilka godzin później można go było spotkać grającego w kosci w zajezdzie, który znajdował się w byłym zakładzie szewskim, skąd zresztą wziął swoją nazwę - "Pod Czerwonym Butem".

W sali ogólnej tego lokalu klient miał do dyspozycji tylko stoły, krzesła i bardzo słabą kawę. Polak przyniósł jednak własny koniak i własne kosci; grał teraz sam ze sobą, prawa reka przeciw lewej, krzywiąc się raz po raz z powodu kiepskich wyników. Wyglądał na człowieka porywczego i w dodatku był chyba w kiepskim humorze; ale butelka koniaku, stojąca na widoku, skusiła wreszcie kogoś, kto odważył się do niego przysiąść. Sądząc po kitlu i trepach był to miejscowy sprzedawca.

Przysiadł się i rzucił uwagę na temat pogody, zignorowana przez polskiego huzara. Wszystkie następne próby nawiązania rozmowy spotkały się z podobną reakcją. Wreszcie pozostali goście stracili dla nich zainteresowanie, bo nie zanosilo się na awanturę.

-Jest pan z kupieckiej rodziny? - zapytał w końcu natret.

-Nie, chociaż potrafię odróżnić demokrację od rzemieślnika, zwłaszcza jeśli wiatr wieje od Białej Wieży - odpowiedział Kosciuszko.

-Czego ci potrzeba? - zapytał sprzedawca pochylając się ku niemu.

-Dokumentow dla mnie i mojego przyjaciela. Mam tu jego dane i chce dostac te dokumenty tak szybko, jak tylko to mozliwe. Bede tez potrzebowal informacji, ale mozliwe, ze trzeba je bedzie sciagnac z zagranicy.

-Masz cos do przekazania Bialemu Czlowiekowi? - zapytal sprzedawca uzywajac pseudonimu, jakim agenci w terenie okreslali Misbourne'a. Amiens bylo na tyle duzym miastem, ze Biala Wieza prowadzila tu placowke. Kontakt byl znany jako Biskup, a terenowi agenci znali procedure nawiazywania lacznosci, chociaz nie wiedzieli oczywiscie, kim byl sam agent kontaktowy. Nawet teraz Kosciuszko staral sie nie przygladac dobrze ucharakteryzowanemu rozmowcy, aby nie wiedziec za duzo o wygladzie tego czlowieka i nie zdradzic go, gdyby zostal pochwycony i torturowany.

-Wiadomosc od Wilka - zaczal Kosciuszko, uzywajac pseudonimu swojego i Wessexa. Kazdy zespol agentow mial swoj pseudonim, tak samo jak poszczegolni agenci w zespolach. Kosciuszko byl Orlem, a Wessex Lwem. Tylko ze tym razem Bialy Czlowiek nie musial wiedziec, ktory agent przekazuje informacje; powinien tylko miec pewnosc, ze wiadomosc pochodzi z pewnego zrodla.

-Zaloga "Christiny" jest internowana w Verdun. Ksiezniczka Stefania znikla z okretu i nadal jej nie odnaleziono. Wilk sadzi, ze Charenton (pseudonim, jakim okreslano markiza de Sade) jest za to odpowiedzialny.

-A wiec za tym gonicie - powiedzial z respektem Biskup. - Przydadza wam sie zatem moje wiadomosci. Saint Lucky zostal ujety przez Jacksow i siedzi w Tuilleries. Mowi sie, ze pojmal go podczas polowu delfina.

Kosciuszko odetchnal gleboko, starajac sie zachowac obojetny wyraz twarzy. Rzucil jeszcze raz kosci, a potem podsunal kubek swojemu kompanowi.

-Mozesz wyprobowac sam. Nie sa obciazone - powiedzial wynioslym tonem, jakiego uzylby huzar przemawiajac do drobnego handlarza.

A wiec Saint-Lazarre wpadl w lapy tajnej policji Talleyranda i jest przetrzymywany w Paryżu. Katastrofa. Jednak wiadomosc, ze ujetego go podczas proby dotarcia do Ludwika Karola, byla niemal nie do uwierzenia. Najgorsze bylo to, ze Talleyrand, jesli bedzie mial troche czasu, na pewno zlampie Saint-Lazarre'a, a wtedy zagrozona bedzie cala dzialalnosc Rojalistow we Francji, o ktorej wie ten czlowiek.

-Zabojady tez lowily delfiny w Kanale, a zamiast tego zlowily krolowa - wyszeptal Kosciuszko.

Teraz Biskup rzucil mu zdziwione spojrzenie, ale prawie natychmiast sie pohamowal i rzucil koscmi. Pochylyl sie nad stolem. Kosciuszko rozesmial sie i klepnal w ramie swojego kompana. Podsunal mu butelke, a kiedy ja odzyskal, sam pociagnal tegi lyk.

Grali jeszcze jakiś kwadrans, a odbierając wygraną - garść drobnych, oslizłych monet - Kosciuszko schował do kieszeni także zwinięty skrawek papieru. Potem wstał i niespiesznie odszedł w stronę swojej kwatery.

Początkowo Wessex zamierzał pozostać w swoim pokoju "Pod Złotym Kogucikiem", dopóki Kosciuszko nie spotka się z Biskupem i nie otrzyma od niego właściwych papierów obywatela Orczy. Ale kiedy jego partner wyszedł, Wessex odkrył, że nie jest w stanie usiedzieć bezczynnie w zamknięciu. Chociaż starał się kontrolować, nie mógł się opędzić od myśli o Sarze. Gdzie teraz była i co się z nią działo? Na pewno znalazła się w niebezpieczeństwie, a to było wyłącznie jego winą. Gdyby jej nie poślubił, nigdy nie stałaby się celem mrocznych knowań Ripona. Markiza Roxbury stała zbyt nisko, aby nią się zainteresował, a poza tym nie była dość blisko Korony.

Ale jako księżna Wessex stała się lakomym kaskiem. Jeśli dodać do tego obecne kłopoty diuka, wkrótce mógł nadejść czas, że nie będzie już miejsca na nazwisko Wessexów na mapie Europy. Takie myśli go martwiły, tym bardziej że nie można było od nich uciec. Ale mógł uciec z tej ciasnej gospody. A zatem schował pistolet i wyszedł przejść się po mieście.

Nogi poniosły go w kierunku kościoła. Amiens nie było miastem biskupim (choć, pomyślał sardonicznie Wessex, jeden Biskup w nim rezydował), ale stał tu kościół papistów, i to wielce okazały. Wielkie gotyckie luki i strzelające w niebo wieże, ozdobione figurami świętych i aniołów, ostały się mimo wszelkich wysiłków ateistycznej Rewolucji, by jej unicestwić.

Bardziej pragmatyczny Bonaparte przywrócił prawa i przywileje Kościoła, które kraj w pierwszych konwulsjach chciał zniszczyć. Ale mimo wolności usług religijnych, największa potęga w tym kraju stał się imperialny orzeł i nawet Kościół musiał mu oddawać cześć. Ba, nawet Moce Ziemi cofnęły się przed Wielką Bestią-Bonapartem, a niepokoje w Niewidzialnym Świecie rozchodziły się jak kregi na powierzchni jeziora, do którego ktoś wrzucił kamień.

Rozmyślając nad tym wszystkim, Wessex nagle zorientował się, że stoi naprzeciwko małego sklepiku, ulokowanego niemal w cieniu kościoła. Taki sklep nie mógłby otwarcie funkcjonować w dawnej Francji, gdzie królowie swój lud oddawali we władanie Kościoła. Ale teraz, u progu nowych czasów, potęga Kościoła była znacznie nadwierzona, więc mogły powstać miejsca takie jak to.

Chcąc oderwać myśli od swoich problemów, Wessex przeciał niewielki placzyk i podszedł do sklepu. Zajmował on niewielki, wąski budynek, a na jego drzwiach namalowano otwartą dłoń z naniesionymi symbolami chiromancji.

Wessex ostrożnie pchnął drzwi i usłyszał cichy dźwięk dzwonka. Wewnątrz pachniało kadzidłem jak w kościele, ściany zaś pokryte były dużymi malowidłami przedstawiającymi frenologiczne mapy, znaki zodiaku, bardzo ogólne fragmenty horoskopów i inne artefakty

Patrzacych w Przyszłość.

Zaplecze pomieszczenia od części frontowej oddzielała kotara. Podczas gdy Wessex przyglądał się ścianom, wyszła zza niej kobieta.

Nie nosiła cyganskiego stroju, jak podświadomie oczekiwał; nie była też stara wrożka. Była niewiele starsza od niego i przyglądała mu się spokojnym wzrokiem. Miała na sobie schludne i proste ubranie; błękitny szal spieła karmazynową broszkę w kształcie skarabeusza, która była jedynym nieco egzotycznym elementem jej stroju.

-Dzień dobry, monsieur - powitała go. - Szuka pan rady Madame Febricant?

-Czy tym właśnie handlujesz? - spytał Wessex. - Radami? Ku jego zdziwieniu kobieta rozesmiała się wesoło.

-Monsieur, wie pan przecież, co to za sklep. Sprzedaje to, co ludzie chcą kupić, ale pan nie wygląda mi na takiego, co chciałby zaklecia na zdrowie, bogactwo czy miłość. A więc zapewne przyszłość jest tym, o co panu chodzi.

-Bardziej interesuje mnie teraźniejszość - odparł Wessex. - Jeżeli twoje moce rozciągają się także na nią, mademoiselle.

-Wasza miłość jest zbyt uprzejmy - odparła kobieta, wchodząc znowu za kotarę. - Ale ja miałam męża, chociaż niestety już nie żyje.

Wessex stanął jak skamieniały. Czy ona użyła tego tytułu, bo chciała mu pochlebić, czy naprawdę miała dar widzenia? A może była agentka Talleyranda, która miała szukać diuka Wessex na drodze do Calais?

Nie znalazł odpowiedzi. Wreszcie otrząsnął się i podążył za kobietą za kotarę, ale na wszelki wypadek trzymał dłoń na pistolecie pod surdudem.

Pokój za kotarą był dość mroczny. Oświetlała go tylko jedna świeczka, stojąca na brązowej podstawce o kształcie małpiej głowy. Wzdłuż wszystkich ścian stały mahoniowe szafki, których rozliczne szuflady i polki skojarzyły się Wessexowi z apteką. I tak jak w aptece stały tu też słoje z suszonymi roślinami i buteleczki z kolorowymi płynami; natomiast w żadnej aptece nie widział dotąd posazki Blogosławionej Dziewicy, u stóp którego płonęła mała lampka w czerwonej szklanej obudowie.

Na środku pokoju stał jednak duży stół, a na nim płonęła oświetlająca pomieszczenie świeca. Stół był nakryty zieloną tkaniną; oprócz świecy znajdowała się też na nim wielka kryształowa kula i talia kart tarota spoczywająca na czerwonej jedwabnej chustce. Wyglądziwszy suknie, kobieta usiadła po przeciwległej stronie stołu i gestem wskazała Wessexowi drugie krzesło. Siedząc na nim, diuk byłby odwrócony tyłem do kotary, więc nie zajmował miejsca.

-Dlaczego zwrocilas sie do mnie tym tytulem, obywatelko? - zapytal. - Nie jestem arystokrata, ale dumnym obywatelem Francji.

Spojrzała na niego spod długich rzęs. Światło świecy odbijające się w jej oczach upodabniało je do ślepiów dzikiego nocnego zwierzęcia.

-Bede sie do ciebie zwracac jak zechcesz, obywatelu - odparła wzruszając ramionami. - Ale ja i tak widze to, co widze. Mam Wzrok, tak jak miała go moja matka. Pochodzimy z Langwedocji, a tam Stara Krew jest silna. Od wielu juz dni wiedzialam, ze przyjdzie tu ten, ktoremu mam przekazac wiadomosc.

-I to ja nim jestem? - spytal Wessex. Jego głos brzmiał sceptycznie, ale uprzejmie.

-Chcesz uslyszec wiadomosc czy nie? - zapytala twardo madame. - Najpierw mialam ci powiedziec: "Jestem kluczem do kazdego zamka".

Wessex spowaznial. Znal motto rodu Roxbury rownie dobrze jak swojego wlasnego. To byla albo pulapka, albo prawdziwe przeslanie. Nie odzywajac sie slowem przeszedl ponownie przez kotare, przekrecil zamek w drzwiach wyjsciowych i pozaslanial okna. Kiedy skonczyl, w sklepie zrobilo sie tak ciemno, ze widzial cieniutka smuzke swiatla miedzy zaslonami oddzielajacymi go od wrozki. Odsunal te zaslony i zawiatal je po bokach.

-Dobrze wiec, madame - powiedzial w koncu. - Przekaz mi wiadomosc, ktora dla mnie masz, a ja postaram sie odpowiednio wynagrodzic cie za te przysluge.

-Alez ty jestes ostrozny - zadrwila czarownica. - Co prawda dobrze wiesz, co to niebezpieczenstwo. Nie jestes klientem, ktorego bym sobie wybrala, ale niewielu, ktorzy tu wchodza, odprawiam z niczym. To niedobrze dla interesow - dodala mrugajac.

Wessex usmiechnal sie kwasno i usiadl naprzeciwko niej. Światło świeczki odbijało się w kryształowej kuli, w której widac też było cały pokój odwrocony do góry nogami.

Madame Febricant ujela jego dlon i wpatrzyla sie w nia intensywnym spojrzeniem, jak niektorzy magowie wpatrywali sie czasem w lustro wody.

-Monsieur ma zone? - zapytala po chwili.

Smieszne, ze to pytanie tak go zabolalo, jakby nagle ktos zastapil mu jedyna droge uciezki. Ale przed czym zamierzal uciekac?

-Ty mi powiedz - odparl tylko.

Madame Febricant skrzywila sie.

-Alez ostrozny. Bardzo dobrze, wasza milosc. Panska zona znajduje sie w

niebezpieczeństwie. Jest przewożona przez kamień i wodę, niedaleko stąd. Czas stoi na jej straży, ale zagrażające jej niebezpieczeństwo będzie rosło, a ona trzyma w rekach całą Francję. Jej ocalenie leży w twojej mocy. Musisz podać za zachodzącym słońcem, aż dotrzesz do dawnego świata.

-Musisz przyznać, że twoja wiadomość jest trudno zrozumiała - zauważył uprzejmie Wessex.

-To właśnie mi powiedziano, monsieur le duc - parsknęła wroźbiarka. - Jedź na zachód bez zwłoki... inaczej stracisz żonę... i swoje serce.

Lady Meriel usiadła na krzeselku ustawionym pod drzewem i korzystając z jasnego słonecznego światła pracowała nad koszulą, którą szyła dla Louisa. Minęło już pięć dni, od kiedy zjawiała się w opactwie i poznała jego wielki sekret, i chociaż wciąż martwiła się o los Sary, te dni były jakby poza czasem, jak piękny sen, z którego kiedyś będzie musiała się obudzić. Tutaj mogła być sobą, a nie aktorką na fałszywym balu maskowym, grająca rolę napisaną dla niej przez kogoś innego.

A Louis był częścią tego snu.

Louis nie jest dla niej, powiedziała sobie twardo Meriel. Był prawdziwym królem Francji i chociaż chciał odrzucić władzę, inni zmuszają go do jej przyjęcia, gdy tylko się ujawni. Meriel robiła kolejny ścieg ganiąc się w myślach za głupotę. Oto oddała serce mężczyźnie, który gdyby ją nawet kochał nad życie, nie będzie nigdy mógł jej poślubić. Król musi pojąć za żonę księżniczkę i chociaż w żyłach Meriel też płynęła królewska krew, to nie ona będzie tą, z którą Louisowi pozwoli się ożenić.

Pozwól nam chociaż spędzić ze sobą trochę czasu, zanim go zabiorą, błogosławiona Dziewico. To chyba nie jest tak wygórowane życzenie?

Louis niedługo wróci z wioski. Pere Henri był członkiem rojalistycznego podziemia i dzięki niemu Louis mógł dotrzeć do tych, którzy mieli oczy i uszy we wszystkich częściach kraju. Już zdolali sprawdzić, że wuj Meriel, Geoffrey, jest opłacany przez Talleyranda. Gdyby jeszcze odkryli, dokąd Geoffrey zabral księżnę Wessex, mogliby ją uratować, a wtedy znikłoby brzemie winy, które nosiła w sobie Meriel.

Wciąż szyła. Była szczęśliwa, że może pomóc we wszelkich domowych pracach. U jej stóp leżał stosik bielizny do cerowania. Nie mogła powstrzymać się przed spoglądaniem co kilka minut na drogę, gdzie miała nadzieję ujrzeć powracającego Louisa. Kiedy go wreszcie zobaczyła, wędrującego weselo z szerokim kapeluszem w ręku i z rozpiętą pod szyją białą koszulą, tak jak noszono na wsi, zerwała się i pobiegła mu na spotkanie.

Spotkali się przy bramie. Louis włożył jej swój kapelusz na głowę i pocałował ją mocno. Pachniał czystym płótnem i słońcem, i serce Meriel rozplynęło się ze szczęścia... i z przyszłego smutku.

-Wyjdz za mnie - powiedzial nagle Louis. Rozesmiala sie, bo nie pierwszy raz juz o to prosil.

-Nie i nie, i jeszcze raz nie! Mowilam ci juz... ktos tak wielki nie jest dla kogos takiego jak ja.

-Zrzeklem sie tronu - przypomniał jej Louis przechodząc przez brame i zamykając ją za sobą jedną ręką. Drugą obejmował Meriel. - Nie jestem niczym więcej niż niegdyś był obywatel Capet.*

I obywatel Capet pragnie poślubić słodką Angielkę.

-Louis, nie kus mnie - błagała Meriel. - Możesz zrzekać się władzy, ale ani Anglicy, ani Francuzi nie pozostawią w spokoju. Jesteś dla nich zbyt ważny.

-Zbyt ważny w ich grach - poprawił ją gorzko. - Są jak dzieci bawiące się żołnierzami, tylko zapominają, że te żołnierzyki krwawią i umierają. W Nowym Świecie jest inaczej. Możemy być tam wolni, Meriel. Wessex nam pomoże.

-Wbrew życzeniom króla? - zapytała Meriel. - Nie kłóćmy się teraz, kochanie. Powiedz mi, jakie są wieści o księżnej?

-Rozmawiałem tylko z wysłannikiem - odparł Louis. - Z poganiaczem, który przyjechał do miasta. Ale powiedział mi o spotkaniu w ruinach zanku jakieś pięć mil stąd. Mam się tam spotkać z ich przywódcą, który ma mi przekazać wieści o księżnej.

-To zbyt niebezpieczne! - zdecydowała Meriel.

-Dlatego też nie powiemy o tym ani słowem Henn - powiedział zdecydowanie Louis. - Gdy już się dowiemy, gdzie jest twój wuj i księżna, będzie dość czasu, by go w to włączyć. Zbyt dużo ryzykował ukrywając mnie przez cały ten czas, żeby teraz martwić go takimi drobiazgami.

-Ale jeśli... - zaczęła Meriel.

-Ci ludzie są przyjaciółmi - uciął delikatnie Louis. - Wierzą we Francję i w króla, nie w oportunistę, który ostatnio koronował się na Cesarza. Nie zdradza mnie, chociaż tak naprawdę nie wie, kim jestem. A teraz chodźmy. Jeśli się pośpieszymy, zdążymy wziąć ślub, zanim madame Carmaux nakryje do kolacji.

-Nie - odpowiedziała Meriel uśmiechając się czule.

Jednak jego słowa wcale jej nie uspokoiły. W pewnym sensie była mądrzejsza od Louisa. To prawda, on stykał się z niebezpieczeństwem od dziecka, ale też zawsze otaczali go ludzie, którzy życzyli mu dobrze. Podchodził więc do świata optymistycznie.

Meriel nie.

Kiedy więc Louis opuścił dom kilka godzin po zmierzchu, ruszając na umówione spotkanie z Podziemiem, Meriel pospieszyła za nim. Księżyc był zaledwie kilka dni po pełni, więc dawał dość światła, by mogła go śledzić. Louis wprawdzie miał ze sobą latarnie, ale nie zapalał jej, znając drogę jak własną kieszeń.

Zameczek, do którego zmierzał, został spalony wiele lat temu, podczas Zwycieskiej Rewolucji. Zanim podłożono ogień, oczywiście budynek obrabowano, teraz więc pozostały tylko nadpalone kamienne i drewniane fragmenty ścian - wszystko inne bowiem dawno już rozebrali ludzie. Również po murze pozostał tylko niewielki ślad - wiesniacy stopniowo wynieśli kamienie, by reperować nimi własne domy i stodoły. Nawet metalowa brama przetopiono na napoleońskie armaty. Ozdobne trawniki zamieniły się w dzika łąkę, a ogrody stały się gęstwiną krzewów i kolczastych chwastów.

Louis zapalił latarnie, aby się przez nie przedrzeć. Meriel, która została nieco z tyłu - bała się, że zostanie odkryta, a w dodatku suknia nie pozwalała jej szybciej iść - dostrzegła małe światełko migoczące daleko z przodu. Przyspieszyła kroku, ale trafiła na koleinę i przewróciła się jak długa. Znieruchomiała, gdy idący przed nią Louis rozejrzał się zaniepokojony, usłyszawszy hałas. Kiedy tak leżała na ziemi, jej wyciągnięta ręka natrafiła na identyczną koleinę jak ta, która była powodem jej upadku. Ślady po przejeździe ciężkiego wozu. Ale kto ciągnąłby taki wóz do ruin zameczku?

Louis znow ruszył przed siebie. Meriel podniosła się na kolana i zbadła dokładnie zagłębienia po kołach. Musiały być świeże - ziemia wciąż miała w sobie wilgoć. Koła wozu były szeroko rozstawione a ślady głębokie, co świadczyło o wielkości i ciężarze pojazdu.

Meriel zerwała się na nogi, a jej serce zaczęło bić znacznie mocniej niż mogłoby to spowodować tylko zmęczenie. Przytrzymując dół sukni, zaczęła biec w kierunku światła latarni.

Oby się myliła. Wszyscy świeci, oby się myliła!

Miała nadzieję, że dogoni Louisa, zanim on wejdzie w ruiny, ale po ciemku źle oceniła dzielący ich dystans. Kiedy zatrzymała się, by chwycić oddech, on już wchodził do zamku. A jeśli była w błędzie? Jeśli naprawdę czekał tu tylko przywódca Podziemia?

Spłoszył wtedy tego człowieka swoim krzykiem i może nigdy już się nie dowiedza niczego o księżnej Wessex.

Niewiele miała czasu na podjęcie decyzji. Musi wybierać między ukochanym a przyjaciółką. Ale chociaż bolało ją serce z powodu tej zdrady, wybór nie był trudny.

-Louis! - krzyknęła z całych sił. - To pułapka! Pułapka! Louis odwrócił się i unosił w górę latarnie. Widziała złoty blask ognia na jego twarzy, kiedy na nią spojrzał. I wtedy ruiny też eksplodowały światłem, jakby ktoś podłożył pod nie ogień, a z ukrycia wybiegli krzyczący żołnierze.

-Uciekaj! - krzyczał Louis, gdy już go złapali. - Meriel, uciekaj!

Wahała się tylko przez mgnienie oka, potem odwróciła się i pognęła jak spłoszona sarna. Nic nie mogło jej zatrzymać. Huknęły strzały, ale nie zwróciła na nie uwagi. Uniosła suknie tak wysoko jak mogła i uciekała, jakby otworzyły się za nią wrota piekła. Biegła tak, aż dopadła kościółka i pociągnęła za sznur dzwonu, który wzywał kapłana w przypadku nagłej nocnej potrzeby.

Kiedy pojawił się pere Henri, Meriel nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Osunęła się do jego nog, z trudem łapiąc powietrze i próbując opanować mdłości.

-Louis - zdolała wreszcie wykrztusić wskazując ręką na kierunek, z którego przybiegła.

Jakby na jej wezwanie, nadjechał stamtąd czarny powóz, zmierzający ku głównej drodze do Paryża. Ciągnęło go dwanaście czarnych koni, i tyle co najmniej było trzeba, bo powóz wykonano niemal w całości z żelaza, i nawet jego wąskie okna były zakratowane.

Wielkie metalowe klodki na drzwiach dudniły jak odległy grzmot, kiedy przejeżdżał obok nich. Przed powozem i za nim jechało po sześciu żołnierzy, a czterech siedziało na dachu wozu. I każdy z nich był uzbrojony w muszkiet.

-Nie - wyszeptała w rozpacz Meriel. Opat de Conde dzwignął ją na nogi.

-Musisz być silna, moje dziecko - powiedział.

Było już dawno po pomocy. Meriel klęczała przed figurką Dziewicy w kościółku, a w dłoniach trzymała pożyczony rozaniec.

Słowa modlitwy już się jej plątały ze zmęczenia, ale nie mogłaby w żaden sposób teraz usnąć. Mogła myśleć wyłącznie o tym, że Louis - jej Louis - był w rękach wrogów.

Przeze mnie. Zawsze wszystko przeze mnie, myślała zrozpaczona.

Opat udał się do miasta i przepytał parę osób. Poganiacza, z którym rozmawiał Louis, nie można było nigdzie znaleźć, chociaż jego krowy wciąż stały w oborze jednego z tutejszych rolników. Nikt też nie widział przejeżdżających wcześniej przez wioskę szesnastu żołnierzy i żelaznego powozu, ale przecież do ruin wiodły też inne drogi.

Louis zniknął. Opat był teraz w swojej pracowni i pisał listy, które mogły pomóc jego młodemu kuzynowi, ale też mogły się okazać całkowicie bezużyteczne. A Meriel klęczała w kościele, błagając Świętą Dziewicę o cud. Nawet nie o wielki cud. Zrozumiałaby, powiedziała Matce Boskiej, gdyby ona nie mogła uwolnić Louisa. Ale prosiła, by chociaż mogła umrzeć wraz z nim.

-Powiedz mi tylko, gdzie on jest, Święta Matko. Pozwól mi tylko udać się do niego.

Ale nie było odpowiedzi.

Potem za dnia ludzie wchodzili i wychodzili. Niektórzy, by się pomodlić za młodego Louisa, którego wszyscy znali i lubili, chociaż dotąd uważali go po prostu za siostrzeńca opata; inni, by modlić się za siebie, bo jeśli stanie się wiadome, że wioska ukrywała zaginionego króla, cesarz w swoim gniewie może zrownać ją ziemią. Meriel zaś wciąż pozostawała w kościele odmawiając Msze Carmaux, która naklaniała ją do łóżka. Wreszcie późnym popołudniem przyszedł do niej sam opat. De Conde postarzał się tej nocy o dwadzieścia lat. Oczy miał podkrążone, skóra szara i wysuszona. Patrząc na jego twarz Meriel widziała tylko czaszkę pokrytą skórą.

-Meriel? - odezwał się do niej. - Dziecko, musisz odpocząć. Nie powiniś niszczyć się w ten sposób. To ci nie pomoże.

-A więc moje modlitwy są bezużyteczne? - zapytała pogardliwie. - Mówią przecież, że Nasz Pan przychylniej słucha własnie grzeszników. A ja zdradziłam już tylu ludzi w swoim życiu, że z pewnością teraz mnie wysłucha.

-Nie mów tak - skarcił ją surowo opat. - Jesteś teraz zrozpaczona i przepelniona gniewem, więc nie wiesz, co mówisz. Ale nie drwij z Boga, dziecko.

-Nie drwij z Boga, ojciec - odparła Meriel. - Ale sądzę, że On nas nie słyszy.

W środku nocy Meriel obudziła się gwałtownie i usiadła na łóżku z bijącym mocno sercem. Zdawało jej się, że ktoś krzyczał jej imię. Okna były jednak dokładnie zamknięte, podobnie jak drzwi, w pokoju zaś nikogo nie było. Meriel zsunęła się z łóżka i podeszła do okna. Otworzyła je, uniosła okiennice i wyrzuciła do ogrodu. Panował tam zupełny spokój i cisza. Jedynym światłem był odległy blask świeczek za witrażami kościoła. Z wnętrza domu ani z ogrodu nie dochodził żaden dźwięk.

Louis...

Zalęła ją nagle fala smutku, ale zdecydowanie odsunęła od siebie emocje. Teraz, kiedy już się ocknęła, obudziła się w niej determinacja z poprzedniego dnia. Musi coś zrobić!

Korzystając ze światła księżyca szybko włożyła bawełnianą sukienkę, wzięła pożyczony szal i trepy. Owinęła ciężkie buty w szal i przeszła na palcach przez uspijony dom. W kuchni otworzyła tylne drzwi i wyszła do ogrodu. Nie była do końca pewna, która jest godzina, ale wiedziała, że to pora między udawaniem się na spoczynek a paniem kogutów przed świtem. Powoli zamknęła drzwi zamykając, że nie może ich w żaden sposób zabezpieczyć, i odeszła.

Nie zaszczekał żaden pies, kiedy szła w kierunku wioski. Przeszła obok ściany kościoła i zahała się, ale nie zatrzymała. Błagała już Boga o pomoc, a On jej nie wysłuchał. Teraz zwróci się do kogoś innego.

Każda wioska we Francji miała miejsce - studnie, drzewo, kamień - poświęcone Najstarszemu Ludowi. Tam można było składać ofiary i błagać o pomoc. Dobrym chrześcijanom było to surowo zakazane; księź twierdził, że wszelkie Moce pochodzą od Boga Wszechmogącego i czczenie Jego twórców zamiast Jego samego byłoby wielkim grzechem. Ale prosty lud znalazł głębszą prawdę: Święta Matka Chrystusa nie zawsze mogła im pomóc, jeśli działałoby się to wbrew woli Jej Syna, który był znacznie mniej wyrozumiały od swojej Świętej Matki. A sam Bóg był bezstronny i sprawiedliwy... i nie dawało się Go przekupić.

Ale Czarodziejski Lud przekupić się dało.

Meriel wiedziała, że nie zależy im na srebrze, ale miała ze sobą złoto i klejnoty, zaszyte w halce jeszcze przed ucieczką z Anglii. Nic, co mogłaby za to kupić, nie miało teraz dla niej znaczenia. Mogła dać im to wszystko i miała nadzieję, że Czarodziejski Lud jej wysłucha.

Louis pokazał jej to miejsce kilka dni temu - trzy glazy na granicy dwóch pol. Wtedy się bała. Kiedy zachęcał ją, by weszła do środka, uciekła. A teraz wracała do tego miejsca.

Nie wyglądało wcale przerażająco - trzy jasnoszare skalne bloki, ustawione w nieco nieregularny trójkąt. Nie były to nawet wielkie glazy - najwyższy z nich sięgał Meriel do policzka zaledwie - i wyglądały jak nie do końca obrobione milowe słupki na drodze. Trawa pomiędzy nimi rosła bujna i gęsta - Louis mówił, że nawet w najupalniejsze lato, ale teraz, gdy ledwie skończyła się wiosna, nie wydawało się to wcale nienaturalne.

A jednak kiedy w nocy zbliżała się do tych glazów, jej serce biło mocno ze strachu przed nieznanym. Owiadniał ją zabobonny lek.

-To dla Louisa - powiedziała sobie z mocą. Strach i gniew na to, co się z nim teraz działo, usuwał słabość z jej serca. Wkroczyła zdecydowanie w sam środek kamiennego trójkąta. Było tak zimno między tymi glazami... choć jeszcze przed chwilą czuła gorące letnie powietrze.

To była jej ostatnia nadzieja. Jeśli się nie uda, Louis zostanie oddany Madame Guillotine. Żołnierze wrócą, żeby poszukać także Meriel, a jeśli zniknie i ona, nikt nie będzie wiedział, co się stało z Sarą. Zdecydowana, że do tego nie dopuści, Meriel zadarła suknię i sztywnymi od chłodu rękami rozdarła halkę w miejscu, gdzie zaszyte były skarby. Monety i klejnoty posypały się na trawę. Meriel pozbierała je uważnie, składając swój dar na chustkę. Spojrzała na ten mały skarbiec... i stojąc między magicznymi glazami zaczęła płakać, bo nagle zdała sobie sprawę, że nie pozostała jej już żadna nadzieja. By ratować życie Louisa, nie mogła wezwać pomocy Magicznego Ludu, bo po prostu nie wiedziała, jak to zrobić. Opadła powoli na kolana i złożyła dłonie. Chciała się pomodlić, ale w tym miejscu zdało jej się to bluźnierstwem... nie wiedziała też, do kogo się modlić. Jeśli Louis umrze, jeśli jej modlitwy nie zostaną wysłuchane, utraci wiarę w Boga, a tego bała się niemal równie mocno jak utracenia Louisa. Oczywiście Meriel wypełniła się łzami; zacisnęła zęby, by nikt nie

usłyszał jej szlochu. Sama jednak też nie usłyszała tego, kto się do niej zbliżył.

-Kto mnie wzywa? - rozległ się słodki, melodyjny głos. Meriel przestraszona rozejrzała się wokół. To, co zobaczyła, wzbudziło w niej zdumienie tak wielkie, że łzy zaschły niemal natychmiast.

Między głazami stała kobieta. Była bardzo drobna - czubek jej głowy znajdował się na wysokości najwyższego z kamieni. Nosila szate tak zwiewna, iż zdawało się, że otaczają ją delikatne opary mgły.

-Ja, ja... - wyjąkała Meriel - potrzebuje...

-Król odszedł z tego kraju - powiedziała kobieta z Magicznego Ludu - a Wzgorza odeszły wraz z nim. Przyszłam z bardzo daleka, by odpowiedzieć na twój zew, Corko Ziemi. Twój płacz był taki głośny.

-On jeszcze żyje - jęknęła Meriel, nie rozumiejąc prawie nic ze słów przybyłej. - Powiedz mi, że on jeszcze żyje, błagam cie, madame!

-Młody Król żyje, ale dla nas jest martwy, bo nigdy już nie będzie składał nam przysięgi, jak to było niegdyś. - Głos kobiety był zimny i odległy, jakby nie należała do tego świata i nie obchodziły ją jego problemy.

-Wiec żyje! - Meriel na chwilę zapomniała z radości, że przyszła tu prosić o pomoc. - Pomóż mi, pani, a dam ci to wszystko - powiedziała wskazując na stosik u swoich stop. - I jeszcze...

I wszystko, o co tylko poprosisz - miała dodać, ale wtedy przypomniała sobie opowieści swojej starej niani i przerwała w połowie zdania. Stara Janet była Szkotka, a za Murem* kontakty z Najstarszym Ludem były na tyle częste, że Janet ostrzegała ją przed takimi targami bardzo poważnie. A przede wszystkim ostrzegała, aby nie składać tak otwartych obietnic.

-...i będę cie szanowała aż do śmierci - dokończyła więc ostrożnie Meriel.

Kobieta uśmiechnęła się zimnym, księżycowym uśmiechem i uklekła nad stosem klejnotów i złota.

-To nie wystarczy - powiedziała w końcu.

-Ale to wszystko, co mam! - zaprotestowała Meriel, a w jej oczach znów błysnęły łzy.

-Nieprawda - odparła z wyrzutem kobieta z Magicznego Ludu i Meriel przypomniała sobie o naszyjniku i kolczykach, które wciąż miała na sobie.

Powoli odpiela kolczyki z koralowymi kulkami i dorzuciła je na stosik. Kobieta natychmiast jej chwyciła i uniosła podziwiając.

Jeszcze wolniej Meriel odpiela zapiecec lancuszką otaczającego jej szyję. Wisiał na nim medalion, na którego jednej stronie widniał ułożony z małych diamentów krzyżyk, a z drugiej wygrawerowano herb Ripon. Wewnątrz był miniaturowy portret jej dawno zmarłej matki. Ten medalion był najcenniejszą rzeczą, jaką miała.

Ona tylko chce zobaczyć, czy jestem gotowa go oddać, pomyślała z nagłym buntem Meriel, ale wiedziała, że te rozterki są głupie. Przecież przez samą swoją obecność tutaj ryzykowała niesmiertelną duszę, a chodziło o życie jej ukochanego. Nie była to naprawdę pora, by zalać przedmiotów. Meriel dorzuciła złoty medalion do pozostałych klejnotów.

-Teraz wystarczy - powiedziała kobieta. - O co więc mnie poprosisz, Corko Ziemi?

Meriel zawahała się. Stara Janet ostrzegła ją, że Magiczny Lud, jeśli tylko może, oszukuje przy umowach. O co powinna poprosić? Żeby ta kobieta dała Louisowi wolność? To mogło być wieloznaczne. Żeby wysłała pomoc? To również.

-Chcę, abys dostarczyła mi środków umożliwiających uwolnienie Louisa i wysłała mnie do niego - powiedziała wreszcie. Kiedy tylko te słowa opuściły jej usta, już chciała je cofnąć, dostrzegając natychmiast tysiące możliwych pułapek.

-To dwie rzeczy. Która chcesz dostać? - zapytała przekornie kobieta.

Meriel otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale postać przed nią zaczęła się nagle zmieniać, rozplywając się jak poranna mgła. Meriel zamknęła oczy. Kiedy spojrzała znowu, kobiety już nie było. Zamiast niej stał w tym miejscu szary kucyk. Gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegła, że płoną czerwonym ogniem.

Zerknęła w dół. Klejnoty, jej chusta i medalion matki znikły. Meriel wstała i ostrożnie podeszła do kuczka. Jeździła konno od wczesnego dzieciństwa, ale to zwierze nie miało ani uprzęży, ani siodła...

Nie mogło jej to jednak powstrzymać.

Kucyk nie protestował, kiedy podchodziła. A gdy już przy nim była, chwyciła silnie obiema rękami grzywe zwierzęcia i wskoczyła mu na grzbiet. Jeszcze dobrze się nie usadowiła, a on już ruszył; najpierw stępą, potem szybciej, aż wreszcie pełnym galopem. Bez wodzy Meriel nie była w stanie go kontrolować. Jedyne, co mogła zrobić, to chwycić się mocno jego grzywy i zmówić modlitwę.

18. PIONEK BIJE WIEŻE

Życie w niewoli jest śmiertelnie nudne, zdecydowała Sara. Była gościem Monsieur

Talleyranda już od czterech dni i z każdym z nich zdecydowanie mniej ja to bawilo. Gdyby naprawdę była kobieta, za jaką uważał ja Talleyrand - wydelikacjona angielska arystokratka - mogłyby ja wykonać nawet same tutejsze warunki: zimne mury celi i jedna miska jakiejś kleistej papki dziennie jako posiłek. Ale Sara przeszła dobrą szkołę życia - spała na twardej podłodze i żyła się gorszymi ochłapami. Rozczesała włosy najlepiej jak mogła samymi palcami, splótła je w dwa warkocze i przewiązała paskami tkaniny oddartymi z brzegu halki. Mufkę, kapelusz i pelisję straciła, zanim jeszcze znalazła się w Chateau Roissy, więc zrobiła sobie pelerynę z koca leżącego na łóżku. Spędzała czas spacerując po celi, co zapewniało przynajmniej rozruszanie mięśni i więcej ciepła dla ciała. Oczywiście natychmiast pozbyła się gorsetu, ale schowała go pod welnianym materacem, żeby nie zginał. Bez niego mogła poruszać się znacznie swobodniej. Jej sukienka miała modne, wąskie ramiona, ale teraz, kiedy nie miała pod spodem gorsetu, stała się nagle bardzo luźna. Oczywiście znacznie chętniej włożyłaby spodnie, takie jakie nosiła do polowania, ale musiała poprzestać na marzeniach; nie sądziła, by jej nadzorczy byli ludźmi, którym można przedstawić takie dziwne zadanie. Z wyjątkiem służącej, która przychodziła dwa razy dziennie, Sara nie widywała nikogo, i chyba powinna być z tego powodu zadowolona. Geoffrey Highclere, na podstawie ich krótkiej znajomości, wydawał jej się człowiekiem, który mógłby się posunąć do wielu nieprzyjemnych rzeczy, gdyby tylko miał okazję i sądził, że ujdzie mu to bezkarnie. Na szczęście jednak pan Highclere trzymał się z dala, więc Sara spokojnie spacerowała po celi, jadła, co jej przyniesiono... i planowała ucieczkę.

Bo uciec stąd musiała i to szybko.

Nie wiedziała oczywiście, czy Wessex zamierza ją ratować, choć znając jego zimną dumę uważała to za nieuniknione; mimo to wiedziała, że musi polegać przede wszystkim na sobie, bo przecież sam Talleyrand przyznał, że nie wie, gdzie można znaleźć diuka. Jeśli zaś naczelny szpieg Francji nie potrafił go zlokalizować, to tym bardziej nie uda się to jej, zwłaszcza z więzienia. A więc Wessex musi na razie wykreślić ze swoich planów.

Jej szansę stanowiło to, że zarówno Geoffrey Highclere, jak Monsieur Talleyrand uważali ją za słabą kobietę. Nie kłopotali się nawet przeszukaniem jej. Sara, kiedy ją pojmano, była ubrana zgodnie z wymaganiami mody, od fryzury aż do trzewików. Gorset z klejonego płótna usztywniony był drutami i fiszbinowymi podporkami, a długie brązowe włosy upinała srebrnymi szpilkami, które wciąż miała. Tymi przyrządami mogła otworzyć drzwi celi. Przybyła do zamku tuż po pełni księżyca, a kiedy będzie blisko nowiu i nocą stana się ciemno, nadejdzie czas na jej ruch. Czekala cierpliwie, także z tego powodu, że uznawała, iż im dłużej będzie odgrywać pokornego i przestraszonego więźnia, tym mniej będa się po niej spodziewać oporu. Musiała jednak przyznać, że długie, bezczynne i pozbawione jakiegokolwiek ludzkiego towarzystwa dni były naprawdę trudne do wytrzymania. Tylko samokontrola, jakiej nauczyła się wśród Ludu w swojej amerykańskiej ojczyźnie, chroniła ją przed kompletnym załamaniem, zwłaszcza że musiała martwić się jeszcze o rzeczy, na które nie miała wpływu - począwszy od miejsca pobytu Wessexu, a skończywszy na losie lady Meriel. Meriel nie miała jej umiejętności i wytrzymałości; Sara próbowała się pogodzić z myślą, że może nigdy już nie ujrzeć przyjaciółki.

Pograzyla sie w tych melancholijnych myslach, podczas gdy jej stopy automatycznie wydeptywaly droge wokol celi; nagle stala sie czujna. Nie wiedziala dokladnie, co ja zaalarmowalo, ale kiedy stanela bez ruchu, uslyszala skrobanie przy zamku drzwi. Natychmiast pomknela do lozka i usiadla na nim. Spuscila glowe starajac sie wygladac na nieszczesliwego wieznia.

Kiedy drzwi sie otworzily, uniosla wzrok. W korytarzu kilku chasseurs w czerwono-zielonych uniformach szarpalo sie z mlodym blondynem w zabloconej koszuli i spodniach. Mlody czlowiek mial zwiazane za plecami rece, a twarz pokrwawiona i posiniaczona, ale wciaz probowal opierac sie zolnierzom, ktorzy wreszcie jednak wepchneli go do srodka i zatrzasneli za nim drzwi.

Sara podbiegla do mlodzienca, ktory probowal z wysilkiem wstac z podlogi. Wiezy na jego nadgarstkach byly zacisniete tak mocno, ze cale rece mial pokryte ciemna zaschla krwia. Sara meczyla sie przez chwile ze sznurami, ale po chwili stwierdzila, ze nie da rady ich rozwiazac.

-Poczekaj - powiedziala. - Przetne je.

Mowila po angielsku. Wprawdzie jej matka uczyla francuskiego mlode damy z Baltimore, ale Sara byla niedbala studentka i nie pamietala prawie nic z tych lekcji. Zdawalo sie jednak, ze nieznajomy zna angielski, poniewaz przestal sie wyrywac uklakl na podlodze i przyjrzel jej sie uwaznie.

Jeszcze na poczatku niewoli Sara ukradla lyzke, ktora przyniesli jej wraz z jedzeniem. Lyzka byla cynowa (od czasu tej kradziezy dostawala wylacznie drewniane), wiec szybko zdala sobie sprawe, ze nie bardzo przyda sie jako bron czy narzedzie, ale naostrzyla jej krawedz niczym noz, glownie z braku innych zajec i trapiacej ja nudy. Teraz wydobyła naostrzona lyzeczke ze skrytki w materacu i uklakla przy mlodym wspolwiezni.

-Jestes pani Angielka? - zapytal w jej jezyku. Tylko minimalny akcent zdradzal, ze nie jest to jego ojczysta mowa.

-Amerykanka - odpowiedziala Sara automatycznie, zanim zdala sobie sprawe, ze w tym obcym swiecie to slowo nie ma zadnego znaczenia.

-Z Nowego Swiata! - twarz nieznajomego rozjasnila sie, jakby na chwile zupełnie zapomnial, gdzie sie znajduje. - Musisz mi wszystko opowiedziec o tym miejscu, mam'selle.

-Z checia - odparla Sara przygladajac sie jego wiezom w poszukiwaniu najcienszego miejsca do ciecia. - Ale sadze, ze lepiej bedzie najpierw uwolnic ci rece. Jesli nie przywrocimy krazenia, moze to sie dla ciebie zle skonczyc.

-Tchorzliwe swinie - powiedzial bez specjalnej zlosci w glosie. - Trzesa sie jak stare baby przed jednym czlowiekiem. Czym moge im zagrozic? Jestem wygnancem w swoim

własnym kraju od wczesnego dzieciństwa. Nieważne. Co do swojego losu nie mam złudzeń. Gdybym tylko mógł być pewien, że ma petite jest bezpieczna. Szła ze mną na miejsce spotkania, gdzie zostałem pojmany. Powinienem być się domyslić, że tak zrobi.

-Powinieneś - powtórzyła nie słuchając go Sara. Znalazła właściwe miejsce i zaczęła pracować swoim zaimprovizowanym nożem. Cyna była ostra, ale miękka i Sara nie śmiała naciskać zbyt mocno w obawie, by nie złamać słabej broni.

-Może doszły pani słuchy o innym więźniu? - zapytał młody człowiek. - Ona ma na imię Meriel. Jest Angielka, chociaż mogłaby uchodzić za moja rodaczkę...

-Meriel! - Sara przestała nagle pracować nad sznurem i spojrzała na niego. - Wiesz, gdzie ona jest? Czy jest bezpieczna?

-Znasz ja, pani? - zapytał zaskoczony młodzieniec - Ale proszę mi wybaczyć, mam'selle. Powinienem się przedstawić. Mam na imię Louis. Może lepiej będzie poprzestac tylko na imieniu.

-Mam na imię Sara - odparła na to Sara.

O dziwo, to proste imię wywołało u Louisa atak śmiechu, który zresztą zaraz zakończył się jękiem bólu, gdy zaprotestowały obolałe mięśnie twarzy.

-A więc ty musisz być tą Sara, o której mówiła Meriel. Ciesze się zatem, że Monsieur Geoffrey nie zrobił ci dużej krzywdy.

Szybko opowiedzieli sobie swoje historie, chociaż Sara wyczuwała, że Louis coś zachował dla siebie. Przez ten czas przecięła sznur. Ostrożnie zdjęła wiezy z nadgarstków Louisa i zaczęła masować jego bolące ręce, aż wróciło normalne krążenie krwi. Naczynia po porannym posiłku wciąż stały na stole, a w dzbanku została jeszcze trochę wody. Sara oddała kawałek halki i zmoczyła tkaninę w wodzie, aby otrzeć nią z krwi twarz Louisa. Kiedy z tym skończyła, chłopiec chwycił chciwie dzbanek i wypił resztę wody. Potem pomogła mu wstać i zmusiła do spaceru, aby rozprostowały się mięśnie skurczone w czasie długiej podróży w zamknięciu i więzach.

-A więc mają zamiar cię ścinać? - zapytała Sara podsumowując ich konwersację. Wiedziała, że wobec niej Talleyrand też ma takie zamiary, ale jakos jej śmierć wydała się bardziej odległa.

-Muszą mnie najpierw zabrać do Paryża - odparł Louis. - Nie wystarczy, że umrę. Muszę umrzeć na oczach świata. Ale zanim to nastąpi, Czarny Ksiądz będzie chciał się dowiedzieć, co wiem i w jaki sposób może tego użyć dla własnej korzyści.

-Widzę z tego, że jesteś ważnym człowiekiem - kusił go do dalszych zwierzeń Sara. Miała jednocześnie nadzieję, że Louis opowiadając zapomni na chwilę o swoich problemach.

Mimo prostego ubrania był niewatpliwie wykształconym człowiekiem, ale nie wiedziała o nim nic więcej, jak tylko to, że mieszkał w małej wiosce, niedaleko której Meriel uciekła z powozu.

-Tylko w chorej wyobraźni Cesarza Napoleona i jego szakali - odparł znużonym głosem Louis. - Jedyna nadzieja na nasz ratunek w twoim mezu, księżno. Innej nie widzę.

-Może jeszcze pojawi się inna - odparła na to Sara.

Sara nie podzieliła się z Louisem swoimi planami ucieczki, częściowo z wrodzonej ostrożności, a częściowo dlatego, by nie dodawać mu problemów do przemyśleń i zmartwień. Kilka godzin później służąca przyniosła następny dzbanek z wodą i miszkę rosółu; Sara zmusiła Louisa do jedzenia i do picia. Potem nakłoniła go do snu. Choć ucieczka będzie znacznie trudniejsza, gdy będzie musiała wziąć chłopca ze sobą, Sara ani przez chwilę nie rozważała myśli, by go pozostawić. Jego przybycie wyznaczyło cel ucieczki - powrót do wioski i ponownie odnalezienie Meriel. Meriel doskonale mówiła po francusku i Sara była pewna, że da radę przekupić jakiegoś przemytnika, aby zabrał ich do Anglii albo przynajmniej przekazał tam wiadomość.

Ale najpierw Louis i Sara musieli uciec, a Louis był w bardzo złym stanie po dwóch dniach podróży w więzach. Choć protestował przed położeniem się spać, zasnął niemal natychmiast, gdy tylko jego głowa dotknęła poduszki.

Sara odsunęła się w przeciwny róg pomieszczenia i przysiadła tam. Nadzorca nie dostarczył lampy ani świecy, więc ciało Sary przyzwyczało się do spania i wstawania zgodnie z rytmem słońca. Dzisiaj w nocy jednak nie będzie miała tego luksusu. Nawet jeśli pozostawi tu Louisa przez noc, jutro z pewnością po niego przyjdą i zabiorą na przesłuchanie. Muszą uciec dzisiaj w nocy.

Sara nastawiła swój umysł na pobudkę o pomocy i zapadła w lekką drzemkę.

Obudziła się kilka godzin później, natychmiast przytomna i gotowa do akcji. Okno miało jak małą szarą plamę w zupełnych ciemnościach, ale nie wpadało jeszcze przez nie światło dnia. Jedynym dźwiękiem był cichy oddech Louisa. Sara nie potrzebowała światła. Ostatnie pięć dni spędziła na zapamiętywaniu całego pomieszczenia, aby móc się po nim poruszać z zamkniętymi oczami. Wyciągnęła zaimprovizowane narzędzia z kieszeni sukienki, zdjęła buty i skradając się cicho jak kot podeszła do drzwi.

Przez dziurkę w zamku syczał się waty promyczek światła. Przekonała się o tym już wcześniej. Gdzieś niedaleko w korytarzu płonęła przez całą noc lampa. Nie sadziła, by za drzwiami stał strażnik, ale jednak przytknęła ucho do zamka i słuchała uważnie przez kilka minut. Nic. Jeśli ktoś tam stał w korytarzu, był cichy jak wojownik z Ludu, bo nie usłyszała najmniejszego szmeru.

A więc do dzieła. Fiszby gorsetu posłużyły za podporke, a zakrzywiona spinka pełniła rolę

dzwigni. Zamek był stary, wielki i ciężki. Ale ktoś dobrze go naoliwił, więc powinna dać radę, jeśli tylko znajdzie właściwy punkt. Kilka razy prawie trafiała i za każdym razem drut zsuwał się z zaimprovizowanej dzwigni. Nie spieszyła się, chociaż denerwowało ją każde kolejne niepowodzenie. Po czasie, który zdawał się jej niemal wiecznością, ale nie mogło to trwać dłużej niż pół godziny, zatrząsk w końcu się cofnął, a zamek otworzył z głośnym szczeknięciem, które zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

Louis poruszył się we śnie i zaraz ocknął, wracając do rzeczywistości w tym ponurym otoczeniu. Sara zawahała się, nie wiedziała, czy podejść do niego i powstrzymać go przed krzykiem, czy dalej trzymać drzwi, które bez tego otworzyłyby się na całą szerokość.

Louis rozwiązał jej dylemat, bo usiadł - co usłyszała w ciemności - i przerzucił nogi przez brzeg łóżka. Oczami duszy Sara widziała go wpatrującego się w ciemność i próbującego jadostrzec.

-Mam'selle la duchesse - wyszeptał.

-Cicho! - syknęła rozkazująco w odpowiedzi.

Louis zamilkł. Sara powoli uchylała drzwi. W szczelinie pojawiła się najpierw smuga światła - oslepiająco jasna w porównaniu do poprzednich ciemności. Powoli i wstrzymując oddech Sara wyjrzała na zewnątrz.

Korytarz był pusty.

Louis stał już u jej boku; poruszał się dość cicho jak na wychowanego w cywilizacji człowieka. Spojrzał na nią pytająco. Sara ruchem ręki nakazała mu pozostać tam gdzie był, a sama wysunęła się na korytarz.

Wciąż nic. Kilka kroków dalej, na zniszczonym stole, stała świeczka na szklanej podstawce. Sara skradła się korytarzem w stronę, w którą prowadzono ją na spotkanie z Talleyrandem. Szła uważnie, obawiając się skrzypiących desek, aż wreszcie dotarła do schodów, równie ciemnych i cichych. Jeśli na dole ktokolwiek był, stąd nie mogła go zobaczyć. Bezszelestnie wycofała się do miejsca, gdzie stał Louis i pokazała mu gestem, by ruszał. Chociaż na jego twarzy malowała się ciekawość, miał na szczęście na tyle rozumu, że nie zadawał żadnych pytań. Podążył za nią tak cicho, jak tylko mógł. Sara umierała tysiące razy, nim dotarli do schodów, bo oboje poruszali się dość niezgrabnie w ciemnościach, a każdy najmniejszy dźwięk rosnął w jej uszach tysiackrotnie. Kiedy w końcu dotarli do pierwszego pietra, była wyczerpana tak bardzo, że niemal nie miała siły iść dalej.

Ktoready teraz? Pokój, w którym rozmawiała z Talleyrandem, znajdował się niżej, ale po przeciwnej stronie starej, kamiennej części zamku, w której była trzymana jako więzień. Zamek zbudowano na pochyłości, więc sądziła, że zdoła się wydostać przez okno po tej stronie. W fosie nie zauważyła ani śladu wody, wyglądając przez więzienne okienko. Przecież chasseurs nie mogą pilnować każdego okna!

Nieważne, i tak musieli spróbować tej właśnie drogi. Blisko już było do świtu, a zanim nadejdzie dzień, muszą być daleko. Na tym poziomie były schody, prowadzące do góry na każdym końcu skrzydła. Naprzeciw, za wykładaną marmurem duża sala, były jeszcze jedne schody, dla odmiany prowadzące w dół, dwukrotnie szersze od tamtych i wciąż piękne, mimo zniszczeń w pozostałej części budynku.

Sara wzięła Louisa za rękę. Miała wrażenie, że są para dzieci błądząca w ciemnym lesie. Poprowadziła go w kierunku szerokich schodów. Ręka Louisa była zimna i Sara czuła, jak drży. Ona sama ledwie mogła oddychać, tak silnie odczuwała pragnienie wolności, która była już o krok. Wydostać się stąd, być znowu panią własnego losu...

Dotarli na dół schodów. Sara przystanęła, próbując zorientować się w ciemnościach.

-Stój - szepnął Louis i pociągnął ją do tyłu. Ale ona też już usłyszała ten dźwięk: kroki ciężkich butów na kamiennej posadzce, a potem ostry zgrzyt otwieranej latarni.

Uniosła rękę do oczu, oslepiona gwałtowną jasnością.

-Witaj, droga księżno. Naprawdę miło znowu cię oglądać - usłyszała wesóły głos Geoffreya Highclere'a. Postawił latarnie na podłodze i wszedł w krąg jej światła.

Highclere miał na sobie bardzo wytworny czarny mundur ze srebrnymi lampasami i czerwonymi pagonami. Przy boku nosił szablę, a jego jasne włosy lśniły w świetle latarni. W ręku trzymał pistolet.

-I wasza wysokość. Coż za niespodziewany dodatek!

-Nigdy nie interesowało mnie towarzystwo zdrajców - powiedział z obrzydzeniem Louis.

Sara spojrzała na niego. Rewolucja Francuska była oczywiście tematem wielu rozmów podczas jej krótkiego pobytu w Anglii. Słyszała więc, że Ludwik XVI został ścięty, a jego syn od dawna już był uważany za nieboszczyka. Czy pan Highclere powiedział...

-Wasza wysokość nie będzie zmuszony długo cierpieć ich towarzystwa - odparł przyjaznym głosem Highclere. - Kiedy Talleyrand powróci z Paryża, odbedzie się egzekucja. Natomiast księżna, obawiam się, opuści nas już teraz...

Illia Kosciuszko i Wessex opuścili Amiens tego samego dnia, zmierzając na zachód, w stronę wybrzeża. Wessex nie pozwolił Biskupowi Amiens przesłać do Anglii polecenia, aby wypłynął po nich statek. Diuk zdawał się poganiany wielką i niewytłumaczalną gorączką; nawet jego partner był tym zdziwiony. Wyjazd wieczorem nie miał sensu, skoro opłacili za noc pokoje, a ich świeżo wyprodukowane dokumenty były jeszcze wilgotne i mogły nie ochronić ich w razie dokładniejszej kontroli. Co więcej, Wessex wcale nie zamierzał trzymać się głównej drogi. Odbijał w bok na pola, skręcał w boczne wiejskie drożki, kluczył, wracał, nadrabiał drogi... Najwyraźniej czegoś szukał.

W koncu Kosciuszko nie wytrzymał.

-Posłuchaj - powiedział przyjacielowi - nie jest to z mojej strony pusta ciekawość, ale powiedz mi, gdzie jedziemy i co właściwie robimy? Księżniczki Stefanii na pewno tu nie ma, a...

-Chwilowo - przerwał mu uprzejmie Wessex - mam gdzieś księżniczkę Stefanie.

Kosciuszko czekał na dalszy ciąg.

-Chcę odzyskać moją żonę - wyrzucił z siebie Wessex, jakby te słowa sprawiały mu ból. - Powiedziano mi, że mam ją szukać przy wodzie i kamieniu, ale niedaleko stąd. Muszę podążać za zachodzącym słońcem, aż dojdę do Starego Świata.

-Sądysz, że to wiarygodna wiadomość? - zapytał ostrożnie Kosciuszko. - Chciałem tylko zauważyć, że słońce już zaszło, więc trudno będzie podążać za nim.

-Możliwe, że to wszystko jest wyssane z palca - zgodził się diuk. - Takie cyganskie gadanie... sam nie wiem, może nie powinienem być w to wierzyć? - zastanawiał się z zakłopotaniem.

Kosciuszko wzruszył ramionami.

-Przy wodzie i kamieniu, niedaleko Amiens... to może oznaczać na przykład miasto i rzekę. Tylko gdzie można teraz znaleźć Stary Świat?

-To miało dalszy ciąg - dodał Wessex. - Księżna podobno jest strzeżona przez Czas i ma Francję w swoich rekach, więc mam spieszyć jej na ratunek natychmiast.

-Łatwiej powiedzieć niż zrobić - mruknął Kosciuszko. - Ma Francję? Czyżby ukradła jednego z napoleońskich orłów? Bo to jest jedyna Francja, jaką znam.

-Nie masz racji - odparł Wessex dziwnym głosem. - Może jeszcze żyć Młody Król, w co zresztą wszyscy wokół zdają się wierzyć. Jeśli tak jest, to właśnie Ludwik XVII jest Francją we własnej osobie.

-To może wyglądać tak - zasugerował Kosciuszko - że Geoffrey Highclere nie jest na służbie Napoleona, tylko króla Ludwika, któremu przyprowadził księżną. Teraz tylko trzeba znaleźć Czas i Stary Świat.

Wessex unosił się w strzemionach i rozejrzył wokół z uwagą, jakby przypuszczał, że nagle pojawi się jakaś wskazówka.

-Kosciuszko - zagadnął nagle - jak myślisz, kto naprawdę płaci Geoffreyowi Highclere? I gdzie on może teraz być?

Szary kuc, na którym jechała Meriel, gnał szybciej niż zwykle zwierze i polykał przestrzeń jak strzala w locie. W kilka chwil wioska Trois Vierges została za nimi, a wierzchowiec z równą łatwością pokonywał mury, doly i zywoploty. Dudnienie jego kopyt brzmiało jak wojenny beben, zbyt szybkie, by wychwycić konkretny rytm.

Lady Meriel przywarła kurczowo do grzywy wierzchowca w obawie o własne życie. Nie miała nawet czasu się zastanawiać, która część jej życzenia została właśnie spełniona - znalezienie czy ratunek. W dodatku nie wiedziała, jaki jest cel tej podróży. Przytuliła tylko twarz do karku zwierzęcia, czując jak wiatr rozplata jej włosy, które opadły w nieładzie na plecy. Straciła buty tuż po tym, jak kuc ruszył, a teraz wiatr porwał także szal. Już tylko bawelniana sukienka i halka chroniły ją przed chłodem nocy.

Uznala jednak, że kuc wiezie ją do Louisa. A to była jedyna rzecz, jaka teraz miała znaczenie. Krajobraz migał z obu boków szybciej niż gdyby leciała jak ptak; pojawiające się przed nimi wieże kościołów znikaly za plecami w ciągu kilku zaledwie minut. Meriel próbowała znaleźć na niebie księżyc i nie dostrzegła go, a jednak zdawało jej się, że noc jest jasna jak przy pełni. Nie miała odwagi nawet się modlić; obawiała się, że gdy wypowie święte imię, jej magiczny wierzchowiec rozplynie się jak mgła. Słupki przydrożne, znaczące mile, migaly jej przed oczami jak białe deseczki w płocie olbrzyma, a palce i stopy Meriel zdrewniały od nienaturalnego chłodu. Ale była zdecydowana nie poddawać się, nie błagać kuca o zwolnienie tempa. Musi ratować Louisa. Nie mógł tego zrobić nikt inny. Nie wiedziała nawet, jak długo biegł jej niestrudzony wierzchowiec, nim wreszcie zaczął zwalniać. Otarła wywołane przez ped powietrza łzy i rozejrzała się wokół.

Na świecie pociemniało, gdy kuc zwolnił biegu; otaczała ich prawie absolutna czern. O jakas milę z przodu majaczyła zniszczona wieża wielkiego zamku. Meriel słyszała też w oddali szczekanie psów i kościelny wiejski zegar wybijający godzinę. Na horyzoncie pojawiły się pierwsze zwiastuny świtu; jej kuc szedł teraz powoli, a siersc miał chłodna i sucha, jakby ten szalency ped był tylko sennym przywidzeniem.

-Dokąd mnie przywiozłeś? - zapytała niepewnie Meriel. Przecież kuc miał ją dowieźć do Louisa. Taka była umowa... Czy na pewno? Gdzie był Louis?

Kuc potrząsnął głową ignorując jej pytania i ponownie przyspieszył do truchtu. Ale tym razem świat nie przybrał dziwnego błękitnego koloru, a Meriel z każdym krokiem stawała się bardziej pewna swojej głupoty. Jak mogła narazić niesmiertelną duszę w ten sposób? Jej nagłe zniknięcie na pewno zasmuci opata de Conde, który przecież nie może wiedzieć, co jej się przytrafiło. Teraz, gdy wschodziło słońce, zawarty pakt wydawał jej się niewłaściwy... i bezużyteczny. Nawet jeśli Louis jest tu gdzieś więziony - może nawet w tym zamku - w jaki sposób mogła do niego dotrzeć?

Nie jestem w lepszej sytuacji niż byłam przedtem, uznała.

Przez kilka ostatnich minut jej wierzchowiec biegł wzdłuż drogi. Meriel zauważyła, że z

przeciwnej strony zbliża się dwóch jeźdźców. Pociągnęła za grzywe kuca, starając się zmusić go do skreślenia w bok, wiedziała bowiem, jak musi wyglądać - bosa i z rozpuszczonymi włosami. Nie chciała, by dostrzegli jacy podróżnicy.

Ale kuc nie zareagował na wysiłki. Co więcej, palce Meriel nagle przeszły przez jego grzywe, jakby była mgła, a twarde muskularne ciało, które czuła pod sobą, zaczęło się rozplwac jak kostka cukru wrzucona do gorącej herbaty. Meriel upadła na drogę niemal pod kopyta nadjeżdżających mężczyzn.

Jechali przez całą noc, a Wessex przez ten czas zastanawiał się gorączkowo nad rozwiązaniem piekielnej zagadki. Identyfikacja tego, kto płacił Geoffreyowi, była dość prosta - to Czarny Ksiądz zarządzał siecią szpiegów i prowokatorów działających w tajnej służbie Francji. Jeśli Geoffrey Highclere brał pieniądze od Francji, płacił mu Talleyrand i do Talleyranda też musiał zawieźć Sare. Ale gdzie jest Talleyrand? Sara z pewnością nie przebywała w Paryżu - o tym wspomniałby mu na pewno Saint-Lazarre. Sara uratowała mu życie, kiedy był jej gościem w Mooncoign i Victor na pewno skorzystałby z tej okazji, by spłacić dług. Załóżmy jednak, że Talleyrand trzyma w swoich rękach nie tylko księżnę Wessex, ale także króla Francji - albo przynajmniej tak sądzi. Władca szpiegów mógł oczywiście skorzystać z okazji, by wystąpić przeciwko swojemu cesarzowi, ale nawet on nie był na tyle potężny, by organizować spisek przeciwko Napoleonowi w samym Paryżu. A więc poszukałby jakiegoś spokojnego miejsca, by rozważyć, jakie korzyści może mu przynieść ta wielka zdobycz.

Już od jakiegoś czasu Biała Wieża wiedziała, że tu w okolicy znajduje się jedna z ulubionych kryjówek Talleyranda. Przed wiekami Chateau Roissy był prawdziwym warownym zamkiem, o czym wciąż przypominały baszty i fosa. Potem stał się raczej domem niż fortecą, aż wreszcie miejscem letniego wypoczynku rodu, do którego należał, i jego służby. Po krwawej rewolucji zamek stał pusty, aż zainteresował się nim Czarny Ksiądz. W jakim celu Talleyrand potrzebował tych nasiakniętych krwią murów, nie wiedzieli nawet agenci Misbourne'a, ale można było podejrzewać najgorsze.

Pomyśl, że Sara jest przetrzymywana w Chateau Roissy, był tylko rzucana na ślepo hipoteza, zbudowana na bardzo długim lancuchu poszlak. Jeśli Highclere jest agentem francuskim - jeśli płaci mu Talleyrand - jeśli przywiozł Sare do Talleyranda - jeśli Talleyrand trzyma ją w zamku...

Jeśli, jeśli i jeśli. Ale Wessex wiedział, że nie ma wyboru. Co więcej, czasu starczy mu tylko na obstawienie tego jednego wariantu, więc oby to było tutaj. Musi dostać się do Chateau Roissy i przeszukać tę średniowieczną fortecę.

Nie przedstawił na razie swojego planu Kosciuszce, bo wiedział, że przyjaciel nie byłby zachwycony, a Wessex nie miał na razie mocnych argumentów na poparcie tej hipotezy. Opowiedział mu już wszystko, czego dowiedział się od przyjazdu do Kopenhagi; teraz zamierzał wysłać partnera do Anglii, aby przedstawił stosowny raport Misbourne'owi ze

wszystkimi niezbędnymi wyjaśnieniami.

Jechali tak aż do miejsca, gdzie diuk zamierzał skrócić w stronę Roissy. Tam Wessex sciągnął wodze swojego ogiera.

-Tutaj się rozdzielimy, przyjacielu. Jesteś nie dalej niż dwa dni od wybrzeża. Biskup Calais na pewno zdoła zorganizować transport, a potem...

-A potem mam mieć wielką przyjemność wyznania Misbourne'owi, że zostawiłem cię samego we Francji. Dziękuję, wasza miłość. Wolałbym raczej zaatakować kompanie francuskiej artylerii.

-Angielska artyleria byłaby trudniejszym przeciwnikiem - zauważył Wessex. - Ale posłuchaj...

-Nie mam ochoty słuchać, wasza miłość - sprzeciwił się jego partner. - Rozwiązałeś te cygankę zagadkę, prawda? Nie myśl więc, że odetniesz mnie od zabawy. Twój raport może równie dobrze przekazać Biskup Amiens, więc ta wymówka odpada - dodał wesoło Kosciuszko.

-Mam zamiar dostać się do zamku Roissy - wyjaśnił cierpliwie Wessex. - A znajda się tacy, którym będzie to bardzo nie w smak.

-Więc wyjaśnimy im to, jak zawsze - odparł Kosciuszko. - To mi pachnie niezłą zabawą. Nie sądzisz chyba, że beze mnie macie jakieś szanse?

-Ty nigdy nie umiałeś słuchać rozkazów - rozesmiał się Wessex, ale poddał się nieuniknionemu i spał konia ostroga.

Był już niemal świt, kiedy nieufnie rozglądając się wokół, dotarli w najbliższe sąsiedztwo zanku. Wessex wiedział, że do środka nie da się wejść niepostrzeżenie - sukces lub niepowodzenie zależało teraz tylko od tego, czy Talleyrand był osobiście obecny w Roissy. Jeśli go nie było, mogła się udać sztuczka podobna do tej w Verdun: dostaliby się do środka jako wysłannicy z Paryża.

Ale jeśli Talleyrand przebywał w zamku...

W niezbyt dawnej przeszłości, tylko raz, Wessex i Czarny Ksiądz zetknęli się twarzą w twarz. Talleyrand z pewnością rozpoznał Wessexa pod dziurawą maską obywatela Orczy. Kosciuszko w mundurze polskiego gwardzisty mógł zwieszczyć go odrobinę dłużej, ale też krótko. A potem oni obaj też zostali ścięci razem z jakimś biednym głupcem, którego Talleyrand uznał za Króla Francji...

Wessex zdecydowanie skierował myśli w inną stronę. Co będzie, to będzie. Jedyne, o co mógł się starać, to wykorzystanie wszelkich możliwych okazji, jakie się pojawiają.

Kiedy podjechali bliżej, Wessex zaczął się zastanawiać, czy nie dałoby się jednak wśliznąć do zamku chyłkiem. Wieki budynek pogrążony był w ciemnościach, chociaż o tej porze powinien już tam panować jakiś ruch, chociażby wśród służby. Nikt nie patrolował drogi ani najbliższej okolicy - nawet nie szczekał żaden pies. Talleyrand chyba jednak przebywał gdzie indziej.

Potem usłyszeli tętent kopyt na drodze, od strony głównego traktu. Kiedy Wessex spojrzał w tamtą stronę, dostrzegł nikły blask, jakby zbliżał się ku nim wielki światełko. Niemal w tym samym momencie, kiedy go dostrzegł, dziwny obiekt przebył połowę dzielącej ich odległości i Wessex mógł przyjrzec mu się dokładnie. Był to szary kucyk, lśniący delikatną poświatą, podobna do księżycowego blasku.

Diuk usłyszał, że Kosciuszko mruczy jakieś zaklecie i robi znak krzyża w powietrzu między nimi a nieznana istota.

W tym momencie zjawy znikła, jakby naprawdę była tylko złudzeniem zmysłów. Ustał też odgłos kopyt. Zamiast niego usłyszeli cichy kobiecy okrzyk przestraszenia. W miejscu, gdzie poprzednio stał kuc, spoczywał na ziemi ciemny kształt.

Wessex pchnął konia naprzód. Za plecami usłyszał niechętnie mruczenie swojego towarzysza, który jednak podążył w jego ślady. Wessex do tej pory spotykał wyłącznie diabły w ludzkiej skorze i chociaż w jego zawodzie nie należało odrzucać tego, co niewytłumaczalne, zdecydowanie bardziej bał się człowieka z naładowanym pistoletem. W świetle diuka nie było miejsca na nierzeczywiste zdarzenia - co najwyżej na sprawy nie do końca zrozumiałe.

Na razie jednak zjawiskowy kucyk zmienił się w kobietę w pobrudzonej bawelnianej sukni, z włosami rozpuszczonymi i splatanymi w elfie loki. Kiedy odgarnęła je z twarzy i spojrzała na niego przestraszona, Wessex z niebotycznym zdumieniem zdał sobie sprawę, że jest to ktoś dobrze mu znany.

-Lady Meriel - powiedział z niedowierzaniem.

-Och, Bogu dzięki, że to diuk! - Kobieta podbiegła do niego i chwyciła się jego buta, jakby potrzebne jej było oparcie. - Wasza miłość musi mi pomóc. Nie wiem, skąd się tutaj wzięliście, ale pańska żona... i Louis są w wielkim niebezpieczeństwie. Pan Highclere jest francuskim szpiegiem...

-Dokąd ja zabrali? - przerwał jej chaotyczne wyjaśnienia.

Meriel cofnęła się z okrzykiem przestraszenia na widok Kosciuszki w jego fantastycznym kostiumie. Wessex pochylił się, złapał ją za rękę i powstrzymał przed ucieczką.

-Dokąd ja zabrali? - zapytał ponownie.

-Nie... nie... nie wiem - Meriel prawie sie rozplakala. - Ona... Pani z Kregu... powiedziala, ze posle mnie do niego... ale nie wiem, gdzie jestem...

-Jestes kolo Chateau Roissy, mademoiselle - wyjasnil Kosciuszko.

Zdjal bluze ze skrzydlami i zsiadl z wierzchowca, wieszajac na leku siodla swoje czako. Dobrze wytresowany ogier stal bez ruchu, a Kosciuszko wzial peleryne i podszedl do Meriel.

-Mademoiselle wybacz, ale jest raczej zimno, a spacer bez obuwia nie sa najlepszym pomyslem... nawet latem.

Przemawiajac tak Kosciuszko zarzucil dziewczynie na ramiona peleryne z wilczego futra.

-Naprawde, Wessex, masz teraz taka mine, ze wystraszylbys kazdego - dodal karcaco. - Jestem pewien, ze lady Meriel bedzie z nami chetnie wspolpracowac nawet bez twoich krzykow.

Jeszcze raz nieodparty urok polskiego huzara zrobil swoje. Lady Meriel uspokoila sie znacznie, a wzmocniona dodatkowo lykiem brandy z jego manierki, opowiedziala im wszystko od momentu swojego przybycia do Trois Vierges az do porwania Louisa przez ludzi, ktorzy przyjechali zelaznym powozem, gdy probowal dowiedziec sie od rojalistycznego podziemia o los ksieznej Wessex.

-Nie wiedzialam, co potem robic, wiec poslam do Kregu i pokazala mi sie Biala Pani. Dalem jej moj medalion, a ona powiedziala, ze wysle mnie do Louisa albo go uratuje. Nie wiem, czego dotrzyma, lordzie Kosciuszko. Teraz, kiedy kucyk zniknal, nie wiem co robic. Dlaczego kazdy, kogo kocham, musi przeze mnie cierpiec?

-Cicho - napomniat ja surowo Wessex. - Interes, ktory ubilas z Kobieta z Magicznego Ludu, niewiele tu zmienia. Wchodzimy do zamku i mozesz sie nam przydac. Jesli chodzi o twojego Louisa, lady Meriel, uratuje go na pewno, jesli tam tylko jest. Krol czy nie krol, nie pozostawie zadnego czlowieka na lasce Czarnego Ksiedza.

Sara spogladala w wylot lufy pistoletu, zastygla z przerazenia. Geoffrey Highclere usmiechnal sie...

Louis stanal nagle pomiedzy nimi.

-Cale moje zycie nauczyl mnie, co to znaczy byc wartosciowym wiezniem, m'sieur Highclere. Nie sadze, by m'sieur Talleyrand ucieszyl sie, jesli mnie pan zabije. Uciekaj, Saro.

Dwa ostatnie slowa wypowiedzial tak spokojnie i bez zmiany tonu glosu, ze sluchacze nie od razu je zarejestrowali. Sara byla szybsza. Odwrocila sie blyskawicznie i zaczela biec.

Kazdy miesien w jej ciele buntowal sie przeciwko pozostawianiu Louisa, ale bylo to w tej chwili jedyne wyjscie. Louis mial racje - Highclere nie odwazy sie go zastrzelic. A jak dlugo Sara zyla i przebywala na wolnosci, miala jeszcze szanse pospieszyc mu z pomocą. Za plecami slyszala wrzask Highclere'a, ktory wzywal pomocy. Korytarz, ktorym pobiegla, byl jej obcy; oddalal ja od schodow na pierwsze pietro. Slyszala okrzyki, gdy zamek budzil sie do zycia; miala tylko kilka sekund, by znalezc wyjscie. Szarpnela za wazkie drzwi i znalazla za nimi wazkie schody wiodace w dol i w gore. Wejscie dla sluzby. Kiedy zamknela za soba drzwi, odciala slaby poblask swiatla z korytarza i znalazla sie w kompletnych ciemnosciach. Ale wahala sie tylko przez chwile. Potem ruszyla na dol.

Kiedy dotarla do nastepnego poziomu, natrafila na zamurowany slad po drzwiach. Wyraznie wyczuwala szorstkie cegly, zimniejsze niz stara otynkowana sciana. Nie bylo wyjscia z tej klatki schodowej na poziom parteru.

W gorze zobaczyla blask swiatla. Ktos otworzyl drzwi wiodace na korytarz. Sara pobiegla dalej w dol.

Illia Kosciuszko zasalutowal zartobliwie i zawrocil swojego siwka. Bylo juz na tyle widno, ze zwierze zdawalo sie lekko blyszczec, chociaz nie w tak nienaturalny sposob jak kuc.

-Gdzie on jedzie? - zapytala Meriel. Wciaz byla owinieta w peleryne huzara. Wessex posadzil ja na koniu przed soba.

-Narobic zamieszania, znalezc inne wejscie, zabezpieczyc nasz odwrot - powiedzial Wessex wymijajaco. - Albo dac sie zastrzelic, jesli nasz przyjaciel Talleyrand zadecydowal o wystawieniu jakiejś straży.

-Przykro mi z powodu klopotow, jakich wam narobilam - powiedziala ze skrucha Meriel.

-Bedzie na to czas pozniej, jesli jeszcze bedziemy zyli za kilka godzin. Nie mialem zreszta zamiaru zostawiac mojej zony w rekach Talleyranda.

-Wiec zalezy ci na niej, panie? - zapytala Meriel. - Bo jej sie zdawalo, ze nie. Kiedy Geoffrey powiedzial, ze zatrzyma ja jako zakladniczke, by zapewnic twoje odpowiednie zachowanie, twierdzila, ze to nie zadziala.

Kobiety, pomyslal Wessex.

-Sluchaj, moja mala poszukiwaczko przygod, mam zamiar zameldowac sie w Chateau Roissy jako jeden z Czerwonych Jacksow, ktory wlasnie wrocil z Trois Vierges po zalatwieniu waznej sprawy, czyli przywiezieniu ciebie. Niewykluczone, ze oboje zostaniemy od razu zastrzeleni. Jesli jednak nie, byc moze uda nam sie zrobic cos, by pomoc wiezniom. To wszystko wypelnia bez reszty moje mysli, wiec nie mam dosc energii, aby dyskutowac o swoim malzenstwie. Rozumie mnie pani?

Meriel odwróciła się do niego tyłem, na ile było to możliwe w tak niewygodnej pozycji.

Schody w dół skrecały ostro i klatka schodowa stawiała się coraz wezsza; niebawem Sara ocierała się ramionami o ściany, zbudowane z ciasno dopasowanych glazow, zimnych i wilgotnych. A więc była pod ziemią. Nawet schody stały się mokre i sliskie, i gdyby nie była boso, zsunęłyby się z nich już kilka razy. Zatrzymała się w ciemnościach, nasłuchując. Ktokolwiek zajrzał tam na gorze na schody, nie zadal sobie trudu, aby zejść na sam dół. Odczekała kilka minut, a potem powoli zaczęła iść przez ciemność z powrotem na pierwsze piętro. Pod drzwiami, którymi tu weszła, dostrzegła nikłą smuzkę światła i zawahała się. Jeśli otworzy te drzwi, może wmaszerować prosto w pułapkę. Cofnęła się ostrożnie i poszła jeszcze wyżej, na drugie piętro. Spoza tych drzwi nie dochodziło żadne światło. Sara otworzyła je powoli...

Ciemność i nieznaną korytarz, a więc na chwilę wywiodła w pole swych przesładowców. Podeszła do okna i odsunęła zasłony. Świtało już. Na zewnątrz zrobiło się szaro, a trawa srebrzyła się poranna rosa. Tedy nie było ucieczki - okno wychodziło wprost na kamienny dziedziniec i nie miała żadnej możliwości, by zejść po zewnętrznym murze.

Ktoś podjeżdżał konno do bramy. Sara spojrzała... i zastygła ze zdumienia.

To był diuk Wessex. A wraz z nim na koniu jechała Meriel.

Musi jakos zwrócić na siebie ich uwagę! Sara zastukała w okno, ale zaraz zdała sobie sprawę, że Wessex nie może usłyszeć tak słabego dźwięku. Wiedzioną nagle myślą owinęła piasek w fałdy sukni i uderzyła z całej siły w szybę. Szklane odłamki posypały się na dół. Wessex spojrzał w górę. Sara przycisnęła twarz do całego fragmentu szyby mając nadzieję, że ją zobaczy. Zatrzymał się, zsiadł z konia ściągając za sobą Meriel i znikli oboje między krzewami otaczającymi zamek. A więc dostrzegł ją.

Co teraz zrobić? Sara rozejrzała się dziko. Musi znaleźć jakiś sposób, aby wpuszczyć Wessexa do środka, ale przecież dolne pietra zamku pełne są wrogich żołnierzy.

A więc w górę!

Po kilku minutach poszukiwań znalazła schody prowadzące do góry, przeszła na najwyższy poziom, wyczołgała się przez okno i stanęła na dachu. Płyty pod jej stopami były mokre, sliskie i gładkie jak szkło. Slizgała się na nich rozpaczliwie, aż przywarła kurczowo do komina. Na dole wszystko wydawało się tak małe, że aż nierealne. Gdzie ten Wessex? Na dachu był ktoś jeszcze oprócz niej - Sara wyraźnie słyszała czyjeś kroki na mokrych płytach. Na razie przestała szukać Wessexa i spojrzała w stronę, skąd zbliżał się intruz.

Był gładko ogolony i ubrany w nieznany jej zielony mundur. Włosy miał nienaturalnie złotej barwy. Gdy suknia Sary załopotała wysoko na wietrze, spojrzał na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

-Ksiezna Wessex, jak przypuszczam? - powiedzial Illia Kosciuszko.

W kilka chwil pozniej wszyscy znajdowali sie w pokoiku, z okna ktorego Sara wyszla na dach. Sara trzymala w objeciach Meriel i zapewniala ja, ze Louis jest naprawde tutaj, zywy i w dobrym stanie... chociaz wciaz jako wiezien Geofrreya Highclere'a.

-Ale Highclere nie moze go zastrzelic. Czeka na powrot Talleyranda z Paryza., potem nie wiem, co sie stanie.

-Zanim do tego dojdzie, bedzie juz wolny - oznajmil Wessex. - Saro, ty i Meriel pojdziecie z Kosciuszka i...

-Nie - przerwala mu zdecydowanie i w sposob nie podlegajacy dyskusji. - Nie mam zamiaru czekac gdzies w bezpiecznym miejscu, az cie zabija. Wszyscy bedziemy potrzebni do uwolnienia Louisa. No i jest cos, co musza ci powiedziec, wasza milosc... ale jeszcze nie teraz.

-Ciesze sie niezmiernie - powiedzial Wessex oschle. Spojrzal na Kosciuszke i wzruszyl ramionami. - Jak sobie zyczysz, ksiezno. Razem stawimy czolo wrogowi. A zatem, panie i panowie, czas zaczac przedstawienie.

-Mam nadzieje, ze wasza wysokosc polubi swoje nowe apartamenty - zadrwil Geoffrey Highclere. Zatrzasnal za soba drzwi i zablokowal je zelazna sztaba.

Nie zaryzykowal strzalu do uciekajacej ksieznej majac na linii ognia Louisa. Jego zycie nie byloby warte miedziaka, gdyby po powrocie Czarny Ksiadz stwierdzil, ze Geoffrey zabil krola Francji. Sprowadzil jednak krzykiem zolnierzy i wyslal ich na poszukiwania tej przekletej ksieznej, rozkazujac im, by wywrocili zamek do gory nogami, ale nie wazyli sie wracac bez branki. Geoffrey nie byl pewien, w jaki sposob uciekla, ale nie mial zamiaru dac Louisowi szansy, by to powtorzyl.

Zaprowadzil go wiec na najnizszy poziom najstarszej czesci zamku. W czasach sredniowiecza wlasciciel trzymal w tych lochach swoich jencow. Jego nastepcy znalezi lepsze zastosowanie dla tych pomieszczen przechowujac w nich wina. Ale ten fragment podziemi byl zbyt wilgotny, aby ustawic drewniane stojaki, na ktorych dojrzewaly butelki krolewskiego napoju. Pozostawiono te czesc podziemi nie wykorzystana i pusta. Dopiero Talleyrand przy pewnych okazjach zaczal uzywac tego niezdrowego pomieszczenia. Geoffrey uznal, ze tej chwili jest to najlepsze miejsce na trzymanie niepokornego wieznia.

-Nic nowego - odpowiedzial Louis. - Dopilnuj tylko, zebym nie zachorowal na pluca i nie umarl, nim zdolacie mnie uzyc.

Louis odszedl w najdalszy kat lochu i kopnal z obrzydzeniem gnijaca, smierdzaca slome, depczac grzyby, ktore porastaly mokra podloge.

-Pocieszam się myślą, że cokolwiek ze mną zrobicie, księżna i tak jest wolna.

-Nie na długo - warknął Highclere. - A kiedy już ją złapie, zobacze, czy nie znajdzie się tu jeszcze jeden równie miły pokój.

Geoffrey wziął sobie jednak do serca słowa Louisa, bo spieszył w celi jeszcze kilka minut rozpalając kawałki drewna w żelaznym koszu. Potem dorzucił tam jeszcze węgla.

Louis stał bez ruchu, dopóki nie roki odchodzącego Geoffreya nie oddaliły się na tyle, że przestał jej słyszeć. Potem przyjrzał się drzwiom. Dolna ich część, drewniana, była wzmocniona grubą blachą z podłużnym otworem na podawanie posiłków. Górna część składała się jedynie z metalowych prętów, grubych jak kciuk mężczyzny. Wsuwając głowę przez kraty Louis dostrzegł jeszcze kilka cel podobnych do tej, w której się znajdował. Powietrze śmierdziało wilgocią, gnijącymi resztkami słomy i duszącym dymem. Louis zastanowił się z wisielczym humorem, czy zdąży rozchorować się i umrzeć, zanim pierwszy minister Napoleona powróci i weźmie go na spotkanie.

Miał nadzieję, że księżna jednak uciekła.

Rozległ się jakiś szmer, ale nie dochodził od strony schodów, którymi wyszedł na górę Highclere.

Mon Dieu, żeby tylko nie było tu szczurow...

Niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało im się podsłuchać Highclere'a, który wyjaśniał żołnierzom, gdzie zaprowadził Louisa. Sara szybko się domysliła, że krecone schody, z których poprzednio się cofnęła, musiały właśnie prowadzić do podziemi. Próbowala poprowadzić nimi Wessexa i Meriel, ale na dole schody zwezały się tak bardzo, że Wessex nie mógł przejść. Powiedział im, że wraca poszukać innego wejścia; zostawił świecę, aby oświetlały sobie dalszą drogę. Wkrótce przejście zweziło się jeszcze bardziej, tak że musiały przeciskać się bokiem. Sara zaczęła się irracjonalnie obawiać, że mogą tu utknąć i pozostać na zawsze. Plomien świeczki tańczył dziko w lekkim podmuchu powietrza z dołu, Sara z wahaniem podawała świeczkę Meriel, bo z tyłu mniej wiało. Gdyby świeczka zgasła, nie miały jak zapalić jej ponownie.

Przejście było tak wąskie, że podając świeczkę Sara nie mogła przesunąć ręki wzdłuż ciała; musiała przenieść ją nad głowę. Meriel zrobiła to samo, aby ją przejść. Sara poczuła palce przesuwające się po jej dłoni; kiedy Meriel uchwyciła pewnie świeczkę, Sara puściła ją...

I wtedy nagły podmuch powietrza zgasił płomień, zanim Meriel zdolała obniżyć świeczkę.

-Trudno - powiedziała uspokajającym głosem Sara w kompletnych ciemnościach. - I tak nie można zgubić tu drogi.

Usłyszała nerwowy chichot Meriel, ale czuła, że dziewczyna trzęsie się z zimna i ze strachu.

-To mnie może odciąć od zawierania paktów z Magicznym Ludem - powiedziała głośno Meriel.

-Przynajmniej tu dotarłaś - odparła Sara. Chociaż nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś o zdrowych zmysłach chciał przebywać w tym miejscu. Ciemność była tak nieprzenikniona, że zdawała się świecić nierzeczywistymi kolorami. Sara musiała walczyć ze sobą, by zdusić nagły atak klaustrofobii. To było tak, jakby siedziała w jaskini głęboko pod ziemią, zakopana na zawsze, wiedząc, że nikt nigdy nie pozna jej losu...

-Sara - usłyszała gorączkowy szept Meriel - widzę światło.

Ku zdumieniu Louisa źródłem tych szelestów była księżna Wessex, której towarzyszyła lady Meriel. Gdy tylko Meriel go ujrzała, podbiegła natychmiast, zapominając o wszelkich niebezpieczeństwach, które mogły tu na nią czekać. Przez kraty chwycili się mocno za ręce.

-Louis, już myślałam, że cię straciłam! - zawołała Meriel, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Sara starała się nie słyszeć dalszego ciągu ich rozmowy. I tak zresztą przeszli na francuski, którego Sara nie знаła.

Wolała przyjrzeć się kracie. Pan Highclere był wprawdzie kiepskim myśliwym, ale jego zwierzyna rozmnożyła się już na tyle, że nawet on mógł w końcu kogoś ustrzelić. Nie było czasu do stracenia. Jednak nawet jeśli uda się otworzyć kratę, Sara podejrzewała, że Louis nie przejdzie wąskim korytarzem.

Mogła tylko mieć nadzieję, że Wessex rozwiąże ostatecznie problem Geoffreya Highclere'a.

Geoffrey wszedł do salonu i naleł sobie brandy. Szabla pobrzekiwała mu dumnie u boku - symbol rangi i społecznego statusu... który zniknie jak poranna mgła, jeśli nie złapie na czas księżnej Wessex.

Niewiele pozostało z umeblowania salonu, jeśli nie liczyć biurka, krzesła i komody, ale była tam jeszcze butelka brandy i to po nią głównie przyszedł Geoffrey. Było już na tyle jasno na dworze, że nie potrzebował świec. Szary świt ustępował miejsca pogodnemu porankowi. Geoffrey bardzo chciał się napić, a w zamku zawsze było zimno, dlatego nie od razu dostrzegł, że jedno okno salonu jest otwarte i wpada przez nie chłodne poranne powietrze.

-Przyszedłem cię zabić, panie Highclere - oznajmił uprzejmie czyjś głos. - Zrób mi tę uprzejmość i doładuj szablę.

Kilka kroków od niego stał diuk Wessex, zbrojca na usługach króla Henryka, ubrany jak francuski urzędnik i trzymający w ręku szablę, która lśniła w porannym słońcu.

-Czy to ma być wyzwanie na pojedynek? - zapytał Geoffrey próbując zyskać na czasie.

Jesli Wessex tutaj byl, musial wiedziec wszystko. Na pewno przyszedl po Mlodego Krola. Gdyby udalo mu sie schwytac diuka zywego lub umarlego, nie minelaby go wielka nagroda.

Wtedy niepotrzebna nikomu ksiezna nalezalaby do niego...

-Niezupelnie - powiedzial przepraszajaco Wessex. - Jestem tu, by cie zabic. Ale pistolet robi za duzo halasu.

To ja mam pistolet, wasza milosc... nie ty.

Geoffrey staral sie nie zwrocic na to uwagi przeciwnika, ale wyraznie czul ciezar broni w wewnetrznej kieszeni. Dostal powoli szablę lewa reka. Wiekszosc praworecznych szermierzy miala duze klopoty z przeciwnikami walczacymi lewa reka, wiec Geoffrey wyuczyl sie walki obiema rekami. Trzymal szablę ostrzem w dol, krawedzia tnaca do zewnatrz - styl niemiecki.

Wessex, jak zauwazyl, preferowal szkole wloska. Podszedl en garde i doskoczyl do niego szybko, opierajac wolna dlon na biodrze.

Szablę zderzily sie z metalicznym dzwiekiem. Obaj przeciwnicy byli doskonalyimi szermierzami, obaj tez juz zabijali. Ale Wessex walczyl o zycie innych, a Geoffrey o wlasna skore.

Spychal diuka uparcie, az przeszli prawie przez cala dlugosc salonu. Stapanie ich ciezkich butow bylo dosc glosne w cichym pomieszczeniu, ale oczywiscie nie czynilo tyle halasu, ile narobilby strzal z pistoletu. Geoffrey walczyl dziko, cala uwage skupiajac na tym, aby unikac ciosow i jednoczesnie wyciagnac pistolet. Trwalo to zaledwie kilka sekund, ale kiedy w koncu mu sie udalo, obaj mezczyzni splywali potem. - No coz, Wessex, czas zrezygnowac z tej walki.

-Musi to sie odbyc w ten sposob, Highclere? Bedzie oczywiscie pewien skandal zwiazany z twoja osoba, ale przynajmniej twoja rodzina wiedzialaby, ze zginales jak dzentelmen.

-Jestes szalencem, wasza milosc. Jak smiesz mowic mi o dzentelmenach i honorze? Ale mniejsza z tym. Zwyciezylem. Rzuc bron.

Wessex posluchal go, a Geoffrey kopnal szablę precz i podszedl blizej.

Jego milosc wyciagnal z kieszonki zegarek i spojrzal na niego ignorujac pistolet w dloni Geoffreya.

-Juz prawie szosta - powiedzial spokojnie i strzelil Geoffreyowi w gardlo.

Sila odrzutu wyrwala z reki diuka zegarek, ktory rozbil sie o przeciwlegla sciane. Odglos wystrzalu zabrzmial jak grom. Wessex owinal zraniona dlon. Ukryty w zegarku pistolet byl

grozna bronnia dla obu stron.

Podniosl szable i zmiazdzyl resztki zegarka. Biala Wieza nie zwykla oddawac swoich sekretow w rece wroga.

Drzwi otworzyl sie gwałtownie.

-Anglais zabity! - krzyknal Wessex w twarze zaskoczonych zolnierzy. - Zabojca uciekl przez okno! Za nim! Szybko!

Wyzsze pietra starego zamku byly w wiekszosci nie zamieszkane - jak odkryl Illia Kosciuszko wychodzac na jeden ze strychow - chociaz mocno zagracone. Wessex sobie zyczy zamieszania? Prosze bardzo. Zamek zdaje sie raz juz plonal, dlaczego nie mialby sie zajac po raz drugi?

Kosciuszko stracil troche czasu sciagajac polamane meble na jeden ze strychow. Wprawdzie podkladanie ognia od gory nie bylo najlepszym sposobem, ale musial radzic sobie w granicach swoich mozliwosci. Zgromadzil spory stos potencjalnego paliwa, Kosciuszko przeszedl do pokojow sluzby, a nastepnie na strych po drugiej stronie, gdzie znalazl cos dziwnego: olbrzymi wiklinowy kosz, wysokosci mniej wiecej czlowieka, otoczony workami z piaskiem.

-Interesujace - mruknal do siebie.

Jeszcze bardziej interesujacy byl fakt, ze obok znalazl starannie zapakowana reszta maszynerii. Kosciuszko podszedl do okna i wyjrzal na zewnatrz. Z jednej strony dach opadal stromo, a sciany byly pionowe az do fosy, ale po lewej plaski dach biegł az do miejsca, gdzie stykal sie ze szczytem starej kamiennej baszty, najstarszej czesci zamku.

Pytanie tylko, czy zdola przeciagnac az tam maszynie.

Pogwizdujac cicho Kosciuszko zabral sie do roboty.

Lochy byly prawdziwym labiryntem. Dotarli nimi az do uzywanej czesci piwnic, gdzie skladowano wino, i tutaj juz uslyszeli wyraznie krzyki sluzacych, przeklenstwa zolnierzy, gniewne wrzaski. Przez kuchnie nie bylo zatem wyjścia. Zawrocili starajac sie odnalezc droge, ktora szedł Geoffrey prowadzac Louisa do piwnicy, ale jedyne, co osiagneli, to powrot do cel.

-Tak sie nie da! - powiedzial Louis. - Nie ma stad wyjścia, ktore nie bylyby strzezone przez szakale Talleyranda. Musicie wracac droga, ktora tu przyszliscie, a mnie zostawic.

-Nie! - krzyknela Meriel.

-Musi byc stad inne wyjście - oswiadczyła Sara. - Daj mi swieczke, Meriel, a ty, Louis,

przynies trochę tej wilgotnej słomy.

Zanim Sara Cunningham znalazła się w obcych krajach, nauczono ją, jak przetrwać nie mając wiele więcej niż gołe ręce. Pozostała dwójka patrzyła nie rozumiejąc na cienką smuzkę dymu, która unosiła się w kierunku sufitu.

-Proszę mi wybaczyć, madame la duchesse - powiedział Louis - Ale czemu to ma służyć? Ogień nam nie pomoże.

-Ogień pokaze nam drogę wyjścia - pouczyła go Sara. Mówiła prawdę; smuzka odchyliła się wskazując właściwy kierunek.

Trzy razy jeszcze Sara przystawała i rozpalala małe ogniki z pozostałości świeczki i kilku strzępków wilgotnej słomy, i za każdym razem cyrkulacja powietrza wskazywała im dalszą drogę. Używając tej metody, dokładnie zwiedziła kiedyś jaskinie koło domu; zawsze trafiała ku jakiemuś wyjściu wiodącemu na zewnątrz. Teraz też - choć był to sztuczny labirynt i tak daleko od domu - ta prosta metoda sprawdzała się doskonale. Dotarli do drzwi, których dotąd nie widzieli; umieszczono je na szczycie długich kamiennych schodów, a w szparze pod nimi przebijało światło.

-Znowu ślepy zaułek - powiedziała smutno Meriel. - Zamknięte albo strzeżone.

-Tego jeszcze nie wiemy - odparł Louis pełnym nadziei głosem. Spojrzał pytająco na Sare.

-Zaraz się okaże - powiedziała powoli. Starła się zobaczyć w myślach plan zamku; zdawało jej się, że są teraz po przeciwległej stronie budynku, nie po tej, gdzie były wąskie schody, którymi zeszli tu wraz z Meriel. A zatem powinni znajdować się pod starą basztą, w której wieziono Sare i Louisa.

-Myślę, że nikogo tam nie ma - dodała. - Szukają nas raczej po drugiej stronie podziemi, nie tutaj.

-A nawet jeśli są niedaleko, to chyba nie mamy wielkiego wyboru, prawda? - powiedział Louis. Otoczył ramieniem Meriel. - Nie możemy zostać tu na zawsze.

-Nie - zgodziła się Sara. Wzięła głęboki oddech i zaczęła wchodzić po schodach.

Drzwi będą zamknięte, powiedziała do siebie z nadzieją. Wtedy nie musiałaby podejmować decyzji, czy bezpiecznie jest je otworzyć. W drzwiach tkwił mały wizjer; Sara spojrzała przez niego i dostrzegła, że źródłem światła jest mały, wąski otwór strzelniczy w ścianie starej baszty. Słońce już weszło. Był ranek.

Nacisnęła klamkę. Drzwi się nie otworzyły, ale szczeknęły i Sara zauważyła, że są zamknięte na skobel...z tej, a nie z tamtej strony!

Ostrożnie odsunęła skobel. Teraz pozostawało już tylko otworzyć drzwi i zobaczyć, co znajduje się za nimi. Zbierając całą odwagę, Sara wzięła za klamkę.

Polkoliste pomieszczenie za drzwiami było puste. Sara ponagliła pozostałych:

-Tedy! Szybko!

Diuk Wessex miał dziś pracowity poranek. Jego podstęp zadziałał tak długo, jak przypuszczał - jakieś trzy minuty; ale to dało mu trzy minuty przewagi i jego miłość dobrze wykorzystał ten czas. Talleyrand był nieobecny, a pan Highclere przebywał już na lepszym świecie, więc ciżbie żołnierzy i służących zabrakło kogoś, kto wydawałby rozkazy. Spowodowało to pewne zamieszanie, które dawało mu szansę.

Nie oznaczało to wszakże, że Wessex nie zostanie zastrzelony przez pierwszego żołnierza który go zobaczy.

Jednemu ze zbrojnych, w drzwiach salonu zdołał wyrwać sztucer i ładownice; tak uzbrojony uciekał swoim przesładowcom przez zamkowe korytarze. Z początku planował ucieczkę do podziemi, ale został od nich odcięty. Jednak na podstawie opowiadań Sary i własnego rozeznania opracował sobie jeszcze inny kierunek ucieczki i dokładnie wiedział, jak należy to rozegrać.

Wessex dopadł szczytu schodów i schował się za załomem korytarza. Położył na podłodze ładownice i wychylił się za róg przyjmując pozycję do strzału. Dobrze wyszkolony piechur potrafił wypalić trzy razy na minutę. Wessexowi brakowało wprawy, ale mógł wystrzelić dwa razy. Pierwsza kula uderzyła w ścianę, odlupując tynk i wzbijając chmurę białego pyłu. Przeladował i odpalił ponownie, a kiedy ściągający go zatrzymali się w oczekiwaniu na następny strzał, Wessex ruszył biegiem.

Tak jak przypuszczał, stara baszta była oddzielona od nowszej części zamku drzwiami otwierającymi się do środka. Zatrzasnął je za sobą i przelożył przez stalowe obejmy część złamanego krzesła, które chwilowo miało zastąpić sztabe. Ta bariera nie powstrzyma długo poscigu... musi znaleźć coś mocniejszego. W tej chwili usłyszał ruch na schodach pod sobą i zdał sobie sprawę, że jego plan nie do końca się powiodł.

-Kto tam? - zawołała nerwowo Meriel, zanim Sara zdołała jauczyć. Rozpaczliwie potrzebowała broni, jakiegokolwiek, choćby noża...

Na gorze usłyszeli odgłos ciężkich kroków.

-Sara? - rozległ się głos Wessexa.

Twarz miała osmaloną od prochu. Serce Sary podskoczyło ze zdradzieckiej radości, że widzi go całego i zdrowego. Zaraz chwyciła bron, którą przyniosł. Teraz, gdy miała w dłoniach znajomy kształt, natychmiast wrocila jej pewność siebie. Miedzy jej światem a tym, w

którym się znalazła, było wiele różnic, ale lekki jednolufowy sztucer, którego używała przez całe życie, był wszędzie taki sam. Przewiesiła torbę z amunicją przez ramię, sięgnęła do niej i niemal automatycznymi ruchami przeczystała lufę i przeladowała broń.

Wessex przyglądał się temu z osłupieniem.

-Sara? - zapytał ponownie.

Uniosła wzrok znad sztucera, zdając sobie w tym momencie sprawę, jak bardzo dziwaczne może się wydawać jej zachowanie. Niewiele już mogła zrobić, co najwyżej uśmiechnąć się przeproszająco.

-Wydostałam Louisa z podziemi - powiedziała wesoło. Skonczyła ładować broń i schowała wycior pod lufę.

-Tak, widzę. - Wessex z trudem stłumił uśmiech, ale ona to dostrzegła. Sytuacja jednak nie mogła budzić radości.

Sara zauważyła, jak bardzo zmienił się wyraz twarzy Wessexa, gdy spojrzał na młodego człowieka. Widac było, że rozpoznał te rysy; już wiedziała, że ta dziwna historia, którą Louis jej opowiedział, była najprawdziwszą prawdą. Ten poturbowany młodzieniec, którego uratowała, był prawdziwym królem Francji, dwanaście lat temu ocalonym z rąk oprawców przez ojca Wessexa.

-Chodźmy - powiedział krótko Wessex, prowadząc ich z powrotem na górę.

Jedynym wyjściem była ucieczka przez dach. Należało najpierw przekonać się, czy taka droga jest możliwa, ale kiedy Wessex dotarł na górę, wpadł na rozradowanego Kosciuszke.

Polski huzar był rozebrany do bielizny, a mokre od potu włosy opadały mu na twarz. Był jednak nadzwyczajnie z siebie zadowolony, a więc to, co miał do przekazania, mogło oznaczać tylko sukces.

-Wasz powóz czeka - powiedział krótko Kosciuszko, uklonił się i wskazał otwartą kłapę w suficie.

-Co... co to jest? - zapytała zdumiona Sara, kiedy cała piątka znalazła się już na dachu. Dzień był w pełni - błękitne niebo, jasne słońce, ani jednej chmurki. Kamienny dach już zaczynał się nagrzewać. W powietrzu unosił się zapach spalenizny.

-To jest balon na gorące powietrze, jak sadze - powiedział Louis. - Kilka lat temu był taki pokaz w Paryżu. Dzięki niemu ludzie mogą latać.

Meriel przeżegnała się. Miała równie bladą twarz jak Sara.

-To nie jest naturalne - wyszeptala.

Patrzyli wszyscy na wielki kosz, który mógł pomieścić kucyka, przymocowany sztywnymi linami do olbrzymiego balonu z kolorowego jedwabiu, którego dół otoczony był żelaznym pierścieniem zawieszonym nad koszem na metalowych pretach. Pod pierścieniem znajdował się kociołek wypełniony płonącymi węglami, a powietrze nad nim drgało od gorąca i powoli wypełniało balon.

-Czy to jest właśnie twój plan ucieczki? - zapytał Wessex swojego partnera.

-Niezwykle oryginalny, co jest jego duża zaleta- wyjaśnił Kosciuszko. - Podłożyłem ogień pod zachodnie skrzydło jakas godzinę temu. Niedługo powinni go odkryć. Mam nadzieję, że to odciągnie ich uwagę i osłoni nasz odwrót.

-Mamy tym lecieć? - zapytał Wessex bez entuzjazmu, przyglądając się sceptycznie balonowi. Podeszedł do krawędzi dachu i spojrzał na zachód. - Przynajmniej ogień nieźle się rozpalil.

Wiatr zmienił się nieznacznie i zobaczyli unoszące się z nad baszty kleby dymu. Sarze zdawało się nawet, że słyszy odległe trzaski ognia.

-Coż - powiedział skromnie Kosciuszko - między ogniem a prochownia...

Rozległ się przeraźliwy huk, od którego zatrzęsła się cała wieża. Meriel krzyknęła przerażona.

-Otoż to - zakończył Kosciuszko z satysfakcją. - Nie byłem do końca pewny zgrania w czasie. Ale idzie całkiem nieźle.

-Jestes wariatem - powiedział Wessex z pełnym przekonaniem.

Kosciuszko wzruszył ramionami.

-Sadze, że powinniśmy już wsiadac do kosza. Nie wiem, czy dobrze go przywiązałem, a lepiej, żebyśmy byli na pokładzie, zanim zdecyduje się odlecieć.

-Ale... - Sara nie mogła znaleźć odpowiednich słów. - Ale... jeśli to nie zadziała, wszyscy z pewnością się zabijemy... chociaż to też jest jakas ucieczka.

Kiedy cała piątka siedziała już w koszu, Kosciuszko rozwiązał liny, które mocowały balon do dachu. Dorzucił do kociołka więcej węgla z worka, który miał pod stopami, i ścianki balonu zaczęły się wznosić, tracąc poprzednią miękkość. Stawały się napięte jak powierzchnia wypełnionego wiatrem zagła.

-Czy to się uda? - zapytała Sara trzymając kurczowo swój sztucer. Teraz, kiedy była

uzbrojona, nie miała zamiaru pozbywać się broni.

-Też jestem ciekaw - mruknął Wessex.

Meriel po prostu przywarła do Louisa, bardziej przerażona tym powietrznym statkiem niż spotkaniem z Białą Panią, podziemiami, a nawet wszystkimi żołnierzami Talleyranda zebranymi razem.

Zdawało się, że trwa to cała wieczność, choć naprawdę mogło zająć najwyżej trzy kwadransy, zanim kosz zaczął unosić się łagodnie pod wpływem ulatującego w górę rozgrzanego powietrza. Oderwał się od dachu.

Grali w bardzo niebezpieczną grę - ciekawe, czy balon zdoła ich stąd wynieść, zanim żołnierze odkryją, że wyszli na dach?

Balon unosił się statecznie, kołysany przez wiatr. Jednak zatrzymał się, gdy siły na niego działające znalazły się w równowadze.

-Worki z piaskiem - powiedział Kosciuszko. - Czas je wyrzucić.

-Patrzcie! - wrzasnęła Meriel wskazując na klapy w dachu, w którą całą czas wpatrywała się gorączkowo.

Wyszedł przez nią żołnierz, który natychmiast ich zauważył. Natychmiast wyskoczył na dach i pobiegł ku nim z szablą w dłoni. Wystarczyłoby kilka ciec, aby oddzielić zgrabnie kosz od balonu i uwięzić ich tutaj.

Wessex sięgnął po swoją szablę, gdy tymczasem Louis i Kosciuszko doskoczyli do worków z piaskiem.

-Wydostan ich stąd, Kosciuszko - polecił Wessex siadając okrakiem na brzegu kosza - dołącz do was później.

-Nic z tego - odparła Sara opuszczając sztucer i składając się do strzału. - Scigalam cię przez całą Francję, wasza miłość, i mam już tego dość.

Pociągnęła za spust. Błysnęło, gdy proch zapalił się na splotce, a żołnierz spadł z dachu z okrzykiem bólu.

Sara spokojnie przeladowała broń. Worki z piaskiem wyleciały z kosza i balon skoczył w górę gwałtownym susem, a następnie poześlował na zachód gnany podmuchem porannego wiatru.

19. ZANIECHANA DROGA

Cała piątka przybyła do Trois Vierges w środku nocy, ale Sara nie pozwoliła nikomu zbliżyć

sie do opactwa. Nakazala swojej grupie zapasc w przydrozonym rowie i obserwowac dom az do switu. Gdyby nie umiejetnosci traperskie Sary, nigdy nie udaloby sie im zajsc tak daleko. Majac tylko jednego konia - ogiera Kosciuszki, ktory podadal w slad za balonem, az ten opadl na ziemie po kilku godzinach - nie zdolaliby ujsc pogoni.

A zatem ukrywali sie przed nia. Obszarpani jak bezdomne wloczegi, podrozowali nocami i ukrywali sie w dzien, zywiac sie tylko tym, co udalo im sie zlapac lub ukrasc. Az trzech dni potrzebowali, aby przebyc dystans, ktory Meriel na swoim magicznym kucu przebyla w jedna noc. Najwiekszym zmartwieniem Sary bylo oczywiscie ukrywanie szarego andaluzyjskiego rumaka, bo jedynym sposobem, w jaki banda zebrakow, na jakich teraz wygladali, mogla wejsc w posiadanie takiego wspanialego zwierzecia, byla kradziez.

Ale Kosciuszko odmowil pozostawienie konia, a Wessex zgodzil sie z nim - gdyby zostali zaskoczeni, przynajmniej jedno z nich moglo uciec na grzbiecie wierzchowca.

Nie bylo wcale pewnosci, czy w Trois Vierges znajda bezpieczne schronienie, ale ani Louis, ani Meriel nie chcieli zrezygnowac z tej wizyty, Wessex zas podejrzewal, ze stary ksiadz moze byc uzytecznym sojusznikiem... o ile oczywiscie jeszcze zyl.

Na razie, lezac na zimnej i wilgotnej francuskiej ziemi, Wessex przygladal sie swojej ksieznej. Twarz miala usmarowana ziemia i zwierzecym tluszczem, a wlosy zaplecione z tyłu w nieporzadny warkocz. Podrozna suknia, niegdys szara, byla teraz upaprana blotem, a jeden z rozerwanych rekawow ukazywal rownie brudna halke. Byla boso - ponczocho sluzyly ochronie przed wilgocią cennego muszkietu. Trwala tak bez ruchu, jak rzezbiona figurka na dziobie okretu.

Wessex nagle zdal sobie sprawe, ze w ogole jej nie znal. Tutaj wreszcie spotkal kobiete, ktora poznal w Mooncoign - dzikiego, skutecznego wojownika, towarzysza w bitwie. Ale tamta kobieta znikla, gdy krol Henryk zmusil ich do malzenstwa. Pozostala tylko wystrojona w modne suknie, pozbawiona uczuc, kapryсна lalka z rodzaju tych, ktore dla diuka nie mialy zadnej wartosci.

Doszedl do wniosku, ze musza porozmawiac. Teraz, kiedy wiedziala, kim jest Wessex, byl jej winien szanse honorowego wyjscia z tego malzenstwa. Ale na razie kwestia przezycia zajmowala im kazda chwile, odkad opuscili zamek; teraz tez nie byl dobry czas na rozmowe - glos, nawet szept, daleko nioslo, kiedy wokol panowala absolutna cisza. Obserwowal dom rownie podejrzliwie jak Sara. Stad przeciez zabrano Louisa. Mozna wiec zakladac, ze Talleyrand bedzie szukal go znowu w tym samym miejscu. Dawno zaginiony krol Francji powracal na polityczna szachownice ku konsternacji przyjaciol i wrogow. Jego pojawienie sie pomiedzy zywymi spowoduje zmiany wielu sojuszy na mapie Europy. Krolewska krew i prawa do tronu byly powazna pokusa.

Ale mlody Louis nie chcial panowac. Powiedzial Wessexowi, czego pragnie - wyemigrowac do Luizjany i mieszkac tam jak zwykly czlowiek... ze swoja zona.

Lady Meriel nie zgadzała się jeszcze go poślubić, co mocno podniosło jej reputację w oczach Wessexu. Zresztą tylko głupiec nie zauważyłby, że to nie jest szczeniaka miłość. Z dziewczyna jednak coś trzeba było zrobić, bo chociaż Geoffrey Highclere nie żył, wciąż jeszcze pozostawał lord Ripon.

Co zresztą trzeba będzie zrobić i z nim samym. Wiele miesięcy potrwa, nim Biała Wieża stwierdzi, czy prawdziwa tożsamość Wessexu jest znana Francuzom - a przez ten czas nie będzie mógł wyjechać za granicę nie narażając się na duże niebezpieczeństwo.

Jeśli uda się odnaleźć dąską księżniczkę, będzie miał i tak dość roboty w Londynie.

Tylko nie wiadomo, czy wciąż jeszcze będzie miał żonę.

Leżąc tak w krzakach w środku nocy i patrząc na skupioną twarz swojej żony, która absolutnie odmówiła oddania sztucera, Wessex odkrył nagle, że ma wielką nadzieję, iż będzie ją miał.

Słońce wzeszło. Opat odprawił poranną mszę i wrócił do domu przez ogród. Już kilka godzin wcześniej, gdy na niebie pojawił się pierwszy brzask, Sara przemieściła swoją bandę uchodźców z pozycji w rowie do nowej kryjówki w samym ogrodzie. Teraz nadszedł czas, by wykonać ruch.

-Louis? - powiedziała tak spokojnie, jakby znajdowali się w jej londyńskim salonie. - Czy nie zechciałbyś wejść przez kuchenne drzwi i zobaczyć, czy twój wuj nas przyjmie?

-Nie! - zaprotestowała gwałtownie Meriel przytrzymując Louisa za rękę.

-Tak musi być, ma petite - powiedział łagodnie Louis. - Madame Carmaux mnie wpuszczy, ale przecież nie zna ani monsieur le duc, ani madame la duchesse, ani szanownego Kosciuszko. W dodatku wyglądamy tak, że każda uczciwa gospodyni narobi krzyku.

-A jeśli są tam Czerwoni? - upierała się Meriel. Niezależnie od tego, jak długo obserwowali dom, wciąż istniała taka możliwość.

-Wtedy madame la duchesse zastrzeli ich z tej wielkiej strzelby - odparł Louis. - Ale nie sadzę, żeby tam byli.

Wyszedł z ukrycia i wstał. Maszerował przez ogród tak spokojnie, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Doszedł do drzwi, otworzył je i zniknął w środku.

Cisza.

-Nie żebyśmy bardzo się niepokoił - powiedział usprawiedliwiająco Kosciuszko - ale chciałbym wiedzieć, jak długo będziemy czekać.

Meriel juz zaczela sie czolgac w kierunku sciany. Drzwi sie otworzyly i stanal w nich Louis. Zaprosil ich gestem, by weszli.

Zanim na snieznobialy obrus na stole opata wjechal obiad, piatka uciekinierow zostala, z wydatna pomocą madame Carmaux, doprowadzona do jakiego takiego porzadku. Opat de Conde zapewnil Wessexa, ze zdola zorganizowac transport na wybrzeze, gdzie diuk mogl nadac sygnal do patrolujacego angielskiego okretu wojennego, aby zabrano grupe na poklad.

Talleyrand nie przyslal nikogo do wioski. Prawdopodobnie uwazal, ze jency zgineli w pozarze, ktory wybuchl w zamku. Chociaz Wessex nie sadzil, aby mistrz szpiegow wyciagal tak pochopne wnioski. Tak czy inaczej mieli stad odjechac za kilka godzin; dluzsze przebywanie w wiosce narazalo mieszkancow na niebezpieczenstwo, a diuk nie chcial ryzykowac.

Pozostawalo tylko jedno pytanie: kto pojedzie... a kto zostanie tutaj?

-Naprawde goraco namawiam wasza wysokosc do udania sie wraz z nami do Anglii - powiedzial Wessex, kiedy sprzatnieto naczynia, a sluzba wyszla zostawiajac ich samych. - Naturalnie nie moze zmusic...

Tutaj Illia Kosciuszko kaszlnal, a Wessex przygryzl warge.

-Zapewniam, ze nie bede zmuszal waszej wysokosci, ale musze powiadomic niektorych ludzi, iz wasza wysokosc zyje. Mam nadzieje, ze to jest zrozumiale.

-A co z lady Meriel?- zapytal Louis. W jego glosie dalo sie slyszec nute gniewu, ale byl na tyle zrownowazony, ze zdolal go ukryc.

-Bedzie pod moja osobista opieka - obiecal Wessex. - Nie musi obawiac sie earla Ripona ani jego spiskow.

-Ach, tak? Latwo nami rozporzadzasz, monsieur le duc. Ale ja nie mam ochoty, by ktos mna kierowal, ani tu, ani w Anglii. I nie zamierzam byc krolem.

-Moj synu...- powiedzial opat, ale Louis uniosl dlon uciszajac go.

-Przykro mi, mon oncle, wiem, jak wiele poswieciles dla tego marzenia i jak wielu dobrych ludzi zginelo, by ocalic moje zycie. Ale to nie jest moje marzenie. Oswiadczam to tu i teraz.

Zdumiony opat patrzyl na dumna postawe Louisa.

-Tak jest lepiej, pere - powiedzial Louis. - I niech tak zostanie.

-Czy wasza wysokosc do konca rozwazyl, co oznacza odrzucenie korony? - zapytal

Wessex. - Wasza wysokość jest ostatnim z prawdziwej linii. Jeśli nie będzie króla, kto dokona Wielkich Zaslubin Duszy tej ziemi?

-Nikt - powiedział krótko Louis. - Proszę pozwolić mi być sobą, monsieur le duc.

-Czy taki właśnie ma być los Francji? - nalegał Wessex. - Czy magia na zawsze ma odejść z La Belle France, aby odtąd stała się ona tylko materialnym królestwem?

Louis zadrzał patrząc w oczy Wessexa.

-To się już stało... w dniu, kiedy zamordowano mojego ojca, wasza miłość. Byłem wtedy o wiele za młody, aby nauczyć się kogośkolwiek z Wielkich Praw, a wszyscy, którzy mogli znać Pakty, są już z pewnością martwi. Korsykański tyran złamał potęgę Ukrytych Królestw i pozbył się ich. Jeśli kiedykolwiek jeszcze we Francji będzie panował król, nie będzie mocy Starego Prawa, która mogłaby wezwąć.

-Wasza wysokość... - chciał zaprotestować Wessex, ale Louis znowu unosił rękę uciszając go.

-Nie nazywaj mnie tak. Co ty wiesz o byciu królem? Nic. - Louis potrząsnął głową. - Gdybym nawet okazał się na tyle szalony, by zająć tron, nie byłbym niczym więcej jak kukielka tańcząca na złotych linkach.

W głosie Louisa brzmiało zdecydowanie, nie dopuszczające dalszej dyskusji.

-Pozwól mi odjechać, wasza miłość. Losy Francji i mój nie splatają się ze sobą, a ja chciałbym zacząć nowe życie z kobietą, którą kocham, z dala od tronów i koron.

Louis spojrzał na Meriel. Uśmiechnęła się do niego i zerknęła na Wessexa. Chociaż próbowała to ukryć, w jej oczach widac było nadzieję.

-Dobrze więc - odparł Wessex, zważawszy się tylko przez chwilę. - Stanie się zgodnie z twoim życzeniem. Pojedziecie ze mną do Anglii, a tam wsadzę was oboje na statek zmierzający do amerykańskich kolonii... Mam jednak nadzieję, wasza wysokość, że w razie potrzeby będą mogli poprosić cię o pomoc.

-O wszystko oprócz rządów nad Francją - obiecał Louis i rozesmiał się z ulgą. - A teraz, moi panowie i madame la duchesse, chciałbym zaprosić was na mój ślub.

-Muszę z tobą pomówić - powiedziała Sara do Wessexa. Diuk odwrócił się do niej. Pozostali opuścili już kościół, by udać się na zaimprovizowaną ucztę, ale Wessex ociągał się jeszcze i Sara wróciła do niego.

-Spodziewałem się tego - powiedział cicho. - Zapewniam cię, że kiedy wrócimy do Anglii, nie będzie żadna przeszkoda na twojej drodze. Musisz rozważyć, czy bardziej pasuje ci

oddzielne życie. Moje... zajęcie jest bardzo niebezpieczne. Możliwe, że szybko zostaniesz wdową. A to znacznie mniej skandaliczne zakończenie małżeństwa niż rozwód.

-O czym ty mówisz? - zapytała zdumiona Sara. - Przyszłam powiedzieć ci, kim naprawdę jestem.

I powiedziała, choć w wielkim skrócie. W całej tej dziwnej historii Wessexu najbardziej zdumiała to, że Amerykanie mogli zbuntować się przeciwko królowi... i że Anglia niekoniecznie musi rządzić Stuartami.

-Ale twój pierścionek... ten, który należał do twojego ojca... co o tym sądzić? - zapytał jeszcze. Czy Liga Boscobel istniała w obu światach? A jeśli tak, to w jaki sposób prawowity król w świecie Sary skończył jako wygnaniec?

-Nigdy nie znalazłam historii pierścienia - wyznała Sara. - A teraz nie mam już na to najmniejszej szansy. Ale co ja mam robić, Wessex? Nie mogę wrócić do domu.

-Nie, jeżeli babcia nie ma jeszcze jednej cieciewy do swojego łuku - zgodził się Wessex. - Choć to też można brać pod uwagę, moja mała kolonistko. Ale ty zostałam ściągana do tego świata w jakimś celu... sądzisz, że spełniłaś swoją misję?

-Nie wiem - przyznała uczciwie Sara. - Jaka niedokonczona praca mogła zostawić markiza Roxbury? Praca tak ważna, że musiała mnie wezwać z innego świata, abym ją zakończyła? Ta istota - zielony człowiek - powiedziała, że muszę stać się jednością z tą ziemią. A ja nawet nie wiem, o czym on mówił, a co dopiero, jak to zrobić.

-Jeśli o to chodzi - odparł Wessex - myślę, że mam pomysł. Przyciągnął ją delikatnie do siebie. Nie protestowała. Powoli połączyły się ich usta.

EPILOG

LWICA ANGLII

Skapany w promieniach zachodzącego słońca, ciężko wyladowany wóz z sianem toczył się po drodze, zmierzając w kierunku wybrzeża. Było co prawda o dwa miesiące za wcześnie na sianokosy i wóz wyglądał nieco dziwnie, ale ostatecznie wśród kawalerzystów patrolujących drogę niewielu było chłopów i zarówno opat, jak i Wessex uznali, że można zaryzykować. Sara, Louis i Meriel ukryli się pod fałszywym dnem wozu, a Wessex i Kosciuszko, oczywiście w odpowiednich strojach, powozili zaprzęgiem. Kosciuszko zgodził się w końcu zostawić swojego ogiera - miał stać w stajni opata, aż nadarzy się okazja odesłania go właścicielowi. Był jednak zbyt cennym zwierzęciem, by porzucić go na zawsze. Ich ludzie na Kanale już na nich czekali, dzięki Biskupowi Amiens. A morze było tuż, tuż. Wóz z sianem miał pozostać na farmie, którą wskazał im opat, a potem mieli spacerować się tylko mile lub dwie na brzeg i zaczekać do nocy, kiedy powinni nadać sygnał za pomocą krytej latarni i lustra, w które też zaopatrzył ich opat. Zdawało się to

wszystko dość proste. Zresztą Wessex od czasu Rewolucji wjeżdżał i wyjeżdżał z Francji tak wiele razy, że sam już nie potrafił ich policzyć. A jednak zawsze coś mogło się nie udać, nawet teraz jeszcze, choć właśnie umierali z nudów - ot, zwykła przejazdka na wies...

Najpierw minął ich konny goniec podążający na wschód. Potem przez dłuższy czas nie widzieli nikogo i nikogo też nie oczekiwali - o tej porze ruch między Paryżem a Calais był raczej mały.

A jednak usłyszeli odległy tetent konskich kopyt. Kosciuszko wskazał w kierunku kurzawy na drodze i spojrzał pytająco na swojego partnera. Jeśli był to francuski patrol, bardzo prawdopodobne, że szukał właśnie ich. Pozostawało jeszcze pytanie, czy ich rozpozna, jeśli się spotkają. Mogli blefować albo walczyć. Wessex wolałby to pierwsze, gdyby tylko miał możliwość wyboru. Potrząsnął głową na nieme pytanie Kosciuszki i cmoknął na konie, aby przyspieszyły kroku.

Pojawił się konny oddział. Szesciu francuskich chasseurs. Była to lekka jazda, używana na wojnie głównie do zwiadu, ale czasem też do patrolowania ważnych obszarów - na przykład wybrzeża Calais. I wyglądało na to, że tym razem odnieśli sukces, bo mieli ze sobą jenca, który jechał wśród nich ze związanymi z przodu dłońmi. Wessex rozpoznał musztardowy mundur Kongelige Livgarde między czarnymi mundurami Francuzów.

-Dunczyk - powiedział cicho Wessex. - Jeden z oddziału z "Krolowej Christiny". Może wiedzieć coś o księżniczce.

Livgarde nie dał najwyraźniej parolu, bo miałby szablę i pistolet, a więc prawdopodobnie będzie walczył, jeśli tylko nadarzy się okazja.

-To nasz obowiązek - powiedział poważnie Kosciuszko sięgając po szablę i pistolet. - Dania jest naszym sojusznikiem, a przynajmniej powinna być.

Wóz został sprawnie usunięty na pobocze, aby zwolnić przejazd dla żołnierzy. Niespodziewane strzały rozległy się, gdy ci byli już tylko o kilka jardów od wozu. Kapitan i porucznik upadli od razu, a Kosciuszko skoczył naprzód i dopadł konia tego pierwszego. W mgnieniu oka był już w siodle, galopując na pozostałych przeciwników.

Wessex opróżnił obydwie pistolety - wielce przydatny prezent od opata de Conde - i też pobiegł naprzód z szablą w dłoni. Wprawdzie pieszy był w znacznie gorszej sytuacji walczyć z przeciwnikiem siedzącym na koniu, ale nie było czasu na takie kalkulacje.

Koło uszu gwizdnęła mu kula - to Sara wychyliła się z siana i dodała swój celny strzał do potyczki. Zresztą Livgarde w centrum zamieszania też nie czekał spokojnie na wynik walki. Ledwie zabrzmiały pierwsze strzały, rzucił się całym ciałem na najbliższego Francuza, spadając wraz z nim na ziemię, gdzie zajął go przez chwilę walka mimo związanych rąk.

Wszystko to trwało bardzo krótko.

Livgarde wstal z ziemi. Uwolnił sobie rece używając do tego bagnetu i przyglądał się poboju wokół z pewnym siebie uśmiechem.

-Bardzo skuteczna pomoc, m'sieur - powiedział po francusku, gdy Wessex zbliżył się do niego. Sara i reszta stali teraz przy wozie, szczęśliwie cali, choć może nieco oszalomieni. Głos Dunczyka był dość wysoki i nieco schrypnięty. Sądząc po wyglądzie chłopak chyba jeszcze się nie golił, nie miał w każdym razie wąsów ani bokobrodów, tak lubianych przez Kongelige Livgarde.

-W pewnym sensie załatwiliśmy też własny interes - odparł Wessex. Kosciuszko tymczasem podjechał do nich. - Byłeś na "Krolowej Christinie", prawda?

-Sądzę, że był - odpowiedział za Dunczyka Kosciuszko, szybkim ruchem ściągając czako z jego głowy.

-Cholera - powiedział ze smutkiem Livgarde, gdy jego... jej blond włosy opadły na ramiona.
- Wyprowadziłam was w pole - powiedziała księżniczka Stefania.

Księżniczka Stefania opowiedziała im swoją historię, gdy zebrali członków jej byłej eskorty. Nie było nawet potrzeby ich dobijać - związanych i zakneblowanych schowali wszystkich pod siano, gdzie mogli spokojnie poczekać, aż ktoś ich uwolni, a w tym czasie piątka - teraz już szóstka - uciekinierów będzie dawno na pokładzie statku.

Zwłaszcza że Francuzi podarowali im wierzchowce, z pomocą których drużyna mogła szybko dotrzeć do wybrzeża.

-Muszę przyznać, wasza wysokość, że taka maskarada świadczy o dużej zaradności - powiedział z szacunkiem Kosciuszko, gdy jechali już na zachód.

-Ba! - odrzekła księżniczka. - Nikt nawet nie spojrzał na żołnierza. Spodziewali się zobaczyć księżniczkę w sukni i z koroną, i tylko tego szukali. Moi chłopcy i tak by mnie nie oddali... to w końcu regiment mojego ojca... ale to ja zdecydowałam o włożeniu munduru i schowaniu się wśród nich. Ale ty jesteś Anglikiem, więc pewnie szokuje cię, że przebrałam się w męskie ubranie, hein? - zapytała uśmiechając się do Kosciuszki.

-Jestem Polakiem - poprawił Kosciuszko. - Ten skrzywiony dzentelmen w okropnym kapeluszu jest Anglikiem. Jeśli mogę go przedstawić - diuk Wessex, wielce oddany sługa waszej wysokości.

Księżniczka Stefania rozesmiała się weselo.

-Proszę, alez mamy towarzystwo. Sami książęta, księżne i diukowie! Ile kłopotów narobiliłbyśmy Francuzom, gdybyśmy tu zostali.

-Jednak - zwrócił uwagę Wessex - nie muszę przypominać waszej wysokości, że jej

obowiazki sa gdzie indziej.

Ksiezniczka westchnela gleboko i spojrzala zuchwale na Wessexa.

-Co za nuda. Mam poslubic jakiegos meczacego ksiecia. A moglibysmy przezyc razem tak wiele przygod!

Wessex i Kosciuszko spojrzeli po sobie.

-Naprawde nie sadze, wasza wysokosc, aby ksiaze Jakub sprawil ci zawod, jesli chodzi o przygody - powiedzial trzezwo Kosciuszko.

-A ja z kolei nie sadze, by ksiaze byl rozczarowany swoja przyszla malzonka - dodal po angielsku Wessex.

PODZIEKOWANIA

Chcialabym podziekowac Sherwoodowi Smithowi za jego pomoc oraz szybkie odpowiedzi na trudne historyczne pytania dotyczace Francji w roku 1806; Andrew Sieglowi za rozwiazanie kłopotliwych kwestii wlasciwej tytulatury; calej reszcie gangu SFRT I (ktory tak miło wspominam) za podtrzymywanie mnie na duchu (jak sie macie Esther i Lois!); Jennarze za poradzenie sobie z calym tym zamieszaniem; Jane Emerson za kontakt z porucznikiem Stephenem Price'em z Krolewskich Wojsk Inzynieryjnych; i wreszcie oczywiscie samej Lady - Andre Norton - za jej bezgraniczna cierpliwosc i uprzejmosc podczas naszej dlugiej, trudnej, a czasem wielce zdumiewajacej wspolpracy. Mozliwosc wspolnego pisania z nia i uczenia sie od niej byla dla mnie prawdziwym zaszczytem. Rosemary Edghill

* Mooncoign - w wolnym tlumaczeniu "zapatrzony w ksiezyc".

* Jacks - angielskie pogardliwe okreslenie czlonkow zakierii.

* Druga polowa XI wieku.

* Autorka pomieszala elementy umundurowania polskich regimentow z przelomu XVIII i XIX w. ze skrzydlami charakterystycznymi dla polskiej XVII-wiecznej husarii, czyli jazdy ciezkiej.

* Tak zwracano sie do Ludwika XVI po detronizacji

* Mowa o Murze Hadriana, zbudowanym przez Rzymian dla oddzielenia zajmowanej przez nich poludniowej czesci Brytanii od terenow gorzystej polnocy, skad najezdzaly na nich barbarzynskie plemiona celtycko-piktyjskie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/